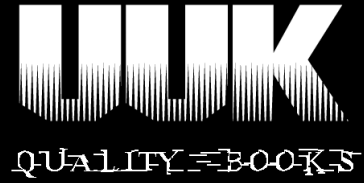


ARTURO PEREZ-REVERTE

Szachownica Flamadzka



SPIS TREŚCI

I	Tajemnice mistrza van Huysa	4
II	Lucynda, Oktawio, Scaramuccio	62
III	Zadanie szachowe	99
IV	Trzeci gracz	139
V	Tajemnica czarnej damy	177

VI	O szachownicach i lustrach	208
VII	Kto zabił rycerza	256
VIII	Czwarty gracz	274
IX	Fosa przy Wrotach Wschodnich	306
X	Niebieski samochód	357
XI	Warianty analityczne	395
XII	Hetman, skoczek, goniec	433
XIII	Siódma Pieczęć	477
XIV	Rozmowy w salonie	499
XV	Końcówka hetmana	535

I. Tajemnice mistrza van Huysa

Bóg graczem rządzi, ten figurę trzyma.
Jaki bóg spoza Boga spisek rozpoczyna?

Jorge Luis Borges,
Szachy,
(przeł. Krystyna Rodowska)

Zamknięta koperta stanowi zagadkę kryjącą wewnątrz kolejne zagadki. Ta koperta była spora, z ryżowego papieru, a w jej dolnym lewym rogu widniała pieczętka labo-

ratorium. Julia ważyła ją w dłoni, szukając równocześnie nożyka do papieru na stole zawalonym pędzlami oraz słoiczkami pełnymi farb i lakierów. Nawet nie przypuszczała, do jakiego stopnia zmieni się jej życie po otwarciu przesyłki.

Właściwie знаła już jej zawartość. A ściślej mówiąc, tak jej się wydawało, o czym przekonała się chwilę później. Dlatego może nie poczuła niczego szczególnego, gdy wyciągała z koperty odbitki fotograficzne i rozkładała je na stole. Rzuciła na nie roz-targnionym nieco wzrokiem i nagle wstrzymała oddech. Pojęła, że „Partia szachów” stanowczo wykracza poza zwykłą rutyniarską robotę. Zdarzało jej się co i raz natrafiać na niespodziewane detale na obrazach, meblach czy oprawach starych ksiąg. Pracując od sześciu lat, miała już na koncie rekonstrukcje i uzupełnienia dokonywane na oryginalach, retusze i poprawki Nawet drobne falsyfikacje. Ale jeszcze nigdy dotąd nie spotkała się z napisem ukrytym pod warstwą farby: z trzema słowami, które wyszły na jaw dzięki promieniom Roentgena.

Nie odrywając oczu od zdjęć, zapaliła wyciągniętego ze zmiętoszonej paczki papierosa bez filtra. Nie można było mieć najmniejszych wątpliwości, odbitki radiologiczne o wymiarach 30x40 cm mówiły same za siebie. Wyraźnie było widać oryginalną

kompozycję piętnastowiecznego flamandzkiego obrazu na drewnie, jego realistyczne szczegóły uwypuklone dzięki zastosowaniu techniki verdaccio, słoje na trzech deskach tworzących całość dzieła, ich spojenia, wreszcie kolejne kreski, pociągnięcia pędzlem i warstwy, które wyszły spod ręki malarza. A w dolnej części obrazu to ukryte zdanie, które aparatura radiologiczna wydobyła po pięciuset latach, białe gotyckie litery tak dobrze widoczne na czarnym tle:

QUIS NECAVIT EQUITEM.

Julia знаła łacinę na tyle, że nie musiała sięgać do słownika. Quis, zaimek pytajny: kto. Necavit pochodziło od neco: zabić. Equitem zaś to biernik liczby pojedynczej od eques: rycerz. Kto zabił rycerza. Zaimek quis narzucał jeszcze znak zapytania, przez co całe zdanie nabierało pewnej tajemniczości:

KTO ZABIŁ RYCERZA?

Było to co najmniej zastanawiające. Zaciągnęła się papierosem trzymanym w prawej dłoni, lewą tymczasem poprzesuwała zdjęcia na blacie. Ktoś, może sam malarz,

umieścił na obrazie coś w rodzaju łamigłówki, którą następnie zakrył warstwą farby. Ewentualnie zrobił to później kto inny. Margines błędu wynosił z grubsza pięćset lat. Już ta myśl wywołała uśmiech na twarzy Julii. Podobną niewiadomą potrafiła znaleźć bez specjalnych trudności. Ostatecznie na tym polegał jej zawód.

Pozbierała odbitki i wstała. Szarawe światło wnikające przez szeroką lukarnę w suficie padało wprost na obraz oparty na sztalugach. „Partia szachów”, olej na drewnie, z 1471 roku, autorstwa Pietera van Huysa. . . Zatrzymała się przed nim i wpatrywała dłuższą chwilę. Oto scena domowa, przedstawiona z tak typowym dla piętnastowiecznego malarstwa realizmem, jedna z tych, którymi wielcy mistrzowie flamandzcy przygotowali grunt pod sztukę nowoczesną, wykorzystując ostatni krzyk techniki, jakim wówczas były farby olejne. Główny motyw obrazu stanowi partia szachów, którą rozgrywało dwóch mężczyzn w średnim wieku, o szlachetnych obliczach. Na drugim planie po prawej, przy zwieńczonym ostrym łukiem oknie, za którym rozpościerał się krajobraz, siedziała dama w czerni i czytała książkę trzymaną na podolku. Całości dopełniały detale namalowane z typowo flamandzką pieczołowitością, rzetelnie, niemal po maniacku: meble i zdobienia, biało-czarna posadzka, rysunek na kobiercu, tu i ów-

dzie wręcz drobna rysa w murze czy cień bretnała wbitego w belkę powały. Z podobną precyzją przedstawiono szachownicę, figury i pionki, a także twarze, dłonie i stroje postaci. Uderzał zresztą nie tylko realizm, ale i barwy, wciąż bardzo żywe, choć wskutek upływu czasu i utlenienia werniksu cały obraz nieco szerniał.

Kto zabił rycerza. Julia spoglądała to na odbitkę, to na obraz, nie dostrzegając na nim najmniejszego śladu ukrytego napisu. Badanie z bliska siedmiokrotnie powiększającą dwusoczewkową lupą też nie posunęło sprawy naprzód. Opuściła więc żaluzje i w ciemności podciągnęła ku sztalugom lampę Wooda, emitującą tak zwane czarne światło. W jego promieniach ultrafioletowych wszystkie materiały, farby i werniksy użyte przez pierwotnego twórcę fluoryzowały, wszelkie zaś poprawki i retusze dokonane później, a więc po powstaniu obrazu, pozostawały ciemne bądź czarne. Jednak w świetle lampy Wooda cały obraz pokryty był jednostajnie fluoryzującą warstwą, także w części kryjącej tajemniczy napis. A to oznaczało, że zdanie zostało zamalowane albo przez samego artystę w trakcie pracy, albo wkrótce po ukończeniu dzieła.

Zgasła lampę i odsłoniła lukarnę. Szare światło jesiennego poranka ponownie załało sztalugi z obrazem i całą pracownię, pękającą w szwach od książek, od regałów

z farbami, pędzlami, werniksami, rozpuszczalnikami i narzędziami stolarskimi, od ram i precyzyjnych przyrządów, od starych rzeźb z drewna i brązu, od zastawek i opartych płótnem o ściany obrazów, stojących na prawdziwym perskim dywanie poplamionym farbami. W kącie, na komodzie w stylu Ludwika XV, stał sprzęt hi-fi, koło którego piętrzyły się płyty: Don Cherry, Mozart, Miles Davis, Satie, Lester Bowie, Michael Hedges, Vivaldi. . . Lustro weneckie w złoconej oprawie posłało Julii ze ściany jej własne, nieco przyćmione odbicie: włosy przycięte na wysokości ramion, lekkie ślady niewyspania pod dużymi, ciemnymi, jeszcze nie umalowanymi oczyma. Atrakcyjna jak modelka Leonarda — mawiał Cesar, gdy widział jej twarz otoczoną złotem tak jak teraz — atrakcyjna, ma piu bella¹. I aczkolwiek Cesara należało zaliczyć do znawców raczej efebów niż madonn, Julia wiedziała, że jego ocena jest najzupełniej trafna. Sama lubiła oglądać się w tej złoconej oprawie, bo miała wówczas wrażenie, że znalazła się po drugiej stronie zaczarowanych drzwi, skąd na przekór odległości w czasie i przestrzeni powracała niczym ucieleśnienie renesansowej urody włoskiej.

¹Ma piu bella (wł.) — ale piękniejsza

Od dzieciństwa każda myśl o Cesarze wywoływała na jej twarzy uśmiech — delikatny, może nieco porozumiewawczy. Odłożyła odbitki na stół, zdusiła niedopałek w ciężkiej popielniczce z brązu sygnowanej przez Beniliurego i zasiadła przy maszynie do pisania:

Partia szachów

Olej na drewnie. Szkoła, flamandzka. Datowany na 1471 rok.

Autor: Pieter van Huys (1415–1481).

Podobrazie: trzy nieruchome deski dębowe, połączone fałszywymi spojeniami.

Wymiary: 60×87 cm (trzy identyczne deski po 20×87 cm).

Grubość desek: 4 cm.

Stan zachowania podobrazia:

Rekonstrukcja nie jest konieczna. Nie widać śladów działalności kornikowatych.

Stan zachowania warstwy malarskiej:

Dobre przyleganie farb do podobrazia i do siebie nawzajem. Brak odbarwień. Można zaobserwować pęknięcia, jednak bez ubytków czy odprysków.

Stan zachowania warstwy zewnętrznej:

Brak śladów szkód wyrządzonych przez sole i plam wilgoci. Werniks mocno ściemniał z powodu utlenienia – te warstwy należy zastąpić nową.

Z kuchni dobiegał gwizd maszynki do kawy. Julia poszła nalać sobie wielką filiżankę, bez mleka i cukru. Po chwili wróciła, wycierając dłoń w wyciągnięty męski sweter, który narzuciła na pizamę. Jeden ruch palca wystarczył, by szare światło

poranka wypełniły nuty „Koncertu na lutnię i viole d’amore” Vivaldiego. Upiła spory, gorzki łyk, parząc sobie przy tym czubek języka, i stąpając bosymi stopami po dywanie, zasiadła znów do raportu:

Badanie ultrafioletowe i radiologiczne:

Brak istotnych późniejszych zmian, poprawek czy retuszy. Promienie rentgenowskie pozwoliły ujawnić współczesny malarzowi ukryty napis wykonany pismem gotyckim (p. załączone fotografie). Słów tych nie sposób dostrzec przy badaniu konwencjonalnym. Można je odkryć bez szkody dla całości kompozycji poprzez zdjęcie przykrywającej je warstwy farby.

Wyciągnęła kartkę z wałka maszyny, wsunęła do koperty razem z odbitkami, dopiła wciąż gorącą kawę i sięgnęła po kolejnego papierosa. Oto przed nią dwóch mężczyzn, siedzących koło damy zajętej książką, toczyło od pięciuset lat rozgrywkę na szachownicy. Dzięki kunsztowi Pietera van Huysa zdawało się, że szachy stoją poza obrazem, że są właściwie namacalne, podobnie zresztą jak i pozostałe przedstawione tu przed-

mioty. Realność „Partii szachów” pozwalała uzyskać typowy dla szkoły flamandzkiej efekt wciągnięcia widza w obręb scenerii. Odnosiło się wrażenie, że miejsce, z którego obserwuje się obraz, pokrywa się z przestrzenią samego dzieła — jak gdyby rzeczywistość była fragmentem obrazu lub też obraz był fragmentem rzeczywistości. Złudzenie potęgowały namalowane po prawej stronie okno, wychodzące na dalszy krajobraz, oraz okrągłe, wypukłe lustro na ścianie po stronie lewej, w którym odbijały się ukośnie sylwetki graczy i szachownica, zniekształcone perspektywą samego widza stojącego bliżej. W ten zdumiewający sposób okno, izba i zwierciadło tworzyły nierozdzielalną jedność. Widz — pomyślała Julia — mógłby się poczuć uczestnikiem sceny, stojącym pośród postaci.

Wstała, skrzyżowała ramiona i wróciła z papierosem do sztalug. Mimo gryzącego dymu nie mogła oderwać oczu od obrazu. Gracz z lewej strony wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat. Miał kasztanowe włosy, na średniowieczną modłę przystrzyżone na wysokości uszu, nos orli, silny, a na twarzy wyraz bezwzględnej skupienia. Ubrany był w tunikę z długimi rękawami, której cynobrowa czerwień zdołała wyjść zwycięsko z walki z czasem i utleniającym się werniksem. Z szyi zwieszało mu się Złote Runo,

spięte na prawym ramieniu ozdobną broszą, odmalowaną rzetelnie do najmniejszego szczegółu, włącznie z drobnym refleksem światła w kamieniach szlachetnych. Mężczyzna opierał się o stół lewym łokciem i prawą ręką. W dłoni trzymał jedną z figur: białego konika. Przy jego głowie widniała malowana gotykami inskrypcja: FERDINANDUS OST. D.

Drugi gracz, znacznie szczuplejszy, dobiegał czterdziestki. Wśród jego niemal czarnych włosów okalających wysokie czoło można było dostrzec na skroniach cieniutkie białe niteczki. Tej początkowej siwiźnie, a także jego postawie i minie należało przypisać wrażenie przedwczesnej dojrzałości. Oblicze miał pogodne i dostojne, nosił się nie po dworsku, jak jego rywal, ale zwyczajnie: miał na sobie skórzany napierśnik i wypolerowany stalowy naszyjnik od przyłbicy. Był bez wątpienia żołnierzem. Siedział ze skrzyżowanymi ramionami, bardziej pochylony nad stołem niż przeciwnik, najwidoczniej uważnie studiował sytuację na szachownicy, nie zwracając uwagi na otoczenie. Pionowe zmarszczki na czole świadczyły, że myśli bardzo intensywnie. Wpatrywał się w figury, jakby stanął właśnie wobec zadania najtrudniejszego z możliwych. Napis obok niego brzmiał: RUTGIER AR. PREUX.

Dama znajdująca się przy oknie, w pewnej odległości od obydwu graczy, dzięki perspektywie liniowej zdawała się siedzieć nieco wyżej od nich. A jednak jej suknia z czarnego aksamitu, wyraźnie pofałdowana dzięki zmyślnemu dodaniu bieli i szarości, jakby wysuwała się na pierwszy plan. Wyśmienite przedstawienie tkaniny rywalizowało z realizmem wzorzystego kobierca, dopieszczanego co do supełka, ze spojeniami i sękami w drewnianych belkach powały, z kamiennymi płytami posadzki. Chcąc lepiej docenić technikę, Julia pochyliła się ku obrazowi i poczuła dreszcz zawodowego podziwu. Tylko mistrz pokroju van Huysa potrafił równie doskonale wykorzystać czerń materii, uzyskać kolor niejako poprzez jego brak, kolor, który mało kto ośmielał się wówczas spenetrować tak dogłębnie. A przy tym miała wrażenie, że niemalże słyszy szelest aksamitu ocierającego się o leżące na podnóżku poduszczonego z wytłaczanej skóry.

Spojrzała na twarz kobiety. Piękna i bardzo blada, zgodnie z ówczesnym upodobaniem, miała na głowie kornet z białej gazy skrywający widoczne tylko na skroniach bujne rude włosy. Z szerokich rękawów z jasnoszarego adamaszku wyłaniały się długie, smukłe dłonie, w których dama trzymała brewiarz. W promieniach dobiegającego

z okna światła pobłyskiwała otwarta klamra księgi, a także złota obrączka, jedyna ozdoba na dłoni kobiety. Spuszczone oczy, w których można było dostrzec błękit, wyrażały skromną, cnotliwą łagodność, tak częstą na dawnych portretach niewieścich. Światło padało na nią z dwóch źródeł — z okna i ze zwierciadła — otaczając ją tym samym nimbem, którym spowici byli gracze. Jednakże dzięki nieco ukośnej perspektywie i gęstszym cieniom dama pozostawała dyskretnie w głębi. Malarz przyporządkował jej napis BEATRIX BURG. OST. D.

Julia cofnęła się kilka kroków i jeszcze raz przyjrzała całej kompozycji. Bez wątplenia miała przed sobą arcydzieło, potwierdzone autoryzowanymi opiniami znawców, a to oznaczało wysoką wycenę na styczniowej aukcji u Claymore'a. Kto wie, może ukryty napis, wsparty odpowiednią dokumentacją historyczną, jeszcze podniesie wartość obrazu. . . Dziesięć procent dla domu Claymore, pięć dla Menchu² Roch, reszta dla dotychczasowego właściciela. Oczywiście odliczywszy jeden procent na ubezpieczenie i na honoraria za odrestaurowanie i oczyszczenie dzieła.

²Menchu (hiszp.) — zdrobnienie od imienia Carmen.

Rozebrała się i weszła pod prysznic, nie zamykając drzwi, żeby mimo szumu wody słyszeć Vivaldiego. Restauracja „Partii szachów” mogła bardzo korzystnie podnieść jej własną pozycję na rynku. Wkrótce po zrobieniu licencji Julii udało się pośród muzealników i antykwariuszy zaskarbić sobie opinię całkiem dobrego konserwatora. Obdarzona pewnym talentem malarskim, który wykorzystywała w wolnych chwilach, w pracy była metodyczna i zdyscyplinowana. Mówiono, że do każdego zadania podchodzi z wyraźnym szacunkiem dla oryginału, czym różniła się od większości swoich mniej etycznych kolegów po fachu. W tej surowej walce, jaką toczy chęć konserwacji z wolą renowacji, między restauratorem a jego dziełem powstawała skomplikowana, czasem wręcz krępująca więź duchowa. Dziewczyna potrafiła jednakże nie tracić z oczu prawdy zasadniczej: dziełu sztuki nie sposób przywrócić stanu pierwotnego bez wyrządzenia istotnych szkód. Zdaniem Julii świadectwa zesterzenia się dzieła, patyna, nawet pewne zniekształcenia koloru i werniksu, niedoskonałości, poprawki czy retusze — z czasem wrastały w obraz, stając się jego nierozdzielną częścią. I może dlatego gdy taki obraz trafiał w jej ręce, to nie opuszczał ich odstrojony w niby oryginalne, krzykliwe kolory i światła (Cesar określał takie przypadki mianem „wysztafirowanych kurtyzan”), ale ra-

czej poddany delikatnemu cieniowaniu. Dzięki temu znaki upływu czasu wtapiały się doskonale w całość kompozycji.

Wyszła z łazienki owinięta w płaszcz kąpielowy, zachlapany wodą z mokrych włosów, zapaliła piątego w tym dniu papierosa i, stojąc przed obrazem, zaczęła się ubierać: ciemnobrązowa plisowana spódnica, buty na płaskim obcasie, skórzana kurtka myśliwska. Wreszcie zerknęła z zadowoleniem na swoje odbicie w weneckim lustrze, jeszcze raz odwróciła się ku obydwu graczom, mrugnęła do nich łobuzersko, choć nie zrobiło to na nich żadnego wrażenia — dalej siedzieli z marsowymi minami. „Kto zabił rycerza”. To zdanie wciąż tłukło jej się po głowie, kiedy wsuwała do torebki raport o obrazie i odbitki, kiedy włączała alarm i przekręcała na dwa razy solidny zamek w drzwiach. *Quis necavit equitem*. Tak czy inaczej to na pewno ma jakieś znaczenie. Zbiegła po schodach sunąc dłonią po poręczy z mosiężnymi zdobieniami i powtarzając te trzy słowa. I obraz, i ukryty napis bardzo ją intrygowały, ale było coś jeszcze: do jej serca wkradł się jakiś lęk. Podobny do tego, jaki odczuwała będąc małą dziewczynką, kiedy to stojąc u szczytu schodów, zbierała się w sobie, żeby w końcu wsunąć głowę do wnętrza ciemnego strychu.

— Przyznaj, że to cacko. Czyste quattrocento.

Menchu Roch nie miała na myśli żadnego z licznych obrazów, które wisiały na ścianach jej własnej galerii. Jasnymi, przesadnie umalowanymi oczami popatrywała na szerokie ramiona Maxa, pogrążonego w pogawędce ze znajomym przy barze kafejki. Max, sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, o plecach jak u pływaka, opiętych dobrze skrojoną marynarką, swoje długie włosy nosił związane ciemną jedwabną wstążką w krótki kucyk. Ruchy miał powolne i gibkie. Menchu zmierzyła go taksującym spojrzeniem, po czym umoczyła usta w oszronionym kieliszku martini. Na jej twarzy malowała się duma posiadaczki. Max był jej najnowszym kochankiem.

— Czyste quattrocento — powtórzyła, smakując równocześnie słowa i drinka. — Nie kojarzy ci się z cudownymi brązami włoskimi?

Julia przytaknęła niechętnie. Były starymi przyjaciółkami, ale nie przestawało jej dziwić, jak łatwo Menchu wprowadza rozmaite dwuznaczności w świat pojęć artystycznych.

— Którykolwiek z tych brązów, myślę o oryginałach, wyniósłby cię taniej.
Menchu zaśmiała się cynicznie.

— Taniej niż Max. . . ? Co do tego nie ma wątpliwości — westchnęła z emfazą i rozgryzła oliwkę z martini. — W każdym razie Michał Anioł rzeźbił ich w stroju Adama. Nie musiał ich ubierać kartą American Express.

— Nikt cię nie zmusza, żebyś podpisywała jego rachunki.

— Ot i cała kabała, kotek — właścicielka galerii zatrzepotała powiekami z teatralną lubością. — Właśnie, nikt mnie nie zmusza.

I dopiła swojego drinka, podnosząc przy tym z minoderią mały palec, co było z jej strony umyślną prowokacją. Zbliżyła się już do pięćdziesiątki i była zdania, że każdy zakątek świata kipi seksem, nawet najsubtelniejsze detale dzieł sztuki. Może dlatego w stosunku do mężczyzn nieodmiennie manifestowała tę samą wyrachowaną, zaborczą naturę, co podczas wyceniania wartości malarskiego dzieła. O właścicielce galerii Roch znajomi powiadali, że nie przepuściła żadnej okazji, by zawładnąć interesującym ją obrazem, mężczyzną lub działką kokainy. Ciągłe mogła uchodzić za kobietę atrakcyjną, aczkolwiek nie potrafiła ukryć tego, co w kontekście jej wieku Cesar określał zjadliwie jako „anachronizm estetyczny”. Menchu opierała się starości między innymi dlatego, że ta jej się wcale nie podobała. I jakby na przekór samej sobie epatowała

wyrachowaną wulgarnością, również w doborze makijażu, strojów i kochanków. Co więcej, chcąc utwierdzić się w przekonaniu, że każdy marszand czy antykwariusz to po prostu wykwalifikowany łajdak, czasami aż kłuła w oczy nieokrzesaniem, rozmyślnie wprawiała w zakłopotanie swoich rozmówców i publicznie szydziła z całego, bądź co bądź zamkniętego, środowiska zawodowego, w jakim się obracała. Chełpiła się tym ze swobodą równą tej, z jaką utrzymywała, że najdzikszy orgazm w życiu przeżyła kiedyś uprawiając masturbację przed skatalogowaną i numerowaną reprodukcją „Dawida” Donatella. O powyższym epizodzie Cesar z niemal kobiecym okrucieństwem mawiał, że było to jedyne świadectwo naprawdę dobrego gustu, jakim Menchu Roch mogła się w życiu pochwalić.

— Co robimy z van Huyssem? — spytała Julia.

Menchu raz jeszcze przyjrzała się odbitkom leżącym na stole pomiędzy jej kieliszkiem a kawą przyjaciółki. Z umalowanymi na niebiesko oczami Menchu korespondowała również niebieska przykrótka sukienka. Bez jakiegokolwiek podtekstu Julii przyszło do głowy, że ze dwadzieścia lat temu Menchu musiała być naprawdę ładna. Przynajmniej w niebieskim.

— Nie wiem jeszcze — odparła właścicielka galerii. — U Claymore’a są skłonni wystawić go w obecnym stanie. . . Trzeba by sprawdzić, czy ten napis nie podniesie jego wartości.

— Masz pojęcie?

— Cudowna sprawa. Przypadkiem trafiło ci się jak ślepej kurze ziarno.

— Pogadaj z właścicielem.

Menchu wsunęła zdjęcia do koperty i skrzyżowała nogi. Dwaj młodzieńcy, popijający aperitif przy sąsiednim stoliku, oczami znawców zlustrowali ukradkiem jej opalone uda. Julia aż wzdrygnęła się pełna oburzenia. Zabawne było patrzeć, jak Menchu z rozmysłem dozuje swoje efekty specjalne przeznaczone dla męskiej publiczności, ale chwilami te jej manewry ocierały się o przesadę. Zdecydowanie — tu Julia zerknęła na kwadratową omegę, którą nosiła po wewnętrznej stronie lewej ręki — nie była to pora na eksponowanie bielizny.

— Właściciel nie jest problemem — przekonywała Menchu. — To uroczy staruszek na wózku. Jak się dowie, że odkrywając napis podniosłyśmy wartość obrazu, z pewnością wpadnie w zachwyty. . . Ma natomiast bratanicę z mężem, i to są pijawki.

Max dalej rozmawiał przy barze, ale świadom swoich obowiązków co chwila odwracał się i posyłał im wspaniałe uśmiechy. Kto tu mówi o pijawkach — pomyślała Julia, ale zachowała komentarz dla siebie. Wprawdzie dla Menchu nie miało to istotnego znaczenia, w sprawach męskich zawsze wykazywała się przecież niespotykanym cynizmem, lecz Julia dobrze pojmowała siłę konwenansu i nie śmiałyby posunąć się za daleko.

— Do aukcji zostały dwa miesiące — rzekła, nie zwracając uwagi na Maxa. — To naprawdę ostatni moment, żebym zdążyła zdjąć werniks, odsłonić napis i nałożyć werniks na nowo. . . — tu zamyśliła się na chwilę. — Dalej, trzeba zgromadzić dokumentację na temat samego obrazu i jego postaci, napisać raport, to też swoje potrwa. Zgodę właściciela muszę mieć natychmiast.

Menchu skinęła głową. Wiedziała, że są obszary, gdzie frywolność trzeba odstawić na bok, w sprawach zawodowych była przebiegła jak lis. W tej transakcji pełniła rolę

pośrednika, bo właściciel van Huysa nie miał zielonego pojęcia o mechanizmach rynku. To ona pertraktowała z madrycką filią domu aukcyjnego Claymore.

— Zadzwoń do niego jeszcze dziś. Nazywa się don Manuel, ma siedemdziesiąt lat i uwielbia, jak powiedział, rozmawiać z ładną dziewczyną, która tak się zna na interesach.

Julia zauważyła, że chodzi o coś jeszcze. Jeżeli odsłonięty napis łączył się jakoś z historią przedstawionych na obrazie postaci, Claymore to wykorzysta i podniesie cenę wywoławczą. Może Menchu mogłaby zdobyć dodatkową dokumentację.

— Raczej nie — właścicielka galerii wysiliła pamięć, krzywiąc przy tym usta. — Wszystko dałam ci razem z obrazem, więc sama kombinuj, kobieto. Możesz się wykazać.

Julia otworzyła torebkę i dłużej niż zwykle szperała w poszukiwaniu paczki papierosów. Wreszcie powoli wydobyła jednego i popatrzyła na przyjaciółkę.

— Mogłybyśmy zwrócić się do Alvara.

Menchu aż uniosła brwi ze zdumienia. Właściwie mogła powiedzieć, że skamieniała jak żona Noego czy Lota, czy jakżeż się nazywał ten kretyń, któremu sprzykrzyło się w Sodomie. . . A może zamieniła się w słup soli. Jak tam było, tak tam było, nieważne.

— Tuś mnie zabiła, koleżanko — aż zachrypla nieco z ekscytacji. Zwiertżyła niezłe emocje. — Bo Alvaro i ty. . .

Zawiesiła głos z wyrazem nagłego, wystudiowanego zaniepokojenia na twarzy. Zawsze przybierała taką minę, gdy w grę wchodziły przesadnie, jej zdaniem, zawikłane problemy sercowe innych osób. Julia mężnie wytrzymała jej spojrzenie.

— Nie znamy lepszego historyka sztuki — powiedziała tylko. — Tu nie chodzi o mnie, ale o obraz.

Po chwili widocznego głębokiego namysłu Menchu skinęła głową. Jasne, to sprawa Julii. Sprawa jak najbardziej intymna, „kochany pamiętniku”, te rzeczy. Ale na jej miej-

scu nie łądowałaby się w to. Jak mawia ta stara ciota Cesar, in dubio pro reo³. Czy może in pluvio⁴?

— Możesz być pewna, że wyleczyłam się z Alvara.

— Z niektórych cierpień, słońko, nie sposób się wyleczyć. Dopiero rok minął, zapomnij. Znam ten ból.

Julia uśmiechnęła się kpiąco do samej siebie, na próżno usiłując to ukryć. Rzeczywiście mijał rok, od kiedy Alvaro i ona zerwali długotrwały związek. Menchu była wprowadzona w szczegóły, sama zresztą przy jakiejś okazji wygłosiła (nie pytana) własną prognozę, nazywając rzeczy po imieniu. Powiedziała wtedy chyba, że w ostatecznym rozrachunku, kobieto, żonaty mężczyzna zawsze zostanie przy swojej ślubnej. Bo po latach na przemian prania gaci i rodzenia kolejnych bachorów każda postanawia walczyć. „A oni już tacy są — perorowała Menchu z nosem zanurzonym w kreskę koki, pociągając raz po raz — w głębi duszy potwornie lojalni. (Snif.) Skurwiele”.

³In dubio pro reo (łac.) — w razie wątpliwości rozstrzygać na korzyść oskarżonego.

⁴In pluvio (łac.) — w razie deszczu.

Julia wypuściła z ust spory kłąb dymu i zajęła się resztką swojej kawy. Piła powoli, uważając, żeby ani kropla nie skapnęła z filiżanki. To było bardzo nieprzyjemne zerwanie, gorzkie słowa, trzask drzwiami. Ból powracał przy byle wspomnieniu. A także za każdym razem, kiedy — trzy, może cztery razy — przypadkowo spotkała Alvara na jakimś wykładzie czy w muzeum. Zdobywali się wówczas na szczyty elegancji — „Ładnie wyglądasz, uważaj na siebie” i tym podobne. Zasadniczo obydwójce uważali się za ludzi cywilizowanych, których — wyjąwszy pewien epizod z przeszłości — łączył obiektywny przedmiot pracy, czyli sztuka. Słowem, ludzie światowi. Dorośli.

Zauważyła, że Menchu obserwuje ją z niezdrowym zainteresowaniem i zapewne aż oblizuje się na samą myśl o kolejnych miłosnych intrygach, w których będzie mogła maczać palce jako doradczyni w sprawach taktyki. Właścicielka galerii nie mogła darować przyjaciółce, że ta po zerwaniu z Alvarem przeżyła zaledwie kilka sporadycznych, nie wartych plotki przygód: „Popadasz w ascezę, kotek — wkładała jej do głowy. — Z nudów można umrzeć. Musi cię znowu porwać namiętność, otchłań namiętności”... Z tego punktu widzenia zatem ledwie wzmianka o Alvarze rysowała na horyzoncie interesujące możliwości rozwoju sytuacji.

Julia była tego świadoma, ale nie miała za złe przyjaciółce. Menchu to Menchu, od zarania taka jest. Przyjaciół się nie wybiera, to oni wybierają ciebie i albo ich odrzucisz, albo przyjmiesz z dobrodziejstwem inwentarza. Tego też nauczył ją Cesar.

Z papierosa został nikły niedopałek, więc zdusiła go w popielniczce i zwróciła się do Menchu z wymuszonym uśmiechem.

— Alvaro nie jest istotny. Tak naprawdę ćwieka zabił mi van Huys — zawahała się chwilę, szukając odpowiednich słów, żeby wyrazić niezbyt jeszcze jasne myśli. — Coś w tym obrazie wykracza poza normę.

Menchu wzruszyła obojętnie ramionami, jakby dumiała nad czymś innym.

— Wyluzuj się, maleńka. Obraz to tylko płótno czy drewno, farba i werniks. . . Liczy się to, co zostanie w portfelu z chwilą, gdy ten obraz zmieni właściciela — zerknęła na szerokie ramiona Maxa i zatrzepotała powiekami z zadowoleniem. — A cała reszta to anegdotki.

Przez cały spędzony wspólnie okres Julia uważała, że Alvaro odpowiada najściślej stereotypowi historyka sztuki. Swoim wyglądem i strojem jeszcze utwierdzał ją w tym przekonaniu: o miłym wejrzeniu, pod czterdziestkę, angielskie marynarki w pepitkę, trykotowe krawaty. Na domiar palił fajkę, co było szczytem szczytów. Do tego stopnia, że kiedy ujrzała go wtedy pierwszy raz w auli — wykład miał tytuł „Sztuka a człowiek” — dobry kwadrans minął, nim zdołała skupić się na wygłaszanych przez siebie słowach, bo nie mogła pogodzić się z tym, że ktoś o wyglądzie tak młodziutkiego profesora może być właśnie profesorem. I później, kiedy pożegnał się do następnego tygodnia i wszyscy wyszli na korytarz, podeszła do niego jak gdyby nigdy nic, w pełni świadoma tego, co nastąpi: powtórka z odwiecznego, niezbyt oryginalnego schematu, typowy układ profesor-studentka, wszystko z góry wiadomo, jeszcze zanim Alvaro obrócił się na pięcie od drzwi i pierwszy raz uśmiechnął do Julii. W całej tej historii — tak to przynajmniej postrzegała, kiedy rozważała wszystkie za i przeciw — była jakaś nieuchronność, cudownie klasyczny fatalizm rozpisany przez Los. Ten punkt widzenia pociągał ją szczególnie od czasów szkolnych, kiedy to przełożyła z greckiego rodzinne intrygi genialnego Sofoklesa. Gdy później postanowiła poruszyć ów temat z Cesa-

rem, antykwariusz, który od lat był jej konfidentem w sprawach sercowych — pierwszy raz wystąpił w tej roli, gdy Julia nosiła jeszcze warkoczyki i podkolanówki — wzruszył jedynie ramionami i umyślnie niedbałym tonem zjechał tę wyświechtaną historię, przerobioną już, kochanie, w trzystu drętwych powieściach i tyluż filmach, zwłaszcza (pogardliwy grymas) francuskich i amerykańskich: „Przyznasz, księżniczko, że w tym świetle temat nabiera cech wręcz szkaradnych”... Tylko tyle, nic więcej. Ze strony Cesara nie usłyszała ani ostrych wymówek, ani ojcowskich rad, które zresztą, o czym doskonale oboje wiedzieli, na nic by się nie zdały. Cesar nie miał dzieci i zanosilo się, że tak będzie zawsze, ale posiadał dar przydatny w podobnych sytuacjach. W którymś momencie swojego życia antykwariusz nabrał pewności, że nikt nie potrafi uczyć się na cudzych błędach i że w konsekwencji jedyne, co może zrobić szanujący się opiekun — w obecnym przypadku on sam — to usiąść obok swojej podopiecznej, wziąć ją za rękę i życzliwie wysłuchać historii o kolejnych uniesieniach i cierpieniach, a mądra natura niech tymczasem prowadzi swą nieuchronną grę.

— W kwestiach sercowych, księżniczka — mawiał Cesar — nie wolno dawać rad ani podsuwać rozwiązań... Co najwyżej czystą chusteczkę w stosownym momencie.

I tak właśnie postąpił, kiedy nadszedł koniec, kiedy przybiegła do niego nocą, z mokrymi włosami, błędnym wzrokiem lunatyka, i usnęła mu na kolanach. Jednak do tamtego pierwszego spotkania na korytarzu wydziału doszło znacznie, znacznie wcześniej. Nie było istotniejszych odstępstw od z góry wiadomego scenariusza. Rytuał dokonał się wedle z dawna ustalonych, przewidywalnych reguł, aczkolwiek przyniósł nadspodziewanie zadowalające efekty. Julia miała już za sobą kilka przygód, ale któregoś wieczoru, kiedy pierwszy raz znalazła się z Alvarem w szerokim łóżku hotelowym, również pierwszy raz w życiu poczuła potrzebę wypowiedzenia tych bolesnych, bezwstydných słów „kocham cię”. Słuchała siebie w zdumieniu i szczęściu, słuchała tych słów, których dotąd nigdy nie miała zamiaru wygłaszać, a teraz dobiegały z jej ust przybrane w nieznanym, jęśliwy albo płacziwy ton. Rano, gdy przebudziła się z nosem wtulonym w pierś Alvara, ukradkiem odgarnęła włosy z twarzy i przyjrzała się jego śpiącemu profilowi, wyczuwając jednocześnie policzkiem puls jego serca. A kiedy wreszcie otworzył oczy, napotkał wzrokiem jej spojrzenie i uśmiechnął się, Julia z absolutną pewnością zrozumiała, że go kocha. Zrozumiała też, że kiedyś będzie miała innych kochanków, ale z żadnym nie doświadczy tego, co czuła w tym momencie. W końcu dwadzieścia osiem

miesiący później, przeżytych intensywnie co do dnia, przyszła chwila gorzkiego przebudzenia z tej miłości i Julia prosiła Cesara, żeby wyjął z kieszeni swoją słynną chusteczkę. „Tę straszliwą chusteczkę — powtórzył z właściwą sobie teatralną emfazą antykwarium, na poły żartobliwie, ale i złowieszczo jak Kasandra — chusteczkę, którą potrząsamy, żeby pożegnać się na zawsze...” W skrócie tak wyglądała cała historia.

Rok wystarczył, by zaleczyć rany, ale wspomnienia zostały. Prawdę mówiąc, Julia nie zamierzała się ich wyzbywać. Wcześniej dorosła, nabierając przy tym przekonania — które bez kompleksów wpoila sobie dzięki naukom Cesara — że życie jest jak droga restauracja, gdzie zawsze na koniec podsuwają ci rachunek, co wcale nie oznacza konieczności zapomnienia o delicjach, których się wcześniej kosztowało. Teraz znów o tym myślała, obserwując, jak Alvaro rozkłada książki na stole i robi notatki na kwadratowych fiszkach z białego brystolu. Fizycznie prawie się nie zmienił, choć tu i ówdzie pojawiły się ślady siwizny. Oczy wciąż miał spokojne i inteligentne. Niegdyś kochała te oczy i te smukłe długie dłonie zakończone okrągłymi gładkimi paznokciami. Patrzyła, jak przesuwa palcami stronicę, jak trzyma wieczne pióro, i nieoczekiwanie odezwała się w niej melancholia. Po krótkiej analizie Julia uznała ten odruch za całkowicie zrozumia-

ły. Dawne uczucia wprawdzie wygasły na zawsze, ale przecież, te dłonie pieściły kiedyś jej ciało. Na jej skórze pozostawił swój ślad każdy, najmniejszy nawet gest Alvara, jego dotyk i ciepło. Kolejne romanse nie były w stanie ich zatrzeć.

Zdołała opanować wzruszenie. Za nic w świecie nie chciała by teraz dać się omotać nostalgii. Ta kwestia zresztą nie miała zasadniczego znaczenia — przecież nie przyszła tu grzebać się we wspomnieniach — dlatego skupiła uwagę na słowach swojego eks-narzeczonego, nie zaś na nim samym. Pierwsze pięć minut musiało być kłopotliwe. Alvaro spoglądał na nią zamyślony, usiłując odgadnąć, jak wielkiej wagi rzecz przywiodła ją do niego po tylu miesiącach. Po chwili, odprężony i uprzejmy, już uśmiechał się życzliwie jak stary przyjaciel albo kolega po fachu, gotów przyjść jej z pomocą. Tak dobrze znała jego profesjonalny spokój, milczenie przerywane co chwila wypowiedzianymi po cichu rzeczowymi uwagami. Tylko raz (wyjawszy moment zdziwienia tuż na początku) dostrzegła w jego oczach cień niepewności, kiedy wyłuszczała mu problem z obrazem. Przemilczała jedynie kwestię ukrytego napisu, jako że obydwie z Menchu postanowiły na razie trzymać ten fakt w tajemnicy. Alvaro potwierdził, że zna dobrze malarza, obraz i epokę, w której powstał, nie miał tylko pojęcia, że dzieło będzie wysta-

wione na sprzedaż i że Julii powierzono jego odrestaurowanie. Zapewnił, że nie musi się podpierać kolorowymi zdjęciami, które przyniosła Julia, ma wiedzę o tamtych czasach i przedstawionych na obrazie osobistościach. Mówiąc to, sunął palcem wskazującym po kartkach starej historii średniowiecza w poszukiwaniu daty, skupiony i pozornie obojętny wobec łączącej ich niegdyś zażyłości, którą Julia niemal wyczuwała w powietrzu, jakby to był całun jakiejś zjawy. Może on ma identyczne wrażenie — pomyślała. — Kto wie, może ona sama wydaje mu się już zbyt odległa, obojętna?

— Spójrz, tu go masz — odezwał się nagle i Julia uczepiła się zmysłami tego głosu, jak tonący chwyta się kawałka deski, konstatuując z ulgą, że nie jest w stanie robić dwóch rzeczy naraz: wspominać dawnego Alvara i słuchać go w tej chwili. Bez trudu przegnała precz nostalgię, a ukojenie na jej twarzy musiało być rzeczywiście ogromne, skoro Alvaro aż uniósł brwi ze zdumienia. Zaraz jednak powrócił do trzymanej w ręku książki. Julia zerknęła na tytuł: „Szwajcaria, Burgundia i Niderlandy w XIV i XV stuleciu.”

— Patrz — Alvaro wskazał jakieś nazwisko w tekście, po czym przesunął palec na zdjęcie obrazu, które Julia położyła obok na stole. — FERDINANDUS OST. D. to rodzaj wizytówki tego gracza w czerwonym, po lewej stronie. Van Huys namalował „Partie szachów” w 1471 roku, więc nie możemy mieć żadnych wątpliwości. To Ferdynand Altenhoffen, książę Ostenburga, Ostenhurgensis Dux, urodzony w 1435 roku, a zmarły w. . . Tak, w 1474. Kiedy pozował do obrazu, miał ze trzydzieści pięć lat.

Julia wzięła fiszkę ze stołu i zanotowała te dane.

— Gdzie leżał Ostenburg? . . . W Niemczech?

Alvaro potrząsnął głową i otworzył atlas historyczny.

— Ostenburg był księstwem, które pokrywało się mniej więcej z Rodowingią Karola Wielkiego. . . Leżał tu, na pograniczu francusko-niemieckim, między Luksemburgiem a Flandrią. Przez cały piętnasty i szesnasty wiek książęta ostenburgscy usiłowali zachować niezależność, ale najpierw ich domenę wchłonęła Burgundia, a później Austria cesarza Maksymiliana. Dynastia Altenhoffenów wygasła właśnie wraz z tym Ferdynandem, ostatnim księciem Ostenburga, który na obrazie gra w szachy. . . Jak chcesz, mogę zrobić ci odbitki.

— Będę wdzięczna.

— Nie ma sprawy. — Alvaro usiadł wygodnie w fotelu, z szuflady biurka wyjął puszkę z tytoniem i przystąpił do nabijania fajki. — Rzecz jasna, dama koło okna, podpisana BEATRIX BURG. OST. D., to nie kto inny, jak Beatrycze Burgundzka, księżna małżonka. Widzisz?... Beatrycze wyszła za Ferdynanda Altenhoffena w 1464 roku, gdy miała dwadzieścia trzy lata.

— Z miłości? — Julia uśmiechnęła się zagadkowo, patrząc na fotografię. Na twarzy Alvara też pojawił się nieco wymuszony uśmiech.

— Niewiele ślubów w tym środowisku zawierano z miłości... Tym małżeństwem wuj Beatrycze, książę Burgundii Filip Dobry, chciał zawiązać z Ostenburgiem sojusz wymierzony przeciwko Francji, która miała apetyt na obydwie księstwa — przyjrzał się zdjęciom i wsunął fajkę w zęby. — Ferdynand Ostenburski miał szczęście, bo Beatrycze była akurat bardzo piękna. Tak przynajmniej podają „Roczniki burgundzkie” Nicolasa Flavina, najważniejszego kronikarza tamtej epoki. Twój van Huys chyba podziela tę opinię. O ile mi wiadomo, malowano ją już wcześniej, bo Pijoan wspomina dokument, z którego wynika, że van Huys był czas jakiś nadwornym malarzem Ostenburga... Fer-

dynand Altenhoffen przyznaje mu w 1463 roku pensję roczną w wysokości stu funtów, z czego połowę dostawał na świętego Jana, a drugą na Boże Narodzenie. W tym samym dokumencie pojawia się zlecenie namalowania portretu Beatrycze, która wówczas była dopiero zaręczona z księciem, bien au vif⁵.

— Jest jeszcze jakaś wzmianka?

— I to niejedna. Van Huys osiągnął bardzo ważną pozycję — Alvaro wyciągnął teczkę z kartoteki. — Jean Lemaire, w swojej „Couronne Margaridique”, napisanej na cześć gubernatorowej Niderlandów Małgorzaty Austriaczki, wspomina Pierre’a z Brugii (czyli van Huysa), Hughesa z Gandawy (van der Goesa) i Dietrica z Leuven (Dietrica Bouts), których wymienia jednym tchem obok króla malarzy flamandzkich Johannes (czyli van Eycka). W poemacie czytamy dosłownie: Pierre de Brugge, qui tant eut les traits utez, „co miał tak czystą kreskę”... Te słowa napisano dwadzieścia pięć lat po śmierci van Huysa — przejrzał uważnie dokumentację. — Ale masz i wzmianki starsze. Na przykład w inwentarzu Królestwa Walencji stoi, że Alfons V Szczodry posiadał

⁵Bien au vif (fr.) — [malowanego] z natury.

dzieła van Huysa, van Eycka i innych zachodnich mistrzów, wszystkie zresztą zaginione. . . W 1454 roku Bartolomeo Fazio, bliski krewny Alfonsa V, w księdze *De viribus illustris*, pisze o nim *Pietrus Husyus, insignis pictor*⁶. Inni autorzy, głównie Włosi, nazywają go *Magistro Piero van Huspictori in Brugia*. Dalej, Guido Rasofalco w 1470 roku o jego obrazie, który też nie zachował się do naszych czasów, mianowicie o „Ukrzyżowaniu”, wspomina, słowami *Opera buona di mano di un chiamato Piero di Juys, pictor famoso in Fiandra*⁷. Z kolei inny włoski autor, tym razem anonimowy, o zachowanym do dziś obrazie van Huysa „Rycerz i diabeł” pisze: *A magistro Pietrus Juisus magno et famoso flandresco fuit depictum*⁸. . . Dodajmy do tego, że w wieku szesnastym wspominają o nim Guicciardini i van Mander, a w dziewiętnastym James Weale w swoich książkach o wielkich mistrzach flamandzkich — zebrał fiszki, wsunął ostrożnie do tecz-

⁶*Insignis pictor* (łac.) — znakomity malarz.

⁷*Opera buona*. . . (wł.) — Przednie dzieło pędzla niejakiego Pietera van Huysa, sławnego malarza z Flandrii.

⁸*A magistro*. . . (wł.) — Został namalowany przez mistrza Pietera van Huysa, wielkiego i sławnego Flamanda.

ki i odstawił ją do kartoteki. Następnie zagłębił się w fotelu i popatrzył z uśmiechem na Julię. — Zadowolona?

— I to jak — dziewczyna przeglądała świeżo porobione notatki. Po chwili podniosła głowę, odgarnęła włosy z oczu i popatrzyła zaciekawiona na Alvara. — Można by pomyśleć, żeś się wcześniej przygotował do wykładu. . . Jestem normalnie porażona.

Przez twarz profesora przemknął uśmiech. Nie śmiąc spojrzeć Julii w oczy, Alvaro wbił wzrok w jedną z leżących na stole fiszek.

— Na tym polega moja praca — odrzekł ni to w zamyśleniu, ni to wymijająco. Nie wiedząc za bardzo dlaczego, Julia poczuła się skrzepowana.

— Czyli że ciągle jesteś w tej swojej pracy świetny. . . — spoglądała na niego przez parę sekund z ciekawością, po czym wróciła do notatek. — Mamy sporo wzmianek o autorze i dwóch postaciach. . . — pochyliła się nad reprodukcją obrazu i położyła palec na drugim graczu.

— Pozostaje ten.

Alvaro, zajęty nabijaniem fajki, przez chwilę nie odpowiadał, marszczył tylko czoło.

— Trudno go precyzyjnie zidentyfikować — powiedział wreszcie, wypuszczając z ust kłęb dymu. — Napis nie jest szczególnie klarowny, aczkolwiek można tu wysunąć pewną hipotezę: RUTGIER AR. PREUX... — zamilkł i zapatrzył się w cybuch fajki, jakby tam spodziewał się znaleźć potwierdzenie własnych słów. — Rutgier może oznaczać Roger, Rogelio albo Rugiero, to imię miało w owym czasie z dziesięć wariantów. . . Jeżeli Preux to nazwisko albo zawołanie rodowe, wówczas stoimy w ślepych zaułku, ponieważ kroniki nie wspominają o jakimkolwiek człowieku nazwiskiem Preux, który by się zapisał w dziejach czymś istotnym. Ale słowa preux używano w późnym średniowieczu także jako przymiotnika czy wręcz rzeczownika na oznaczenie kogoś odważnego, rycerskiego. Weźmy chociażby dwa znane przykłady; tak właśnie określano Lancelota i Rolanda. . . We Francji i w Anglii podczas pasowania na rycerza przypominano formułę: soyez preux, czyli: bądź wierny, śmiały. Tym zaszczytnym tytułem mógł się mienić sam kwiat rycerstwa.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Alvaro popadł w ton dobitny, wręcz mentorski, jak zwykle, gdy rozmowa toczyła się wokół zagadnień związanych z jego specjalizacją. Dla Julii była to dość kłopotliwa świadomość, bo budziła w niej wspomnienia, odegnane

kiedyś skrupuły w związku z uczuciem, które zagościło dawno temu w jej prywatnym czasie, w jej przestrzeni, odcisnęło się trwale na jej charakterze. Okruchy innego życia, innej namiętności, starannie podminowanej i zniszczonej, odesłanej precz jak książka na najwyższą półkę, żeby tam pokrył ją kurz. Namiętności, która jednak ciągle się odzywała.

Są sposoby, była pewna, żeby się przed tym obronić. Skupić myśli wyłącznie na sprawach bieżących. Mówić, domagać się szczegółów, choćby i niepotrzebnych. Nachylać się nad stołem, niby po to, żeby porobić nowe notatki. Uwierzyć, że obok stoi zupełnie inny Alvaro, co w pewnym sensie było prawdą. Wmówić sobie, że tamto wydarzyło się w odległej epoce, dawno temu i gdzie indziej. Zachowywać się, czuć, jakby wspomnienia dotyczyły nie ich obydwójga, a innych osób, o których kiedyś się usłyszało, ale których los był im całkowicie obojętny.

Wyjściem z sytuacji mogło być zapalenie papierosa, czego Julia nie omieszkała zrobić. Tytoniowy dym w płucach przywrócił jej wewnętrzną równowagę, pozwolił nieco zobojętnieć. Powolny, mechaniczny rytuał palenia przyniósł jej wyraźne odprężenie. Wreszcie zwróciła się do Alvara gotowa do dalszej rozmowy.

— Zatem jaka to hipoteza? — głos zabrzmiał przekonująco, co znacznie ją uspokoiło. — Z tego, co widzę, jeśli Preux nie jest nazwiskiem, może klucza musimy szukać w skrócie AR.

Alvaro skinął głową. Spowity fajkowym dymem przewracał kartki innej książki, aż trafił na właściwe miejsce.

— Spójrz tu. Roger d'Arras, urodzony w 1431, w tym samym roku, kiedy Anglicy spalili Joannę d'Arc w Rouen. Jego rodzina jest spokrewniona z panującymi we Francji Walezjuszami, sam przyszedł na świat na zamku Bellesang, położonym bardzo blisko księstwa Ostenburg.

— Czyli to może chodzić o drugiego gracza?

— Może. AR. byłoby oczywistym skrótem od Arras. A Roger d'Arras, rzecz potwierdzona we wszystkich kronikach z epoki, walczy w wojnie stuletniej u boku króla Francji Karola VII. Widzisz...? Uczestniczy w odbiciu z rąk Anglików Normandii i Gужenny, w 1450 bierze udział w bitwie pod Formigny, a trzy lata później pod Castillon. Spójrz na rycinę. Może to któryś z nich, na przykład ten żołnierz w opuszczonej przyłbi-

cy, który w ogniu potyczki podaje swojego konia królowi francuskiemu, pozbawionemu właśnie wierzchowca, a sam dalej walczy pieszo. . .

— Zaskakujesz mnie, profesorze — patrzyła, nie kryjąc zdziwienia. — Cóż za malownicza wizja wojaka w bitwie. . . Zawsze mówiłeś, że wyobraźnia to nowotwór na zdrowej tkance prawdy historycznej.

Alvaro wybuchł szczerym śmiechem.

— Umówmy się, że to moja licentia academica specjalnie dla ciebie. Trudno zapomnieć, że uwielbiasz wychodzić poza suche fakty. Pamiętam, że kiedy obydwójce. . .

Zamilkł, skonsternowany. Na dźwięk jego słów Julia spochmurniała. Wspomnienia były tym razem zdecydowanie nie na miejscu. Alvaro widząc to, zaczął się wycofywać.

— Przepraszam — szepnął.

— Nie szkodzi. — Julia zdusiła papierosa w popielniczce, parząc sobie przy tym opuszki palców. — W gruncie rzeczy to moja wina — popatrzyła na niego pogodniejszym wzrokiem. — I co z naszym wojakiem?

Z widoczną ulgą Alvaro zapuścił się na ten teren. Roger d'Arras, wyjaśniał, to nie byle wojak, miał dużo więcej przymiotów. Był na przykład zwierciadłem cnót rycerskich. Wzorcem średniowiecznego szlachcica. W wolnych chwilach poetą i muzykiem. Bardzo cenionym na dworze swych kuzynów Walezjuszy. Tak więc Preux pasowałoby tu jak ulał.

— A jakieś związki z szachami?

— Źródła milczą na ten temat.

Podniecona opowieścią Julia robiła kolejne notatki. Nagle przerwała i spojrzała na Alyara.

— Jednego nie rozumiem — rzekła, przygryzając koniec długopisu — co w takim razie robi Roger d'Arras na obrazie van Huysa, w dodatku grając w szachy z księciem Ostenburga?

Wyraźnie zakłopotany Alvaro poruszył się w fotelu, jakby targnięty nagłą wątpliwością. Ssał fajkę, wpatrywał się w ścianę za plecami Julii i najwidoczniej toczył jakąś walkę wewnętrzną. W końcu rozchylił usta w nieśmiałym uśmiechu.

— Nie mam pojęcia, co on tam robi poza tym, że gra w szachy. — Uniósł dłonie, dając do zrozumienia, że tu jego wiedza się kończy, Julia jednak była pewna, że patrzy na nią, jakby chciał ją o czymś uprzedzić, tyle że wciąż nie umie ubrać w słowa jakiegoś tłukącego mu się po głowie pomysłu. — Wiem natomiast — odezwał się wreszcie — a wiem to, ponieważ przeczytałem w książkach, otóż wiem, że Roger d'Arras nie zmarł we Francji, a w Ostenburgu. — Po chwilowym wahaniu wskazał palcem zdjęcie obrazu. — Zwróciłaś uwagę na datę powstania dzieła?

— Tysiąc czterysta siedemdziesiąty pierwszy — odparła zaintrygowana. — Dlaczego?

Alvaro wypuścił z ust dym i jakiś suchy dźwięk, przypominający urwany śmieszek. Teraz wpatrywał się w Julię, jak gdyby chciał w jej oczach wyczytać odpowiedź na pytanie, którego nie ośmielał się zadać. W końcu przemówił.

— Jedna rzecz się nie zgadza. Albo data jest błędna, albo ówczesne kroniki kłamią, albo ten rycerz to nie jest Rutgier Ar. Preux z obrazu. . . — Wziął do ręki ostatnią księgę, anastatyczny reprint „Kroniki książąt Ostenhurga”, kartkował chwilę i położył przed Julią. — Napisał to pod koniec piętnastego wieku Guichard d'Hainaut, Francuz żyjący

w opisywanych przez siebie czasach, przy czym opierał się na relacjach z pierwszej ręki. . . Otóż według niego nasz bohater zmarł w święto Trzech Króli 1469 roku, dwa lata przed namalowaniem „Partii szachów” przez Pietera van Huysa. Pojmujesz, Julio. . . ? Roger d’Arras nie mógł pozować do obrazu, bo kiedy ten powstawał, on już dawno nie żył.

Odprowadził ją aż na parking przed wydziałem i wręczył teczkę z odbitkami. Powiedział, że wszystko jest w środku. Historyczne punkty odniesienia, zaktualizowana lista skatalogowanych dzieł van Huysa, bibliografia. . . Obiecał też, że w miarę wolnego czasu wyśle jej jeszcze chronologię wydarzeń i dalsze dokumenty. Wreszcie zamilkł, stanął z fajką w zębach i dłońmi w kieszeniach kurtki, jakby chciał coś dodać, ale wiedział, że nie powinien. Po krótkim wahaniu dorzucił, że jeszcze kiedyś ma nadzieję się przydać.

Julia przytaknęła z zakłopotaniem. Od usłyszonej dopiero co historii aż kręciło jej się w głowie. Ale nie tylko od tego.

— Zadziwiłeś mnie, profesorze... W niecałą godzinę odtworzyłeś życie postaci z obrazu, którego nigdy przedtem nie badałeś.

Alvaro odwrócił się na moment i zaczął błędzić wzrokiem po miasteczku uniwersyteckim. Skrzywił się.

— Obraz nie był mi tak zupełnie nieznany. — W jego głosie wyczuła nutkę wątpliwości, co lekko ją zaniepokoiło, choć nie wiedziała dlaczego. Słuchała uważnie, co ma jej do powiedzenia. — Między innymi jest zdjęcie w katalogu muzeum Prado z 1917 roku... „Partia szachów” była tam wystawiona jako depozyt przez jakieś dwadzieścia lat. Od początków wieku do 1923, kiedy to upomnieli się o nią spadkobiercy.

— Nie wiedziałam.

— No to już wiesz. — Zajął się fajką, która chyba gasła. Julia patrzyła nań z ukosa. Zbyt dobrze go znała, choć było to w innej epoce, by nie zauważyć, że coś ważnego uwierało go w środku. Coś, czego nie śmiał wypowiedzieć na głos.

— Czego mi nie opowiedziałeś, Alvaro?

Trwał bez ruchu, gryzł fajkę i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. W końcu obrócił się powoli ku Julii.

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Chodzi mi o to, że wszystko, co wiąże się z tym obrazem, jest dla mnie ważne.

— Spoglądała na niego z powagą. — Gra idzie o wysoką stawkę.

Widziała, jak gryzie ustnik fajki, a na twarzy niepewność ustępuje minie dość dwuznacznej.

— Stawiasz mnie w trudnym położeniu. Twój van Huys jest chyba ostatnio modny.

— Modny? — To słowo obudziło w niej czujność, jakby ziemia miała zaraz zadrzeć pod stopami. — Chcesz mi powiedzieć, że ktoś ci o nim mówił przede mną?

Alvaro uśmiechał się niepewnie. Może żałował tego, co przed chwilą wyznał.

— Niewykluczone.

— Kto?

— Tu leży pies pogrzebany. Nie jestem upoważniony, żeby ci to zdradzić.

— Nie gadaj bzdur.

— To nie są bzdury, ale prawda. — W jego oczach czaiło się błaganie o wyrozumiałość.

Julia westchnęła głęboko usiłując zwalczyć pustkę w żołądku. Gdzieś w środku odezwał się sygnał ostrzegawczy. Alvaro jednak znów zaczął mówić, skupiła się więc, żeby wyłowić jakąś wskazówkę. Chciałby zobaczyć obraz, jeśli Julia nie ma nic przeciwko. Ją samą zresztą też.

— Wszystko ci wyjaśnię — dodał. — W swoim czasie.

W grę może wchodzić podstęp — pomyślała. — Przecież jest w stanie odegrać cały ten teatr tylko pod pretekstem, żeby jeszcze raz się z nią umówić. Spłoszona przygryzła dolną wargę. W jej wnętrzu obraz toczył teraz walkę z emocjami i wspomnieniami, które nijak miały się do celu jej dzisiejszej wizyty.

— Jak tam pańska żona? — spytała od niechcienia, tknięta przez złe лихо, i uniosła nieco wzrok, stwierdzając złośliwie, że Alvaro cały zeszywniał.

— Dobrze — odparł oschle. Z namaszczeniem wpatrywał się w trzymaną w dłoni fajkę, jakby jej wcale nie rozpoznawał. — Przygotowuje wystawę w Nowym Jorku.

W pamięci Julii odbił się ulotny refleks: atrakcyjna blondynka w ciemnobrązowym kostiumie, wysiadająca z samochodu. Niewyraźny, trwający ledwie kilkanaście sekund obrazek, z trudem zapamiętany, który mimo to zdołał, niby skalpel, jednym zdecydowanym cięciem naznaczyć granicę między jej młodością a resztą życia. O ile pamiętała, jego żona pracowała dla jakiejś rządowej instytucji, związanej z departamentem kultury, z wystawami i podróżami. Dzięki temu przez jakiś czas było im łatwiej. Alvaro nigdy o niej nie wspominał, Julia też nie, obydwójce wyczuwali jednak, że jest między nimi obecna niczym widmo. I to widmo właśnie, owe kilkanaście sekund spostrzeżone przez przypadek, ostatecznie wygrało mecz.

— Mam nadzieję, że dobrze się wam układa.

— Nieźle. To znaczy naprawdę nieźle.

— Mhm.

Uszli kilka kroków, nie odzywając się i nie patrząc na siebie. Wreszcie Julia cmoknęła językiem i pochyliła głowę, uśmiechając się do siebie.

— Zresztą to już nie ma znaczenia. . . — Stała przed nim, wzięła się pod boki i popatrzyła na niego figlarnie. — Jak mnie teraz znajdujesz?

Niepewny, zmierzył ją zmrużonymi oczyma od góry do dołu. Zastanowił się.

— Wyglądasz świetnie... Naprawdę.

— I jak się z tym czujesz?

— Mam lekkiego kręćka... — Uśmiechnął się smętnie i ze skruchą. — Zadaję sobie pytanie, czy rok temu powziąłem słuszną decyzję.

— I nigdy się tego nie dowiesz.

— Nie wiadomo.

Wciąż jest atrakcyjny — pomyślała z niepokojem i złością, od której aż ją skręciło w środku. Patrzyła na jego dłonie i oczy, wiedząc, że balansuje w tej chwili między odrazą a ochotą.

— Obraz jest u mnie w domu — odparła ostrożnie i niezobowiązująco, usiłując zebrać myśli. Chciała zachować osiągniętą z takim bólem zimną krew, aczkolwiek przeczuwała jednocześnie związane z tym ryzyko, wiedziała, że będzie się musiała mieć na baczności przed emocjami i wspomnieniami. Przecież ponad wszystko ważny był van Huys.

Dzięki temu rozumowaniu zdołała przynajmniej uporządkować myśli. Uścisnęła więc dłoń, którą wyciągnął do niej niezdarnie jak ktoś, kto porusza się po grząskim gruncie. To dodało jej otuchy i napełniło złośliwą, skrytą radością. Z pełnym wyrachowaniem i wyczuciem chwili cmoknęła go szybko w usta — ot, zaliczka z martwego funduszu — po czym otworzyła drzwiczki i wsiadła do małego białego fiata.

— Jak chcesz zobaczyć obraz, przyjdź do mnie — powiedziała, jak gdyby od niechcenia, przekręcając kluczyk stacyjki. — Jutro po południu. I wielkie dzięki.

Jeśli chodzi o niego, to w zupełności wystarczyło. Widziała w lusterku, jak małeje, machając w zamyśleniu dłonią. Za nim wznosił się ceglany budynek wydziału, dalej w tle rozpościerało się miasteczko uniwersyteckie. Uśmiechnęła się do siebie, gdy przejeżdżała skrzyżowanie na czerwonym świetle. Połkniesz haczyk, profesorku — pomyślała. — Nie wiem dlaczego, ale ktoś gdzieś usiłuje zagrać nieczysto. A ty powiesz mi, kto to, albo nie nazywam się Julia.

Popielniczka na stoliku tuż obok ledwie mieściła niedopałki. Julia, rozciągnięta na sofie, czytała przy małej lampce do późna. Z wolna cała historia obrazu, malarza i przedstawionych postaci zaczynała jej się układać w głowie w spójną całość. Czytała zachłannie kierowana żądzą wiedzy, cała w napięciu, zwracała uwagę na najdrobniejsze szczegóły w nadziei odnalezienia klucza do tej tajemniczej partii szachów, którą w półmroku nadal rozgrywano na sztalugach ustawionych przed sofą.

... Gdy w 1453 roku ustała ich więź lenna w stosunku do Francji, książęta Ostenburga usiłowali lawirować między Francją, Niemcami i Burgundią. Polityka ostenburska wzbudziła obawy Karola VII francuskiego, że księstwo zostanie wchłonięte przez coraz potężniejszą Burgundię, która próbowała wybić się na niezależne królestwo. W zamęcie intryg pałacowych, kolejnych sojuszy i tajnych układów niepokój Francji wzbudziło szczególnie małżeństwo (1464) Ferdynanda, syna i następcy księcia Wilhelma Ostenburgskiego, z Beatrycze Burgundzką, bratanicą Filipa Dobrego i kuzynka przyszłego księcia Burgundii Karola Zuchwałego.

W ten sposób, w owych latach decydujących o przyszłości Europy, na dworze ostensburskim starły się dwie tendencje nie do pogodzenia; obóz burgundzki, dążący do włączenia Ostensburga w skład sąsiedniego księstwa, oraz obóz francuski, który spiskował na rzecz unii z Francją. Ciągły konflikt pomiędzy tymi dwiema siłami nadał ton burzliwemu okresowi rządów Ferdynanda Ostensburskiego aż do jego śmierci w 1474 roku. . .

Odłożyła teczkę na podłogę, usiadła na sofie, podciągając kolana pod brodę i objęła nogi ramionami. Było idealnie cicho. Chwilę tak trwała bez ruchu, po czym wstała i podeszła do obrazu. *QUIS NECAVIT EQUITEM*. Wyciągnęła palec, niemal dotykając miejsca, gdzie znajdował się napis, ukryty pod kolejnymi warstwami zielonego barwnika, którego van Huys użył do namalowania sukna przykrywającego stół. „Kto zabił rycerza”. W świetle danych dostarczonych przez Alvara to zdanie z obrazu, ledwie oświetlonego przez małą lampkę, nabierało złowroziej wymowy. Pochyliwszy się tuż nad *RUTGIER AR. PREUX*, czyli być może Rogerem d’Arras, Julia nabrała pewności, że chodzi właśnie o niego. Tu niewątpliwie kryła się jakaś zagadka. Gubiła się

tylko w domysłach, jaką rolę w tym wszystkim odgrywały szachy. Odgrywały. Może właśnie na tym rzecz polega — na grze.

Zaczynało ją to nieznośnie drażnić, jak wówczas, kiedy musiała sięgać po lancet, żeby zdjąć nieposłuszny werniks. Skrzyżowała ręce na karku i zamknęła oczy. Gdy je po chwili otworzyła, znów ujrzała przed sobą profil nieznanego rycerza zajętego rozgrywką, wyraźnie skupionego, o czym świadczył mars na czole. Miał miłą powierzchowność, niewątpliwie musiał być człowiekiem pociągającym. Wyglądał szlachetnie, otoczony nimbem dostojności, zręcznie podkreślonym przez malarza znakomitą doborem tła. Poza tym głowa Rutgiera znajdowała się w miejscu doskonale odpowiadającym przecięciu linii znanych w malarstwie jako tzw. złote cięcie. Była to reguła kompozycji malarskiej pozwalająca uzyskać równowagę między poszczególnymi postaciami. Stosowali ją jako wzorzec malarze klasyczni od czasów Witruwiusza. . .

I to odkrycie nią wstrząsnęło. Zgodnie z zasadami, gdyby van Huys chciał podczas malowania wyeksponować postać Ferdynanda z Ostenburga — któremu bez wątpienia przynależał ów zaszczyt — usytuowałby go w punkcie złotego cięcia, a nie po lewej stronie kompozycji. To samo dotyczy Beatrycze Burgundzkiej, która nie dość, że sie-

działała po prawej stronie, to jeszcze na drugim planie, pod oknem. Zatem logicznie rzecz biorąc, główną postacią tajemniczej partii szachów był nie książę czy księżna, ale RUTGIER AR. PREUX, zapewne Roger d'Arras. Ale Roger d'Arras nie żył.

Podeszła do regału pełnego książek, nie odrywając przy tym wzroku od obrazu, patrząc nań nawet przez ramię, jakby się obawiała, że ktoś się tam zaraz poruszy.

— Przeklęty Pieter van Huys — powiedziała prawie na głos — stawia zagadki, które jeszcze pięćset lat później spędzają komuś sen z powiek.

Wzięła tom Historii sztuki Amparo Ibañez poświęcony malarstwu flamandzkiemu i zasiadła z powrotem na sofie, kładąc sobie książkę na kolanach. Van Huys, Pieter. Brugia 1415–Gandawa 1481... Zapaliła entego papierosa.

... Nie gardząc strojami, trzosem i marmurami, jakimi otaczano malarza nadwornego, van Huys jest przy tym na wskroś mieszczański, co zdradza codzienny świat malowanych przezeń scen i baczne spojrzenie, przed którym nic nie umknie. Pozostawał pod wpływem Jana van Eycka, a przede wszystkim swojego mistrza Roberta Campina,

przy czym udatnie wymieszał te inspiracje, dodając do nich swój typowo flamandzki, spokojny ogląd rzeczywistości. Ponieważ jednak ma skłonności do symbolizmu, w jego dziełach przeto można się doszukać zwielokrotnionych znaczeń (zamknięta szklana butelka i drzwi w murze jako symbole dziewictwa Maryi w Madonnie w kaplicy, gra cieni zlewających się w palenisku w Rodzinie Lucasa Bremera itp.). Van Huys ujawnia swoje mistrzostwo zarówno w ostrych konturach, jakimi zakreśla granice postaci i przedmiotów, jak i śmiało podejmując najpoważniejsze wyzwania malarskie epoki — plastyczną organizację powierzchni obrazu, płynny kontrast między domowym półmrokiem a jasnością dnia, zmienną fakturę cienia w zależności od materii, na której się kładą.

Zachowane dzieła: „Portret złotnika” Wilhelma Walhuusa (1448), Metropolitan Museum, Nowy Jork; „Rodzina Lucasa Bremera” (1452), Galeria Uffizi, Florencja; „Madonna w kaplicy” (ok. 1455), muzeum Prado, Madryt; „Wekslarz z Leuven” (1457), kolekcja prywatna. Nowy Jork; „Portret kupca Mathiasa Conzinięgo i jego żony” (1458), kolekcja prywatna, Zurych; „Ołtarz w Antwerpii” (ok. 1461), Wiener Pinakothek; „Ry-

cerz i diabeł” (1462), Rijksmuseum, Amsterdam; „Partia szachów” (1471), kolekcja prywatna, Madryt; „Zstąpienie w Gandawie” (ok. 1478), Katedra św. Bawona, Gandawa.

O czwartej nad ranem Julia skończyła lekturę. W ustach czuła niesmak od wypitej kawy i wypalonych papierosów. Historia malarza, obrazu i trójki postaci wreszcie zaczynała mieć ręce i nogi. To już nie były zwyczajne wizerunki na dębowej desce, ale żywe istoty, które żyły i umarły w konkretnym czasie i w konkretnym miejscu. Malarz Pieter van Huys. Ferdynand Altenhoffen i jego żona Beatrycze Burgundzka. I Roger d’Arras. Julia dokopała się do niezbitego dowodu, że rycerzem z obrazu, owym gra-czem, który w takim skupionym milczeniu analizował układ na szachownicy, jakby od tego zależało jego życie, był w istocie Roger d’Arras, urodzony w 1431 roku, a zmarły w 1469 w Ostenburgu. Co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości, jak również co do faktu, że ogniwem łączącym go z pozostałymi dwiema postaciami i z malarzem był

w samej rzeczy obraz, sporządzony dwa lata po jego śmierci. Śmierci, której szczególwy opis miała teraz na kolanach, na fotokopii strony z Kroniki Guicharda d'Hainaut:

... Owo w dniu Pokłonu Trzech Króli Roku Pańskiego tysiąc czterysta sześćdziesiątego i dziewiątego, skoro z zapadnięciem zmroku nieszczęsny Ruggier d'Arras przechadzał się, jako miał we zwyczaj, wedle fosy zwanej fosą Wrót Wschodnich, umyślnie wystawiony kusznik strzałą pierś mu skroś przeszył. Ostawszy na miejscu pan d'Arras głosem donośnym spowiednika wołał, nim że jeno nadbiegli mu w sukurs, już ducha wyzionął był przez wielki otwór przez grot uczyniony. Tako zginął źdrzał rycerstwa i szlachcic wyborny, śmierć zaś jego mocno wzruszyła partią francuską w Ostenburgu działającą, której pono nieszczęśnik ów sprzyjał. Po żalonym tym zdarzeniu głosy się podniosły, o zbrodnię tę stronników Burgundii obwiniające. Drudzy znowu śmierć tę niesławną przypisywali zachodom miłosnym, których nie szczędził sobie niefortunny pan d'Arras. Owo powiadano i to, że sam książę Ferdynand mógł być utajonym sprawcą śmierci, za trzecią osobą stojącym, a to z powodu, iż nieszczęsny Ruggier zuchwale

zapędy ku księżnej Beatrycze miał być poczynić. Hańby takiego podejrzenia księżę do samej swojej śmierci zmyć ze siebie nie zdołał. Tako i skończyła się owa smutna historia cała, zabójców przecież nie odnaleziono, po korytarzach ino i po kątach powiadano, jakoby czmychnęli potężną tarczą czyjąś chronieni. Sprawiedliwość zaś pozostawiono ręce Bożej. A nieszczęsny ów Ruggier urodziwy był na ciele i obliczu, mimo wojny toczony w służbie korony Francji, nim do Ostenburga się zwrócił, pod rozkazy księcia Ferdynanda się oddając, z którym pacholęciem jeszcze będąc razem się chował. I bez liku białogłów łzami go żegnało. A miał on trzydzieści i osiem wiosen i wszystkie wigor swój, kiedy żywot postradał...

Julia zgasła lampę i siadła w ciemności z głową opartą o sofę, wpatrując się w rozżarzony koniec papierosa, który trzymała w dłoni. Nie mogła stąd dostrzec obrazu, ale wcale nie musiała. Jej oko i mózg dokładnie zarejestrowały wszelkie detale flamandzkiego obrazu. Widziała je doskonale poprzez mrok.

Ziewnęła i potarła dłońmi twarz. Zmęczenie walczyło w niej z euforią. Doświadczała dziwnego uczucia triumfu, wprawdzie niepełnego, ale podniecającego, jak ktoś, kto w połowie długiego wyścigu już się domyśla, że dotrze do mety. Na razie zdołała uchylić jednego rąbka tajemnicy, a tyle jeszcze zostało do wyjaśnienia. Jedno w każdym razie było jasne jak słońce: obraz nie przedstawiał czyjejś fanaberii, nie był zbiegiem okoliczności, ale skrupulatnie przeprowadzonym, zawczasu obmyślonym działaniem, które można zrekapitulować pytaniem: „Kto zabił rycerza?”. Ktoś — z przekonania albo ze strachu — zakrył je bądź też kazał zakryć. I tak czy inaczej, Julia tę tajemnicę rozwikła. W tym momencie, siedząc po ciemku, słaniając się z niewyspania i zmęczenia, z głową pełną scen średniowiecznych, śladów pędzla, spod których dobiegał świst grotów wypuszczonych po zmierzchu w czyjeś plecy, nie myślała już o restaurowaniu obrazu, ale o wyświetleniu jego sekretu. Była w tym szczególna ironia, mówiła do siebie na wpół już senna, że kiedy wszystkie postacie tej historii dawno w proch się obróciły w swoich grobach, ona zdobędzie odpowiedź na pytanie, które pewien malarz flamandzki nazwiskiem Pieter van Huys rzucił jej jak wyzwanie, a które ona usłyszała po pięciuset latach.

II. Lucynda, Oktawio, Scaramuccio

Wygląda to zupełnie jak wielka szachownica
— powiedziała wreszcie Alicja.

Lewis Carroll,
O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra
(przeł. Maciej Słomczyński)

Dzwonek u drzwi zaczął dzwięczeć, kiedy tylko Julia przekroczyła próg antykwa-
riatu. Wystarczyło kilka kroków, by wejść na powrót w przyjazny, tak dobrze znajomy,

spokojny świat. Jej pierwsze wspomnienia wiązały się z tym złotawym światłem padającym na zabytkowe meble, barokowe rzeźby w drewnie i kolumny, masywne orzechowe sekretery, cacka z kości słoniowej, gobeliny, porcelanę i spatynowane obrazy, na których poważne, przygnębione postacie od wielu lat kontemplowały swoje zabawy dziecięce. Wiele przedmiotów tymczasem znalazło już kupców, na ich miejsce pojawiły się nowe, ale salki antykwariatu nadal mieniły się wszelkimi kolorami, a jasność dnia wciąż ślizgała się po antykach porozstawianych w harmonijnym nieładzie. Wnętrze było pstrokate jak porcelanowe figurki z *commedii dell'arte* sygnowane przez Bustellego — Lucynda, Oktawio i Scaramuccio — prawdziwa duma Cesara i ulubione zabawki Julii, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. Może dlatego antykwariusz nigdy nie chciał się ich pozbyć, ciągle przechowywał je na zapleczu w gablocie koło okna z witrażem, które wychodziło na wewnętrzny dziedziniec sklepu, gdzie zwykł czytać — Stendhala, Manna, Sabatiniego, Dumasa, Conrada — w oczekiwaniu dzwonka zwiastującego przybycie klienta.

— Cześć, Cesar.

— Cześć, księżniczko.

Cesar miał ponad pięćdziesiąt lat — Julii nigdy nie udało się wydobyć zeń dokładnego wieku — i wesołe, kpiące oczy, które upodabniały go do swawolnego chłopczyka, odnajdującego największą przyjemność w robieniu na złość światu, w jakim przyszło mu żyć. Swoje białe włosy starannie układał w fale (podejrzewała, że od lat je sobie farbuje) i nadal zachowywał wspaniałą sylwetkę, może nieco szeroką w biodrach, co umiał jednak przykryć ubiorami wyborowego kroju, którym zasadniczo można było zarzucić co najwyżej to, że są zbyt śmiałe jak na jego wiek. Nigdy nie nosił krawata, nawet na najwytworniejsze okazje zakładał znakomite chustki włoskie zawiązane pod szyją przy jednocześnie lekko rozpiętych koszulach, nieodmiennie z jedwabiu, z inicjałami właściciela wyhaftowanymi niebieską lub białą nitką tuż pod sercem. Oprócz tego legitymował się kulturą na rzadko spotykanym poziomie. A już u nikogo, tak jak u niego, nie sprawdzała się zasada, że najbardziej wyrafinowana kurtuazja oznacza u osób dystygowanych wyraz skrajnej pogardy wobec innych. W otoczeniu antykwariusza (być może należało rozszerzyć zakres tego pojęcia na całą ludzkość) Julia była jedynym człowiekiem, którego obejmowała owa kurtuazja, a pogarda omijała. Działo się tak, ponieważ od kiedy sięgała pamięcią, antykwariusz stanowił dla niej przedziwne

połączenie ojca, powiernika, przyjaciela i przewodnika duchowego, choć nie był żadnym z nich z osobna.

— Mam problem, Cesar.

— Przepraszam. W takim razie mamy problem. Opowiedz mi po kolei.

I Julia opowiedziała. Nie pominęła niczego, nawet ukrytego napisu, na który antykwariusz zareagował zwykłym uniesieniem brwi. Siedzieli przy oknie na patio, Cesar założył prawą nogę na lewą i pochylił się lekko ku Julii, położywszy niedbale jedną dłoń ze wspaniałym, oprawnym w złoto topazem na palcu, na drugiej, opiętej zegarkiem marki Patek Philippe. To była jego typowa poza, nie wystudiowana, w każdym razie od dawna nabrała charakteru naturalnego. Dzięki niej usidlił tylu młodzieńców w rozterce, szukających wyrafinowanych przeżyć, tylu malarzy, rzeźbiarzy i raczkujących artystów, którym patronował wytrwale i z oddaniem — i należało mu przyznać, że oddanie to miało zawsze dłuższy żywot niż krótkotrwały związek czysto uczuciowy.

„Życie jest krótkie, a piękno ulotne, księżniczko — Cesar lubił przyjmować konfidencyjny ton, niżający się niemal do szeptu, i wygłaszać podobnie melancholijne uwagi podszyte szyderstwem. — Byłoby niesprawiedliwe być pięknym na wieki. . . Cudownie jest nauczyć latać małego wróbelka, bo jego wolność zawiera w sobie twoją rezygnację. . . Chwytasz niuans tej paraboli?”

Kiedys, gdy zarzucił jej, na poły z dumą, na poły z rozbawieniem, że urządza mu sceny zazdrości, sama otwarcie przyznała, że nie wie, czemu wściekały ją te trzepoczące wokół niego wróbelki. Hamowała się jednak, bo darzyła antykwariusza głębokim uczuciem i była z gruntu przekonana, że każdy ma absolutne prawo wieść życie wedle własnych upodobań. Menchu mawiała, jak zwykle obcesowo: „Cierpisz, kotek, na kompleks Elektry przebranej za Edypa albo na odwrót. . .”. Parabole Menchu, inaczej niż u Cesara, często bywały upiornie dosadne.

Kiedy Julia skończyła opowiadać o obrazie, antykwariusz trwał jeszcze chwilę w milczeniu, dumając nad całą historią, wreszcie skinął głową. Nie wyglądał na oszołomionego — na polu sztuki w jego sytuacji mało co mogło go oszołomić — ale żartobliwy błysk w oku ustąpił miejsca iskierce niejakiego zainteresowania.

— Intrygujące — powiedział i Julia od razu poczuła, że może na niego liczyć. Od kiedy sięgała pamięcią, to jego słowo stawało się zaproszeniem do spisku, otwierało bramę przygody tropami tajemnicy: jakiegoś skarbu piratów ukrytego w skrzyni komody izabelińskiej (którą ostatecznie sprzedał Muzeum Romantyzmu) albo przypisywanej Ingres'owi, zmyślonej historii pewnej damy ubranej w koronki, której kochanek, oficer huzarów, zginął pod Waterloo krzycząc jej imię podczas szarży. . . Tak właśnie Cesar prowadził Julię za rękę poprzez sto przygód, sto różnych żywotów, a ona dzięki niemu za każdym razem uczyła się doceniać piękno, oddanie i czułość. Ich spotkania były też lekcjami delikatnej, dojmującej rozkoszy obcowania z dziełami sztuki, czy to z prześwitującą fakturą porcelany, czy ze skromnym promykiem słońca padającym na ścianę w postaci tęczowego wachlarza, będącego efektem rozszczepienia w szkłe.

— Po pierwsze — mówił Cesar — trzeba się uważnie przypatrzeć temu obrazowi. Mogę cię odwiedzić jutro wieczorem, powiedzmy koło wpół do ósmej.

— Zgoda — odparła ostrożnie. — Ale możesz się natknąć na Alvara.

Jeżeli jej słowa zaskoczyły antykwariusza, nie dał tego po sobie poznać. Skrzywił tylko usta w okrutnym uśmiešku.

— Cudownie. Już dawno tego wieprza nie widziałem, z wielką radością więc zanurzę weń zatrute strzały pod postacią subtelnych peryfraz.

— Cesar, błagam.

— Nie obawiaj się, kochanie. Zważywszy na okoliczności, okażę przychyłność. . . Dostanę stygmatów, tak, ale nie zbrukam krwią twojego perskiego dywanu. Który po prawdzie i tak wymaga czyszczenia.

Popatrzyła na niego z rozczuleniem i chwyciła za dłonie.

— Kocham cię, Cesar.

— Wiem. To normalne, prawie wszyscy to czują.

— Dlaczego tak nienawidzisz Alvara?

Słyszając to idiotyczne pytanie, spojrział na nią z lekkim wyrzutem.

— Przysporzył ci cierpień — odparł z powagą. — Gdybyś tylko pozwoliła, byłbym w stanie wyłupić mu oczy i rzucić psom wałęsającym się po zakurzonej drodze tebańskim. Gest bardzo klasyczny. Ty odegrałabyś chór. Wyglądałabyś pięknie w peplosie,

wznosząc nagie ramiona ku Olimpowi, skąd dobiegałoby chrapanie pijanych w sztok bogów.

— Ożeń się ze mną. Natychmiast.

Cesar ujął jej dłoń i lekko musnął ustami.

— Jak dorośniesz, księżniczko.

— Jestem dorosła.

— Jeszcze nie. Ale kiedy już będziesz dorosła. Wasza Wysokość, ośmielę się wyznać, że cię kochałem. I że przebudziwszy się, bogowie nie odebrali mi wszystkiego. Tylko królestwo. — Zamyślił się na chwilę. — Co, jeśli dobrze to przemyśleć, jest naprawdę drobnostką.

Był to dialog bardzo bliskich sobie osób, pełen wspomnień, tylko dla nich obydwójga czytelnych kluczy, starych jak ich przyjaźń. Zastygli w milczeniu, któremu towarzyszyło tykanie stuletnich zegarów, przeżywających czas w oczekiwaniu nowego właściciela.

— Reasumując — odezwał się w końcu Cesar — o ile dobrze zrozumiałem, chodzi o rozwikłanie zagadki morderstwa.

Julia spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Dlaczego tak to nazywasz?

— A dlaczego nie? Do tego się w gruncie rzeczy cała sprawa sprowadza. I nie robi dużej różnicy, że do morderstwa doszło w wieku piętnastym. . .

— Tak, ale samo słowo „morderstwo” rzuca na obraz jakieś złowrogie światło. — Uśmiechnęła się niespokojnie.

— Może wczoraj w nocy byłam zbyt zmęczona, żeby spojrzeć na niego od tej strony, ale dotychczas traktowałam zagadkę w kategoriach gry. Coś w rodzaju rozszyfrowania rebusu. . . Sprawa osobista. Dyktowana miłością własną.

— I. . . ?

— A ty jakby nigdy nic mówisz po prostu o rozstrzygnięciu zagadki prawdziwego morderstwa i dopiero teraz dociera do mnie. . . — Zamilkła na moment z otwartymi ustami, jak gdyby zatrzymała się na krawędzi przepaści. — Masz pojęcie? Ktoś zamordował albo kazał zamordować Rogera d'Arras w święto Trzech Króli tysiąc czterysta sześćdziesiątego dziewiątego roku. Tożsamość zabójcy stanowi element obrazu. — Cała podniecona wyprostowała się w krześle. — Moglibyśmy rozwiązać tajemnicę sprzed

pięciu wieków. . . A może wręcz przyczynę, dla której jakiś fragmencik historii Europy przebiegł właśnie tak, a nie inaczej. . . Pomyśl tylko, jaką wycenę może uzyskać „Partia szachów”, jeśli uda nam się udowodnić tę całą historię!

Wstała i oparła dłonie o różowy marmur blatu. Antykwareusz kiwał głową, początkowo ze zdumieniem, teraz z podziwem.

— Miliony, kochana — przyznał i westchnął pod naporem oczywistości. — Dużo milionów — dodał z przekonaniem. — Przy odpowiedniej promocji Claymore może podwyższyć cenę wywoławczą trzykrotnie albo i czterokrotnie. . . Istny skarb ci się trafił. Naprawdę.

— Musimy porozmawiać z Menchu. I to zaraz.

Na twarzy Cesara pojawił się grymas pełnej nadąsania niechęci. Antykwareusz pokręcił głową.

— Ach, co to, to nie, najdroższa. Nawet mi nie wspominaj o tej lampucerze. Nie chcę mieć nic wspólnego z twoją Menchu. Zostanę za barierką, jak pomocnik toreadora.

— Nie bądź niemądry. Potrzebuję cię.

— Ależ jestem do twojej dyspozycji, kochanie. Tylko nie każ mi się spoufalać z tą odpacykowaną Neferetiti i jej kolejnymi stręczycielami, czyli, nazywając rzecz po imieniu, alfonsami. Twoja przyjaciółeczka przyprawia mnie o migrenę. — Dotknął palcem skroni. — Dokładnie w tym miejscu. Widzisz?

— Cesar. . .

— W porządku, poddaję się. *Vae victis*¹. Spotkam się z twoją Menchu.

Ucałowała go głośno w gładko wygolone, pachnące mirrą policzki. Cesar zaopatrywał się w perfumy w Paryżu, a w chustki w Rzymie.

— Kocham cię, mój antykwariuszu. Bardzo.

— Pochlebstwo. Zwyczajne pochlebstwo. I ty chcesz, żebym dał się na to wziąć?

W moim wieku?

¹*Vae victis!* (łac.) — Biada zwyciężonym!

Menchu też kupowała perfumy w Paryżu, ale mniej dyskretnie niż Cesar. Szybko przemierzała hol hotelu Palace, a przed nią, niczym herold, unosił się zapach „Rumby” Balenciagi. Była sama, bez Maxa.

— Mam nowiny. — Nim usiadła, dotknęła palcem nosa i parokrotnie wciągnęła krótko powietrze. Przed chwilą odbyła krótką wizytę techniczną w toalecie, na górnej wardze wciąż miała drobinki białego proszku. Julia domyśliła się, że właśnie z tego powodu jej przyjaciółka jest taka żwawa i rozszczebiotana. — Don Manuel czeka na nas, żebyśmy przyjechały obgadać sprawę.

— Don Manuel?

— Właściciel obrazu. Zapomniałaś, głuptasku? Mój uroczy staruszek.

Zamówiły słabe drinki. Julia poinformowała Menchu o wynikach dochodzenia. Jej przyjaciółka zrobiła oczy jak spodki i w mig zaczęła obliczać procenty.

— To zmienia postać rzeczy. — Oparta łokciami o biały obrusik, szybko rachowała na palcach zakończonych pomalowanymi na czerwono paznokciami. — Pięć procent dla mnie to troszkę za mało, więc chyba pogonię tych z Claymore’a: z piętnastu procent prowizji od ceny sprzedaży na aukcji siedem i pół dla nich, siedem i pół dla mnie.

— Nie zgodzą się. To znacznie poniżej ich normalnego zysku.

Menchu wybuchła śmiechem z kieliszkiem przy ustach. Nie to nie. Sotheby's i Christie's tylko czekają, zawyliby z rozkoszy, gdyby mogli rozporządzać van Huyssem. Dla Claymore'a to wóz albo przewóz.

— A właściciel? Twój staruszek też może mieć coś do powiedzenia. Nie przyszło ci do głowy, że może zechcieć sam się dogadać z Claymore'em? Albo z kimś innym?

Menchu uśmiechnęła się chytrze.

— Nie może. Podpisał mi papierek. — Pokazała swoją krótką spódniczkę, odsłaniającą w całej okazałości nogi w ciemnych pończochach. — Poza tym, jak widzisz, mam na sobie mundur polowy. Mój don Manuel wpadnie w sidła, albo jestem zakonnica. — Skrzyżowała i znów wyprostowała nogi na użytek męskiej klienteli hotelu, jakby chciała sprawdzić efekt, po czym zadowolona zajęła się swoim kieliszkiem. — Ty natomiast. . .

— Ja chcę półtora z twoich siedmiu i pół.

Menchu aż krzyknęła wniebogłosy. — To kupa pieniędzy — rzuciła oburzona. Trzy, cztery razy więcej, niż było uzgodnione za odrestaurowanie. Julia, nie przerywając przyjaciółce, spokojnie wyjęła z torebki paczkę chesterfieldów i zapaliła.

— Nie rozumiałaś mnie — tłumaczyła, wypuszczając dym. — Moje honorarium będzie potrącone od ceny, jaką don Manuel uzyska podczas aukcji... A dodatkowy procent odliczymy od twojego dochodu. Jeśli obraz pójdzie za sto milionów, Claymore dostanie siedem i pół miliona, ty sześć, a ja półtora.

— Proszę, proszę. — Menchu kręciła z niedowierzaniem głową. — A taka niby skromna, nic, tylko pędzelki i werniksy. Taka bezbronna.

— Sama widzisz. Kochajmy się jak bracia, a nie jak siostry.

— Przysięgam, to jakiś koszmar. Własną piersią wykarmiłam żmiję, jak Aida. A może Kleopatra...? Nie podejrzewałam, że jesteś taka dobra w procentach.

— Postaw się na moim miejscu. W ostatecznym rozrachunku to ja odkryłam ten numer. Tymi rączkami. — Pomachała dłońmi przed nosem przyjaciółki.

— Wykorzystujesz fakt, że mam miękkie serce, mała gadzino.

— Serce to ty masz miękkie, ale dla twardych facetów.

Menchu westchnęła melodramatycznie. No cóż, oznacza to odjęcie Maxowi chleba powszedniego od ust, ale jakoś się pewnie dogadają. W końcu przyjaciółki to przyja-

ciółki, W tym momencie zerknęła w stronę wejścia do baru i zrobiła konspiratorską minę. No jasne. O wilku mowa.

— Max?

— Nie bądź niemiła. Max to anioł, a nie wilk. — Strzeliła wymownie oczami w stronę drzwi, chcąc, żeby i Julia zerknęła ukradkiem. — Właśnie wszedł Paco Montegrifo z Claymore'a. I nas zobaczył.

Montegrifo był dyrektorem domu aukcyjnego Claymore w Madrycie. Wysoki, przystojny, pod czterdziestkę, ubierał się z elegancją włoskiego księcia. Przedziałek miał równie nienaganny, co krawaty, a w uśmiechu odsłaniał galerię zębów zbyt doskonałych, by mogły być prawdziwe.

— Dzień dobry paniom. Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności. . .

Stał obok ich stolika, tymczasem Menchu dokonywała prezentacji.

— Widziałem niektóre pani prace — zwrócił się do Julii, skoro tylko zorientował się, że to ona zajmuje się van Huyssem. — Mam na to jedno słowo: idealne.

— Dziękuję.

— Ależ nie ma za co. Nie mam wątpliwości, że „Partia szachów” będzie na równie wysokim poziomie. — Znów uśmiechnął się zawodowo, demonstrując szereg białych zębów. — Wiążemy z tym obrazem wielkie nadzieje.

— My też — odezwała się Menchu. — Większe, niż pan podejrzewa.

Montegrifo z pewnością wyczuł szczególny ton w jej głosie, bo w orzechowych oczach pojawił się błysk czujności. Głupi nie jest — pomyślała natychmiast Julia. Licytator wskazał wolne krzesło. Jest z kimś umówiony, ale tamci kilka minut mogą czekać.

— Można?

Odesłał gestem zbliżającego się kelnera i siadł naprzeciwko Menchu. Był wciąż nieskazitelnie serdeczny, ale jednocześnie wyczekujący i skupiony, jakby starał się pochwycić jakąś odległą, fałszywą nutę.

— Jakiś problem? — zapytał spokojnie.

Właścicielka galerii pokręciła głową. Zasadniczo żaden problem. Nie ma powodów do niepokoju. Po Montegrifie nie widać było jednak niepokoju, raczej uprzejme zainteresowanie.

— Być może — dodała Menchu po chwili wahania — trzeba będzie renegotjować warunki umowy.

Nastała kłopotliwa cisza. Montegrifo spoglądał na nią, jakby nie potrafiła zachować się przyzwoicie w trakcie licytacji.

— Droga pani, Claymore to poważna instytucja.

— Nie wątpię — odparła z niezmaconym spokojem Menchu. — Ale badanie przeprowadzone na van Huysie odsłoniło istotne fakty, które zmieniają wartość obrazu.

— Nasi rzeczoznawcy nie znaleźli niczego.

— Badanie zostało przeprowadzone już po waszej wycenie. Nowe odkrycia. . . — tu Menchu znów się zawahała, co nie umknęło uwadze Montegrifa — nie są widoczne gołym okiem.

Montegrifo zwrócił się zamyślony ku Julii i spojrział na nią lodowatym wzrokiem.

— Co pani znalazła? — spytał cicho jak spowiednik, który chce ulżyć czyjemuś sumieniu.

Julia popatrzyła niezdecydowanie na Menchu.

— Nie sądzę, żebym. . .

— Nie jesteśmy upoważnione — przyszła jej w sukurs Menchu. — Przynajmniej na razie. Przedtem musimy otrzymać wskazówki od naszego klienta.

Montegrifo powoli pokręcił głową, po czym, jak przystało na człowieka światowego, wstał bez pośpiechu.

— Pojmuję. Panie wybaczą.

Chciał jeszcze coś dorzucić, ale tylko popatrzył na Julię z zaciekawieniem. Nie wyglądał na zaniepokojonego. Odchodząc, wyraził jedynie nadzieję — słowa kierował do Menchu, ale nie odrywał oczu od Julii — że odkrycie, jak to nazywają, nie naruszy zawartej umowy. Następnie, składając wyrazy uszanowania, oddalił się pomiędzy stolikami do drugiego końca sali, gdzie siedziała para wyglądająca na cudzoziemców.

Menchu gapiała się w swój kieliszek ze skruszoną miną.

— Palnęłam gafę.

— Dlaczego? Prędzej czy później musiał się dowiedzieć.

— Wiem. Ale nie znasz Paca Montegrifa. — Upiła drinka spozierając na dyrektora przez szkło kieliszka. — Widzisz go, jaki gładki i wymuskany, a gdyby tylko znał don Manuela, zaraz pognałby do niego, żeby wywęszyć, o co chodzi, i nas wycyckać.

— Tak sądzisz?

Menchu zaśmiała się z sarkazmem. Życiorys Paca Montegrifa nie stanowił dla niej tajemnic.

— Ma facet gadkę i ma klasę, nie ma za to skrupułów i potrafi wyczuć interes na czterdzieści kilometrów. — Cmoknęła pełna podziwu. — Podobno nielegalnie wywozi dzieła sztuki za granicę i umiejętnie przekupuje wiejskich proboszczów.

— Mimo wszystko robi przyjemne wrażenie.

— Z tego żyje. Z robienia wrażenia.

— Jednego nie rozumiem: skoro tyle o nim wiesz, dlaczego nie posłaś do innego domu aukcyjnego?

Właścicielka galerii wzruszyła ramionami. Zna jego życie i dzieła, ale to nie ma tu znaczenia. Zarząd Claymore'a jest bez zarzutu.

— Spałaś z nim?

— Z Montegrifem? — wybuchła śmiechem. — Nie, kotek. Zupełnie nie jest w moim typie.

— Wydaje mi się, że jest atrakcyjny.

— Jesteś w takim wieku, ślicznotko. Ja wolę łajdaków niepolerowanych, jak Max, takich, którzy w każdej chwili mogą mnie zdzielić po pysku... Są lepsi w łóżku i na dłuższą metę wychodzą mnie taniej.

— Panie są oczywiście za młode.

Pili kawę przy stoliku z chińskiej laki, stojącym koło okna z mnóstwem gęstych zielonych roślin w doniczkach. Ze starego gramofonu dobiegały dźwięki Musikalisches Opfer Bacha. Chwilami don Manuel Belmonte przerywał, jakby nagle jego uwagę przyciągnął któryś fragment, i zasłuchiwał się, lekko bębniąc do taktu palcami po niklowanym oparciu wózka inwalidzkiego. Czoło i wierzch dłoni szpeciły mu starcze plamy, przez skórę zaś nadgarstków i szyi prześwitywały niebieskawe żyłki.

— To się zdarzyło chyba około roku czterdziestego, czterdziestego któregoś... — dodał, a jego suche, spękane wargi ułożyły się w smutny uśmiech. — Nadeszły złe czasy, sprzedaliśmy prawie wszystkie obrazy. Nie zapomnę przede wszystkim jednego

Muñoza Degrain i jednego Murilla. Moja biedna Ana, świeć, Panie, nad jej duszą, nigdy nie doszła do siebie po tym Murillu. Przecudna Madonna, nieduża, bardzo podobna do tych z Prado. . . — Przymknął oczy, chcąc pewnie przywołać obraz z zakamarków wspomnień. — Kupił ją jakiś wojskowy, który później został ministrem. . . Garcia Pontejos, o ile dobrze pamiętam. Potrafił wykorzystać sytuację, bezwstydnik jeden. Zapłacił nam jakieś nędzne grosze.

— Domyślam się, że ta historia musiała sprawić panu ból — w głosie Menchu słychać było pełne zrozumienie. Siedziała naprzeciwko Belmontego i prezentowała swoje nogi w pełnej krasie. Inwalida skinął głową z rezygnacją, która towarzyszyła mu od lat. Podobnego wyrazu twarzy nabiera się wyłącznie kosztem własnych złudzeń.

— Cóż było robić? Po wojnie, kiedy utraciłem dyrygenturę w Orkiestrze Madryckiej, opuścili nas nawet przyjaciele i rodzina mojej żony. Takie były czasy: kto nie z nami, ten przeciw nam. . . A ja nie byłem z tamtymi.

Przerwał na chwilę. Jego uwagę zaprzątnęła znów muzyka płynąca z rogu pokoju, z miejsca, gdzie leżały stosy starych płyt, a na ścianie wisiały identycznie oprawione grafiki z podobiznami Schuberta, Verdiego, Beethovena i Mozarta. Nagle na nowo po-

patrzył na Julię i Menchu, mrugając przy tym ze zdziwieniem oczami, jakby powracał z daleka i nie spodziewał się napotkać tu nikogo.

— A później doszły moje skrzepy i sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała. Na szczęście był spadek dla mojej żony, którego nikt nie mógł jej odebrać. Udało nam się zachować ten dom, parę mebli i kilka dobrych obrazów, między innymi „Partię szachów”. — Spojrzał melancholijnie w stronę pustego miejsca na ścianie salonu, gołego haczyka, prostokątnego śladu po ramie na tapecie i pogładził się po podbródku, gdzie znać było nieco białych włosków, które zdołały uniknąć brzytwy. — To był zawsze mój ulubiony obraz.

— Po kim państwo go odziedziczyli?

— Po wujecznym dziadku z bocznej gałęzi rodziny, Moncada. Moja teściowa była z domu Moncada. Jeden z jej przodków, Luis Moncada, piastował urząd intendenta na dworze księcia Parmy Alessandra Farnese w tysiąc pięćset którymś roku... I ten don Luis był zdaje się miłośnikiem sztuki.

Julia zajrzała do dokumentacji leżącej na stoliku pomiędzy filiżankami z kawą.

— Tu mam: „nabyty w 1585 roku, zapewne w Antwerpii, po kapitulacji Flandrii i Brabancji...”.

Starzec skinął głową z taką miną, jakby sam był świadkiem odległych wydarzeń.

— Tak. Może był łupem zdobytym po zajęciu miasta. Oddziały, które zaopatrywał przodek mojej żony, raczej nie składały się z ludzi, co to pukają do drzwi i podpisują pokwitowanie odbioru.

Julia przeglądała papiery.

— Brak adnotacji dotyczących lat wcześniejszych — rzekła. — Czy pamięta pan może jakąś historię rodzinną związaną z obrazem? Ustna tradycja, te sprawy. Przydałby się każdy ślad.

Belmonte zaprzeczył.

— Nie, raczej nie. Rodzina mojej żony zawsze o „Partii szachów” mówiła Obraz flamandzki albo Obraz Farnezjusza, może żeby utrwalić wspomnienie o jego nabyciu. . . Pod takim wręcz tytułem „Partia” figurowała przez prawie dwadzieścia lat, kiedy była oddana w depozyt do Prado, do chwili gdy, dzięki Primo de Riverze, przyjacielowi

rodziny, ojciec mojej żony odzyskał obraz w roku dwudziestym trzecim... Mój teść zawsze miał wielką słabość do van Huysa, bo był wielbicielem szachów. Dlatego kiedy obraz przeszedł w posiadanie jego córki, nigdy nie powziąłem ochoty, żeby go sprzedać.

— A teraz? — zapytała Menchu.

Gospodarz chwilę milczał, wpatrując się w swoją filiżankę, jak gdyby w ogóle nie dostyszał pytania.

— Teraz sprawy wyglądają inaczej. — Popatrzył na nie bystro, acz powściągliwie, najpierw na Menchu, później na Julię. Można by rzec, że sam się z siebie naigrawał — Ze mnie jest już stary rupieć, przecież to widać. — Trzepnął się po na wpół bezwładnych nogach. — Moja bratanica Lola i jej mąż opiekują się mną, a ja powinienem się jakoś odwdzięczyć. Nie sądzą panie?

Menchu wymamrotała jakieś przeprosiny. Nie zamierzała być niedyskretna. To są oczywiście sprawy rodzinne.

— Ależ proszę nie przepraszać, nic nie szkodzi. — Belmonte uniósł dwa palce w geście przyzwolenia, może nawet odpuszczenia. — Normalna rzecz. Obraz wart jest dużo, ale wisząc w domu, do niczego się nie przydaje. A bratanica z mężem mówią, że drobna

pomoc z mojej strony by im się przydała. Loli przysługuje renta po ojcu, lecz jej mąż Alfonso... — W jego utkwionych w Menchu oczach czaiła się prośba o wyrozumiałość. — Już go pani poznała. Chwili nie przepracował w swoim życiu. Ja zaś... — Na usta starca powrócił kpiący uśmiezek. — Gdybym paniom powiedział, ile muszę co roku odprowadzić fiskusowi tylko za to, że posiadam ten dom i że w nim mieszkam, to by paniom skóra ścierpła.

— To dobra dzielnica — zauważyła Julia. — I ładny dom.

— Owszem, a moja emerytura jest śmiesznie niska. Dlatego właśnie od jakiegoś czasu wyprzedaję po trochu wspomnienia... Obraz da nam nieco wytchnąć.

Zadumał się poruszając powoli głową, ale nie sprawiał wrażenia kompletnie załamane go. Raczej chyba bawiła go sytuacja, w której odnajdywał być może jakieś elementy humorystyczne. Sięgając do paczki po papierosa, Julia napotkała jego przebiegłe spojrzenie i doznała olśnienia. Coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na zwykłe łupiestwo ze strony pozbawionych sumienia krewnych, dla niego stanowiło być może przedmiot laboratoryjnego doświadczenia nad rodzinną zachłannością: „stryju to, stryju tamto, trzymasz nas tu jak jakichś niewolników, twoja emerytura wystarcza za ledwie

na pokrycie podstawowych wydatków, lepiej by ci było w przytułku razem z ludźmi w twoim wieku; pomyśleć, że te obrazy tak bezużytecznie zajmują miejsce na ścianie...”. Teraz, dzięki manewrowi z van Huyssem, Belmonte mógł czuć się bezpieczny. Po latach upokorzeń przejmował wręcz inicjatywę. Sprzedając obraz, mógł uregulować rachunki z bratanicą i jej mężem.

Zawahał się, widząc, że dziewczyna częstuje go papierosem, i uśmiechnął się z wdzięcznością.

— Nie powinienem. Lola pozwala mi najwyżej na jedną kawę z mlekiem i jednego papieroska dziennie. . .

— Do diabła z Lolą — przerwała Julia bezceremonialnie i aż sama się zdziwiła. Menchu popatrzyła na nią z oburzeniem, ale gospodarz wcale się nie obruszył. Przeciwnie, w jego spojrzeniu skierowanym ku Julii zamigotała porozumiewawcza iskierka, która jednak zaraz zgasła. Starzec sięgnął kościstymi palcami po papierosa.

— Jeśli chodzi o obraz — Julia pochyliła się nad stołem, żeby podać Belmontemu ogień — pojawiła się rzecz nieprzewidziana. . .

Emeryt wciągnął z rozkoszą dym w płuca, zatrzymując go tam tak długo, jak to było możliwe, i zerknął na nią spod przymrużonych powiek.

— Dobra czy zła?

— Dobra. Pod farbą znajduje się napis z epoki. Odsłonięcie go podwyższa wartość obrazu. — Uśmiechnęła się i usiadła wygodnie na krześle. — Do pana należy decyzja.

Belmonte popatrzył na Menchu, potem na Julię, jakby dokonywał jakichś tajemniczych porównań albo wahał się wobec kogo ma pozostać lojalny. Wreszcie podjął decyzję, zaciągnął się głęboko papierosem i z zadowoleniem na twarzy położył dłonie na kolanach.

— A pani to jest nie tylko ładna, ale i sprytna — odezwał się do Julii. — Jestem pewien, że też lubi pani Bacha.

— Uwielbiam.

— To proszę mi zdradzić szczegóły.

I Julia zdradziła je.

— Patrzcie państwo. — Belmonte kręcił głową po długim, pełnym niedowierzania milczeniu. — Tyle lat, dzień po dniu, patrzyłem na ten obraz i ani przez chwilę się nie domyślałem. . . — Zerknął na ślad po van Huysie na ścianie i przymknął powieki z wesołym uśmiechem. — Czyli, że nasz malarz lubił zagadki. . .

— Na to wygląda — odparła Julia. Belmonte wskazał gramofon, z którego wciąż płynęła muzyka.

— Nie on jeden. Kiedyś często zdarzały się dzieła sztuki ze zgadywankami i ukrytymi kluczami. Weźmy na przykład Bacha. Dziesięć kanonów tworzących Musikalisches Opfer należy do najdoskonalszych rzeczy, jakie skomponował, a mimo to żadnego nie spisał w całości od początku do końca. . . Pozostawił tu pewien margines dowolności, jak gdyby chodziło o łamigłówki, które stawiał Fryderykowi pruskiemu. . . To nierzadki w owej epoce chwyt muzyczny. Pisało się temat, zaopatrywało go w kilka mniej lub bardziej enigmatycznych wskazówek i pozwalało, żeby kanon powstały na bazie tego tematu odkrył jakiś inny muzyk czy wykonawca. Czyli inny gracz, bo mówimy tu o grze.

— To ciekawe — odezwała się Menchu.

— Nawet nie mają panie pojęcia, do jakiego stopnia. Bach, jak zresztą wielu artystów, lubił pułapki. Nieustannie stosował fortele, żeby nabrać publiczność: drobne sztuczki z nutami czy literami, pomysłowe wariacje, nietypowe fugi. A przede wszystkim manifestował kolosalne poczucie humoru. . . Na przykład w jednym z utworów sześciogłosowych po kryjomu wprowadził własne nazwisko do dwóch najwyższych głosów. Ale nie ograniczajmy się tylko do muzyki: Lewis Carroll, nie dość, że matematyk i pisarz, to jeszcze wielbiciel szachów, w wierszach przemycił akrostychy. . . Jest wiele inteligentnych sposobów na ukrycie pewnych informacji w muzyce, w wierszu czy w obrazie.

— Bez wątpienia — odrzekła Julia. — Symbole i tajemne klucze często pojawiają się w sztuce. Nawet w sztuce współczesnej. . . Tyle że nie zawsze mamy informacje, które pomogłyby nam odczytać te tajemne przesłania, zwłaszcza sprzed wielu lat. — Teraz ona zapatrzyła się w puste miejsce na ścianie. — Ale w wypadku „Partii szachów” dysponujemy paroma punktami zaczepienia. I możemy spróbować.

Belmonte oparł się w swoim wózku inwalidzkim i kiwając głową wbił w Julię przebiegłe spojrzenie.

— Proszę informować mnie na bieżąco — powiedział. — Zapewniam panie, że nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

Właśnie żegnali się w przedpokoju, kiedy nadjechała bratanica Belmontego z mężem. Lola, kobieta chuda i sucha, grubo po trzydziestce, miała rude włosy i drapieżne oczka. Ubrana była w skórzany płaszcz. Prawą ręką trzymała się lewego łokcia męża, szczupłego bruneta, na oko młodszego od niej. Wspaniała opalenizna tuszowała przedwczesną łysinę. Nawet gdyby gospodarz nie wspomniał, że jego przyszywany bratanek w życiu nie splamił się pracą, Julia bez trudu dostrzegłaby, że Alfonso uwielbia żyć jak najmniej się wysilając. Niewielkie woreczki pod oczami potęgowały wrażenie bon vivanta. Wyraz twarzy miał chytry, z lekka cyniczny, czego bynajmniej nie maskowały duże, wyraziste, niemalże lisie usta. Nosił niebieski blezer ze złotymi guzikami, bez krawata, i na kilometr można było wyczuć, że w porze aperitifów można go znaleźć w eleganckich kafejkach, nocą zaś w modnych barach, i że ruletka czy karty nie mają przed nim żadnych tajemnic.

— Moja bratanica Lola i jej mąż Alfonso — przedstawił ich Belmonte. Bratanica przywitała się bez entuzjazmu, natomiast jej małżonek wykazał nadspodziewane za-

interesowanie, przytrzymując dłoń Julii nieco dłużej, niż nakazywała potrzeba chwili, i obrzucając dziewczynę taksującym spojrzeniem. Następnie zwrócił się do Menchu, mówiąc jej po imieniu. Byli chyba starymi znajomymi.

— Panie przyszły w sprawie obrazu — powiedział Belmonte.

Alfonso cmoknął językiem.

— Jasne, obrazu. Twojego słynnego obrazu.

Gospodarz wprowadził przybyłych w nowe szczegóły. Alfonso trzymał ręce w kieszeniach i uśmiechał się do Julii.

— Jeśli obraz miałby zyskać przez to na wartości czy w ogóle, to bardzo dobra wiadomość — powiedział do niej. — Może nas pani odwiedzać, kiedy pani chce, i robić nam podobne niespodzianki. Uwielbiamy niespodzianki.

Lola nie podzielała zadowolenia męża.

— Musimy to przedyskutować — rzekła z rozdrażnieniem. — Kto nam zagwarantuje, że obraz się nie zniszczy?

— Byłaby to strata niepowetowana — zaznaczył Alfonso, nie spuszczać wzroku z Julii. — Ale nie wierzę, żeby ta młoda osoba mogła nam zrobić coś podobnego.

Lola Belmonte spojrzała na niego zniecierpliwiona.

— Nie wtrącaj się, to moja sprawa.

— Mylisz się, najdroższa. — Alfonso uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Nie podpisaliśmy intercyzy.

— Powtarzam, nie wtrącaj się.

Alfonso odwrócił się do niej powoli. Lisi wyraz jeszcze mocniej zarysował się na jego twarzy. Teraz uśmiech był zimny i ostry jak nóż i widząc to, Julia pomyślała, że być może przyszywany bratanek wcale nie jest tak niegroźny, na jakiego wygląda. Oj, niełatwo prowadzić wspólne interesy z kimś, kto się tak uśmiecha.

— Nie bądź śmieszna... kochanie.

W owym „kochanie” nie było śladu czułości i Lola Belmonte doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Z wyraźnym trudem ukrywała upokorzenie i wściekłość. Menchu zrobiła krok do przodu z misją pokojową.

— Już rozmawialiśmy o tym z don Manuelem — oświadczyła. — Stryj państwa się zgadza.

To kolejny aspekt całej sytuacji — uznała Julia, nie mogąc wyjść ze zdumienia. Oto bowiem inwalida obserwował sprzeczkę ze swojego wózka, siedząc z założonymi rękoma jak widz, który na własną prośbę odsunął się na bok i teraz uczestniczy w kłótni z pozycji złośliwego podglądacza.

Ale postacie — pomyślała. — Ale rodzinka.

— Otóż to — potwierdził starzec, nie zwracając się do nikogo konkretnego. — Ja się zgadzam. W zasadzie.

Bratanica wykręciła dłonie, aż zadźwięczały bransoletki. Odczuwała wyraźny niepokój. Albo wściekłość. A może obydwie rzeczy naraz.

— Ale, stryju, musimy o tym porozmawiać. Nie wątpię w dobrą wolę tych szanownych pań. . .

— To jeszcze młode panny — wtrącił jej mąż, nie przestając uśmiechać się do Julii.

— Panny, wszystko jedno — rozdrażnionej Loli Belmonte artykułowanie słów przychodziło z widoczną trudnością. — Powinny się były skonsultować także z nami.

— Jeśli o mnie chodzi — odezwał się Alfonso — to mają panie moje błogosławieństwo.

Menchu bezczelnie się w niego wpatrywała i już, już miała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Wreszcie spojrzała na bratanicę.

— Słyszysz pani, co mówi pani małżonek.

— To nie ma znaczenia. Ja jestem spadkobierczynią.

Belmonte uniósł chudą rękę, jakby prosił o głos w dyskusji.

— Ja ciągle jeszcze żyję, Lolita. . . Spadek przyjdzie w odpowiednim czasie.

— Amen — dodał Alfonso.

Jego żona zjadliwie wycelowała kościsty podbródek ku Menchu i w tym momencie Julii przyszło do głowy, że Lola Belmonte zaraz się na nie rzuci. Z tymi długimi paznokciami i twarzą drapieżnego ptaka mogła być niebezpieczna. Pod wpływem adrenaliny Julia poczuła wręcz, że jest gotowa stawić jej czoło. Nie była może mistrzynią sportu, ale w dzieciństwie Cesar nauczył ją paru podstępnych sztuczek, skutecznych w walce z piratami. Na szczęście cała agresja bratanicy skończyła się na spojrzeniu. Kobieta w końcu odwróciła się na pięcie i opuściła przedpokój.

— Dam paniom znać — rzuciła jeszcze. W korytarzu słychać było oddalający się wściekły stukot obcasów.

Alfonso, wciąż z rękami w kieszeniach, uśmiechał się z niebiańskim spokojem.

— Proszę nie mieć jej tego za złe. — Tu zwrócił się do Belmontego: — Prawda, proszę stryja? W gruncie rzeczy Lolita to złota osoba. . . . Dusza człowiek.

Inwalida skinął głową, ale myślami najwyraźniej był nieobecny. Pusty prostokąt na ścianie stale przykuwał jego uwagę, jakby skrywał jakieś znaki tajemne, które tylko jego zmęczone oczy mogły rozszyfrować.

— Czyli że znałaś wcześniej jej męża — powiedziała Julia, ledwie wyszły na ulicę. Menchu potwierdziła ruchem głowy, oglądając jednocześnie wystawę jakiegoś sklepu.

— To było dawno — pochyliła się, chcąc odczytać cenę pary butów — ze trzy, cztery lata temu.

— Teraz rozumiem, skąd się wziął ten obraz. . . To on ci zaproponował interes, a nie stary.

Menchu uśmiechnęła się przewrotnie.

— Punkt dla ciebie, ślicznotko. Trafiłaś. Między nami było coś, co swoim powściągliwym językiem nazwałabyś romanssem. . . Już kopę lat, ale kiedy wyszła sprawa van Huysa, był łaskaw pomyśleć o mnie.

— A dlaczego sam nie prowadził negocjacji?

— Bo nikt mu nie ufa, nawet don Manuel. . . — Zaczęła się śmiać. — Alfonsito Lapeña, znany powszechnie jako „Hazardzista”, wisi kasę nawet czyścicielom butów. Parę miesięcy temu ledwie uniknął więzienia. Jakieś czeki bez pokrycia.

— A z czego żyje?

— Z żony, z naciągania naiwniaków i z kompletnego braku wstydu.

— I ma nadzieję, że van Huys pozwoli mu wyjść z długów.

— Tak. Dosłownie marzy o tym, żeby zamienić obraz na sterty żetonów na zielonym suknie.

— Chyba z niego niezły obwieś.

— Jak najbardziej. Ale ja mam słabość do buhajów, poza tym Alfonso jest w moim typie. — Zamyśliła się na chwilę.

— Chociaż, o ile pamiętam, za sprawność techniczną też nie dałabym mu medalu. Ma... Jak by to powiedzieć? — szukała właściwej definicji. — Ma ograniczoną wyobraźnię, rozumiesz? Z Maxem nie ma się co równać. Monotonny, czujesz: trzy-pięć-osiem i po krzyku. Ale jest z nim niezły ubaw. Zna mnóstwo świńskich kawałów.

— Żona wie o tym?

— Chyba wyczuwa, bo głupia to nie jest. Dlatego tak patrzy. Szczwana suka.

III. Zadanie szachowe

Szlachetna gra posiada otchłanie,
w których szlachetna dusza często przepada.

Dawny mistrz niemiecki

— Moim zdaniem — powiedział antykwariusz — w grę wchodzi zadanie szachowe.
Już od pół godziny patrzyli na obraz i wymieniali spostrzeżenia. Cesar stał oparty o ścianę, wytwornie ujmując kciukiem i palcem wskazującym szklanę z dżinem

i cytryną. Menchu z apatyczną miną siedziała na sofie, a Julia na dywanie, obgryzając paznokcie. Między jej stopami leżała popielniczka. Wszyscy troje wpatrywali się w malowidło jak w telewizor. Światło dnia już przygasało w lukarnie, toteż i kolory u van Huysa zaczynały ciemnieć.

— Czy ktoś może coś tu włączyć? — podsunęła Menchu. — Zaczyna mi się wydawać, że z wolna ślepnę.

Cesar przekreślił włącznik, który miał za plecami. Odbite od ścian światło lampek przywróciło Rogerowi d'Arras i księżęcym małżonkom ostenburskim utracone życie i barwy. Prawie w tej samej chwili zegar ścienny wybił osiem uderzeń, w rytmie ruchów połączanego wahadła. Julia przechyliła głowę, nasłuchując na klatce kroków, które nie nadchodziły.

— Alvaro się spóźnia — powiedziała i zobaczyła grymas na twarzy Cesara.

— Choćby nie wiem jak późno przyszedł ten filister — mruknął antykwariusz — i tak przyjdzie za wcześnie.

Julia spojrzała na niego z wyrzutem.

— Obiecałeś, że będziesz się zachowywał. Pamiętaj.

— Pamiętam, księżniczko. Pohamuję w sobie ludobójcze odruchy tylko dzięki od-
daniu, jakie do ciebie żywię.

— Będę ci dozgonnie wdzięczna.

— Spodziewam się. — Antykwariusz zerknął na swój zegarek, jakby nie dowie-
rzał ściennemu, który zresztą sam kiedyś dał jej w prezencie. — Aczkolwiek trudno
powiedzieć, żeby ten wieprzek był punktualny.

— Cesar.

— Zgoda, najdroższa. Już będę cicho.

— Nie, nie bądź cicho. — Julia pokazała na obraz. — Zacząłeś mówić, że w grę
wchodzi zadanie szachowe.

Cesar skinął głową. Zrobił teatralną pauzę, żeby umoczyć usta w drinku i następnie
osuszyć je wyciągniętą z kieszeni nieskazitelnie białą chusteczką.

— Zaraz zobaczysz. . . — Popatrzył także na Menchu i leciutko westchnął. — Zoba-
czycie. W ukrytym napisie jest pewien szczegół, na który dotąd nie wpadliśmy, a w każ-
dym razie ja nie wpadłem. Quis necavit equitem istotnie znaczy „Kto zabił rycerza”.
Wedle danych, jakimi dysponujemy, można to interpretować jako zagadkę na temat

śmierci czy też zgładzenia Rogera d'Arras... Jednakowoż. — Cesar wykonał ruch, jakim magicy wyciągają niespodziankę z cylindra — zdanie to można przetłumaczyć z nieco innym odcieniem. O ile wiem, figurę szachową, którą my znamy jako „konika” bądź „skoczka”, w średniowieczu nazywano „rycerzem”... W wielu krajach europejskich nosi ona tę nazwę do dziś. Na przykład po angielsku mówi się na nią knight, czyli właśnie „rycerz”. — Popatrzył z zadumą na obraz, medytując nad słusznością swojego rozumowania. — Może więc pytanie brzmi nie „Kto zabił rycerza?”, ale „Kto zabił konika?”... Albo, posługując się językiem ściśle szachowym, „kto zbił konika?”...

Wszyscy troje milczeli przez chwilę. Wreszcie przemówiła Menchu.

— Szkoda, chyba bujaliśmy w obłokach. — Na jej twarzy malowało się rozczarowanie. — Zbudowaliśmy piętrową historię, a chodzi o jakieś głupstwo.

Julia pokręciła głową, wpatrując się uważnie w antykwariusza.

— Ani trochę, tajemnica wcale nie znikła. Prawda, Cesar...? Rogera d'Arras zamordowano, zanim powstał obraz. — Wstała i pokazała róg obrazu. — Widzicie? Tam

widać datę wykonania „Partii szachów”. Petrus van Huysfecit me, anno MCDLXXI¹... Czyli, że dwa lata po zamordowaniu Rogera d’Arras, van Huys posługując się pomysłą grą słów, namalował obraz, na którym przedstawił ofiarę i kata. — Zawahała się na moment, bo właśnie przyszedł jej do głowy nowy pomysł. — I może jeszcze motyw zbrodni: Beatrycze Burgundzką.

Menchu była wyraźnie zakłopotana, ale i podniecona. Przesunęła się na sam skraj sofy i wpatrywała we flamandzkie malowidło szeroko otwartymi oczami, jakby pierwszy raz je widziała.

— Mów jaśniej, mała. Zaraz umrę z ciekawości.

— O ile wiemy, Roger d’Arras mógł zostać zabity z różnych powodów, a jednym z nich był jego domniemany romans z księżną Beatrycze... Z tą na czarno ubraną damą, która czyta pod oknem.

— Czyli księżę zamordował go z zazdrości?

Julia odparła wymijająco:

¹Petrus van... (łac.) — Pieter van Huys mnie wykonał w roku 1471.

— Tego nie powiedziałam. Ja tylko podsuwam pewne możliwe rozwiązanie. — Pokazała stertę książek, dokumentów i odbitek spiętrzonych na stole. — Może malarz chciał zwrócić uwagę widzów na zbrodnię... Niewykluczone, że to właśnie skłoniło go do namalowania obrazu, chociaż mógł też sporządzić dzieło na zamówienie — wzruszyła ramionami. — Nigdy nie dowiemy się tego z całą pewnością, ale jedno jest oczywiste: na tym obrazie znajduje się klucz do zagadkowej śmierci Rogera d'Arras. Dowodzi tego napis.

— Napis zamaskowany — uściślił Cesar.

— To tym bardziej przemawia za moją wersją.

— Załóżmy, że malarz bał się podać tę informację w sposób czytelny... — zaczęła Menchu. — W piętnastym wieku też trudno było oskarżać ludzi ot, tak sobie, według własnego widzimisie.

Julia spojrzała na obraz.

— Może van Huys przestraszył się, że wyłożył kawę na ławę.

— Albo ktoś później — dodała Menchu.

— Nie. Też o tym myślałam i oprócz badania w czarnym świetle zrobiłam analizę stratygraficzną, pobrałam próbkę lancetem i zbadałam pod mikroskopem — wzięła ze stołu jakąś kartkę. — Macie wyniki, warstwa po warstwie: podobrazie z dębowej deski, cieniutki podkład z węglanu wapnia i kleju zwierzęcego, biel ołowiana i olej jako grunt, trzy warstwy bieli ołowianej, cynober i czerń słoniowa, biel ołowiana i żywiczny miedzi, werniks i tak dalej. Wszystko ma identyczną charakterystykę: te same mieszanki, te same pigmenty. To van Huys osobiście zakrył napis niedługo po tym, jak go namalował. Nie ma żadnej wątpliwości.

— Czyli?

— Pamiętając, że nasze słabe poszlaki mają już pięćset lat, jestem skłonna zgodzić się z Cesarem. Naprawdę możliwe, że klucz do zagadki tkwi w samej partii szachów. Natomiast co do zbitcia konika, to nawet nie przyszło mi to do głowy... — Popatrzyła na antykwariusza. — A ty co o tym sądzisz?

Cesar oderwał się od ściany, przysiadł na drugim końcu sofy, z dala od Menchu, pociągnął łyk ze szklanki i skrzyżował nogi.

— To samo, co ty, kochanie. Uważam, że odwracając naszą uwagę od rycerza ku konikowi malarz chce nam przedstawić główny trop. . . — Wychylił delikatnie resztę drinka i brzęcząc kostkami lodu odstawił szklanę na pobliski stolik. — Skoro pyta, kto zbił konika, tym samym zmusza nas do zanalizowania partii. . . Ten zbzikowany van Huys, którego zaczynam podejrzewać o specyficzne poczucie humoru, zaprasza nas do gry w szachy.

Julii zaświeciły się oczy.

— No to zagrajmy! — krzyknęła, odwracając się do obrazu, na co antykwariusz zareagował głębokim westchnieniem.

— Też bym chciał. Ale to wykracza poza moje zdolności.

— Ej, Cesar, na pewno znasz się na szachach.

— Paradne przypuszczenie, moja kochana. . . Widziałas, żebym kiedykolwiek grał?

— Nigdy. Ale każdy ma o tym jakieś pojęcie.

— W tym przypadku chodzi o coś więcej niż blade pojęcie o ruchach figur szachowych... Zwróciłaś uwagę? Układ na szachownicy jest bardzo skomplikowany. — Opał plecami na sofę w teatralnym przygnębieniu. — Nawet mnie trapią pewne ograniczenia, moja miła. Nikt nie jest doskonały.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

— Alvaro — rzekła Julia i poszła otworzyć.

Ale nie był to Alvaro. Wróciła z przyniesioną przez kuriera kopertą. W środku znajdowały się odbitki fotograficzne i spisana na maszynie chronologia.

— Patrzcie, postanowił nie przyjść, ale przysłał nam to.

— Zawsze był grubianinem — mruknął Cesar z pogardą. — Łajdak mógł przynajmniej zadzwonić i przeprosić. — Wzruszył ramionami. — Chociaż w gruncie rzeczy wcale się nie martwię... Cóż nam wysłał ten nikczemnik?

— Odczep się od niego — upomniała go Julia. — Włożył masę pracy w uporządkowanie tych danych. I zaczęła czytać na głos.

PIETER VAN HUYS I POSTACIE
PRZEDSTAWIONE NA OBRAZIE PARTIA SZACHÓW.
BIOGRAFIA W UKŁADZIE CHRONOLOGICZNYM:

1415 – Pieter van Huys przychodzi na świat w Brugii we Flandrii (dzisiejsza Belgia).

1431 – na zamku Bellesang w Ostenburgu przychodzi na świat Roger d'Arras. Jego ojciec, Fulk d'Arras, jest wasalem króla Francji, spokrewnionym z panującą dynastią Walezjuszy. Jego matka, której imię się nie zachowało, należy do książęcej rodziny ostenburskiej Altenhoffenów.

1435 – Burgundia i Ostenburg zrywają więź lenną z Francją. Na świat przychodzi Ferdynand Altenhoffen, przyszyły książę Ostenburga.

1437 – Roger d'Arras wychowuje się na dworze ostenburskim jako towarzysz zabaw i nauk przyszłego księcia Ferdynanda. Ukończywszy szesnaście lat udaje się z ojcem Fulkiem d'Arras na wojnę, jaką Karol VII francuski prowadzi z Anglią.

1441 – przychodzi na świat Beatrycze, bratanica Filipa Dobrego, księcia Burgundii.

1442 – przypuszczalnie w tym czasie Pieter van Huys tworzy pierwsze obrazy. Poznał już wówczas w Brugii braci van Eycków, a w Tournai Roberta Campina, swoich mistrzów. Nie zachowała się żadna jego praca z tego okresu, dopiero. . .

1448 – van Huys maluje Portret złotnika Wilhelma Walhuusa.

1449 – Roger d'Arras odznacza się podczas odbijania Normandii i Gujenny z rąk Anglików.

1450 – Roger d'Arras walczy w bitwie pod Formigny.

1452 – van Huys maluje Rodzinę Lucasa Bremera (jego najlepsze znane dzieło).

1453 – Roger d'Arras walczy w bitwie pod Castillon. W tym samym roku w Norymberdze ukazuje się jego Poemat o róży i rycerzu (jeden egzemplarz znajduje się w Bibliotece Paryskiej).

1455 – van Huys maluje Madonnę w kaplicy (niedatowana, ale specjaliści oceniają, że powstała właśnie w tym czasie).

1457 – umiera Wilhelm Altenhoffen, książę Ostenburga. Sukcesje obejmuje jego syn Ferdynand, który właśnie skończył dwadzieścia dwa lata. Niemal zaraz po wstąpieniu na tron posyła po Rogera d'Arras. Ten zapewne przebywa na dworze francuskim, związany przysięgą na wierność Karolowi VII.

1457 – van Huys maluje Wekslarza z Leuven,

1458 – van Huys maluje Portet kupca Mathlasa Conziniego i jego żony.

1461 – śmierć Karola VII, króla Francji. Przypuszczalnie uwolniony od przysięgi na wierność wobec monarchy, Roger d'Arras wraca do Ostenburga. Mniej więcej w tym samym czasie van Huys kończy Ołtarz w Antwerpii i osiada na dworze ostenburskim.

1462 – van Huys maluje Rycerza i diabła. Reprodukacje fotograficzne oryginału (Rijksmuseum, Amsterdam) pozwalają zaryzykować twierdzenie, że rycerzem, który pozo-

wał do tego portretu, był Roger d' Arras, chociaż podobieństwo między tą postacią a jednym z bohaterów „Partii szachów” nie jest uderzające.

1463 – oficjalne zaręczyny Ferdynanda Ostenburskiego z Beatrycze Burgundzką. W poselstwie na dwór burgundzki znajduje się Roger d' Arras, a także Pieter van Huys, wysłany, żeby sporządzić portret Beatrycze, który maluje tego samego roku. (Portret, wymieniany w wykazie dobroczyńców i w inwentarzu z 1474 roku, nie zachował się do naszych dni).

1464 – ślub księcia. Roger d' Arras stoi na czele orszaku panny młodej, jadącego z Burgundii do Ostenburga.

1467 – umiera Filip Dobry, na tron burgundzki wstępuje jego syn Karol Zuchwały, kuzyn Beatrycze. Naciski ze strony Francji i Burgundii podsycają intrygi na dworze ostemburskim. Ferdynand Altenhoffen usiłuje lawirować, co nie jest łatwe. Stronnictwo profrancuskie wspiera się na Rogerze d' Arras, który cieszy się sporym wpływem na księcia Ferdynanda. Stronnictwo burgundzkie ma oparcie w księżnej Beatrycze.

1469 – Roger d’Arras zostaje zamordowany. Podejrzenia padają z miejsca na frakcję burgundzką. Według innych plotek przyczyną mógł być romans między Rogerem d’Arras a Beatrycze Burgundzką. Udział Ferdynanda Ostenburskiego nie został udowodniony.

1471 – dwa lata po zamordowaniu Rogera d’Arras van Huys maluje „Partię szachów”. Nie wiadomo, czy w owym czasie artysta przebywa jeszcze w Ostenburgu.

1474 – Ferdynand Altenhoffen umiera bezpotomnie. Król Francji Ludwik XI dopomina się respektowania jego praw dynastycznych wobec księstwa, co wpływa na pogorszenie i tak napiętych stosunków francusko-burgundzkich. Kuzyn księżnej — wdowy Karol Zuchwały najeżdża księstwo, pokonując Francuzów pod Looven. Burgundia dokonuje aneksu Ostenburga.

1477 – Karol Zuchwały ginie w bitwie pod Nancy. Maksymilian I austriacki przejmuje spuściznę burgundzką, która przechodzi w ręce jego wnuka Karola (przyszłego cesarza Karola V) i ostatecznie staje się częścią hiszpańskiej monarchii Habsburgów.

1481 – w Gandawie Pieter van Huys umiera w trakcie prac nad tryptykiem o Zstąpieniu, przeznaczonym dla katedry Świętego Bawona.

1485 – Beatrycze Ostenburska umiera w klasztorze w Liege.

Dłuższy czas nikt nie śmiał otworzyć ust. Patrzyli tylko to po sobie nawzajem, to na obraz. Wreszcie po chwili, która wydawała się wiecznością, Cesar pokręcił głową.

— Przyznaję — odezwał się cicho — że jestem pełen podziwu.

— Wszyscy jesteście — dodała Menchu.

Julia odłożyła dokumenty na stół i oparła się o blat.

— Van Huys dobrze znał Rogera d'Arras — pokazała papiery. — Może nawet byli zaprzyjaźnieni.

— A malując obraz wyrównał rachunki z zabójcą — zawyrokował Cesar. — Wszystkie elementy pasują.

Julia podeszła do swojej biblioteczki, czyli dużych regałów zajmujących dwie ściany. Półki dosłownie ugięły się pod ciężarem bezładnie zgromadzonych tu książek. Z dłońmi pod boki stała chwilę przed nimi, by wreszcie wyciągnąć gruby ilustrowany tom. Przerzucała szybko kartki, aż znalazła to, czego szukała. Wtedy podeszła do sofy, usiadła między Menchu a Cesarem i położyła otwartą książkę — „Rijksmuseum w Amsterdamie” — na kolanach. Reprodukacja obrazu nie była zbyt duża, ale wyraźnie widać było rycerza w zbroi, z odkrytą głową jadącego konno po zboczu wzgórza, na którego szczycie widniało ufortyfikowane miasto. Towarzyszył mu Diabeł, pogrążony z nim w przyjaznej rozmowie jeździec na chudym, karym koniu. Prawa dłoń Diabła wskazywała miasto, ku któremu zapewne się kierowali.

— Może to i on — powiedziała Menchu, porównując rysy rycerza z książki z szachistą na obrazie.

— A może i nie on — odparł Cesar. — Aczkolwiek można się dopatrzeć pewnego podobieństwa. — Zwrócił się do Julii: — Kiedy powstał ten obraz?

— W tysiąc czterysta sześćdziesiątym drugim.

Antykwariusz przeliczył szybko w myślach.

— Czyli dziewięć lat przed „Partią szachów”. To jest pewne wytłumaczenie. Jeździec towarzyszący Diabłu jest młodszy od naszego rycerza.

Julia nic nie odrzekła, tylko przyglądała się uważnie reprodukcji. Cesar spojrzał na nią zaniepokojony.

— Coś się stało?

Dziewczyna powoli kręciła głową, jakby bała się, że wszelki gwałtowny ruch spłoszy nieufne duchy, które z wielkim wysiłkiem przywołała.

— Tak — powiedziała tonem człowieka, który stanął wobec niezaprzeczalnej oczywistości. — To trochę za dużo jak na przypadek.

I pokazała palcem fotografię.

— Niczego szczególnego ja tu nie widzę — rzekła Menchu.

— Nic? — Julia uśmiechnęła się do siebie. — Popatrz na tarczy rycerza. . . W średniowieczu każdy szlachcic ozdabiał ją własnym herbem. . . Cesar, co o tym sądzisz? Co on ma namalowane na tarczy?

Antykwariusz westchnął i przesunął dłonią po czole. Był tak samo zdumiony jak Julia.

— Szachownicę — powiedział bez namysłu. — Czarne i białe kwadraty — podniósł wzrok na stojący na sztalugach flamandzki obraz. Głos mu wyraźnie zdrzął. — Jak w naszej „Partii szachów”.

Julia wstała, odkładając otwartą książkę na sofę.

— Żaden zbieg okoliczności nie wchodzi tu w grę. — Wzięła silnie powiększającą lupę i zbliżyła się do obrazu. — Jeżeli rycerz w towarzystwie Diabła, którego namalował van Huys w tysiąc czterysta sześćdziesiątym drugim, to Roger d'Arras, wówczas możemy przyjąć, że dziewięć lat później malarz wykorzystał wzór jego herbu jako klucz do obrazu, na którym przedstawił jego śmierć... Nawet podłoga izby, w której umieścił swoich bohaterów, jest poszatkowana na czarne i białe kwadraty. To oraz symboliczny charakter dzieła wystarcza jako dowód, że środkowym graczem jest tu Roger d'Arras... A cała intryga rozgrywa się w kontekście szachów.

Uklękła przed obrazem i przez jakiś czas obserwowała przez lupę po kolei wszystkie figury i piony stojące na szachownicy i na stole obok. Przyjrzała się też okrągłemu, wypukłemu lustru wiszącemu w prawym górnym rogu obrazu, w którym w ukośnej perspektywie odbijały się szachownica i postacie graczy.

— Cesar. . .

— Słucham cię, kochanie.

— Ile jest szachów?

— Hm. . . Fachowa nazwa brzmi „bierki”. Dwa razy po osiem, szesnaście w każdym kolorze. W sumie trzydzieści dwie, o ile się nie mylę.

Julia liczyła palcem.

— Są trzydzieści dwie. Można je doskonale rozróżnić: pionki, króle, koniki. . . Jedne na planszy, inne poza nią.

— Te na zewnątrz są już zbite. — Cesar ukląkł obok niej i wskazał jedną z figur spoza szachownicy, tę, którą Ferdynand Ostemburski trzymał w palcach. — Jeden konik został zbity, tylko jeden. Biały konik. Pozostałe trzy, jeden biały i dwa czarne, wciąż znajdują się na szachownicy. Tak więc pytanie *Quis necavit equitem* odnosi się do tego jednego.

— A kto go zbił?

Antykwariusz skrzywił się.

— Twoje słowa dotyczą właśnie owego quis — uśmiechnął się jak wtedy, kiedy będąc małą dziewczynką siadywała mu na kolanach. — Na razie ustaliliśmy wiele niewiadomych: kto zniósł jajeczko, kto je znalazł. . . Ale ciągle nie wiemy, co za drań je zbił.

— Nie odpowiedziałeś mi.

— Nie zawsze umiem sypać cudownymi odpowiedziami z rękawa.

— Kiedyś umiałeś.

— Kiedyś potrafiłem kłamać. — Popatrzył na nią czule. — Teraz ty dorosłaś i już cię tak łatwo nie nabiorę.

Julia położyła mu dłoń na ramieniu jak przed piętnastu laty, gdy błagała go, żeby wymyślił historię o jakimś obrazie albo naczyniu z porcelany. W jej głosie zabrzmiało echo tamtych dziecięcych prośb.

— Muszę to wiedzieć, Cesar.

— Aukcja jest za dwa miesiące — odezwała się z tyłu Menchu. — Nie mamy dużo czasu.

— Do diabła z aukcją — odparła Julia. Nadal wpatrywała się w Cesara, jakby ten dzierżył klucz do zagadki. Antykwariusz znów zaczął wolno wzdychać, otrzepał delikatnie dywan i usiadł, zakładając ręce za kolana. W zamyśleniu zmarszczył czoło i przygryzł różowy koniuszek języka.

— Mamy na początek parę wskazówek — rzekł po chwili. — Ale same wskazówki nam nie wystarczą. Trzeba jeszcze wiedzieć, jak z nich skorzystać — popatrzył na namalowane wypukłe lustro i odbitych w nim szachistów. — Zazwyczaj uważamy, że dany przedmiot i jego odbicie w lustrze to elementy tej samej rzeczywistości, a to nieprawda — pokazał palcem zwierciadło z obrazu. — Widzisz? Już przy pierwszych oględzinach możemy się przekonać, że obraz został odwrócony. Na szachownicy kierunki gry zostały też odwrócone, zatem w lustrze tym bardziej.

— Głowa zaczyna mi pękać od waszego gadania — jęknęła Menchu. — To za skomplikowane jak na mój spłaszczony encefalogram, więc muszę się czegoś napić. . . — Podeszła do barku Julii i naląła sobie sporą porcję wódki. Zanim jednak wzięła szklanke,

wyciągnęła z torebki gładki, płaski onyks, srebrną rurkę, małe puzderko i przygotowała sobie cieniutką kreskę kokainy. — Apteka czynna. Ktoś reflektuje?

Nikt nie odpowiedział. Cesar, pochłonięty obrazem, nie zwracał uwagi na otoczenie, a Julia tylko zmarszczyła czoło z niezadowoleniem. Menchu wzruszyła więc ramionami i pochyliła się, żeby wciągnąć działkę szybko i precyzyjnie, na dwa razy. Kiedy się wyprostowała, była już uśmiechnięta, jej błękitne oczy lśniły, a wzrok wydawał się bardziej nieobecny.

Cesar zbliżył się do van Huysa i wziął Julię pod ramię, jakby chciał ją nakłonić, by nie zwracała uwagi na Menchu.

— Już samo przekonanie — powiedział, też ignorując obecność właścicielki galerii — że jakieś rzeczy na obrazie są lub nie są realne, wpędza nas w pułapkę. Postacie i szachownica pojawiają się w naszej kompozycji na dwa sposoby, jeden w pewnym sensie jest mniej realny od drugiego. Rozumiesz...? Przyjęcie tego faktu każe nam wtopić się w komnatę z obrazu i zaciera granice między tym, co rzeczywiste, a tym, co namalowane... I jedynym sposobem, żeby się przed tym obronić, jest nabranie takiego

dystansu, by postrzegać co najwyżej plamy kolorów i same szachy. Ale po drodze zbyt często układ ulega odwróceniu.

Julia wpatrywała się w obraz, po czym pokazała lustro weneckie wiszące na przeciwległej ścianie pracowni.

— Tam nie — oświadczyła. — Jeżeli patrząc na obraz posłużymy się drugim lustrem, może zdołamy odtworzyć prawdziwą sytuację.

Cesar dłuższą chwilę spoglądał na nią i milczał, chcąc przemyśleć słowa, które właśnie usłyszał.

— Trafna uwaga — odezwał się w końcu z rzeźkim uśmiechem wyrażającym aprobatę. — Obawiam się jednakże, księżniczko, że obrazy i lustra kreują światy zbyt nie-spójne, owszem, zajmujące, jeśli obserwuje się je z zewnątrz, ale bardzo kłopotliwe, gdy

trzeba wniknąć do wewnątrz. Do tego potrzebny jest specjalista, który potrafi spojrzeć na obraz innym wzrokiem niż my. . . I chyba wiem, gdzie takiego szukać.

Nazajutrz rano Julia wydzwaniała do Alvara, ale bezskutecznie. W domu też go nie zastała, więc nastawiła Lestera Bowie na gramofonie, kawę w ekspresie, spędziła sporo czasu pod prysznicem i zdążyła wypalić ładnych parę papierosów. Następnie z mokrymi włosami, jedynie w rozciągniętym starym swetrze, wypła kawę i zabrała się do pracy nad obrazem.

Pierwsza faza renowacji polegała na usunięciu całej warstwy pierwotnego werniksu. Malarz, chcąc zapewne uchronić dzieło przed wilgocią, jaka towarzyszy północnoeuropskim zimom, zastosował werniks tłusty, rozpuszczony w oleju lnianym. Roztwór miał właściwe proporcje, ale nikt, nawet taki mistrz jak Pieter van Huys, nie był w stanie zapobiec żółknięciu tłustego werniksu w ciągu pięciuset lat, przez co z kolei przygasły kolory nałożonych farb.

Julia najpierw wypróbowała rozmaite rozpuszczalniki w rogu obrazu, po czym przygotowała mieszaninę acetonu, spirytusu, wody i amoniaku — i przystąpiła do zmiękczenia werniksu za pomocą wacików i pensety. Zaczęła od fragmentów o największej konsystencji, niezwykle ostrożnie, na koniec zostawiwszy miejsca najjaśniejsze i najciemniejsze. Co chwila przerywała i badała kolor wacików, nie chcąc wraz z werniksem usunąć farby. Niestrudzenie pracowała całe przedpołudnie; w popielniczce Benlliurego piętrzyły się niedopałki. Tylko parę razy przestawała z robotą i mrużąc oczy, oceniała postępy. Z wolna spod usuwanego starego werniksu wyłaniał się obraz w całej swojej magii pierwotnych barwników, niemal dokładnie w takiej postaci, w jakiej zostały zmieszane na palecie dawnego flamandzkiego mistrza: sieni, zieleni miedziowej, bieli ołowianej, ultramaryny... Julia z całym szacunkiem patrzyła, jak spod jej palców wyłania się ów cud, niczym najskrytsza tajemnica sztuki i życia.

O dwunastej zadzwonił Cesar i umówili się na popołudnie. Korzystając z przerwy w pracy, Julia odgrzała pizzę, zaparzyła jeszcze kawy i posiliła się, siedząc na sofie. Z uwagą obserwowała przy tym pęknięcia, jakie powstawały na powierzchni obrazu pod wpływem starzenia się farb, światła i wypaczonego drewna. Szczególnie wyraźnie

zaznaczały się na skórze postaci — na twarzach i dłoniach — oraz w miejscach pokrytych bielą ołowianą, za to na obszarach ciemniejszych i czarnych było ich mniej. Zwłaszcza fałdy sukni Beatrycze Burgundzkiej, rzeczywiste do złudzenia, wyglądały niemal na nietknięte i można było odnieść wrażenie, że wystarczy przyłożyć palec, by poczuć miękką aksamit.

Przedziwne — pomyślała — że współcześnie tworzone obrazy bardzo szybko pokrywają się szczelinkami, pęknięcia i dziurki powstają na skutek stosowania nowoczesnych materiałów i sztucznych metod suszenia. Tymczasem dzieła dawnych mistrzów, którzy obsesyjnie dbali o nie przy użyciu technik naprawdę rzemieślniczych, opierają się upływowi czasu z większą godnością, ich piękno jest trwalsze. W tym momencie Julia poczuła ogromną sympatię dla starego, sumiennego Pietera van Huysa, wyobrażając go sobie, jak miesza barwniki z glinki i wypróbowuje rozmaite oliwy w swojej średnio-wiecznej pracowni, jak poszukuje odcienia dla kładzonej właśnie warstwy, powodowany pragnieniem, by jego dzieło przetrwało poza jego śmierć i śmierć tych, których uwieczniał pędzlem na zwykłej desce z dębowego drewna.

Po skromnym obiedzie zdjęła werniks w dolnej części obrazu, gdzie znajdował się ukryty napis. Pracowała ze szczególną ostrożnością, nie chcąc zniszczyć zieleni miedziowej, zmieszanej z żywicą, żeby nie ściemniała — van Huys użył jej do namalowania sukna przykrywającego stół, sukna, którego fałdy wydłużył następnie, zakrywając tym samym kolorem napis po łacinie. Wiedziała doskonale, że ta sprawa, poza zwykłymi trudnościami technicznymi, nastrocza też problemów natury moralnej. . . Czy chcąc pozostać w zgodzie z duchem dzieła, wypada odkrywać napis, który sam artysta zdecydował się zasłonić. . . ? Do jakiego stopnia konserwator może sprzeniewierzyć się pragnieniu malarza, uwiecznionemu w dziele z taką samą pieczołowitością, jakby chodziło o testament. . . ? I czy na przykład wycena obrazu, po publicznym udowodnieniu obecności napisu zdjęciami rentgenowskimi, będzie wyższa, gdy słowa pozostaną ukryte, czy jeśli się je odsłoni?

Na szczęście — przysłała jej do głowy pocieszająca myśl — w tym przypadku występuje tylko jako wynajęta specjalistka. Decyzję powinni podjąć właściciel, Menchu i ten typek z Claymore'a, Paco Montegrifo, a ona zachowa się zgodnie z ich postanowieniem. Aczkolwiek po dokładnym przemyśleniu sprawy, gdyby to od niej zależało,

wolałaby pozostawić wszystko tak, jak jest. Napis istnieje, jego treść została ujawniona i nie trzeba wydobywać go na światło dzienne. Ostatecznie warstwa farby, która go przykryła pięć wieków temu, też stanowi fragment historii obrazu.

Saksofonowe nuty wypełniały pracownię, izolując ją od świata zewnętrznego. Wacikiem umocowanym w rozpuszczalniku miękko przetarła profil Rogera d'Arras, nos i usta, i jeszcze raz zadumała się nad jego lekko opuszczonymi powiekami, nad cieniutkimi kreseczkami wyobrażającymi delikatne kurze łapki koło oczu, nad spojrzeniem wbitym w szachownicę. Rozmyślając o nieszczęsnym rycerzu, dziewczyna puściła wodze wyobraźni. Podążała szlakiem miłości i śmierci, idąc w ślad za Przeznaczeniem w tajemniczym balecie tańczonym przez białe i czarne bierki na polach szachowych, na jego własnym herbie przeszytym strzałą kuszy. W półmroku zaś lśniła łza kobiety pozornie zajętej czytaniem brewiarza — a może „Poematu o róży i rycerzu”? — siedzącej niby milczący cień przy oknie, pogrążonej we wspomnieniach światła młodości, wypolerowanej stali, kobierców, mocnych kroków po podłodze dworu burgundzkiego, hełmu utrzymanego pod pachą i uniesionego czoła żołnierza w kwiecie sił i sławy, dostojnego wysłannika tamtego drugiego, z którym racja stanu nakazała jej zawrzeć małżeństwo.

Były szepty dam dworu, ponure wejrzenia dworzan, jej własny rumieniec na widok tego spokojnego spojrzenia, na dźwięk głosu zahartowanego w bojach, emanującego szczególną pewnością siebie, której nabiera się, tylko jeśli szarżowało się kiedyś na wroga z imieniem Boga, króla lub pani serca na ustach. Wspominała sekret, którego strzegło jej serce przez następne lata. I wreszcie wspominała chwilę, gdy Cicha Przyjaciółka, Ostatnia Towarzyszka naostrzyła swoją kosę, napięła cięciwę koło fosy Wrót Wschodnich.

Kolory, obraz, pracownia, mroczna muzyka saksofonowa — wszystko zaczęło wibrować wokół Julii. Był taki moment, kiedy przestała pracować, zamknęła oczy w oszołomieniu, zaczęła oddychać głęboko i miarowo, żeby oddalić nagły lęk, jaki ją zdjął, kiedy zmylona perspektywą poczuła się nagle wewnątrz obrazu, jakby stół i szachiści znaleźli się naraz po jej lewej stronie, ona tymczasem podążyła w głąb przedstawionej przez van Huysa komnaty, w stronę otwartego okna, obok pogrążonej w lekturze Beatrycze z Burgundii. I wystarczy, że się pochyli, wyjrzy przez parapet i zobaczy to, co jest na dole pod murami: fosę Wrót Wschodnich, gdzie Roger d'Arras zginął od strzały w plecy.

Spokój powrócił dopiero w chwili, kiedy potarła zapałkę. Jednak z trudem przypaliła trzymanego w ustach papierosa, bo dłoń jej drżała, jakby właśnie dotknęła oblicza Śmierci.

— To po prostu klub szachowy — powiedział Cesar, wchodząc po schodach. — Klub Capablanca.

— Capablanca? — Julia z obawą spojrzała w stronę otwartych drzwi. W środku widać było mężczyzn pochylonych nad stolikami i otaczające ich zewsząd grupki gapiów.

— Jose Raul Capablanca — objaśnił antykwariusz, stojąc z laską pod pachą i ściągając kapelusz i rękawiczki.

— Zdaniem wielu, najlepszy szachista wszech czasów... Na całym świecie pełno jest klubów i turniejów jego imienia.

Weszli do lokalu podzielonego na trzy duże sale. W każdej stało z pół tuzina stołów, niemal przy wszystkich toczyły się partie. W pomieszczeniu unosił się szczególny gwar, ni to hałas, ni cisza: coś w rodzaju delikatnego, powściągliwego szemrania,

niewielkiego podniosłego, przypominającego atmosferę pełnego ludzi kościoła. Kilku graczy i ciekawskich popatrzyło na Julię ze zdziwieniem, może nawet z niechęcią: w środku przebywali sami mężczyźni. Pachniało dymem tytoniowym i starym drewnem.

— Kobiety nie grają w szachy? — spytała Julia.

Cesar, który podał jej ramię jeszcze przed wejściem, zastanowił się chwilę.

— Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia — zakonkludował. — Ale jedno jest pewne, że tutaj nie. Może w domu, przy garach i pieluchach.

— Szowinistyczny samiec.

— To tylko koszarne powiedzonko, kochanie. Nie bądź zawistna.

W pierwszej sali powitał ich miły, gadatliwy, wiekowy już jegomość z wyraźną łysiną i starannie przyciętymi wąsikami. Cesar przedstawił go Julii jako pana Cifuentesa, dyrektora Stowarzyszenia Hobbystów imienia Jose Raula Capablanki.

— Liczącego pięciuset stałych członków — uzupełnił chełpliwie gospodarz, pokazując trofea, dyplomy i zdjęcia wiszące na ścianach. — Organizujemy też ogólnohiszpański turniej. . . — Zatrzymał się przed gablotą, w której znajdowały się bardzo stare

szachownice z figurami i pionami. — Ładne, prawda...? Oczywiście używamy tu wyłącznie kompletów Stauntona.

Zwrócił się do Cesara, oczekując wyrazów aprobaty, antykwariusz zmusił się więc do jakiejś adekwatnej miny.

— Oczywiście — przytaknął, a Cifuentes odpowiedział życzliwym uśmiechem.

— Drewno, uważa pan? — zagadnął. — Żadnych tworzyw sztucznych.

— Rozumie się samo przez się.

Cifuentes z zadowoleniem obrócił się ku Julii.

— Musi pani wpaść w sobotnie popołudnie. — Rozejrzał się z dumą jak kwoka za swymi kurczętami. — Dziś jest normalny dzień, ot, amatorzy wpadają po pracy na partyjkę przed powrotem do domu, emerycy spędzają tu cały wieczór... Bardzo miły widok, jak państwo się przekonali, bardzo...

— Budujący — palnęła Julia ni z gruszki, ni z pietruszki. Ale Cifuentesowi to określenie przypadło do gustu.

— Otóż to, budujący. Jak państwo widzą, jest tu sporo młodych. . . Ten tam trochę tu nie pasuje. W wieku dziewiętnastu lat napisał stustronicowe opracowanie na temat czterech kierunków debiutu Nimzowitscha.

— Coś podobnego, Nimzowitscha? Nie do wiary. . . To — Julia z rozpaczą szukała słowa — porażające.

— No, może porażające to za wielkie słowo — przyznał uczciwie Cifuentes. — Ale na pewno istotne.

Dziewczyna spojrzała na Cesara w poszukiwaniu ratunku, ale antykwariusz tylko puścił do niej oko i uprzejmie przysłuchiwał się rozmowie. Pochylał głowę w stronę Cifuentesa, dłonie dzierżące laskę i kapelusz trzymał za plecami i miał ubaw na całego.

— Ja też — dodał szachista, celując kciukiem w pierwszy guzik kamizelki — dołożyłem przed laty drobny kamyczek do tego gmachu. . .

— Nie może być — odezwał się Cesar.

Julia zerknęła na niego zaniepokojona.

— Słuch pana nie myli. — Dyrektor uśmiechał się z nienaturalną skromnością. — Podwariant obrony Caro-Kann, w systemie dwóch skoczków. Wiedzą państwo: skoczek

na linię trzecią, goniec na linię damy... Tak zwany wariant Cifuentesa. — Spojrzał na Cesara z nadzieją. — Może słyszeli państwo?

— Niech pan w to nie wątpi — odparł antykwariusz z zimną krwią.

Cifuentes uśmiechnął się z radością.

— Proszę mi wierzyć, że nie przesadzę, jeśli powiem, że w tym klubie, czy może raczej towarzystwie rekreacyjnym, jak wolę go nazywać, spotykają się najświetniejsi szachiści Madrytu, a może i całej Hiszpanii... — Coś mu się przypomniało. — Jasne, udało mi się namierzyć człowieka, którego państwo szukają — rozejrzał się i twarz mu pojaśniała. — Tak, jest tu. Zaprowadzę państwa.

Poszli za nim przez salę w stronę stolików stojących w głębi.

— Nie było łatwo — tłumaczył Cifuentes po drodze — bo cały dzień powracałem do tematu... Ostatecznie — z przeproszającą miną zwrócił się lekko w stronę Cesara — prosił pan, bym mu polecił najlepszego.

Zatrzymali się w niewielkiej odległości od stolika, przy którym dwóch mężczyzn rozgrywało partię w otoczeniu grupki gapiów. Jeden z graczy leciutko bębnił palcami w blat koło szachownicy, nad którą pochylał się z poważnym wyrazem twarzy, jaki

Julia widziała u postaci namalowanych przez van Huysa. Naprzeciw niego na drewnianym krześle siedział nieruchomo drugi gracz. Bębnienie najwidoczniej absolutnie mu nie przeszkadzało. Dłonie trzymał w kieszeniach spodni, podbródek opuścił na węzeł krawata. Nie sposób było orzec, czy jego wbite w szachownicę oczy rzeczywiście patrzą na znajdujący się na niej układ, czy może gdzieś w przestrzeń, ku myślom dalekim od rozgrywki.

Widzowie zachowywali pełne uszanowania milczenie, jakby toczyła się przed nimi walka na śmierć i życie. Na planszy zostało już niewiele bierek, pomieszanych tak, że nowo przybyli nie potrafili odgadnąć, kto grał białymi, a kto czarnymi. Po paru minutach gracz, który bębnił palcami, tą sumą dłonią przesunął białego gońca na pole między własnym królem a czarną wieżą. Wykonawszy ruch, zerknął przelotnie na przeciwnika, po czym ponownie zadumał się nad szachownicą, wrócił też do bębnienia palcami.

Na posunięcie szachisty zgromadzeni zareagowali długim pomrukiem. Zbliżywszy się, Julia zauważyła, że drugi szachista, który ani na moment nie zmienił pozycji, wpatruje się w przesuniętego gońca. Trwał w ten sposób dłuższą chwilę, aż wreszcie, ruchem tak powolnym, że trudno było przewidzieć jego cel, przestawił czarnego konika.

— Szach — powiedział i znowu zastygł w bezruchu, nie zwracając uwagi na szmer aprobaty wokół.

Julia nagle pojęła, że to on musi być człowiekiem, którego chciał poznać Cesar, a którego polecił im Cifuentes. Zaczęła przyglądać mu się z uwagą. Był troszkę po czterdziestce, bardzo szczupły, średniego wzrostu. Włosy zaczesywał do tyłu bez przedziałka, na czole robiły mu się spore zakola. Miał dość duże uszy, nieco orli nos, ciemne oczy głęboko osadzone w oczodołach, przez co sprawiał wrażenie, jakby patrzył na świat z nieufnością. Jego wygląd zupełnie nie zdradzał inteligencji, bez której, zdaniem Julii, szachista nie mógł się obejść. Przypominał raczej ospałego abnegata, apatycznego wobec otoczenia. Z rozczarowaniem pomyślała, że wygląda na kogoś, kto po rozegraniu dobrej partii szachów niewiele już się spodziewa po sobie samym.

A mimo to — czy raczej właśnie dlatego, z powodu owego nieskończonego znużenia, jakie malowało się na jego nieruchomej twarzy — kiedy przeciwnik przesunął swojego króla o jedno pole do tyłu, a on wyciągnął powoli prawą rękę ku bierkom,

w ich kącie sali zapanowała zupełna, niczym niezmacona, cisza. Julia, zapewne patrząc na wszystko okiem przybysza z zewnątrz, ze zdziwieniem domyśliła się, że widzowie nie lubią tego gracza, nie darzą go ani krztyną sympatii. Wyczytała w ich twarzach, że niechętnie, bo niechętnie, ale uznają jego wyższość na szachownicy, ponieważ jako kibice nie mogli nie docenić powolnej i nieubłaganej precyzji, z jaką przesuwiał figury i pionki po czarno-białych polach. W głębi duszy jednak — co do tego dziewczyna nie wiedzieć czemu nabrała absolutnej pewności — wszyscy żywili nadzieję, że będą kiedyś świadkami, jak temu człowiekowi powinie się noga, jak popełni błąd, który pograży go w oczach przeciwnika.

— Szach — powtórzył zawodnik. Zrobił właśnie ruch pozornie bardzo prosty, ot, przesunął pionek o jedno pole naprzód, ale jego rywal przestał bębnić palcami i potarł nimi skroń, jakby chciał uśmierzyć rozdygotany puls. Następnie przeniósł króla o jedno pole wstecz i po przekątnej. Julii wydawało się, że dysponował co najmniej trzema polami do ucieczki, ale z niezrozumiałych dla niej powodów wybrał akurat to. Szmer podziwu w pobliżu dowodził słuszności ruchu, ale jego przeciwnik nawet nie drgnął.

— Tam groziłby mat — odezwał się głosem, w którym nie było śladu triumfu, odrobiny współczucia, tylko suchy komunikat. Wypowiedział te słowa, zanim ruszył którąkolwiek bierkę, jakby nie uważał za konieczne wspierania ich demonstracją w praktyce. I dopiero wówczas, prawie z niechęcią, nie zwracając uwagi na zaskoczone spojrzenie rywala i sporej części widzów, wzdłuż dzielącej szachownicę na pół przekątnej z białych kwadratów przeciągnął swojego gońca, niby przybysza z daleka, i postawił go w pobliżu przeciwnego króla, choć jeszcze nie w pozycji bezpośredniego ataku. Słyszając gwar komentarzy wokół stolika, Julia rzuciła okiem na sytuację na planszy. Nie знаła się za bardzo na szachach, ale o ile się orientowała, szach-mat oznaczał bezpośrednio zagrożenie króla. Tymczasem biały król wydawał się na razie bezpieczny. Popatrzyła na Cesara, licząc na jakieś wyjaśnienia, potem na Cifuentesa. Dyrektor uśmiechnął się dobrodusznie, kręcąc z podziwem głową.

— Rzeczywiście, to byłby mat w trzech posunięciach. . . — poinformował Julię. — Cokolwiek zrobi biały król, nie ma już ucieczki.

— To ja nic nie rozumiem — odparła. — Co się stało?

Cifuentes zaśmiał się dyskretnie.

— Czarny goniec mógł zadać decydujący cios, chociaż nikt z nas tego nie zauważył, dopóki facet go nie ruszył. . . Rzecz w tym, że nasz jegomość, mimo że zna doskonałe posunięcie, nie chce go skutecznić. Przesunął gońca, żeby nam pokazać prawidłowy ruch, ale postawił go na niewłaściwym polu, gdzie jego figura jest całkowicie niegroźna.

— Dalej nie rozumiem — rzekła Julia. — Czy on nie chce wygrać partii?

Dyrektor klubu Capablanca wzruszył ramionami.

— To jest właśnie najdziwniejsze. . . Przychodzi tu od pięciu lat, jest najlepszym szachistą, jakiego znam, ale nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wygrał partię.

W tym momencie gracz podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Julii. Cała jego pewność siebie, cały spokój, jakie zademonstrował podczas gry, nagle gdzieś się ulotniły. Tak jakby po zakończeniu rozgrywki i powrocie do rzeczywistości ów człowiek utracił przymioty, które zaskarbiły mu szacunek i zawiść pozostałych. I dopiero teraz Julia zwróciła uwagę, że ma pospolity krawat, brązową marynarkę pomiętą na plecach i wypchaną na łokciach, niebieskawy zarost na podbródku nieporządnie ogolonym o piątą czy szóstą rano, nim jego właściciel wsiadł do metra lub autobusu, żeby pojechać do pracy. Nawet oczy straciły blask, stały się matowe i szare.

IV. Trzeci gracz

— Jakie to dziwne — zwrócił mi uwagę Holmes kilka wieczorów później — że aby poznać przeszłość, czasami trzeba najpierw poznać przyszłość.

Raymond M. Smullyan,
Zagadki szachowe Sherlocka Holmesa
(przeł. Anna Wójtowicz)

— To prawdziwa partia — orzekł Munoz. — Trochę dziwna, ale logiczna. Przed chwilą był ruch czarnych.

— Na pewno? — spytała Julia.

— Na pewno.

— Skąd pan wie?

— Wiem.

Znajdowali się w jej pracowni, przed obrazem oświetlonym wszystkimi światłami, jakie były w domu. Cesar siedział na sofie, Julia na stole, a Munoz, nieco speszony, stał przed van Huyssem.

— Wypije pan kieliszeczek?

— Nie.

— Papierosa?

— Też nie. Nie palę.

Sytuacja była nieco kłopotliwa. Skrępowany szachista ciągle stał w pogniecionym gabardynowym płaszczu, zapięty pod szyję, jak gdyby rezerwował sobie prawo do nagłego pożegnania się i wyjścia bez żadnego usprawiedliwienia. Zachowywał się ponuro i nieufnie. Zresztą wcale nie przyszło im łatwo zaciągnąć go aż tutaj. Początkowo, kiedy Cesar i Julia przedstawili mu problem, Munoz zrobił minę, która nie wymagała

komentarzy. Wziął ich za parę pomyleńców. Później przyjął postawę obronną: stał się podejrzliwy. Państwo wybaczą, jeśli ich urazi, ale cała ta historia ze średniowiecznymi morderstwami i partią szachów na obrazie jest cokolwiek dziwaczna. A nawet jeśli oni mówią prawdę, to nie bardzo rozumie, co on ma z tym wszystkim wspólnego. Ostatecznie, powtarzał, jakby tą informacją chciał ich wystarczająco zniechęcić, jest tylko księgowym. Urzędnikiem.

— Ale gra pan w szachy — swoją odpowiedź Cesar okraślił jednym z najbardziej uwodzicielskich uśmiechów. Przeszli właśnie przez ulicę i siedli w barze tuż koło wagi automatycznej, która co i raz zagłuszała ich rozmowę jednostajną muzyczką wabiącą naiwnych.

— Tak, no i cóż? — nie powiedział tego wyzywająco, raczej obojętnie. — Wielu ludzi gra. Nie bardzo wiem, dlaczego akurat ja. . .

— Podobno pan jest najlepszy.

W oczach szachisty, gdy popatrzył na Cesara, czaiło się coś niejasnego. Julii wydawało się, że tym spojrzeniem mówi: może i jestem, ale to nie ma nic wspólnego ze sprawą. Być najlepszym niczego nie oznacza. Można być najlepszym, podobnie jak

można być blondynem albo mieć płaskostopie, co nie jest równoznaczne z koniecznością demonstrowania tego faktu całemu światu.

— Gdyby tak było, jak pan mówi — odezwał się po chwili — pojawiałbym się na turniejach i takich tam. A nie robię tego.

— Dlaczego?

Munoz rzucił okiem na swoją pustą już filiżankę po kawie i wzruszył ramionami.

— Bo nie. Do tego trzeba mieć ochotę na różne rzeczy. Po pierwsze na to, żeby być pierwszym. . . — Spojrzał na nich, jakby nie za bardzo był pewien, czy rozumieją jego słowa. — A mnie jest wszystko jedno.

— Teoretyk — zawyrokował Cesar tonem, w którym Julia doczytała się ukrytej ironii.

Munoz wytrzymał wzrok antykwariusza, w zamyśleniu szukając stosownej odpowiedzi.

— Może — odrzekł wreszcie. — Dlatego nie sądzę, bym mógł się państwu na coś przydać.

Już miał wstać, ale powstrzymała go Julia, kładąc mu dłoń na ramieniu. W tym krótkim geście kryło się żarliwe błaganie, które później Cesar, kiedy już byli sami, określił — unosząc brew — jako wyważoną manifestację kobiecości, kochanie, niby dama, która prosi o pomoc, nie wykraczając poza przyjęte obyczaje, ale jednocześnie zapobiegając odfrunięciu ptaszka. On sam nie byłby w stanie zrobić tego lepiej, wydałby tylko z siebie trwożny krzyk, zupełnie w tej sytuacji nieskuteczny. W każdym razie Munoz spojrział przelotnie w dół na dłoń, którą Julia już cofała, i pozostał na krześle, ślizgając się wzrokiem po stoliku, obserwując własne niezbyt czyste paznokcie i dłonie, spoczywające nieruchomo po obydwu stronach filiżanki.

— Potrzebujemy pańskiej pomocy — powiedziała cicho Julia. — Zapewniam pana, chodzi o coś ważnego. Ważnego dla mnie i dla mojej pracy.

Szachista przechylił trochę głowę i popatrzył na nią — nie w oczy, ale na podbródek, jakby się bał, że jeśli ich spojrzenia się spotkają, będzie zmuszony do pójścia na układ, jakiego nie zamierza przyjąć.

— Nie sędzę, żeby mnie to interesowało — odparł po chwili.

Julia pochyliła się nad stołem.

— Proszę sobie wyobrazić, że to zupełnie inna partia od tych, jakie grał pan dotąd. . . Partia, którą akurat warto wygrać.

— Nie rozumiem, dlaczego miałyby być inna. W sumie wszystkie partie są takie same.

Cesar zaczynał się niecierpliwić.

— Zapewniam pana, drogi przyjacielu — antykwariusz zdradzał wzburzenie okręcając topaz wokół palca — że w żaden sposób nie potrafię sobie wytłumaczyć pańskiej niezrozumiałej apatii. . . To dlaczego pan w ogóle gra w szachy?

Szachista zamyślił się, omiótł błat wzrokiem, ale tym razem nie zatrzymał go na podbródku Cesara, lecz spojrzął mu prosto w oczy.

— Być może — rzekł ze spokojem — z tego samego powodu, dla którego pan jest homoseksualistą.

Wydawało się, że nad stolikiem powiał lodowaty wiatr. Julia gwałtownie zapaliła papierosa, dosłownie przerażona nietaktowną uwagą, którą zresztą Munoz wypowiedział bez jakiegokolwiek nacisku czy agresji. Przeciwnie, szachista przypatrywał się antykwariuszowi z uprzejmą ciekawością, jakby spodziewał się odpowiedzi szanowne-

go rozmówcy w ramach całkiem konwencjonalnej wymiany zdań. Dziewczyna uznała, że w jego spojrzeniu nie było żadnych intencji, za to może raczej naiwność niezdarnego zagranicznego turysty, który nieświadomie narusza miejscowe normy.

Cesar tylko pochylił się nieco w stronę Munoza z lekkim zainteresowaniem. Po jego wąskich bladych ustach błąkał się uśmiech rozbawienia.

— Mój drogi przyjacielu — powiedział łagodnie. — Z pańskiego tonu i powierzchowności wnoszę, że nie żywi pan obiekcji wobec takich czy innych atrybutów, jakie cechują moją skromną osobę. . . Podobnie mniemam, że nie żywił ich pan wobec białego króla względnie szachisty, z którym grał pan przed chwilą w klubie. Czy się mylę?

— Raczej nie.

Antykwariusz zwrócił się do Julii.

— Pojmujesz, księżniczko? Wszystko jest w porządku, nie ma powodu do niepokoju. . . Ten czcigodny człowiek chciał nam tylko dać do zrozumienia, że gra w szachy wyłącznie z uwagi na grę samą w sobie, która stanowi sedno ich natury. — Na ustach Cesara zamajaczył wyrozumiały uśmiech. — Ma to potwornie dużo wspólnego z zagadnieniami, kombinacjami, marzeniami. . . Cóż takiego w porównaniu z tym może mu

dostarczyć prozaiczny szach-mat? — Odchylił się w krześle i popatrzył w oczy Munozowi, który odwzajemniał spojrzenie z niezmaconym spokojem. — Ja panu to powiem: otóż nie dostarcza panu niczego. — Uniósł dłonie, jakby zachęcał Julię i szachistę, by się przekonali o prawdziwości jego słów. — Nie mam racji, przyjacielu. . . ? Szach-mat to tylko przykra kropka nad i, wymuszony powrót do rzeczywistości. — Potarł nos. — Do realnej egzystencji, do zwyczajnej, codziennej rutyny.

Po tym przemówieniu Munoz chwilę nic nie mówił.

— Zabawne. — Przymknął oczy, szkicując na twarzy jakiś wstęp do uśmiechu, który jednak ostatecznie tam nie zagościł. — Chyba dokładnie o to chodzi. Ale nigdy nikt nie powiedział tego na głos.

— Raduje mnie, że oświeciłem pana w tej materii — odpowiedział znacząco Cesar i zaśmiał się, czym zasłużył sobie na wyrzut w oczach Julii.

Szachista nie był już tak pewny siebie, może nawet zbity z pantałyku.

— Pan też gra w szachy?

Cesar wybuchł krótkim śmiechem. Ależ on od rana nieznośnie afektowany — pomyślała Julia. — Zawsze taki jest, kiedy ma odpowiednią publiczność.

— Jak wszyscy, znam zasady, według których poruszają się bierki. Ale ta gra ani mnie grzeje, ani ziębi. — Utkwił w Munozie wzrok i naraz spoważniał. — Moja gra, szanowny przyjacielu, polega na tym, żeby uniknąć szachu, w jakim chce mnie postawić życie, a to niemało. — Wskazał siebie i rozmówcę gestem dłoni, w którym była i niechęć, i delikatność. — I jak pan, mój drogi, jak wszyscy, muszę uciekać się do drobnych sztuczek, żeby jakoś szło.

Munoz zerknął, wciąż zakłopotany, w stronę wyjścia na ulicę. W skąpym świetle baru wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego, cień w oczach wydawał się jeszcze głębszy. Wielkie uszy nad kołnierzem płaszcza, wydatny nos i koścista twarz — wszystko to sprawiało, że przypominał niezgrabne chude psisko.

— Zgoda — powiedział. — Pójdę z państwem obejrzeć ten obraz.

I teraz, już w pracowni, czekali, aż Munoz wyda werdykt. Jego początkowe skrepowanie, wywołane obecnością w nieznanym domu obok ładnej dziewczyny, antykwariusza o podejrzanym skłonnościach i dziwnego obrazu, stopniowo ustępowało, w miarę jak uwagę przybysza pochłaniała namalowana partia szachów. Przez pierwsze minuty stał nieruchomo na uboczu i przyglądał się jej bez słowa, trzymając ręce za plecami. Ju-

lia odniosła wrażenie, że identycznie zachowywali się gapie w klubie Capablanca, śledząc rozgrywane przez innych partie. Zresztą on robił w tej chwili dokładnie to samo. Wszyscy milczeli. Wreszcie Munoz poprosił o ołówek i kartkę, by po krótkim zastanowieniu, co i raz podnosząc wzrok na malowidło, przenieść na papier sytuację z szachownicy.

— Z którego wieku jest ten obraz? — spytał. Na kartce widniał kwadrat podzielony pionowymi i poziomymi liniami na sześćdziesiąt cztery pola.

— Z końca piętnastego — odrzekła Julia.

Munoz potarł czoło.

— Data jest tu ważna. W tamtych czasach reguły w szachach były prawie takie same, jak dzisiaj, ale ruchy niektórych figur ciągle jeszcze się nieco różniły. . . Na przykład hetman mógł się poruszać na skos tylko o jedno pole, potem o trzy. Natomiast rozszyby królem nie znano do czasów średniowiecznych — odłożył rysunek i jął przypatrywać się obrazowi z większą uwagą. — Jeśli ten, co namalował partię, zastosował się do nowoczesnych reguł, może uda nam się rozwiązać problem. Jeśli nie, będzie trudno.

— Rzec się dzieje na ziemiach, które dziś należą do Belgii — zaznaczył Cesar. — Około tysiąc czterysta siedemdziesiątego roku.

— Czyli nie powinno być problemu. W każdym razie takiego, którego nie da się rozwiązać.

Julia wstała od stołu i wpatrując się w namalowaną szachownicę podeszła do obrazu.

— Skąd pan wie, że właśnie był ruch czarnych?

— To oczywiste. Wystarczy popatrzeć na usytuowanie bierek. Albo na graczy. — Munoz wskazał Ferdynanda Ostenburskiego. — Ten z lewej, grający czarnymi, patrzy w stronę malarza, czyli w naszą, i widać, że jest zrelaksowany. Nawet wyluzowany, jakby bardziej zajmowali go widzowie, a nie szachownica. . . — Teraz pokazał na Rogera d'Arras. — Ten z kolei przygląda się posunięciu, które właśnie zostało zrobione. Widzą państwo, jaki jest skupiony? — Wrócił do swojego szkicu. — Poza tym jest jeszcze jedna metoda, która pozwoli nam to ustalić. I właśnie nią się teraz posłużymy. Nazywa się analizą wsteczną.

— Jaką analizą?

— Wsteczną. Wychodząc z określonego układu na szachownicy, należy odtworzyć partię do tyłu, żeby stwierdzić, jak do niego doszło... Mówiąc prościej, coś w rodzaju odwrotnych szachów. Rozumowanie indukcyjne: zaczynamy od rezultatów, a dochodzimy do przyczyn.

— Jak Sherlock Holmes — zauważył z wyraźnym zaciekawieniem Cesar.

— Coś w tym rodzaju.

Julia spojrzała na Munozę z niedowierzaniem. Dotychczas uważała, że szachy to gra może trochę trudniejsza od warcabów albo domina, przy której trzeba być nieco bardziej skupionym i bystrym. Dlatego tak ją zdumiało podejście Munozy do van Huysa. Nie ulegało wątpliwości, że w tej przestrzeni o trzech planach — w postaci lustra, komnaty i okna — gdzie rozgrywało się odtworzone przez Pietera van Huysa wydarzenie, w przestrzeni, w której ona sama doznała zawrotu głowy na skutek po mistrzowsku uzyskanego efektu optycznego, Munoz czuł się jak u siebie w domu, nie bacząc na czas i postacie, na niepokojące związki między nimi, o których do tego momentu przecież nawet nie miał pojęcia, jak zresztą i o samym obrazie. Poruszał się tu swobodnie, jakby z miejsca był w stanie przyswoić sobie układ bierek i jakby nigdy nic wejść w tę

grę, odrzucając całą resztę. Na dokładkę, w miarę analizowania „Partii szachów” Munoz pozbywał się początkowego zakłopotania, nie był już małomówny i zmieszany jak w barze, znów przypominał tego niewzruszonego, pewnego siebie szachistę, którego widziała w klubie Capablanca. Może wystarczyła szachownica, by ten szorstki, niezdecydowany, szary człowiek odzyskał rezon i swobodę. — To znaczy, że można rozegrać tę namalowaną partię w tył aż do początku?

Munoz zrobił jedną z tych swoich min, z których nic konkretnego nie wynikało.

— Nie wiem, czy aż do początku... Ale chyba możemy odtworzyć kilka ruchów.
— Spojrzał na obraz, jakby widział go w innym świetle, po czym zwrócił się do Cesara:
— Jak rozumiem, tego właśnie oczekuje od nas malarz.

— Pan to musi sprawdzić — odparł antykwariusz. — Przewrotne pytanie brzmi: kto zbił konika?

— Białego skoczka — uściślił Munoz. — Bo tylko jeden jest poza szachownicą.

— To oczywiste — powiedział Cesar i dodał z uśmiechem: — drogi Watsonie.

Szachista nie zwrócił uwagi na żart, a może nie chciał tego dać po sobie poznać. Poczucie humoru z pewnością nie należało do cech, które można mu było przypisać.

Julia podeszła do sofy i usiadła obok antykwariusza, podniecona jak mała dziewczynka oglądająca niezwykle przedstawienie. Munoz pokazał im ukończony właśnie szkic.

— To jest sytuacja, jaką widzimy na obrazie

— ... Jak państwo zauważyli, przypisałem każdemu polu pewne współrzędne, żeby ułatwić lokalizację bierek. Szachownicę widzimy tu z perspektywy gracza z prawej strony. . .

— Rogera d'Arras — uzupełniła Julia.

— Rogera d'Arras czy jak mu tam. Rzecz w tym, że patrząc na szachownicę z tej strony, numerujemy poziome linie, czyli rzędy pól od jednego do ośmiu idąc w głąb, a liniom pionowym, czyli kolumnom, przyporządkowujemy litery od A do H — mówiąc, pokazywał ołówkiem. — Są jeszcze pewne klasyfikacje techniczne, ale darujemy je sobie.

— Każdy znak odpowiada jednemu rodzajowi bierki?

— Tak. To konwencjonalne oznaczenia, czarne i białe. Pod spodem umieściłem legendę.

— ... W ten sposób, mając nawet niewielkie pojęcie o szachach, łatwo stwierdzić, że na przykład czarny król jest na polu a 4. A z kolei na f 1 mamy białego gońca... Rozumie pani?

— Doskonale.

Munoz wskazał teraz inne symbole.

— Na razie zajmowaliśmy się bierkami stojącymi na szachownicy. Ale żeby zanalizować partię, musimy wiedzieć, które znalazły się już poza nią. — Popatrzyl na obraz.

— Jak się nazywa szachista z lewej?

— Ferdynand Ostenburski.

— Otóż Ferdynand Ostenburski gra czarnymi i zbił przeciwnikowi następujące białe bierki.

— ... Czyli: gońca, skoczka i dwa piony. Z kolei ten cały Roger d'Arras zbił drugiemu graczowi to.

— ... W sumie: cztery piony, wieżę i gońca. — Munoz zamyślił się nad szkicem. — Patrząc na partię od tej strony, białe uzyskały przewagę nad czarnymi: wieża, piony i tak dalej. Ale, o ile dobrze zrozumiałem, nie o to chodzi, tylko o to, kto zbił skoczka. Bez wątplenia jakaś czarna bierka, co jest naturalnie truizmem, ale trzeba się posuwać krok za krokiem, od podstaw. — Spojrzał na Cesara i Julię, jakby uznał, że musi się usprawiedliwić. — Nic bardziej zwodniczego niż fakty oczywiste. Ta zasada logiczna znajduje zastosowanie w szachach: coś, co wydaje się ewidentne, wcale niekoniecznie staje się rzeczywistością. . . Podsumowując: naszym zadaniem jest stwierdzić, która czarna bierka na szachownicy lub poza nią zbiła białego skoczka.

— Czyli kto zabił rycerza — dopowiedziała Julia.

— A to już nie jest moja sprawa, szanowna panienko — odparł wymijająco Munoz.

— Proszę mi mówić Julia.

— No więc, to nie moja sprawa, panno Julio. . . — Zagłębił się w kartkę ze szkicem, jakby tam miał zapisany zarys rozmowy, w której stracił na chwilę wątek. — Mam wrażenie, że poprosili mnie państwo, abym doszedł, która bierka zbiła skoczka. Jeśli na tej podstawie państwo wyciągną jakieś wnioski albo rozszyfrują łamigłówkę, to wspaniale.

— Podniósł na nich stanowczy wzrok, jakby właśnie skończył długi wywód techniczny i dopominał się odzewu. — W każdym razie tym powinni się zająć państwo. Ja przyszedłem w odwiedziny. Jestem tylko szachistą.

Cesar uznał to rozumowanie za rozsądne.

— Nie widzę przeciwwskazań. — Antykwariusz zerknął na Julię. — Pan pokaże nam kroki, a my je zinterpretujemy. . . Praca zespołowa, kochanie.

Zapaliła kolejnego papierosa i zaciągając się, skinęła głową. Zbyt ją to pochłonęło, żeby zwracała uwagę na jakieś szczegóły. Położyła dłoń na dłoni Cesara i wyczuła jego delikatny, spokojny puls. Potem podciągnęła nogi i usiadła na sofie po turecku.

— Ile czasu zajmie nam rozwiązanie?

Szachista poskrobał się po niedogolonym podbródku.

— Nie wiem. Pół godziny, może tydzień. . . Zależy.

— Od czego?

— Od wielu rzeczy. Od tego, jak dobrze uda mi się skoncentrować. Również od szczęścia.

— A mógłby pan zacząć zaraz?

— Jasne. Już zacząłem.

— No to prosimy.

Ale w tym momencie zadzwonił telefon i partię szachów trzeba było odłożyć.

Dużo później Julia twierdziła, że przeczuwała, co się wydarzyło. Jak jednak sama przyznała, takie rzeczy łatwo twierdzić ex post. Utrzymywała również, że właśnie w tamtym momencie uświadomiła sobie, jak strasznie sprawy się komplikują. W rzeczywistości, o czym wkrótce się przekonała, sprawy zaczęły się komplikować dużo wcześniej, a teraz były już całkiem zagmatwane, choć ich najbardziej ponure oblicze jeszcze nie zdążyło wyjść na światło dzienne. W sumie można wręcz powiedzieć, że wypadki zaczęły się toczyć w 1469 roku, kiedy najemny kusznik, anonimowy czarny pionek w tej grze, napiął naoliwioną cięciwę i stanął na pozycji wedle fosy zamku ostenburskiego, by z myśliwską cierpliwością oczekiwać nadejścia człowieka, za którego głowę zdążył zainkasować już pełen mieszek złota.

Początkowo policjant nie zachowywał się jakoś szczególnie nieprzyjemnie, zważywszy okoliczności i zważywszy, że był policjantem. Aczkolwiek, mimo przynależności do Wydziału Śledczego do spraw Sztuki, wcale nie różnił się od kolegów po fachu. Związki ze środowiskiem, w którym obracał się ze względów służbowych, pozostały, owszem, pewne subtelne ślady: potrafił powiedzieć „dzień dobry” czy „proszę spocząć”, umiał też zawiązać sobie z klasą krawat. Poza tym przemawiał powoli, nie zalewał potokiem słów i często kiwał głową, nie przerywając rozmówcy, choć Julia nie była pewna, czy ten ruch ma służyć wzbudzeniu zaufania u innych, czy też ukryciu faktu, że policjant właśnie buja w obłokach. Był niski i otyły, ubierał się na brązowo i nosił dziwaczne meksykańskie wąsy. W materii sztuki jako takiej nadinspektor Feijoo skromnie uważał się za amatora: kolekcjonował zabytkowe noże.

Wszystko to Julia zaobserwowała w gabinecie komisariatu przy alei Prado w ciągu pierwszych pięciu minut relacji, w której Feijoo zawarł niektóre makabryczne szczegóły śmierci Alvara. Profesora Ortegę znaleziono leżące w wannie z czaszką rozbity na skutek poślizgnięcia się podczas kąpieli, i był to oczywiście fakt godny ubolewania. Może dlatego też inspektorowi, podobnie jak Julii, wcale nie było przyjemnie, gdy

zdradzał okoliczności, w jakich denat został odkryty przez sprzątaczkę. Jednak znacznie poważniejszą sprawą było to — Feijoo szukał słów, wreszcie spojrział przygnębiony na dziewczynę, jakby chciał ją nakłonić do refleksji nad kruchością ludzkiego losu — że oględziny przeprowadzone przez lekarza sądowego wykazały pewne niepokojące szczegóły: nie sposób było ściśle ustalić, czy śmierć nastąpiła przypadkowo, czy została przez kogoś zadana. Mówiąc innymi słowy, istniała ewentualność — inspektor dwukrotnie powtórzył słowo ewentualność — że pęknięcie podstawy czaszki nastąpiło pod działaniem innego twardego przedmiotu, którego nie należy utożsamiać z wanną.

— Chce pan powiedzieć — Julia z niedowierzaniem oparła się o biurko — że ktoś mógł go zabić, kiedy się kąpał?

Mina policjanta miała bez wątpienia zasugerować jej, że nie należy posuwać się za daleko w domysłach.

— Ja tylko wspomniałem o takiej możliwości. Wizja lokalna i pierwsze badanie przemawiały z grubsza raczej za wypadkiem.

— Z grubsza...? Co pan ma na myśli?

— To, co wiemy. Ot, szczegóły, jak rodzaj złamania, usytuowanie denata. . . Są to zagadnienia techniczne, których wolałbym pani oszczędzić, ale które wpędzają nas w niejakie zakłopotanie, budzą uzasadnione wątpliwości.

— To śmieszne.

— Mógłbym się z panią zgodzić. — Jego usta i meksykański wąs układały się teraz w pełną ubolewania literę Ó. — Ale bliższe oględziny nie pozwalają na to: profesor Ortega musiał zginąć od ciosu w kark. . . Następnie ktoś go rozebrał, zaciągnął do wanny i odkręcił krany, żeby upozorować wypadek. . . Obecnie trwa kolejne badanie, rozważamy ewentualność, że zmarły otrzymał dwa ciosy, pierwszy, który go powalił, a drugi dla pewności, że nie żyje. Oczywiście — odchylił się do tyłu w krzesło, skrzyżował ramiona i obserwował dziewczynę ze spokojem — to tylko hipotezy.

Julia patrzyła na oficera i miała wrażenie, że ktoś się z niej ordynarnie nabija. Nie była zdolna przyjąć tego, co usłyszała, nie potrafiła połączyć w jeden obraz Alvara i sugestii nadinspektora Feijoo. Głos wewnętrzny podpowiadał jej, że to jakaś pomyłka w papierach, że mówią tu o kimś innym. Przecież to niemożliwe, żeby ten Alvaro, którego znała, leżał zamordowany ciosem w kark niczym królik, nagi, z otwartymi oczami

i w strumieniu zimnej wody. To jakiś idiotyzm. Może sam Alvaro zdążył jeszcze docenić absurdalność całej sytuacji.

— Wyobraźmy sobie przez chwilę — powiedziała po krótkim namyśle — że śmierć nie nastąpiła przypadkowo. . . Kto mógłby mieć powód, żeby go zabić?

— Jak mówią w filmach, bardzo dobre pytanie. . . — Policjant przygryzł dolną wargę przednimi zębami w czujnym uśmiechu. — Mówiąc bez ogródek, nie mam bladego pojęcia — tu zrobił pauzę. Patrzył na nią tak otwarcie, że aż nieszczerze. Chciał stworzyć wrażenie, że wyłożył wszystkie karty na stół. — Po prawdzie liczę tu na pani współpracę.

— Na moją? Dlaczego?

Inspektor zmierzył ją powoli wzrokiem. Przestał być miły, jego mina zdradzała jakieś prostackie zaciekawienie, jakby usiłował nawiązać dwuznaczne porozumienie.

— Miała pani z denatem związek. . . Proszę wybaczyć, ale mam dość niewdzięczny zawód. — Sądząc po zadufanym uśmiechku, widocznym spod wąsów, wcale nie czuł w tym momencie niewdzięczności wobec swego zawodu.

Wyciągnął z kieszeni paczkę zapalek z nadrukiem znanej czterogwiazdkowej restauracji i w pseudoelegancki sposób przypalił papierosa, którego Julia wsunęła właśnie w usta. — Rozumie pani, hm, przygodę. Mam dobre informacje?

— Dobre. — Julia wypuściła kłęb dymu i, wściekła, przymknęła ze zdenerwowania oczy. „Przygoda”. Tym banalnym słowem policjant streścił cały kawał jej życia, wciąż nie do końca zablizniony. A na dodatek — pomyślała — ten gruby prostak z beznadziejnymi wąsami na pewno uśmiecha się w duchu, taksując wzrokiem nowy towar. Laseczka tego trupa jest całkiem-całkiem — rzuci zaraz przy piwie kolegom w kantine. Z łóżka bym nie wykopał.

Sytuacja miała jednak bardziej niepokojące aspekty. Alvaro nie żyje. Niewykluczone, że został zamordowany. Może to i absurd, ale ona siedzi teraz na komisariacie, a w całej sprawie jest zbyt wiele niejasności, których nie umie pojąć. A jeśli pewnych rzeczy się nie pojmuje, to zaczyna być niebezpiecznie.

Czuła, że cała jest napięta i czujna, gotowa do obrony. Spojrzała na Feijoo, który już nie wyglądał na współczującego poczciwca. Wszystko to są zasady taktyki — powiedziała w duchu. Usiłując przywołać spokój, pomyślała, że inspektor też nie ma

powodów, żeby zachowywać się rozważnie. W końcu wykonywał tylko swoją robotę, nie różnił się od innych policjantów, był tak samo tępy i ordynarny. Postarała się wejść w jego skórę i wtedy przyszło jej do głowy, że ona jest po prostu jego tropem: eks-narzeczoną denata. Jediną nitką.

— Ale ta przygoda to już przeszłość — dodała strzepując popiół do nieskazitelnie czystej popielniczki na biurku Feijoo, wypełnionej metalowymi spinaczami. — Zakończyła się rok temu. . . Dziwię się, że pan nie wie.

Inspektor oparł się łokciami o blat i pochylił do przodu.

— Wiem — rzekł niemal poufnym tonem, jakby chciał ją przekonać, że na tym etapie są już starymi sojusznikami, że jest całkowicie po jej stronie, po czym uśmiechając się, dodał z miną człowieka, który zdradza dotąd zazdrośnie strzeżoną tajemnicę: — Ale widziała się z nim pani trzy dni temu.

Julia spojrzała na policjanta z udawanym zaskoczeniem, jak gdyby usłyszała ciężki idiotyzm. Oczywiście, Feijoo przepytał ludzi na wydziale. Mógł mu powiedzieć byle dozorca czy sekretarka. Ponadto nie było się z czym kryć.

— Poszłam poprosić go o pomoc w związku z obrazem, który obecnie odnawiam.
— Zdziwiło ją, że policjant niczego nie notuje, i doszła do wniosku, że to też część jego metod: ludzie mówią swobodniej, kiedy sądzą, że ich słowa rozplývają się w powietrzu.
— Rozmawialiśmy z godzinę w jego gabinecie, jak pan z pewnością doskonale wie. Nawet umówiliśmy się na późniejszy termin, ale nie przyszedł.

Feijoo obracał w palcach pudełko zapalek.

— O czym państwo rozmawiali, jeśli wolno zapytać...? Ufam, że zdoła mi pani wybaczyć takie... hm, osobiste pytania. Zapewniam panią, że to zwykła rutyna.

Julia popatrzyła na policjanta w milczeniu, zaciągając się papierosem. Po chwili zaprzeczyła ruchem głowy.

— Pan mnie chyba bierze za kretynkę. Policjant przymknął powieki i wyprostował się lekko na krześle.

— Przepraszam, ale nie wiem, o co pani... .

— Zaraz panu powiem, o co chodzi. — Zdusiła gwałtownie papierosa w kupce spinaczy, nie bacząc na rozpacz w oczach rozmówcy. — Nie mam nic przeciwko odpo-

wiedziom na pańskie pytania, ale zanim ich udzielię, proszę mi powiedzieć, czy Alvaro przewrócił się w wannie, czy nie.

— Mówiąc prawdę — Feijoo nie spodziewał się tego ataku — mam za mało wskazówek. . .

— Czyli nasza rozmowa jest zbędna. Natomiast jeżeli uważa pan, że w jego śmierci jest coś niejasnego, i zamierza mnie pan pociągnąć za język, chcę natychmiast wiedzieć, czy przesłuchuje mnie pan w charakterze podejrzanego. . . Bo jeśli tak, to albo w tej chwili wychodzę z komisariatu, albo dzwonię po adwokata.

Policjant uniósł dłonie w pojednawczym geście.

— To byłoby przedwczesne. — Uśmiechnął się krzywo i zaczął się wiercić na siedzeniu, jakby znów szukał właściwych słów. — Na razie wersja oficjalna jest taka, że profesor Ortega padł ofiarą wypadku.

— A jeśli pańscy wspaniali lekarze sądowi dojdą do przeciwnych wniosków?

— W takim razie. . . — Feijoo miał niewyraźną minę — nie byłaby pani bardziej podejrzana niż ktokolwiek, kto utrzymywał stosunki z denatem. Proszę sobie wyobrazić listę kandydatów. . .

— Na tym polega problem. Nie umiem wyobrazić sobie kogokolwiek, kto mógłby zamordować Alvara.

— Ma pani prawo tak uważać. A ja widzę sporo możliwości: oblani studenci, zardzośni koledzy, porzucone kochanki, rozwścieczeni mężowie... — wyliczał, przesu-
wając kciuk po pozostałych palcach i urwał, kiedy zabrakło mu palców. — Nie. Rzecz
polega na tym, i musi to pani przyznać, że pani zeznanie jest bardzo cenne.

— Dlaczego? Zakwalifikował mnie pan do porzuconych kochanek?

— Nie posunąłbym się tak daleko, młoda damo. Ale spotkała się pani z nim na kilka
godzin przed tym, jak coś roztrzaskało mu czaszkę... Albo ktoś.

— Godzin? — Tym razem Julia wpadła w autentyczne osłupienie. — To kiedy zgi-
nął?

— Trzy dni temu. W środę, między drugą po południu a dwunastą w nocy.

— To wykluczone. Pomylili się panowie.

— Pomylili? — Mina oficera znów się zmieniła. Tym razem patrzył na nią z jawną
nieufnością. — Pomyłka nie wchodzi w grę. Mam wyniki badania lekarskiego.

— To musi być pomyłka. O dwadzieścia cztery godziny.

— Dlaczego pani tak uważa?

— Dlatego, że w czwartek wieczorem, czyli nazajutrz po naszym spotkaniu, przysłał mi do domu dokumenty, o które go prosiłam.

— Co za dokumenty?

— Na temat historii obrazu, przy którym pracuję.

— Dostała je pani pocztą?

— Kurierem, tego samego wieczoru.

— Pamięta pani, która agencja?

— Tak, Urbexpress. To było w czwartek, koło ósmej... I jak pan to wytłumaczy? Spod wąsów dobiegło sceptyczne westchnienie.

— Nie wytłumaczę. W czwartek wieczorem Alvaro Ortega leżał martwy od dwudziestu czterech godzin, więc nie mógł niczego wysłać. Ktoś... — Feijoo odczekał, aż do Julii dotrą jego słowa — ktoś musiał to zrobić za niego.

— Ktoś? Jaki ktoś?

— Ktoś, kto go zabił, jeżeli został faktycznie zabity. Hipotetyczny zabójca. Bądź też zabójczyni. — Popatrzył na Julię z zaciekawieniem. — Nie wiem, dlaczego o osobie,

która popełnia zbrodnię, myślimy zawsze najpierw w rodzaju męskim. . . — nagle coś zaprzątnęło jego uwagę. — Czy w przesyłce rzekomo wysłanej przez Alvara Ortegę był jakiś list albo notatka?

— Tylko dokumenty. Ale to przecież logiczne, że on je wysłał. . . Jestem przekonana, że gdzieś popełniono pomyłkę.

— Żadnej pomyłki. Zmarł w środę, a pani otrzymała dokumenty w czwartek. Chyba że agencja kurierska ma takie opóźnienia. . .

— Nie, tu jestem pewna. Koperta miała datę czwartkową.

— Był ktoś u pani tego wieczoru? Jakiś świadek?

— Dwoje: Carmen Roch i Cesar Ortiz de Pozas. Policjant wybałuszył oczy z autentycznego zdumienia.

— Don Cesar? Antykwariusz z ulicy Prado?

— Zgadza się. Pan go zna?

Feijoo skinął głową po krótkim wahaniu. Zna go, owszem. Zawodowe kontakty. Ale nie wiedział, że on i ona są przyjaciółmi.

— No to już pan wie.

— Wiem.

Policjant zaczął bębnić w stół długopisem. Czuł się potwornie niezręcznie i miał po temu powody. Jak dowiedziała się Julia nazajutrz z ust samego Cesara, nadinspektor Casimir Feijoo zdecydowanie nie należał do idealnych stróżów prawa. Kontakty ze światem sztuki i antyków pozwalały mu pod koniec każdego miesiąca zaokrąglić nieco sumę, którą dostawał za swoją pracę, o dodatkowe dochody. Czasami, gdy odzyskał jakieś skradzione stare przedmioty, jedna sztuka ulatniała się bocznymi drzwiami. W operacjach brali udział zaufani pośrednicy, a on czerpał z tego procent. Cesar należał do tych pośredników. Świat jest mały.

— W każdym razie — powiedziała Julia, nieświadoma jeszcze życiorysu Feijoo — podejrzewam, że dwoje świadków niczego nie dowodzi. A dokumenty mogłam sobie wysłać sama.

Feijoo skinął głową bez słowa, chociaż teraz spoglądał na nią bardzo przezornie. Kolejna sztuczka, która miała wyłącznie taktyczne znaczenie, co Julia zrozumiała dopiero później.

— Szczerze mówiąc — powiedział w końcu — cała ta sprawa jest bardzo dziwna.

Julia gapiła się w przestrzeń. Z jej punktu widzenia sprawa dawno przestała być dziwna. Teraz była zdecydowanie ponura.

— Jednego nie rozumiem: komu mogło zależeć, żebym jednak dostała te dokumenty?

Feijoo znów przygryzł dolną wargę pod obwisłymi wąsami. Wyciągnął z szuflady notes i zaczął rozważać za i przeciw całej sytuacji. Widać było, że afera absolutnie nie napawała go entuzjazmem.

— A to. . . — mruknął, notując niechętnie pierwsze słowa. — A to, droga pani, też jest bardzo dobre pytanie.

Zatrzymała się na progu, czując, że policjant pilnujący wejścia obserwuje ją z zaciekawieniem. Po drugiej stronie alei, za drzewami, widać było neoklasycystyczną fasadę muzeum, oświetloną potężnymi reflektorami ukrytymi w zaroślach pobliskiego ogrodu, pośród kamiennych ławek, posągów i fontann. Leciutka mżawka wystarczyła, żeby

asfalt lśnił od lamp samochodów oraz zmieniających się rytmicznie zielonych, bursztynowych i czerwonych świateł na skrzyżowaniach.

Julia postawiła kołnierz skórzanej kurtki i ruszyła chodnikiem, wsłuchując się w echo własnych kroków w mijanych pustych bramach. Ruch był niewielki, tylko co jakiś czas oświetlał ją z tyłu jakiś pojazd. Jej cień, zrazu długi i wąski, stopniowo kurczył się i umykał stłamszony w bok, w miarę jak warkot motoru zbliżał się za plecami, by w końcu minąć ją i odjechać wraz z parą czerwonych lampek i drugą bliźniaczą widoczną w mokrym asfalcie.

Zatrzymała się na światłach. Czekając na zielone, szukała w mroku nocy innych zieleń i dostrzegła je na oddalających się taksówkach, w innych światłach migoczących w perspektywie alei, w dalekim neonie — obok błękitu i żółcień! — zamontowanym na szklanym wieżowcu, na którego ostatnim piętrze widać było w oświetlonych oknach kogoś, kto jeszcze sprząta albo pracuje. Wreszcie mogła przejść. Teraz szukała czerwieni, znacznie częstszych w dużym mieście. Zamiast czerwonego dostrzegła jednak niebieski odbłysek samochodu policyjnego, jadącego tak daleko, że nawet nie było słychać syreny. Jak obrazek z niemego filmu. Czerwień samochodu, zieleń światła na skrzyżo-

waniu, błękit neonu, błękit „koguta” policyjnego. . . Pomyślała, że taką właśnie gamą kolorystyczną należało oddać ten dziwny krajobraz, paletą niezbędną do namalowania obrazu pod tytułem Nokturn (co za ironia!), żeby wystawić go potem w galerii Roch, chociaż Menchu bez wątplenia kazałaby sobie objaśnić tytuł. W to wszystko zgrabnie wkomponowane różne odcienie czerni: czerń nocy, czerń mroku, czerń strachu, czerń samotności.

Naprawdę odczuwała strach? W innych okolicznościach temat ten mógłby być podstawą dyskusji akademickiej: w miłym towarzystwie kilkorga przyjaciół, w ciepłym, przytulnym pokoju, przy kominku, z częściowo już opróżnioną butelką. Strach jako czynnik niespodziewany, jako zatrważająca świadomość rzeczywistości odkrywanej dopiero w danym momencie, chociaż stale obecnej. Strach jako ostateczna siła niszcząca pokłady nieświadomości albo jako gwałtowny koniec stanu łaski. Strach jako grzech.

Jednak teraz, idąc pośród różnych barw nocy, Julia nie była w stanie potraktować tego, co odczuwała, jako problemu akademickiego. Jasne, już wcześniej doświadczała podobnych stanów, choć w mniejszym natężeniu. Jak wtedy, kiedy wskazówka szybkościomierza znacznie przekracza rozsądną prędkość, pejzaż umyka błyskawicznie po

prawej i po lewej, a przerywana linia na asfalcie zaczyna przypominać serię pocisków żywcem z filmu wojennego, pożeranych przez zachłanne trzewia samochodu. Albo to uczucie pustki, niezgłębionej, błękitnej otchłani, kiedy rzucała się z pokładu łodzi do morza i pływała czując, jak woda omywa jej nagą skórę, i mając tę nieprzyjemną świadomość, że jakikolwiek stały ląd znajduje się stanowczo poza zasięgiem jej stóp. Albo choćby i owe bezkształtne lęki, które zdomawiają się w człowieku podczas snu i biorą udział w upartych potyczkach między wyobraźnią a rozumem, kiedy wystarcza akt woli, żeby zapędzić je do zakamarków wspomnień albo zapomnienia, otworzyć powieki i znaleźć się znowu pośród znajomych cieni własnej sypialni.

Ale ten, świeżo odkryty strach był inny. Nowy, niezwykły, dotąd nieznan, doprawiony cieniem Zła przez duże Z, pierwszej litery różnych źródeł cierpienia i bólu. Zła zdolnego odkręcić kran z wodą na twarz zamordowanego człowieka. Zła, które można namalować tylko czernią nocy, czernią mroku, czernią samotności. Zła na Z jak zgroza. Na Z jak zabić.

Zabić. To tylko hipoteza — powtarzała w duchu, przyglądając się własnemu cieniowi na chodniku. Ludziom zdarza się pośliznąć pod natryskiem, spaść ze schodów,

wbiec na czerwonym świetle i zginać. Lekarze sądowi i policjanci też mogą czasami przekombinować na skutek zboczenia zawodowego. To wszystko jasne. Ale ktoś przecież wysłał jej raport Alvara w czasie, kiedy od jego śmierci zdążyła upłynąć doba. A to już nie była hipoteza: dokumenty leżały u niej w domu, w szufladzie. To niezbity fakt.

Wzdrygnęła się, nim zerknęła za siebie, żeby sprawdzić, czy jest śledzona. I chociaż nie spodziewała się zobaczyć nikogo, kogoś jednak zobaczyła. Trudno było ocenić, czy ją śledził, czy nie, ale w każdym razie jakieś pięćdziesiąt metrów z tyłu szła za nią jakaś postać, oświetlana co chwila przez reflektory sprzed muzeum, które omiatając korony drzew tworzyły ruchome strefy światła.

Julia odwróciła się przed siebie, idąc dalej. Wszystkie jej mięśnie gotowe były do natychmiastowego biegu, jak w dzieciństwie, kiedy przechodziła przez mroczną bramę domu, by skokami pokonać schody i zadzwonić do drzwi. Teraz powstrzymywała ją logika nakazująca normalnie podejść do rzeczywistości. Gdyby zaczęła biec tylko z tego powodu, że ktoś pięćdziesiąt metrów z tyłu idzie w tym samym kierunku, byłoby to zachowanie nie dość, że nieuzasadnione, ale wręcz śmieszne. Ale — pomyślała — idzie spokojnie słabo oświetloną ulicą, z domniemanym, choćby i mocno hipotetycz-

nym mordercą za plecami, a to było zachowanie nie dość, że nieuzasadnione, ale wręcz samobójcze. Walka tych dwóch myśli trwała dłuższą chwilę, Julia zdążyła przez ten czas odsunąć strach na zdecydowanie drugi plan i uznać, że wyobraźnia płata jej paskudne figle. Westchnęła głęboko, drwiąc z samej siebie zerknęła do tyłu — i spostrzegła, że odległość między nią a nieznanym zmniejszyła się do kilku metrów. Strach powrócił. Może naprawdę ktoś zamordował Alvara i później wysłał jej raport na temat obrazu. Między „Partią szachów”, Alvarem, Julią a hipotetycznym, domniemanym — czy diabli wiedzą, jak go nazwać — zabójcą rodził się związek. Wdepnęłaś w to po szyję — pomyślała i nie znalazła już żadnych podstaw, żeby naśmiewać się z własnych obaw. Rozejrzała się w poszukiwaniu kogoś, kogo mogłaby poprosić o pomoc albo przynajmniej uczeplić się jego ramienia i błagać, żeby odprowadził ją kawałek dalej. Mogła też wrócić na komisariat, lecz tu powstawała pewna komplikacja: nieznanomy znalazłby się na jej drodze. Może taksówka. . . Ale w zasięgu wzroku nie widać było żadnego zielonego „koguta”. Żadnej nadziei. Usta miała tak suche, że język dosłownie przyłgął jej do podniebienia. Spokój — powiedziała. — Zachowaj spokój, głupia, albo naprawdę

będzie krucho. — W końcu udało jej się odzyskać spokój na tyle, żeby rzucić się do ucieczki.

Rozdzierająca i samotna skarga trąbki. Miles Davis na gramofonie i pokój w półmroku, rozjaśniony tylko małym halogenem skierowanym z podłogi na obraz. Tik-tak zegara ściennego i metaliczny poblask za każdym razem, gdy wahadło osiąga najdalszy punkt. Dymiąca popielniczka, szklanka z resztką lodu i butelka wódki na dywanie koło sofy. A na sofie Julia, podkulone nogi obejmuje ramionami, kosmyk włosów opada jej na twarz. Oczy z powiększonymi źrenicami patrzą na wprost, w obraz, ale nie widzą go, wzrok sięga dalej, ku jakiemuś punktowi idealnemu znajdującemu się między powierzchnią malowidła a krajobrazem w głębi, gdzieś w połowie drogi, dalej niż szachiści, a bliżej niż dama siedząca przy oknie.

Nie wiedziała, od jak dawna tak siedzi bez ruchu, wsłuchana w muzykę, która delikatnie krąży po jej mózgu razem z oparami wódki, czując ramionami ciepło własnych ud i chłód kolan. Bywało, że jakiś dźwięk trąbki wynurzał się z ciemności z większą siłą. Wtedy powoli poruszała głowę z prawa na lewo w rytm muzyki. Kocham cię, trąbko. Dziś w nocy jesteś moją jedyną towarzyszką, przygaszoną, nostalgiczną jak smutek, który spowił moją duszę. Nuta przemykała przez ciemny pokój, a także przez ten drugi, oświetlony — gdzie dwóch graczy dalej toczyło partię — by wreszcie umknąć przez okno ku jasnym latarniom, oświetlającym ulicę na dole. Tam, gdzie może ktoś ukryty w cieniu drzewa albo bramy patrzy w górę i słucha muzyki, a ta płynie przez drugie okno, namalowane na obrazie, ku pejzażowi złożonemu z subtelnych odcieni zieleni i ochry, wśród których majaczy, ledwie zaznaczona cieniutkim końcem pędzla, drobniotka szara igiełka dalekiej dzwonnicy.

V. Tajemnica czarnej damy

W tym momencie wiedziałem już, że trafiłem
na złowrogi teren, ale nie znałem jeszcze reguł walki.

Garri Kasparow,
Autobiografia

Oktawio, Lucynda i Scaramuccio stali w pełnym uszanowania milczeniu i zupełnym bezruchu, obserwowali ich tylko zza szyby gablotki swoimi porcelanowymi, namalowanymi oczyma. W rozszczepionym na kolorowe plamki światłe padającym przez

witraż welwetowa marynarka Cesara mieniła się jak strój arlekina. Nigdy jeszcze Julia nie widziała swojego przyjaciela w takim stanie — był cichy i spokojny, przypominał jeden z tych posążków z brązu, terakoty i marmuru, jakich pełno było w antykwariacie pośród obrazów, szkieł i gobelinów. W jakimś sensie obydwójce — Cesar i Julia — stanowili część scenografii, pasującej bardziej do pstrokatej farsy barokowej niż do realnego świata, w którym spędzali większą część swojego życia. Cesar miał szczególnie dystyngowany wygląd — pod szyją jedwabna chustka w kolorze bordo, w palcach długa fifka z kości słoniowej. Przyjął pozę wyraźnie klasyczną, niemalże goethowską: siedział pod światło, z nogą założoną na nogę, dłoń trzymającą firkę opuścił z wystudiowaną niedbałością, a jego jedwabiste, mleczno-siwe włosy otaczał nimb złotych, czerwonych i błękitnych promieni. Julia miała na sobie czarną bluzkę z koronkowym kołnierzykiem, a jej wenecki profil odbijał się w dużym zwierciadle, w którym widać było w głębi szeregi mahoniowych mebli i pudzer z masy perłowej, gobeliny i tkaniny, spiralne kolumny wspierające podniszczone gotyckie popiersia, a nawet zrezygnowane, puste oblicze gladiatora z brązu, leżącego nago na własnej broni i wspartego na łok-

ciu w oczekiwaniu, aż niewidoczny, wszechpotężny Cesarz uniesie bądź opuści kciuk, wydając werdykt.

— Jestem przerażona — wyznała. W geście zawieszonyj w powietrzu dłoni Cesarza, z prześwitującymi drobnymi, niebieskimi żyłkami, widać było jednocześnie troskę i bezradność, wielkoduszną i bezużyteczną solidarność. Miłość świadomą własnych ograniczeń, pełną wymowy i elegancji, jak u osiemnastowiecznego dworzanina, który okazuje uwielbienie swej damie, a w perspektywie ulicy, którą wiodą ich obydwój w żałobnym powozie, widzi już czekającą na nich gilotynę.

— Może to przesada, kochanie. Może za wcześnie. Na razie nie udowodniono, że Alvaro nie pośliznął się w wannie.

— A dokumenty?

— Przyznaję, że na to nie znajduję wytłumaczenia.

Julia przechyliła głowę w bok, jej włosy dotykały ramienia. Była pochłonięta niepokojącymi myślami.

— Dziś rano, jak się obudziłam, tak strasznie chciałam, żeby to wszystko się okazało potworną pomyłką. . .

— I może nią jest. — Antykwariusz zadumał się na moment. — O ile wiem, policjanci i lekarze sądowi są szlachetni i nieomylni tylko w filmach. A zresztą, zdaje się, że już nawet tam nie.

Uśmiechnął się gorzko i z niechęcią. Julia patrzyła na niego nie bardzo słuchając tego, co mówi.

— Zamordowali Alvara. . . Masz pojęcie?

— Nie zadręczaj się, księżniczko. To tylko wyszukana hipoteza policyjna. . . A poza tym nie powinnaś tyle o nim myśleć. Było, minęło. I tak odszedł od ciebie dawno temu.

— Ale nie w ten sposób.

— W ten czy inny, nie ma znaczenia. Opuścił cię i basta.

— Kiedy to takie okropne. . .

— Tak. Tyle że wracając ciągle do tego, nic nie wskórasz.

— Nic? Alvaro nie żyje, ja jestem przesłuchiwana, czuję, że śledzi mnie ktoś, kogo interesuje moja praca nad „Partia szachów. . .” A ty się dziwisz, że nie mogę przestać myśleć. Co innego mogę robić?

— To proste, córeczko. Skoro tak cię to wszystko niepokoi, oddaj obraz Menchu. Jeżeli naprawdę uważasz, że śmierć Alvara była nieprzypadkowa, zamknij dom na jakiś czas, wyjedź gdzieś. Możemy pojechać na dwa, trzy tygodnie do Paryża, mam tam masę spraw do załatwienia. . . Ty znikniesz, a przez ten czas na miejscu wszystko się uspokoi.

— Co tu się dzieje?

— Najgorsze jest to, że nie wiem. Nie mam najmniejszego pojęcia. Podobnie jak ty, ja też nie przykładałbym takiej wagi do historii z Alvarem, gdyby nie dokumenty. . . — Uśmiechnął się do niej zakłopotany. — A przyznaję, że niepokoi mnie to, bo nie jestem herosem. . . Mogło się okazać, że któreś z nas nieświadomie otwarło coś w rodzaju puszki Pandory. . .

— Obraz — podchwyciła roztrzęsiona Julia. — Ukryty napis.

— Bez wątpienia. Najwidoczniej wszystko tam ma swoje źródło.

Odwróciła się w stronę własnego odbicia w lustrze i patrzyła dłuższą chwilę, jakby nie rozpoznawała tej młodej brunetki z bladą cerą, wpatrującej się w nią dużymi, ciemnymi oczami, lekko podkrążonymi na skutek niewyspania.

— A może ktoś chce mnie zabić, Cesar.

Palce antykwariusza zacisnęły się wokół fifki.

— Dopóki ja żyję, mowy nie ma. — Jego nieokreślone, wytworne rysy nabrały agresywnego wyrazu, a głos zaskrzeczał ostrym, niemal kobiecym tonem. — Może nie znajdziesz większego tchórza ode mnie, można powiedzieć o mnie najgorsze rzeczy, ale nikt nie ma prawa uczynić ci krzywdy, dopóki ja jestem w stanie temu zapobiec.

Rozczulona Julia musiała się uśmiechnąć.

— Co możemy zrobić? — zapytała po chwili milczenia.

Cesar zamyślił się z powagą, pochylając przy tym głowę.

— Za wcześniej robić cokolwiek... Nawet nie wiemy, czy Alvaro zginął przypadkowo, czy nie.

— A dokumenty?

— Jestem przekonany, że ktoś gdzieś znajdzie odpowiedź na to pytanie. Problem polega, jak mniemam, na rozstrzygnięciu, czy osoba, która przysłała ci raport, jest także odpowiedzialna za śmierć Alvara, czy jedno nie ma z drugim nic wspólnego...

— A jeśli potwierdzi się najgorsze?

Cesar nie odpowiadał przez moment.

— W takim wypadku widzę tylko dwa rozwiązania, i to klasyczne, księżniczko: uciekać albo robić swoje. Gdybym ja stanął wobec takiego dylematu, przypuszczalnie głosowałbym za ucieczką, ale to nie ma dużego znaczenia. . . Wiesz, że jeśli sobie postanowię, potrafię być piekielnie bojaźliwy.

Julia skrzyżowała dłonie na karku i patrzyła zamyślona w jasne oczy antykwariusza.

— Naprawdę byś uciekł? Nie czekając, aż się wyjaśni, o co tu chodzi?

— Naprawdę. Zdajesz sobie sprawę, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

— Jak byłam mała, uczyłeś mnie czegoś zupełnie innego, pamiętasz. . . ? Nie wolno wyjść z pokoju, nie przeszukawszy szuflad.

— Tak, ale wtedy nikt nie upadał w wannie.

— Ty hipokryto. W głębi duszy aż umierasz z ciekawości, co się dzieje.

Antykwariusz nadął się i odezwał z naganą w głosie:

— Mówiąc, że umieram, dajesz dowód najgorszego gustu, zważywszy okoliczności. . . Otóż nie mam najmniejszej ochoty umrzeć, zwłaszcza teraz, kiedy jestem w podeszłym wieku, a piękni młodzieńcy umilają mi starość. I nie marzę też o twojej śmierci.

— A jeśli zdecyduję się robić swoje i nawet poznać zagadkę samego obrazu?

Cesar skrzywił usta i zaczął błędzić wzrokiem, jakby nawet nie rozważał takiej ewentualności.

— A dlaczego miałabyś to zrobić? Podaj mi jeden dobry powód.

— Dla Alvara.

— Odpada. Do tej chwili Alvaro się nie liczył, wiem, bo znam cię aż za dobrze. . . Poza tym, o ile wiem od ciebie, on też w tej sprawie nie grał czysto.

— No to dla mnie samej. — Skrzyżowała ramiona wyzywająco. — W ostatecznym rozrachunku to mój obraz.

— Posłuchaj, dopiero co mówiłaś, że jesteś przerażona. Sam słyszałem.

— Bo jestem. Sikam ze strachu.

— Rozumiem. — Cesar oparł podbródek na splecionych palcach, przyozdobionych połyskującym topazem. — Mówiąc prościej — dodał po chwili zastanowienia — chodzi o znalezienie skarbu. To chcesz mi powiedzieć, prawda. . . ? Jak w dawnych czasach, kiedy byłaś tylko upartą dziewczuszką.

— Jak w dawnych czasach.

— Przeróżające. My we dwoje?

— My we dwoje.

— Zapomniałaś o Munozie. Został zamustrowany.

— Masz rację, oczywiście, Munoz i my we dwoje.

Cesar uśmiechnął się lekko. W oczach lśniła mu iskierka rozbawienia.

— W takim razie trzeba go nauczyć pieśni piratów. Wątpię, żeby ją znał.

— Też wątpię.

— Zwariowaliśmy, księżniczko. — Antykwariusz wbił wzrok w Julię. — Zdajesz sobie sprawę?

— Co robić...

— To nie jest zabawa, kochanie... Nie tym razem.

Wytrzymała jego spojrzenie. Wyglądała w tej chwili przepięknie, z tym błyskiem zdecydowania w ciemnych oczach, który widać było w zwierciadle.

— Co robić — powtórzyła cicho.

Cesar pokiwał wyrozumiale głową. Gdy wstawał, wiązka kolorowych plam ześliznęła mu się po plecach na ziemię, ku stopom dziewczyny. Antykwariusz udał się w głąb pokoju, gdzie miał w rogu swoje miejsce pracy. Przez parę minut robił coś przy sejfie

w ścianie, ukrytym pod gobelinem niewielkiej wartości (marną kopią Damy z jednorożcem). Kiedy wrócił, trzymał w dłoniach zawiniątko.

— Proszę, księżniczko, to dla ciebie. W prezencie.

— W prezencie?

— Jak słyszałaś. Wszystkiego dobrego z okazji nieurodzin.

Julia zaskoczona odwinęła plastik, potem naoliwioną szmatkę i po chwili ważyła w dłoni niklowany pistolecik wykładany masą perłową.

— To zabytkowy derringer, więc nie potrzebujesz pozwolenia na broń — tłumaczył antykwariusz. — Ale działa jak nowy, można z niego strzelać kulami od colta 45. Łatwo go schować, możesz go nosić w kieszeni... Jeśli w ciągu najbliższych dni ktoś się będzie do ciebie zbliżał albo krążył wokół domu — patrzył na nią uważnie, bez cienia wesołości w zmęczonych oczach — bądź łaskawa, unieś tę zabaweczkę, o, i rozwal mu łeb. Pamiętasz...? Choćby to był sam kapitan Hak.

Ledwie wróciła do domu, w ciągu pół godziny miała trzy telefony. Pierwsza dzwoniła Menchu, zdenerwowana po lekturze porannych gazet. Jej zdaniem nikt nie zakładał innej możliwości, jak wypadek. Julia wyczuła, że śmierć Alvara niewiele obeszła jej przyjaciółkę: bardziej niepokoiły ją ewentualne komplikacje, które mogą wpłynąć na umowę z Belmontem.

Drugi telefon był zaskakujący. Paco Montegrifo zapraszał ją na kolację wieczorem, żeby pogadać o sprawach zawodowych. Julia umówiła się z nim na dziewiątą u Sabatiniego. Odwiesiwszy słuchawkę, zaczęła się zastanawiać, skąd takie nagłe zainteresowanie. Gdyby chodziło o van Huysa, dyrektor domu aukcyjnego powinien umówić się z Menchu albo z nimi obydwoma. Zresztą wspomniała o tym podczas rozmowy. Ale Montegrifo zapewnił ją, że chodzi o coś, co dotyczy tylko jej i jego.

Myślała o tym, przebijając się, zapalając papierosa i siadając przed obrazem, żeby usunąć kolejne partie starego werniksu. Właśnie wykonała pierwsze ruchy wacikiem, kiedy stojący na dywanie telefon zadzwieczał trzeci raz.

Przyciągnęła go do siebie za kabel i zdjęła słuchawkę. Przez następne piętnaście, może dwadzieścia sekund nie usłyszała absolutnie nic, mimo bezskutecznych „halo”,

jakie coraz bardziej rozdrażniona rzucała do mikrofonu. Po jakimś czasie wystraszona zamilkła i wsłuchiwała się jeszcze przez kilka sekund, wstrzymując oddech, by w końcu odłożyć słuchawkę. Nagle ogarnęła ją niespodziewana fala mrocznej, irracjonalnej paniki. Julia popatrzyła na aparat na dywanie, jakby widziała tam jadowite, czarne, lśniąco zwierzę, i wzdrygnęła się raptownie, potrącając przy tym łokciem słoiczek z terpentyną.

Ten ostatni telefon naprawdę ją przeraził. Dlatego kiedy zadzwoniono do drzwi, znieruchomiała w drugim końcu pokoju. Zareagowała dopiero przy trzecim dzwonku. Rano, po wyjściu z antykwariatu z dziesięć razy zdążyła się już uśmieć z własnej miny. Teraz jednak nie miała najmniejszej ochoty do śmiechu. Zanim otworzyła drzwi, zatrzymała się na chwilę, żeby wyciągnąć z torebki małego derringera, odbezpieczyć go i wsunąć do kieszeni dżinsów. Jej nikt nie załatwi w wannie.

Munoz otrząsnął wodę z płaszcza i stanął niemrawo w przedpokoju. Deszcz przylepił jego włosy do głowy, krople ściekały mu jeszcze po czole i czubku nosa. W kieszeni miał małe szachy magnetyczne, zawinięte w torbę z supermarketu.

— Znalazł pan rozwiązanie? — spytała Julia, zamknąwszy za nim drzwi.

Szachista wtulił głowę w ramiona z wyrazem nieśmiałego zawstydzenia na twarzy. W obcym domu czuł się niezręcznie, a młody wiek i uroda Julii wcale nie polepszały sytuacji.

— Jeszcze nie. — Popatrzył ze smutkiem na kałużę, którą utworzyła na podłodze kapiąca z płaszcza woda. — Dopiero wyszedłem z pracy... Wczoraj umówiliśmy się na tę godzinę — zrobił dwa kroki i znów się zatrzymał, jakby nie wiedział, czy ma zdjąć płaszcz, czy w nim pozostać. Julia wyciągnęła rękę, więc ostatecznie się rozebrał. Po chwili wchodził za nią do pracowni.

— Na czym polega problem?

— Nie ma problemu. Zasadniczo. — Munoz jak poprzednio rozejrzał się po pomieszczeniu bez ciekawości. Może szukał punktu oparcia, który pomógłby mu dostosować się do okoliczności. — To tylko kwestia zastanowienia i czasu, nic więcej. A ja naprawdę myślę tylko o tym.

Stał pośrodku pokoju z kompletem szachów w dłoniach. Julia widziała, że wpatruje się w obraz. Nie musiała podążać za jego wzrokiem, by wiedzieć, w które miejsce kon-

kretnie. Wyraz twarzy zmienił mu się natychmiast, już nie był onieśmielony, a pewny siebie i niezwykle skupiony. Jak hipnotyzer, którego w lustrze zaskoczyły jego własne oczy.

Odłożył szachy na stół i zbliżył się do obrazu. Ściślej mówiąc, dokładnie do miejsca, gdzie namalowana była szachownica i bierki, jakby nie było tam całej reszty, ani komnaty, ani postaci. Pochylił się i zaczął się przyglądać szachownicy znacznie bardziej badawczo niż poprzedniego dnia. W tym momencie Julia pojęła, że mówiąc „ja myślę tylko o tym”, nie przesadził ani trochę. Uwaga, z jaką patrzył, świadczyła, że jest zajęty czymś ważniejszym niż rozwiązywanie cudzych problemów.

Po długim zastanowieniu odwrócił się do Julii.

— Dzisiaj rano odtworzyłem dwa ostatnie ruchy — rzekł bez cienia pychy, raczej może przepraszająco, jak gdyby wstydził się tak mizernego wyniku. — Potem natrafiłem na problem... Chodzi o niezwykle usytuowanie pionów. — Pokazał palcem namalowane bierki. — To nie jest konwencjonalna partia.

Julia czuła się zawiedziona. Kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła przemoczonego Munoz z szachami w kieszeni, myślała, że rozwiązanie jest tuż, tuż. Rzecz jasna szachista nie wiedział, że sprawa jest pilna i do tego niezwykle pogmatwana. Ale i tak nie ona mu o tym powie. Przynajmniej na razie.

— Pozostałe ruchy nas nie obchodzą — powiedziała. — Trzeba tylko sprawdzić, kto zbił białego konika.

Munoz pokręcił głową.

— Poświęcam pani cały mój wolny czas. — Zamilkł na chwilę, jakby obawiał się, że swoimi słowami wkroczył na zbyt intymny teren. — Wszystkie ruchy mam w głowie, gram tę partię naprzód i wstecz. . . — znów się zawahał, po czym skrzywił usta w nieobecny, bolesny, słaby uśmiech. — Jest w naszej rozgrywce coś niezwykłego. . .

— Nie tylko w rozgrywce — spojrzenia obojga pobiegły ku malowidłu. — Problem polega na tym, że Cesar i ja widzimy ją jako część obrazu i nie umiemy znaleźć tam niczego więcej. . . — Julia zastanowiła się nad własnymi słowami. — A może reszta obrazu jest tylko uzupełnieniem samej partii.

Munoz skinął lekko głową, a Julii zdawało się, że ten ruch trwa wieczność. Jego powolne gesty, ciągnące się znacznie dłużej, niż naprawdę tego wymagały, pozostawały chyba w ścisłym związku ze sposobem rozumowania.

— Myli się pani, twierdząc, że nic pani tu nie widzi. Widzi pani wszystko, tylko nie umie pani zinterpretować. . . — Szachista pokazał dzieło van Huysa krótkim ruchem podbródka. — Uważam, że sprawa sprowadza się do różnicy w punktach widzenia. Mamy przed sobą poziomy, które się na siebie nakładają. Obraz jest płaszczyzną przypominającą szachownicę, na której znajdują się postacie. Te postacie z kolei grają przy szachownicy, która rządzi bierkami. . . To wszystko zostało dodatkowo odbite w tym lustrze po lewej stronie. . . A jeśli chce pani jeszcze bardziej skomplikować całą rzecz, może pani dopisać kolejny poziom: nasz, z którego kontemplujemy tę scenę albo kilka następujących po sobie scen. Gmatwając dalej, dołóżmy poziom malarza, który wyobraził sobie nas, widzów, spoglądających na jego dzieło. . .

Mówił beznamietnie, z nieobecną miną, jakby czytał monotony, raczej umiarkowanie istotny opis, któremu poświęca swoją uwagę tylko po to, by zadowolić innych. Julia aż prychnęła oszołomiona.

— Ciekawe, że tak pan to widzi.

Szachista znów pokręcił głową, nie odrywając wzroku od obrazu.

— Nie wiem, co panią tak dziwi. Ja widzę szachy. Nie jedną partię, ale wiele. Które w gruncie rzeczy są tą samą partią.

— To dla mnie za skomplikowane.

— Nieprawda. Teraz poruszamy się na poziomie, na którym można zdobyć sporo informacji: na poziomie rozgrywanej partii. Jak to rozwiążemy, możemy odnieść wyciągnięte wnioski do reszty obrazu. To tylko kwestia logiki. Logiki matematycznej.

— Nigdy nie podejrzewałam, że matematyka może mieć tu zastosowanie.

— Do wszystkiego ma. Wszelki sztucznie stworzony świat, jak na przykład ten obraz, rządzi się tymi samymi regułami, co świat rzeczywisty.

— Szachy też?

— Zwłaszcza szachy. Tyle że myśli szachisty płyną na innym poziomie niż myśli amatora: jego logika nie pozwala mu rozpatrywać możliwych, ale niewłaściwych ruchów, bo je automatycznie wyklucza. . . Podobnie zdolny matematyk podczas kon-

struowania twierdzeń nigdy nie bada fałszywych tropów, tymczasem ludzie mniej utalentowani muszą tak się posuwać, od błędu do błędu.

— A pan nie popełnia błędów?

Munoz oderwał wzrok od obrazu i powoli zwrócił go na dziewczynę. W kącikach ust majaczył mu cień uśmiechu, ale pozbawionego śladu wesołości.

— W szachach nigdy.

— Skąd pan wie?

— Podczas gry człowiek staje wobec nieskończoności możliwych sytuacji. Czasami można zastosować proste reguły, czasem trzeba się uciec do innych reguł po to, żeby stwierdzić, jaką prostą regułą należy się kierować... Powstają też sytuacje nieznane, wtedy trzeba wyobrazić sobie nowe reguły, które zawrą w sobie albo wykluczą dotychczasowe... Błąd popełnia się tylko przy wyborze tej czy innej zasady: w momencie decyzji. A ja wykonuję ruch tylko wówczas, gdy wykluczę wszelkie niewłaściwe reguły.

— Pańska pewność siebie jest zdumiewająca.

— Nie wiem dlaczego. W końcu z tego powodu państwo mnie wybrali.

Rozległ się dzwonek do drzwi. To był Cesar z ociekającym wodą parasolem i przemoczonymi butami. Przeklinał pogodę i deszcz.

— Nie znoszę jesieni, kochanie, przysięgam ci. Te mgły, wilgoć i cały arsenał innych niegodziwości — westchnął i podał dłoń Munozowi. — W pewnym wieku pory roku zaczynają przypominać parodię samych siebie... Mogę sobie czegoś nalać? Głupstwa gadam. Oczywiście, że mogę.

Sam nalał sobie sporą porcję dżinu, wrzucił lód i cytrynę i pięć minut później znów był z nimi. Munoz rozłożył kieszonkowe szachy.

— Wprawdzie nie dotarłem do posunięcia zbijającego białego skoczka — tłumaczył — ale sądzę, że zainteresują państwa postępy, jakie do tej pory uczyniliśmy... — Odtworzył za pomocą maleńkich bierek sytuację z obrazu. Julia zobaczyła, że robi to z pamięci, nie patrząc ani na van Huysa, ani na szkic, który zabrał z sobą poprzedniego wieczoru, a teraz kładł właśnie obok na stole. — Jeśli państwo pozwolą, wytłumaczę moje rozumowanie przy szukaniu poprzednich ruchów.

— Analizą wsteczną — dodał z zainteresowaniem Cesar i umoczył usta w drinku.

— Otóż to — odparł szachista. — Będziemy posługiwali się tym samym systemem zapisu, który wyłożyłem państwu wczoraj — pochylił się ku Julii ze szkicem w dłoni i pokazał sytuację na planszy.

— ...Znając pozycję poszczególnych bierek — ciągnął Munoz — i wiedząc, że właśnie był ruch czarnych, trzeba po pierwsze sprawdzić, która czarna bierka wykonała ten ostatni ruch. — Ołówkiem wskazał obraz, następnie szkic, wreszcie układ na prawdziwej szachownicy. — Żeby to zrobić, dużo łatwiej jest wykluczyć te czarne bierki, które nie mogły się ruszyć, bo są zablokowane albo stoją na takim czy innym polu. . . Wyraźnie widać, że żaden z czarnych pionów na polach a7, b7 i d7 nie wykonał ruchu, ponieważ nadal zajmują swoje pozycje wyjściowe. . . Czwarty i ostatni pion, a5, też nie mógł się ruszyć, bo go blokuje biały pion i jego własny, czarny król. . . Możemy dalej wykluczyć czarnego gońca c8, też wciąż na pozycji wyjściowej, bo goniec porusza się po przekątnych, a na obydwu jego kierunkach stoją pionki z tej samej drużyny, które dotąd nie wykonały posunięcia. . . Co zaś się tyczy czarnego skoczka z b8, też nie zrobił ruchu, bo mógł tam przyjść tylko z a6, c6 albo d7, a te pola są zajęte przez inne bierki. . . Rozumieją mnie państwo?

— Doskonale. — Julia śledziła jego wyjaśnienia pochylona nad szachownicą. — Co dowodzi, że sześć z dziesięciu czarnych bierek nie mogło się ruszyć...

— Więcej niż sześć. Czarna wieża, stojąca nad, naturalnie też nie mogła, bo porusza się wzdłuż i wszerz, a trzy pola naokoło niej są zajęte... Czyli możemy uznać, że siedem bierek nie było w stanie wykonać ostatniego posunięcia. Ale da się także wykluczyć czarnego skoczka z d1.

— Dlaczego? — spytał zaintrygowany Cesar. — Mógł przyjść z pól b2 albo e3...

— Nie. W każdym z tych dwóch przypadków czarny skoczek dawałby szacha białemu królowi stojącemu na c4. Taką ewentualność w analizie wstecznej nazywamy szachem domniemanym... A żaden skoczek czy inna bierka, która trzymałaby króla w szachu, nie opuści tego miejsca na własne życzenie, to jest zagranie niemożliwe. Zamiast wycofywać się, zbiłaby króla i zakończyła partię. Podobna sytuacja nie mogłaby się nigdy zdarzyć, dlatego wnioskujemy, że i skoczek d1 się nie ruszył.

— Czyli — Julia nie odrywała wzroku od szachownicy — pozostały nam dwie bierki, prawda...? — Dotknęła ich palcami. — Król albo dama.

— Oczywiście. Ostatni ruch mogły wykonać albo król, albo królowa, którą my szachiści nazywamy hetmanem. — Munoz przyjrzał się szachownicy, po czym zwrócił się ku królowi, ale go nie dotknął. — Najpierw zanalizujmy pozycję króla, który może poruszać się w każdym kierunku, ale o jedno pole. To oznacza, że na obecną pozycję, na a4, przyszedłby ewentualnie z b4, b3 albo z a3... teoretycznie.

— B4 i b3 są oczywiste nawet dla mnie — odezwał się Cesar. — Żaden król nie może zajmować pola obok drugiego króla. Dobrze rozumiem?

— Istotnie. Na b4 czarny król byłby szachowany przez białą wieżę, króla i piona. Na b3 przez wieżę i króla. Pozycje niemożliwe.

— A nie mógł przyjść z dołu, z a3?

— W żaden sposób. Szachowałby go biały skoczek z b1, który nie pojawił się tam dopiero co, ale stoi tam od paru posunięć. — Munoz popatrzył na nich oboje. — A więc znów mamy do czynienia z domniemanym szachem, co wyklucza ruch króla.

— Zatem ostatni ruch — rozumowała Julia — zrobiła czarna dama, przepraszam, czarny hetman.

Szachista przybrał kolejną nieokreśloną minę.

— To właśnie zasadniczo zakładamy. Według reguł logiki, gdy wyeliminujemy wszystko, co jest niemożliwe, to, co zostaje, choćby było nieprawdopodobne albo trudno wykonalne, musi z konieczności być prawdziwe. . . W tym wypadku na dodatek możemy przeprowadzić dowód przez demonstrację.

Julia popatrzyła na niego z nowym podziwem.

— Nie do wiary. Jak w powieści kryminalnej.

Cesar skrzywił usta.

— Obawiam się, kochanie, że dokładnie do tego rzecz się sprowadza. — Podniósł wzrok na Munozę. — Proszę dalej, Holmesie — dodał z miłym uśmiechem. — Muszę przyznać, że trzyma nas pan w niepewności.

Munoz wygiął lekko kącik ust w uprzejmym grymasie. Widać było, że jest całkowicie zaprzątnięty szachownicą. W jego głęboko osadzonych oczach pojawił się gorączkowy błysk świadczący, że ich gość buja teraz w abstrakcyjnych przestrzeniach, które tylko on jest w stanie dostrzec.

— Zbadajmy — zaproponował — możliwe ruchy czarnego hetmana, znajdującego się na polu c1... Nie wiem, czy pani wie, panno Julio, że hetman jest najpotężniejszą figurą w całej grze: może poruszać się o dowolną liczbę pól w każdym kierunku, ruchami wszystkich pozostałych figur oprócz skoczka... Czarny hetman, jak widać, mógł pojawić się na c2 z czterech możliwych pól: a2, b2, b3 i d3. Teraz już i pani rozumie, że nie mógł przyjść z b3, prawda?

— Chyba tak. — Julia zmarszczyła czoło w skupieniu.

— Chyba nigdy nie zrezygnowałby z szachowania białego króla...

— Właśnie. Kolejny przykład szacha domnianego, który wyklucza możliwość ruchu z b3... A co powie pani o polu d3? Może czarny hetman mógł przyjść stamtąd, na przykład uciekając przed białym gońcem z f1?

Julia dłuższą chwilę rozważała tę ewentualność. Wreszcie twarz jej się rozjaśniła.

— Nie mógł, z takiego samego powodu, co poprzednio — zawołała zaskoczona, że sama doszła do tego wniosku. — Na d3 czarny hetman dawałby znów domnianego szacha białemu królowi, prawda...? Dlatego nie przyszedł stamtąd. — Odwróciła się do Cesara. — Czy to nie cudowne? Nigdy w życiu dotąd nie grałam w szachy...

Munoz wskazywał teraz ołówkiem pole a2.

— Z takim samym szachem domniemanym mielibyśmy do czynienia, gdyby hetman stał tu, więc wykluczamy także i to pole.

— Od razu widać — rzekł Cesar — że mógł przyjść tylko z b2.

— Możliwe.

— Jak to „możliwe”? — Antykwariusz stanął jednocześnie zdumiony i zaintrygowany. — Rzekłbym raczej, że to ewidentne.

— W szachach — odparł Munoz — niewiele rzeczy można zaliczyć do ewidentnych. Niech pan popatrzy na białe figury stojące na kolumnie B. Co by się stało, gdyby hetman był na b2?

Cesar zadumany poskrobał się po podbródku.

— Stałby pod groźbą ze strony białej wieży na b5... Niewątpliwie zatem ruszył się na c2, żeby uciec wieży.

— Nieźle — przyznał szachista. — Ale to tylko jedna z możliwości. W każdym razie przyczyna, dla której się ruszył, na razie nie jest dla nas istotna... Pamiętacie państwo, co przedtem mówiłem? Eliminując niemożliwe, pozostajemy z tym, co jest

z konieczności prawdziwe. Zatem, rekapitulując: A) był ruch czarnych, B) dziewięć spośród dziesięciu czarnych bierek znajdujących się na szachownicy nie mogło się ruszyć, C) jedyna, która mogła się ruszyć, to czarny hetman, D) trzy spośród czterech hipotetycznych ruchów hetmana są niemożliwe. . . Wynika z tego, że czarny hetman wykonał jedyne posunięcie możliwe: przeszedł z pola b2 na c2, być może uciekając przed zagrożeniem ze strony białych wież z b5 i b6. . . Wszystko jasne?

— Jak najbardziej — odrzekła Julia, a Cesar przytaknął.

— Co oznacza — kontynuował Munoz — że udało nam się wykonać pierwszy ruch w tej partii, którą gramy do tyłu. A zatem kolejna pozycja, czyli poprzednia, bo poruszamy się wstecz, wyglądałaby tak.

— Widzą państwo. . . ? Czarny hetman jest jeszcze na polu b2, przed pójściem na c2. Dlatego teraz trzeba zanalizować ruch białych, który zmusił hetmana do tego posunięcia.

— Bez wątpienia był to ruch białej wieży — powiedział Cesar. — Tej z b5... Mała zmijka mogła nadejść z dowolnego pola w rzędzie 5.

— Może — odparł szachista. — Ale to kompletnie nie usprawiedliwia ucieczki hetmana.

Cesar zamrugał powiekami ze zdumieniem.

— Dlaczego? — Patrzył to na szachownicę, to na Munoza. — Przecież jest oczywiste, że hetman uciekł przed biciem ze strony wieży. Sam pan to powiedział przed chwileczką.

— Powiedziałem, że być może uciekł przed białymi wieżami, ale w żadnej chwili nie twierdziłem, że do tej ucieczki zmusiło go posunięcie białej wieży.

— Zgubiłem się — przyznał antykwariusz.

— Niech pan uważnie spojrzy na szachownicę... Niezależnie od tego, jaki ruch zrobiłaby wieża, która stoi na b5, już druga wieża, ta z b6, wcześniej dawałaby szacha czarnemu hetmanowi, zdaje pan sobie sprawę?

Cesar jeszcze raz przyjrzał się partii, tym razem przez dobrych kilka minut.

— Muszę podkreślić, że czuję się pokonany — rzekł wreszcie zniechęcony. Zdążył przez ten czas dopić swój dzin z cytryną, Julia tymczasem paliła obok papierosy jednego za drugim. — Jeśli to nie biała wieża ruszyła się na b5, całe rozumowanie bierze w łeb. . . Gdziekolwiek stała, ten antypatyczny hetman musiał zrobić ruch przedtem, bo szach jest wcześniejszy. . .

— Nie — zaoponował Munoz. — Niekoniecznie. Wieża mogła na przykład zbić czarną bierkę na b5.

Podekscytowani tą nową możliwością Cesar i Julia znów przyjrzeni się szachownicy. Po paru minutach antykwariusz podniósł na szachistę wzrok pełen uszanowania.

— Otóż to — powiedział z podziwem. — Nie widzisz, Julio. . . ? Czarna bierka z b5 zaślaniała hetmana przed zagrożeniem ze strony białej wieży z b6. Kiedy ta bierka została zbita przez drugą białą wieżę, czarny hetman znalazł się pod bezpośrednim biciem. — Znów popatrzył na Munozę, szukając potwierdzenia. — Musiało tak być. . . Nie ma innej możliwości. — Spojrzał z wahaniem na szachownicę. — Bo jej nie ma, prawda?

— Nie wiem — odrzekł szczerze szachista, na co Julii wyrwało się z ust rozpaczliwe „Boże święty”. — Pan sformułował właśnie pewną hipotezę, a w tym wypadku zawsze

ryzykujemy, że będziemy naginać fakty do teorii tylko po to, żeby teoria pasowała do faktów.

— W takim razie...?

— Powiedziałem już. Na razie możemy tylko rozpatrywać hipotetyczną ewentualność, że biała wieża zbiła czarną bierkę na b5. Pozostaje sprawdzić, czy są inne warianty, i wykluczyć te, które są niemożliwe. — Blask w oczach mu zmętniał, dłonie wykonały ruch ni to przepraszający, ni to niepewny, a sam szachista jakby zszarzał, może ze zmęczenia. Pewność siebie, z jaką jeszcze przed chwilą objaśniał kolejne posunięcia, gdzieś się ulotniła. Znow mieli przed sobą nieśmiałego, niezdarnego urzędnika. — To właśnie miałem na myśli — unikał wzroku Julii — mówiąc, że natrafiłem na problem.

— A kolejny krok? — spytała.

Munoz przyjrzał się szachownicy z rezygnacją.

— Podejrzewam, że powolna, uciążliwa analiza sześciu bierek, które wypadły z gry... Postaram się sprawdzić, jak i gdzie każda z nich mogła zostać zbita.

— To zajmie panu dni — powiedziała Julia.

— Albo minuty, to zależy. Czasem można liczyć na szczęście albo intuicję. — Popatrzył długo na szachownicę, a potem na van Huysa. — Ale jedna rzecz nie ulega najmniejszej wątpliwości — odezwał się po chwilowej zadumie. — Człowiek, który namalował obraz albo wymyślił to zagadnienie, bardzo nietypowo grał w szachy.

— A jakby pan go określił? — Julia domagała się wyjaśnień.

— Kogo?

— Gracza, którego tu nie ma. . . Tego, o którym pan właśnie wspomniał.

Munoz spuścił wzrok na dywan, potem popatrzył na obraz. Julii wydało się, że widzi w jego oczach błysk podziwu. Albo szacunku szachisty dla mistrza.

— Nie wiem — odrzekł cichym, wymijającym tonem. — Był na pewno człowiekiem przewrotnym. . . Wszyscy dobrzy gracze tacy są, ale ten posiadał coś jeszcze: niezwykłą zdolność do wytyczania fałszywych ścieżek, zastawiania rozmaitych pułapek. . . I korzystał z tego.

— To możliwe? — spytał Cesar. — Naprawdę jesteśmy w stanie odtworzyć charakter gracza na podstawie jego zachowania przy szachownicy?

— Uważam, że tak — odparł Munoz.

— A w tym przypadku, co jeszcze sądzi pan o człowieku, który skonstruował tę partię, pamiętając, że zrobił to w wieku piętnastym?

— Powiedziałbym. . . — Munoz zadumał się nad obrazem. — Powiedziałbym, że grał w szachy jak Szatan.

VI. O szachownicach i lustrach

I dowiesz się, gdzie jest koniec, gdy dotrzesz
już do niego.

Ballada starca z Leningradu

Zanim wróciła do samochodu, który stał zaparkowany „na drugiego”, Menchu zdążyła się przesiąść za kierownicę. Julia otworzyła drzwiczki swojego fiata i opadła na fotel.

— Co powiedzieli? — spytała właścicielka galerii.

Przytłoczona naporem myśli, nie od razu odpowiedziała. Tępo wpatrując się w ruch uliczny przed sobą, wyciągnęła z torebki papierosa, wsunęła go w usta i wcisnęła zapalniczkę w desce rozdzielczej.

— Wczoraj było tam dwóch policjantów — odezwała się w końcu. — Pytali o to samo, co ja. — Przytknęła zapalniczkę do papierosa, gdy tylko usłyszała trzask. — Jak twierdzi kierownik, kopertę przyniesiono w czwartek o pierwszej po południu.

Menchu zacisnęła dłonie na kierownicy, aż zbieła jej skóra między pierścionkami.

— Kto przyniósł?

Julia powoli wypuściła smugę dymu.

— Kierownik mówi, że kobieta.

— Kobieta?

— Jak słyszałaś.

— Co za kobieta?

— W średnim wieku, dobrze ubrana, blondynka. W płaszczu nieprzemakalnym i okularach przeciwsłonecznych.

— Odwróciła się do przyjaciółki. — To mogłaś być ty.

— Wcale mnie to nie śmieszy.

— Mnie też nie. Prawdę mówiąc, zupełnie nie — Julia westchnęła przeciągle. — Ale ten opis właściwie pasuje do kogokolwiek. Nie podała nazwiska ani adresu, tylko dane nadawcy, czyli Alvara. Określiła przesyłkę jako ekspresową i poszła. Koniec pieśni.

Włączyły się do ruchu na bulwarze. Znowu zanosilo się na deszcz, kilka kropel już zdążyło spaść na przednią szybę. Menchu ze zgrzytem zmieniła bieg i potarła w zamysleniu nos.

— Słuchaj, jakby to usłyszała Agatha Christie, zrobiłaby z tego powieść.

Julia skrzywiła się apatycznie.

— Tak, tyle że tu trup jest prawdziwy. — Gdy podnosiła papierosa do ust, przed oczami stanął jej obraz Alvara, jak leży nagi i mokry. Jeśli jest coś gorszego niż śmierć — pomyślała — to śmierć groteskowa, kiedy ludzie przyłóżą i patrzą. Miał skubaniec pecha.

— Miał skubaniec pecha — powtórzyła na głos.

Zatrzymały się przed przejściem dla pieszych. Menchu odwróciła wzrok od światła na skrzyżowaniu i zerknęła na przyjaciółkę z zaniepokojeniem. Martwi ją, że Julia wplątała się w taką aferę. Co tu szukać daleko, ona sama też odchodzi od zmysłów, dlatego złamała jedną ze swoich niezłomnych zasad i sprowadziła Maxa do siebie, aż się wszystko wyjaśni. Julia powinna zrobić to samo.

— Sprowadzić sobie Maxa. . . ? Nie, dzięki. Wolę sama się zadreczać.

— A ty znów to samo, skarbie. Nie nudź. — Zapaliło się zielone, Menchu ruszyła i ostro dodała gazu. — Wiesz doskonale, że nie o niego mi chodziło. . . Poza tym to anioł.

— Anioł, który krew z ciebie wysysa.

— Nie tylko krew.

— Czy mogłabyś nie być ordynarna?

— Witamy Siostrę Julię od Najświętszego Sakramentu.

— No i dobrze.

— Posłuchaj, możesz sobie gadać o Maksie, co ci się podoba, ale jest tak śliczny, że jak na niego patrzę, to mnie lichy bierze. Jak ta Butterfly i jej Mały Maltańczyk, między jednym kaszlnięciem a drugim... A może to był Armand Duval? — skłęta jakiegoś przechodnia na jezdni i, trąbiąc z oburzeniem, wśliznęła się fiatem w ciasną przestrzeń pomiędzy taksówką a kopącym autobusem. — Ale na serio, tak mieszkać samej to chyba nieostrożne... A jeżeli naprawdę jakiś bandzior chce się teraz dobrać do ciebie?

Zirytowana Julia wzruszyła ramionami.

— To co mam zrobić?

— No, stara, nie wiem. Przenieś się do kogoś. Jak chcesz, mogę się poświęcić: wykopię Maxa i masz u mnie miejsce.

— A obraz?

— Weźmiesz go i będziesz pracować w moim mieszkaniu. Nakupię konserw, koki, świńskich kaset wideo, flaszek z alkoholem i zabarykadujemy się tam jak w Forcie Apache do czasu, aż będziemy się mogły pozbyć obrazu. I oczywiście dwie sprawy. Po pierwsze: dogadałam się co do wzmocnienia zabezpieczeń, gdyby jakiś natręt... .

— Ale jaki natręt? Van Huys jest u mnie bezpieczny, za siedmioma zamkami. Cały system kosztował mnie kupę forsy, nie pamiętasz? Mój dom jest jak Banco de España, tyle że bez pieniędzy.

— Nigdy nie wiadomo. — Zaczynało naprawdę lać i Menchu włączyła wycieraczkę.

— ... A po drugie: ani słowa don Manuelowi o całej historii.

— Dlaczego?

— Nie udawaj, maleńka, że nie wiesz. Nasza kochana Lola tylko czeka, żeby popsuć mi szyki.

— Na razie nikt nie wiąże sprawy Alvara z obrazem.

— Może głośniej? Policjanci nie bywają taktowni i mogli już nawiązać kontakt z moim klientem. Albo z tą jego lisią żonką... No więc tak. Wszystko się komplikuje jak diabli. Kusi mnie, żeby przerzucić kłopot na Claymore'a, zainkasować prowizję i kropka.

Deszcz malował na szybach nieostre szare plamy, przez co świat za oknami samochodu sprawiał nierzeczywiste wrażenie. Julia spojrzała na przyjaciółkę.

— A właśnie, dziś wieczorem mam kolację z Montegrifem.

— Coś ty?

— No tak. Ma ogromną ochotę porozmawiać ze mną o interesach.

— O interesach...? Przy okazji zechce pobawić się w tatę i mamę.

— Zadzwoń i ci opowiem.

— Do tego czasu oka nie zmruję. On też coś wyniuchał. Zakładam się o dziewictwo moich trzech kolejnych wcieleń.

— Mówiłam, nie bądź ordynarna.

— A ty mnie w trąbę nie zrób, małpko. Nie zapominaj, że jesteśmy przyjaciółkami. I to bliskimi.

— Możesz mi zaufać i przyhamować trochę.

— Słuchaj, zakłuję cię jak tę Carmen od Merimeego.

— Dobra, ale właśnie przejechałaś na czerwonym, a ponieważ to mój samochód, więc potem ja będę płacić mandaty.

Zerknęła w lusterko i zobaczyła, że za nimi, także na czerwonym, przejechał jeszcze jeden samochód, niebieski ford z ciemnymi szybami. Chwilę później skręcił w prawo i zniknął. Miała wrażenie, że ten sam wóz stał zaparkowany po drugiej stronie ulicy, też „na drugiego”, kiedy wychodziła z agencji kurierskiej. Ale przy takim ruchu ulicznym i deszczu trudno było mieć pewność.

Paco Montegrifo należał do ludzi, którzy uważają, że czarne skarpetki przystoją szoferom i kelnerom, sami zaś, jako istoty rozumne, obstają przy ciemnogrnatowych. Nosił szary, również ciemny, nieskazitelny garnitur, skrojony na miarę, pierwsze guziki na mankietach marynarki miał wytwornie odpięte i ogólnie wyglądał jak wyjęty z żurnala. Koszula z kołnierzykiem Windsor, jedwabny krawat i chusteczka wysunięta dyskretnie z górnej kieszonki dopełniały idealnego wizerunku, który właśnie podniósł się z fotela w holu i szedł Julii na spotkanie.

— O mój Boże — powiedział, wyciągając dłoń. Biały uśmiech kontrastował przyjemnie z opalenizną. — Z pani jest prawdziwa piękność.

To powitanie wprowadziło ton pierwszej części rozmowy. Wyraził nieklamany podziw dla jej obcisłej sukienki z czarnego aksamitu, po czym zasiedli przy zarezerwowanym stoliku koło dużego okna, skąd mieli wspaniały widok na oświetlony nocą Pałac Królewski. Montegrifo prezentował cały arsenał spojrzeń może nie bezczelnych, ale owszem, głębokich, wspartych uwodzicielskimi uśmiechami. Po aperitifie, kiedy kelner przyrządzał przystawki, dyrektor Claymore'a zaczął rzucać krótkie pytania, prowokujące do inteligentnych odpowiedzi. Słuchał ich, splótnięty w niemym uwielbieniu palce pod brodą, z półotwartymi ustami, dzięki czemu blask świec mógł się odbijać w jego wspaniałych zębach.

Jedyną aluzją do van Huysa, jaką Montegrifo zrobił przed deserami, był staranny dobór butelki białego burgunda do ryb.

— Za sztukę — wznosił toast z nieco porozumiewawczą miną i wszczał krótką pogawędkę o winach francuskich. — Jest to kwestia — wyjaśniał nie patrząc na uwijających się wokół stołu kelnerów — która w zadziwiający sposób ewoluje wraz z wiekiem. . . Na początku człowiek jest zagorzałym zwolennikiem białego albo czerwonego burgunda: to jego najlepszy towarzysz uczt do mniej więcej trzydziestych piątych uro-

dzin... Ale później, nie porzucając przy tym burgunda, należy przejść na bordeaux: to wino dla dorosłych, poważne i łagodne. A dopiero po czterdziestce jesteśmy zdolni puścić fortunę za skrzynkę Petrusa albo Chateau d'Yquem.

Skosztował wina, wyrażając podziw uniesieniem brwi. Julia z łatwością dopasowała się do gry i też okazała uznanie. Cieszyła się z tej kolacji i banalnej rozmowy, mówiąc sobie w duchu, że w innych okolicznościach Montegrifo, ze swoim niskim głosem, opalonymi dłońmi i dyskretnym aromatem wody kolońskiej, dobrej skóry i wykwintnego tytoniu, mógłby być całkiem przyjemnym partnerem. I to pomimo, że lubi głaskać się palcem wskazującym po prawej brwi i zerkać co jakiś czas z ukosa na własne odbicie w szybie.

Rozmawiali o różnych rzeczach, tylko nie o obrazie, nawet gdy ona skończyła swój plaster łososia a'la Royale, a on, posługując się wyłącznie srebrnym widelcem, zajął się wargaczem a la Sabatini. Prawdziwy dżentelmen, wyjaśniał z nieco frywolnym uśmiechem, nigdy nie sięga po łopatkę do ryb.

— A jak pan radzi sobie z ościami? — zaciekawilo Julię. Dyrektor wytrzymał jej spojrzenie.

— Nie chadzam do restauracji, gdzie serwują ryby z ościami.

Po deserach obydwójce zamówili czarną, bardzo mocną kawę. Montegrifo wyciągnął srebrną cygarnicę i delikatnie wydobyl z niej angielskiego papierosa, po czym spojrzal na Julię z wielką uwagą i pochylił się ku niej.

— Chcę, żeby pani pracowała dla mnie — niemal szepnął, jakby obawiał się, że może go podsłuchać ktoś z Pałacu Królewskiego.

Julia podnosiła właśnie do ust papierosa bez filtra, którego Montegrifo usłużnie jej przypalił. Popatrzyła mu w kasztanowe oczy.

— Dlaczego? — zapytała zdawkowo obojętnym tonem, jakby chodziło o osobę trzecią.

— Z wielu powodów. — Montegrifo przez chwilę układał złotą zapalniczkę tak, żeby leżała dokładnie na środku cygarnicy. — Przede wszystkim dlatego, że ma pani świetną opinię.

— Miło mi.

— Mówię poważnie. Zasięgnąłem języka, to chyba naturalne. Znam pani prace dla Prado i dla prywatnych galerii. . . Ciągłe pracuje pani w muzeum?

— Tak, trzy dni w tygodniu. Teraz zajmuję się niedawno kupionym Ducciem di Buoninsegna.

— Słyszałem o nim. Śmiała robota. Dowiedziałem się, że powierzają pani ważne zlecenia.

— Zdarza się.

— Nawet my w Claymorze mieliśmy przyjemność niejedną raz wystawiać obrazy, które wyszły spod pani rąk. Tamten Madrazo ze zbiorów Ochoi. . . Dzięki pani talentowi mogliśmy podnieść cenę wywoławczą o jedną trzecią. A, i jeszcze zeszłej wiosny, bodajże Koncert Lopeza de Ayala. . . ?

— Kobieta przy fortepianie Rogelia Egusquiza.

— Słusznie, oczywiście, proszę mi wybaczyć. Kobieta przy fortepianie, no jasne. Była wystawiona na działanie wilgoci, a pani dokonała prawdziwego cudu. — Uśmiechnął się. Dłonie obydwójga strzepywały popiół z papierosów niemal w tym samym momencie. — I dobrze się pani z tym czuje? To znaczy, tak pracując z doskoku, a nuż coś

się trafi. . . — Szeroki uśmiech pozwolił mu ponownie zaprezentować wspaniałą galerię zębów. — Jako wolny strzelec.

— Nie narzekam. — Poprzez dym Julia przypatrywała się swojemu rozmówcy spod przymrużonych powiek. — Przyjaciele myślą o mnie, co rusz znajdują mi to i owo. A ja pozostaję niezależna.

Montegrifo popatrzył na nią zagadkowo.

— We wszystkim?

— We wszystkim.

— Czyli że szczęśliwe z pani dziewczę.

— Może i tak. Ale też nie narzekam na brak pracy.

— Claymore ma sporo zleceń, które wymagają pani umiejętności. . . Co pani na to?

— Ja na to, że nie widzę powodu, by o tym nie porozmawiać.

— Znakomicie. W ciągu paru dni moglibyśmy odbyć bardziej zobowiązujące spotkanie.

— Jak pan woli. — Julia długo przypatrywała się Montegrifowi. Czuła, że nie powstrzyma dłużej cisnącego jej się na usta kpiącego uśmiechu. — A teraz może pan ze mną pogadać o van Huysie.

— Słucham?

Zgasiła papierosa w popielniczce, splotła dłonie pod brodą i pochyliła się nieco ku dyrektorowi.

— O van Huysie — powtórzyła, prawie literując swoje słowa. — Chyba że zamierza pan położyć swoją dłoń na mojej i powiedzieć, że jestem najpiękniejszą dziewczyną, jaką pan w życiu widział, albo coś równie uroczego.

Montegrifo w ułamku sekundy odzyskał doskonale pewny siebie uśmiech.

— Z rozkoszą, ale takie rzeczy mówię dopiero po kawie. Nawet jeśli pomyślę o tym wcześniej. — I dodał: — To kwestia taktyki.

— Wobec tego porozmawiajmy o van Huysie.

— Porozmawiajmy. — Spojrzał na nią przeciągle i Julia z miejsca zorientowała się, że na przekór mimice w tych oczach nie było uśmiechu, ale czujność i najwyższa ostrożność. — Dotarli do mnie, wie pani, pewne plotki. . . Ten nasz świątek to jak podwórko w kamienicy, wszyscy wszystkich znają — westchnął jakby z wyrzutem wobec środowiska, o którym mówił. — Zdaje się, że coś pani odkryła na tym obrazie. O ile mam wierzyć moim informatorom, jego wartość znacznie przez to wzrasta.

Julia zdawała sobie sprawę, że aby oszukać Montegrifa, nie wystarczy mina pokrzyżstki, którą właśnie przywołała na twarz.

— A kto panu naplótł takich bzdur?

— Wróbelki wyćwierkały. — Dyrektor domu aukcyjnego w zamyśleniu pogłaskał palcem prawą brew. — Ale mniejsza o to. Problem polega na tym, że pani przyjaciółka, panna Roch, usiłuje mnie szantażować. . .

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Nie mam wątpliwości — Montegrifo cały czas się uśmiechał. — Przyjaciółka pani usiłuje zmniejszyć prowizję Claymore’a, a podwyższyć swoją. . . — Z twarzy bił mu absolutny obiektywizm. — Prawdę mówiąc, z legalnego punktu widzenia nic jej tego

nie zabrania, bo mamy tylko ustną umowę. Może ją złamać i zwrócić się do konkurencji w celu uzyskania lepszej prowizji.

— Gratuluję, jest pan niezwykle wyrozumiały.

— Jak pani widzi. Z tym że moja wyrozumiałość nie zabrania mi jednoczesnej troski o interes mojej firmy. . .

— Domyślam się.

— Nie będę owijał w bawełnę, że udało mi się namierzyć właściciela van Huy-sa, pana w sile wieku. Ściśle rzecz biorąc, wszedłem w kontakt z jego bratanicą i jej mężem. Z zamiarem, czego też nie będę ukrywać, przekonania rodziny, żeby zrezygnowała z usług pani przyjaciółki jako pośredniczki i żeby zamiast tego dogadała się ze mną bezpośrednio. . . Rozumie mnie pani?

— Doskonale. Chce pan wykiwać Menchu.

— Można to i tak ująć. Nie jest to określenie całkowicie nie na miejscu. — Przez opalone czoło przemknął mu cień nieznacznego cierpienia, jak u kogoś, kto jest niesłusznie oskarżany. — Niestety pani przyjaciółka, kobieta przewidująca, dała właścicie-

lowi papier do podpisania. Dokument, który zamyka mi drogę do jakichkolwiek działań w tej sprawie... Co pani na to?

— Chyba podzielam pańskie wrażenia. Następnym razem życzę więcej szczęścia.

— Dziękuję. — Montegrifo zapalił kolejnego papierosa. — Ale może jeszcze nie wszystko stracone. Pani jest bliską przyjaciółką panny Roch. Może udałoby się pani nakłonić ją do zawarcia przyjacielskiej ugody. Gdybyśmy zespolili wysiłki, moglibyśmy wycisnąć z tego obrazu fortunę, która zadowoliłaby i panią, i pani przyjaciółkę, i Claymore'a, i mnie samego. Nie sądzi pani?

— Bardzo możliwe. Ale dlaczego mówi pan o tym mnie, zamiast pogadać z Menchu... ? Zaoszczędziłby pan na kolacji.

Mina Montegrifa miała wyrażać bezgraniczny smutek.

— Podoba mi się pani, nie tylko jako towarzyszka przy stoliku restauracyjnym. Jeśli mam być szczery, to nawet bardzo. Jest pani kobietą nie tylko atrakcyjną, ale także

inteligentną i rozsądną. . . Mam większe zaufanie do pani mediacji niż do bezpośrednich spotkań z pani przyjaciółką, którą uważam za osobę dość, za przeproszeniem, frywolną.

— Podsumowując — odezwała się Julia — spodziewa się pan, że ją namówię.

— Byłbym. . . — dyrektor chciał starannie dobrać słowa.

— Byłbym w siódmym niebie.

— A co ja z tego będę miała?

— Naturalnie uznanie ze strony mojego domu aukcyjnego. Teraz i później. Jeśli chodzi o natychmiastowe beneficja, i nie pytam tu, ile spodziewała się pani dostać za pracę nad van Huyssem, mogę pani zagwarantować sumę dwukrotnie wyższą. Oczywiście w ramach zaliczki dwóch procent ostatecznej ceny, jaką „Partia szachów” osiągnie podczas aukcji. Poza tym jestem władny zaoferować pani kontrakt, na mocy którego zostanie pani szefową działu konserwacji w madryckiej filii Claymore’a. . . I co pani na to?

— Bardzo kuszące. Tyle spodziewają się państwo uzyskać na tym obrazie?

— Mamy już potencjalnych kupców w Londynie i Nowym Jorku. Przy odpowiedniej kampanii promocyjnej możemy zrobić z tego największe wydarzenie artystyczne

od czasu aukcji sarkofagu Tutanchamona w Christie's... Sama pani rozumie, że równy udział, jakiego domaga się pani przyjaciółka, to lekka przesada. Jej zasługą było raptem znalezienie konserwatoria, i zaoferowanie nam obrazu. A reszta należy już do nas.

Julia zamyśliła się, nie okazując po sobie wielkiego wrażenia. Zresztą w ostatnich dniach bardzo zmieniała się skala wydarzeń, które mogłyby zrobić na niej wielkie wrażenie. Po paru chwilach spojrzała na prawą dłoń. Montegrifa, która leżała na białym obrusie bardzo blisko jej ręki, i usiłowała przeliczyć, ile centymetrów zdołała pokonać w ciągu ostatnich pięciu minut. Dostatecznie dużo, żeby odgwizdać koniec kolacji.

— Postaram się — zapewniła go, biorąc torebkę. — Ale niczego nie mogę obiecać. Montegrifo pogładził się po brwi.

— Proszę się postarać. — Jego kasztanowe oczy patrzyły na nią z wilgotną, aksamitną czułością. — Jestem pewien, że się pani uda, dla dobra nas wszystkich.

Przemawiał głosem, w którym nie było cienia groźby, raczej błagalne ciepło, tak przyjazne i nieskazitelne, że musiało zabrzmieć szczerze. Dyrektor ujął dłoń Julii i złożył na niej delikatny pocałunek, ledwie muskając ją ustami.

— Nie wiem, czy już to pani mówiłem — dodał cicho — ale jest pani niezwykle piękną kobietą. . .

Poprosiła, żeby wysadził ją niedaleko baru Stephan's, i poszła dalej piechotą. O północy lokal otwierał swoje podwoje dla klienteli, o której liczebność i elitarność zadbano dzięki wysokim cenom i surowo sprawdzanym kartom wstępu. Spotykał się tam cały artystyczny Madryt: od będących przejazdem agentów zagranicznych domów aukcyjnych, polujących na średniowieczne retabulum albo wystawioną na sprzedaż prywatną kolekcję, przez właścicieli galerii, badaczy, marszandów i dziennikarzy wyspecjalizowanych w sztuce, po znanych malarzy.

Zostawiła płaszcz w szatni, machnęła ręką paru znajomym na powitanie i ruszyła korytarzem w kierunku stojącej w głębi otomany, gdzie zazwyczaj siadywał Cesar. I rzeczywiście siedział tam, z nogą założoną na nogę, kieliszkiem w dłoni i młodym, pięknym blondynem u boku, z którym pograżony był w serdecznej rozmowie. Julia doskonale wiedziała, że Cesar pałał szczególną pogardą do lokali uczęszczanych przez

homoseksualistów. To kwestia smaku, mawiał, nie mieszać się z zamkniętym, ekshibicjonistycznym i nierzadko agresywnym światkiem, zaludniającym podobne miejsca, gdzie zresztą — dodawał z jednym z tych swoich drwiących grymasów — człowiek nieuchronnie odnosił wrażenie, że jest starą kwoką przechadzającą się po własnym kurniku. Cesar był samotnym myśliwym — przy zachowaniu wszelkich reguł elegancji — i świetnie czuł się w środowisku heteroseksualnym, gdzie bez żadnego problemu utrzymywał przyjaźnie i dokonywał podbojów. Obiektami tych ostatnich byli młodzi obiecujący artyści, którym pomagał w odnalezieniu ich własnej, prawdziwej wrażliwości, z której, księżniczko, te boskie efeby nie zawsze zdawały sobie sprawę. Wobec tych wyśmienitych wybrańców Cesar chętnie pełnił jednocześnie role Mecenasa i Sokratesa. A gdy upłynął miesiąc miodowy (w Wenecji, Marrakeszu lub Kairze), każdy związek rozwijał się swoją naturalną, odmienną koleją. Długie już i intensywne życie Cesara stanowiło, o czym Julia dobrze wiedziała, pasmo olśnień, rozczarowań, zdrad, ale i dowodów wierności, o których opowiadał jej z nienagannym taktem i nieco ironicznym dystansem, pozwalającym mu ukryć własne najintymniejsze tęsknoty — z powodu zwykłej nieśmiałości.

Posłał jej uśmiech. Moja ulubiona dziewczyna — powtarzały bezgłośnie jego wargi, gdy odstawiał na stół kieliszek, wyprostowywał nogi i podnosił się z otomany, wyciągając ku niej dłoń.

— Jak tam kolacja, księżniczko...? Koszmar, wyobrażam sobie, Sabatini zszedł na psy... — skrzywił się, a w błękitnych oczach pojawił się złośliwy błysk. — Ci parweniusze z banków i przedsiębiorstw ze swoimi kartami kredytowymi i rachunkami na firmę potrafią zdeklasować każde miejsce... Przepraszam, znacie się z Sergiem?

Julia знаła Sergia i, jak zwykle w przypadku przyjaciół Cesara, wyczuwała wzburzenie, jakie budziła jej obecność. Chłopcy nie potrafili objaśnić sobie prawdziwego charakteru więzi łączącej antykwariusza z tą piękną, spokojną dziewczyną. Na szczęście jedno spojrzenie wystarczyło, by przynajmniej tym razem sytuacja szybko się ustabilizowała: młodzieniec, którego już widywała kilkakrotnie, był wrażliwy i inteligentny, nie odczuwał zazdrości, co najwyżej pewne skrępowanie.

— Montegrifo chciał złożyć mi propozycję.

— Bardzo ładnie z jego strony — Cesar podszedł do sprawy poważnie. Wszyscy troje usiedli. — Pozwólże jednak, że zapytam jak stary Cycero: cui bono... Kto skorzysta?

— Oczywiście on sam. Po prawdzie chciał mnie przekupić.

— Brawa dla Montegrifa. Dałaś się? — Dotknął ust Julii czubkiem palców. — Nie, nic nie mów, kochanie, niech porozkoszuję się jeszcze tą cudowną niepewnością... Mam przynajmniej nadzieję, że oferta była rozsądna?

— Niezła. On sam, zdaje się, był w pakiecie.

Cesar zjadliwie przesunął końcem języka po wargach.

— Typowe dla tego pana, złapać dwie sroki za ogon... Zawsze miał zmysł praktyczny. — Antykwariusz zwrócił się nieco w stronę swego jasnowłosego towarzysza, jakby chciał uchronić jego uszy przed przyziemnymi, nietaktownymi uwagami, po czym spojrzął na Julię szelmowsko, dosłownie drżąc z niecierpliwości. — I co mu odpowiedziałas?

— Że to przemyśle.

— O bogini! Nigdy nie należy palić za sobą mostów... Słyszysz, drogi Sergio?
Nigdy.

Młodzieniec popatrzył z ukosa na Julię i wsunął nos w koktajl na szampanie. Bez żadnych złych podtekstów Julia wyobraziła go sobie, jak stoi nagi w półmroku sypialni Cesara, piękny i milczący niczym marmurowy posąg, z jasnymi włosami opadającymi na czoło, ze „złotym berłem” (jak to określał Cesar peryfrazą zapożyczoną — była prawie pewna — od Cocteau) uniesionym i gotowym do wejścia w antrum amoris¹ dojrzałego partnera. A może było na odwrót, może to dojrzały partner krzątał się koło antrum młodego adonisa. Zażyłość między Julią a Cesarem nigdy nie posunęła się tak daleko, by dziewczyna mogła pytać antykwarusza o takie szczegóły, aczkolwiek chwilami zżerała ją na ten temat dość niezdrowa ciekawość. Zerknęła na Cesara, jak siedzi pełen wytwornej elegancji, w białej lnianej koszuli i niebieskiej chustce z jedwabiu w czer-

¹Antrum amoris (łac.) — pieczara miłości.

wone kropki, jak włosy spływają mu lekkimi falami za uszy i na kark — i zaczęła się kolejny raz zastanawiać, na jaką szczególną przynętę ten w końcu pięćdziesięciolatek jest w stanie złowić i usidlić młodzieńców w rodzaju Sergia. I zaraz sobie odpowiedziała: bez wątplenia na ten ironiczny błysk niebieskich oczu, na eleganckie, rasowe ruchy ukształtowane w ciągu pokoleń, na rozważną, często milczącą mądrość, która jest ukrytym źródłem każdego jego słowa, znużonym, tolerancyjnym i nieskończonym, a która przy tym nigdy nie traktuje samej siebie na serio.

— Musisz obejrzeć jego najnowszy obraz — rzekł Cesar, Pochłonięta myślami Julia dopiero po paru sekundach zdała sobie sprawę, że mówi o Sergiu. — ... Rzecz godna uwagi, kochanie. — Poruszał dłońią w okolicach ramienia młodzieńca, jakby miał ją tam położyć, ale się powstrzymywał. — Płótno dosłownie kipi światłem w stanie czystym. Coś przepięknego.

Julia uśmiechnęła się, przyjmując osąd Cesara jako niepodważalną rękojmię. Poruszony i zakłopotany Sergio patrzył na antykwariusza, jak głaskany kotek mrużąc ozdobione jasnymi rzęsami powieki.

— Rzecz oczywista — ciągnął Cesar — że sam talent jeszcze nie otwiera w życiu wszystkich bram. . . Rozumiesz, chłopcze? Wielkie formy artystyczne wymagają pewnej wiedzy o świecie, dogłębnego doświadczenia w relacjach międzyludzkich. . . Co innego owe abstrakcyjne dziedziny, gdzie talent jest kluczem, a doświadczenie pozostaje jedynie dopełnieniem. Mówię o muzyce, o matematyce. . . O szachach.

— O szachach — powtórzyła Julia. Popatrzyli sobie w oczy, a zdezorientowany Sergio wodził spojrzeniem od jednego do drugiego, sypiąc z powiek złotym pyłem zazdrości.

— Tak, o szachach. — Cesar pochylił się i pociągnął spory łyk z kieliszka. Zwężone źrenice zapatrzyły się w jakąś odległą tajemnicę. — Zwróciłaś uwagę, w jaki sposób Munoz patrzy na „Partię szachów”?

— Tak. Patrzy inaczej.

— Właśnie. Inaczej niż ty. Albo ja. Munoz dostrzega na szachownicy rzeczy, których inni nie widzą.

Słuchający w milczeniu Sergio zmarszczył czoło i otarł się rozmyślnie o ramię Cesara. Czuł się odepchnięty. Antykwariusz zerknął nań dobrotliwie.

— Mówimy o sprawach zbyt nikczemnych, mój drogi. — Przesunął palcem wskazującym po dłoni Julii, uniósł nieco rękę, jakby z wahaniem, by wreszcie położyć ją między jej dłońmi. — Trwaj w swojej niewinności, złotowłosa przyjacielu. Rozwijaj talent i nie komplikuj sobie życia. Luli.

Posłał mu w powietrzu całusa. W tym samym momencie na drugim końcu korytarza pojawiły się nogi i olśniewająca reszta Menchu, która przybyła w towarzystwie Maxa, domagając się nowin o Montegrifie.

— Co za świnia — oznajmiła, wysłuchawszy opowieści Julii. — Jutro porozmawiam z don Manuelem. Przeprowadzimy kontratak.

Nieśmiały blondynek Sergio wycofał się pod naporem lawiny słów, z jaką Menchu załatwiła sprawę Montegrifa, przechodząc następnie do van Huysa, a od van Huysa w inne rejony, a przy okazji także do drugiego, następnie zaś do trzeciego kieliszka, który trzymała już znacznie bardziej niedbale. Max palił w spokoju, siedząc obok niczym dobrze odziany byk rozplodowy ciemnej maści. Cesar z nieobecnym uśmiechem

moczył usta w dżinie z cytryną, które osuszał z kolei chusteczką wyciąganą z górnej kieszeni marynarki. Raz po raz mrugał oczami, jakby powracał z daleka, i pochylając się ku Julii bezwiednie gładził jej dłoń.

— W tym biznesie — tłumaczyła Menchu Sergiowi — ludzie dzielą się, skarbie, na tych, którzy malują, i tych, którzy inkasują szmal. . . Rzadko się zdarza, żeby jedna osoba robiła obydwie rzeczy naraz — rozczulona młodym wiekiem rozmówcy wydawała z siebie przeciągłe westchnienia. — Ech, wy artyści, tacy młodzi, jasnowłosi i w ogóle — posłała Cesarowi jadowite spojrzenie z ukosa. — Tacy apetyczni.

Antykwariusz poczuł się zawezwany ze swojej samotni.

— Nie słuchaj, mój młody przyjacielu, głosów, które sączą truciznę w twego złotego ducha — rzekł powoli i pośepnie, jakby zamiast rady przekazywał Sergiowi kondolencje. — Ta kobieta posługuje się językiem żmii, jak zresztą każda. — Popatrzył na Julię, ucałował jej dłoń i ponownie się wyprostował. — Przepraszam. Jak prawie każda.

— I kto to mówi. . . — Menchu posłała mu grymas. — Oto przed państwem nasz podwórkowy Sofokles. Czy raczej Seneka. . . ? Chodzi mi o tego, co bałamucił chłopczków popijając cykutę.

Cesar zerknął na właścicielkę galerii, odczekał chwilę, by podjąć przerwany wątek. Zanim przemówił, oparł głowę na sofie i z afektacją zamknął oczy.

— Droga artysty, zwracam się do ciebie, mój młody Alkibiadesie, albo jeszcze lepiej, Patroklosie, czy może Sergiu. . . Droga artysty usłana jest przeszkodami, które trzeba pokonać jedną za drugą, by dotrzeć do własnego wnętrza. . . Ciężkie to zadanie, jeśli nie prowadzi cię pod rękę żaden Wergiliusz. Chwytasz tę cieniutką parabolę, młodzieńcze. . . ? Dopiero w ten sposób artysta może zaznać wreszcie najśłodszej rozkoszy. Jego życie przeistacza się w czystą kreację, niepotrzebne mu wówczas nędzne sprawy świata zewnętrznego. Jest już daleko, bardzo daleko od swoich pogardy godnych bliźnich. Odnajduje w sobie przestrzeń i dojrzałość.

Odezwały się ironiczne wyrazy uznania. Sergio rozglądał się po pozostałych, zakłopotany, ale pogodny. Julia wybuchła śmiechem.

— Nie zwracaj na niego uwagi. Na pewno komuś ukradł tę przemowę. Zawsze wszystkich nabiera.

Cesar odemknął jedno oko.

— Jestem znudzonym Sokratesem. I z oburzeniem odrzucam twoje zarzuty, jakoby mąpował cudze słowa.

— W sumie to naprawdę zabawny gość — mówiła Menchu do Maxa, który słuchał z marszem na czole, i poczęstowała się papierosem z jego paczki. — No, przypal mi. Condottiero mio².

Ten epitet zaostrzył cięty język Cesara.

— Cave canem³, młody siłaczu — rzekł do Maxa. Tylko Julia zdała sobie sprawę, że po łacinie canem mogło być zarówno rodzaju męskiego, jak i żeńskiego. — Jak poświadczają historycy, nikogo kondotierzy nie powinni wystrzegać się tak bardzo, jak tych, którym służą — popatrzył na Julię i z humorem podał źródło; jemu też alkohol zaczynał uderzać do głowy. — Z Burckhardta.

— Wyluzuj się, Max — mówiła Menchu, choć Max nie wyglądał na zdenerwowanego. — Widzisz? To nawet nie jego słowa. Stroi się w cudze lubczyki... A może wawrzyny?

²Condottiero mio (wł.) — mój kondotierze.

³Cave canem (łac.) — strzeż się psa (Petroniusz, Satyricon).

— Akanty! — Julia nie mogła powstrzymać śmiechu. Cesar spojrział na nią skruszony.

— Et tu, Brutet⁴. . . — zwrócił się do Sergia. — Chwytasz tragiczne tło całej sprawy, Patroklosie? — Znów przełknął spory łyk dżinu i potoczył dramatycznym wzrokiem wokół siebie, jakby szukał przyjaznego oblicza. — Nie wiem, kochani, co macie przeciwko cudzym wawrzynom. . . W sumie — dodał po chwili zastanowienia — każdy wawrzyn jest w jakimś sensie cudzy. Czysta twórczość nie istnieje, o czym zawiadamiam was z prawdziwym bólem. Nie jesteśmy twórcami, czy raczej, winienem rzec, nie jesteście, bo ja sam nie tworzę. . . Ani ty, birbantko Menchu. . . Może ty, Maksie, nie patrz tak na mnie, przystojny condottiero feroce⁵, może ty jesteś w tym gronie jedynym, który coś naprawdę tworzy. . .

— Uczynił prawą ręką elegancki, znużony gest, jakby męczyły go nawet jego własne argumenty, i pozwolił jej opaść niby przypadkiem tuż obok lewego kolana Sergia.

⁴Et tu, Brute (łac.) — I ty, Bruto? (parafraza słów mordowanego Juliusza Cezara: „I ty Brutusie, przeciw mnie?”).

⁵Condottiero feroce (wł.) — srogi kondotierze.

— Picasso, z trudem wymieniam nazwisko tego komedianta, jest Monetem, który jest Ingres'em, który jest Zurbaranem, który jest Bruegłem, który jest Pieterem van Huyssem. . . Także nasz przyjaciel Munoz, bez wątpienia pochylony teraz nad szachownicą i pochłonięty przepędzaniem widm w czasy dalekie od naszych, nie jest sobą, ale Kasparowem, który jest Karpowem. Ten zaś jest Fischerem, który jest Capablancą, który jest Pauliem Morphyem, a ten jest mistrzem średniowiecznym, księdzem Ruyem Lopezem. . . Wszystko jest tylko etapem tej samej historii. A może to po prostu historia się powtarza? Nie jestem tego pewien. . . A czy ty, prześliczna Julio, zastanawiałaś się kiedyś, stojąc przed naszym słynnym obrazem, gdzie się naprawdę znajdujesz, poza nim czy tam w środku. . . ? Tak. Jestem pewien, że tak, bo znam cię, księżniczko. I wiem, że nie znalazłaś odpowiedzi. — Zaśmiał się ponuro i zmierzył ich wzrokiem. — . . . Istotnie, drogie dzieci, parafianie drodzy, stanowimy dość dziwną grupkę. Zuchwale tropimy tajemnice, które nie są niczym innym, jak po prostu zagadkami naszego własnego życia. — Uniósł kieliszek, wznosząc toast w niczyjej intencji. — A to, jak się dobrze przyjrzeć, także niesie z sobą pewne ryzyko. To tak, jakbyśmy rozbili lustro, chcąc sprawdzić, co jest po drugiej stronie warstwy rtęci. . . Kochani, nie przechodzą was od tego ciarki?

Julia wróciła do domu o drugiej w nocy. Cesar i Sergio odprowadzili ją aż do bramy. Chcieli jej towarzyszyć dalej, na trzecie piętro, ale nie zgodziła się, dała im po całusie na pożegnanie i ruszyła po schodach sama. Szła powoli, rozglądając się z niepokojem, ale kiedy sięgnęła do torebki po klucze, poczuła uspokajający chłód pistoletu.

A jednak, przekręcając klucz w zamku, sama dziwiła się sobie, że przyjmuje sytuację z takim spokojem. Odczuwała wprawdzie strach w postaci czystej i wyrazistej, do którego oceny nie potrzeba było zdolności abstrakcyjnych, jak powiedziałyby Cesar, przedrzeźniając Munozę. Tyle że z owym strachem nie wiązała się upokarzająca udręka ani chęć ucieczki, przeciwnie, tłumiała go ogromna ciekawość. Chodziło o jej osobistą dumę, o wyzwanie. O niebezpieczną i podniecającą zabawę. Jak podczas zabijania piratów w Nibylandii.

Zabijanie piratów. Julia była oswojona ze śmiercią od wczesnego dzieciństwa. Jej pierwsze wspomnienie dotyczyło ojca leżącego nieruchomo, z zamkniętymi oczami, na kołdrze w sypialni. Otaczali go poważni ludzie w ciemnych strojach, odzywający się do siebie cicho, jakby bali się go zbudzić. Julia miała sześć lat i ten niezrozumiały, podniosły spektakl zawsze już potem kojarzył jej się z obrazem matki, która nawet w takiej

chwili nie uroniła łzy, tylko siedziała w żałobnej sukni, jeszcze bardziej nieprzystępna niż przedtem. Wspominała jej suchą, władczą dłoń, która zmusiła ją, żeby ostatni raz pocałowała zmarłego. I to Cesar właśnie, Cesar, którego zapamiętała znacznie młodszym, wziął ją na ręce i zabrał z tej ceremonii. Siedząc na jego kolanach, Julia patrzyła na zamknięte drzwi, za którymi specjaliści od pogrzebowej celebry przygotowywali trumnę.

„Tak jakby to nie był on, Cesar — powiedziała wtedy z trudem hamując łkanie. Nigdy nie wolno płakać, mawiała jej matka. To była jedyna lekcja, jaką zdołała jej wpoić. — Tata nie jest taki, jak przedtem”.

„Bo to już nie jest on — brzmiała odpowiedź. — Twój tata odszedł gdzie indziej”.

„Gdzie?”

„Wszystko jedno, księżniczko... W każdym razie nie wróci”.

„Nigdy?”

„Nigdy”.

Julia zmarszczyła czoło w dziecięcym zamyśleniu.

„Nie chcę go już całować... Ma taką zimną skórę”.

Popatrzył na nią przez chwilę w milczeniu i mocno przytulił. Wciąż pamiętała ciepło, jakie wtedy poczuła, i subtelny zapach jego skóry i ubrania.

„Kiedy tylko zechcesz, możesz przyjść pocałować mnie”.

Julia nie przypominała sobie dokładnie momentu, kiedy dotarło do niej, że Cesar jest homoseksualistą. Może ta prawda objawiała się jej krok po kroku, poprzez drobne szczegóły, przez intuicję. Pewnego dnia, niebawem po swoich dwunastych urodzinach, po drodze ze szkoły wstąpiła do antykwariatu i zobaczyła, jak Cesar dotyka policzka jakiegoś chłopca. Tylko tyle, muśnięcie czubkiem palców i nic więcej. Chłopak minął Julię posyłając jej uśmiech i poszedł sobie. Cesar zapalił papierosa i dłuższą chwilę przypatrywał się jej, po czym zaczął nakręcać zegary.

Kilka dni później, podczas zabawy figurkami Bustellego, Julia zadała mu pytanie:

„Cesar... Ty nie lubisz dziewczyn?”.

Antykwariusz siedział przy biurku i przeglądał książki. Początkowo tak jakby nie dosłyszał. Dopiero po paru chwilach uniósł głowę, a jego spokojne błękitnookie spojrzenie spoczęło na Julii.

„Jedyną dziewczyną, jaką lubię, jesteś ty, księżniczko”.

„A inne?”

„Jakie inne?”

Nie odezwali się więcej. Ale tamtej nocy przed zaśnięciem Julia myślała o słowach Cesara i poczuła się szczęśliwa. Nikt go jej nie odbierze, nie ma się co bać. I nigdy nie odejdzie gdzieś daleko, skąd się nie wraca, jak jej ojciec.

A potem przyszły inne czasy. Długie opowieści w złotawym świetle antykwariatu, młodość Cesara, Paryż i Rzym pomieszane z historią, sztuką, książkami i przygodami. Wspólne mity. „Wyspa skarbów” przeczytana rozdział po rozdziale pośród starych kufrów i porzewiałych panoplii. Biedni, sentymentalni piraci, którym podczas księżycowych nocy na Karaibach kamienne serca miękły na samą myśl o starych matkach. Bo przecież piraci też mają matki. Nawet tak przebiegły łotr jak Jakub Hak, który dał się poznać podczas wypraw łupieżczych, a pod koniec każdego miesiąca wysyłał nieco złotych hiszpańskich dublonów tej, co dała mu życie, żeby osłodzić dni jej starości. Chcąc zilustrować te historie, Cesar wyjmował ze skrzyni parę starych szabli i uczył ją flibustierskiego fechtunku: pozycja szermiercza i wycofanie, nie każde cięcie oznacza podejrzenie gardła, a rzut hakiem przy abordażu wykonuje się dokładnie w ten sposób.

Wydobywał też sekstans, żeby umiała orientować się według gwiazd. I sztylet o srebrnej rękojeści rzeźbionej przez Benvenuto Celliniego, który wprawdzie był złotnikiem, ale podczas oblężenia Rzymu jednym strzałem z arkebuzu zdołał położyć trupem konstabla Bourbona. I jeszcze straszliwą mizerykordię, długą i złowrogą, którą paż Czarnego Księcia zatapiał w ciałach rycerzy francuskich, wziętych w zasadzkę pod Crecy. . .

Z upływem lat postać Julii zaczynała przebijać się na pierwszy plan. Teraz to Cesar miał siedzieć cicho i wysłuchiwać jej zwierzeń. Pierwsza miłość w wieku lat czternastu. Pierwszy kochanek w wieku siedemnastu. Antykwariusz wówczas tylko słuchał i milczał, nie wygłaszał opinii. A na zakończenie zawsze się uśmiechał.

Julia oddałaby wszystko, byleby widzieć koło siebie ten uśmiech dzisiejszej nocy: uśmiech, który dodawał jej odwagi, a wydarzeniom ujmował znaczenia, przyporządkowując im właściwe miejsce wśród obrotów sfer niebieskich i w nieubłaganym łańcuchu życia. Ale Cesara nie było i musiała poradzić sobie sama. Jak mawiał antykwariusz, nie zawsze możemy wybrać towarzystwo albo własne przeznaczenie.

Robiła sobie właśnie wódkę z lodem, ale na chwilę przerwała i w ciemnościach sama uśmiechnęła się w stronę van Huysa. Poza tym odnosiła nieodparte wrażenie, że jeśli

coś złego się przydarzy, to ofiarami będą inni. Bohaterce nigdy nie działa się krzywda — przypomniawszy sobie, pijąc drinka i słuchając, jak lód dzwoni jej o zęby. Umierały tylko postacie drugoplanowe, jak na przykład Alvaro. Ona, pamięta to świetnie, przeżyła już ze sto podobnych przygód i zawsze wychodziła z nich cała, na Boga. Nie, nie na Boga. . . Jak to było? Na Zielony Kapelutek.

Zobaczyła w lustrze weneckim swoje odbicie, mroczny cień pośród mroków, ledwie widoczną bladą plamę twarzy, zatarty kontur, wielkie, ciemne oczy — po drugiej stronie lustra wyłaniała się Alicja. Przejrzała się też w van Huysie, w zwierciadle odbitym w lustrze weneckim, w odbiciu odbicia odbicia. I znów poczuła, że jak przedtem kręci jej się w głowie, i doszła do wniosku, że o tak późnej porze lustra, obrazy i szachownice płatają wyobraźni nieczne figle. A może to tylko przemiany czasu i przestrzeni, bezwartościowych pojęć względnych. Pociągnęła kolejny łyk, lód znów zadzwieczał jej o zęby, i poczuła, że jeśli wyciągnie rękę, może postawić szklankę na stole przykrytym zielonym sukniem, dokładnie na ukrytym napisie, między nieruchomą dłonią Rogera d'Arras a szachownicą.

Zbliżyła się do obrazu. Siedząca koło zwieńczonego ostrym łukiem okna Beatrycze z Ostenburga, ze wzrokiem spuszczonego ku książce na podółku, przypominała Madonny pierwszych mistrzów flamandzkich: jasne włosy mocno zaczesane do tyłu i upięte pod prawie przezroczystym czepkiem. Biała cera. Uroczysta, wyobcowana poza, opięta czarną suknią, tak różną od typowych wełnianych szat koloru karmazynowego, uszytą z flamandzkiego sukna, cenniejszego niż jedwab czy brokat. Czarną — wreszcie stało się to dla niej oczywiste — jako symbolem żałoby. To wdowia czerń, którą genialny wielbiciel symboliki i paradoksów, Pieter van Huys, kazał jej przywdziać ze względu nie na męża, ale na zamordowanego kochanka.

Owal jej twarzy był delikatny i idealny, a podobieństwo do renesansowych Madonn dosłownie rzucało się w oczy każdym szczegółem, każdym odcieniem. Nie była to Madonna w typie włoskim, uwieczniona przez Giotta — gospodyni i karmicielka, czasem nawet kochanka, ani w typie francuskim — matka i królowa. Oto Madonna mieszczańska, małżonka mistrza cechowego albo szlachcica władającego pofałdowaną równiną,

zamkiem, domostwami, drogą wodną i dzwonnica, widoczną w oddali jak ta na obrazie, za oknem. Nieco zadufana w sobie, obojętna, spokojna i zimna, ucieleśnienie nordyckiej urody alla maniera ponentina⁶, tak wielbionej w krajach południa, w Hiszpanii i Włoszech. I te niebieskie oczy, a w każdym razie robiące wrażenie niebieskich, nieświadome widza, zajęte pozornie tylko książką, a przecież przenikliwe jak u wszystkich kobiet flamandzkich portretowanych przez van Huysa, van der Weydena, van Eycka. Oczy zagadkowe, z których nie sposób było się domyślić, na co ich właścicielki patrzyły lub pragnęły patrzeć, o czym myślały. Co czują.

Zapaliła następnego papierosa. Smaki tytoniu i wódki tworzyły teraz cierpką mieszankę w jej ustach. Odsunęła włosy z czoła, zbliżyła palce do obrazu i pogładziła linię ust Rogera d'Arras. W złotawym świetle, spowijającym rycerza na podobieństwo aury, jego stalowy naszyjnik lśnił słabym połyskiem dobrze wypolerowanego metalu. Wsparty podbródkiem na kciuku prawej dłoni, spowitej tą słabą poświatą, Roger d'Arras nachylał swój profil żywcem ze starego medalu, wpatrywał się w szachownicę,

⁶Alla maniera ponentina (wł.) — na modłę zachodnią.

symbol jego życia i śmierci, na pozór nieświadom obecności kobiety, czytającej za jego plecami. Być może jednak jego myśli uleciały daleko od szachów, ku Beatrycze Burgundzkiej, na którą nie pozwalały mu patrzeć duma, ostrożność albo tylko szacunek dla seniora. Zatem mógł ją swobodnie objąć jedynie myślami. Dama też pewnie w tym momencie nie poświęcała swej uwagi stronicom trzymanej w dłoniach książki, a jej oczy znajdowały ukojenie w widoku szerokich pleców rycerza — choć nawet nie musiała spoglądać w ich kierunku — w jego eleganckiej, spokojnej postawie. I jeszcze może we wspomnieniu jego rąk, jego skóry, albo choćby w echu powściągliwego milczenia, melancholijnego i bezradnego spojrzenia, które wzbudzała w jego zakochanych oczach.

Lustro weneckie i lustro na obrazie tworzyły wokół Julii nierzeczywistą przestrzeń, zacierając granicę między tą i tamtą stroną zamalowanej powierzchni. Złotawa poświata otoczyła wreszcie i ją, kiedy powolutku, prawie wspierając się dłonią na zielonym suknie, z największą ostrożnością, żeby nie powywracać szachów, nachyliła się ku Rogerowi d'Arras i pocałowała go w chłodny kącik ust. Gdy się odwróciła, dostrzegła odbłask Złotego Runa na aksamitnej cynobrowej tunice drugiego gracza, Ferdynanda Ostenburskiego, który wpatrywał się w nią ciemnymi, niezgłębionymi oczyma.

Kiedy zegar wybił trzecią, w popielniczce było pełno niedopałków, za to w filiżance i dzbanku, stojących pośród książek i dokumentów, prawie nie było już kawy. Julia zagłębiła się w fotelu i spojrzała na sufit, usiłując uporządkować myśli. Wcześniej pozapalała wszystkie światła w pokoju, żeby odegnać otaczające ją widma. Rubieże rzeczywistości powracały z wolna, wypełniając na nowo czas i przestrzeń.

Doszła ostatecznie do wniosku, że do całej sprawy można podejść w sposób dużo bardziej praktyczny. Wedle właściwego punktu widzenia, Julia nie powinna przyjmować roli Alicji, ale raczej dorosłej Wendy. Żeby spojrzeć na to od takiej strony, wystarczyło zamknąć oczy, otworzyć je, popatrzeć na van Huysa tak, jak się patrzy na zwykły obraz sprzed pięciu stuleci, i wziąć papier i ołówek. Tak też uczyniła, wlewając w siebie ostatni, zimny łyk kawy. Godzina jest późna — pomyślała. Spać jej się zupełnie nie chce, strach ciągle spływa na nią z wyżyn podświadomości, więc uporządkowanie myśli w świetle ostatnich wydarzeń nie było wcale rzeczą głupią. Absolutnie nie. Zabrała się więc do pisania:

I. Obraz datowany na rok 1471. „Partia szachów”. Tajemnica. Co naprawdę wydarzyło się pomiędzy Ferdynandem Altenhoffenem, Beatrycze Burgundzką i Rogerem d’ Arras? Kto zlecił zabicie rycerza? Co szachy mają z tym wszystkim wspólnego? Dlaczego van Huys namalował obraz? Dlaczego umieściwszy napis *Quis necavit equitem*, van Huys go zakrywa? Boi się, że też zostanie zamordowany?

II. Opowiadam Menchu o moim odkryciu... Spotykam się z Alvarem. On już wie to i owo, ktoś zasięgał jego konsultacji. Kto?

III. Alvaro umiera. Umiera czy zostaje zabity? Wyraźny związek z obrazem albo z moją wizytą i moimi dociekaniem. Czy jest coś, co ktoś chciałby pozostawić nieujawnione? Czy Alvaro odkrył coś ważnego, o czym nie wiem?

IV. Nieznana osoba (może morderca albo morderczyni) wysłała mi dokumenty zgromadzone przez Alvara. Co takiego wie Alvaro, co inni uznają za niebezpieczne? Co

takiego, zdaniem tego innego (tych innych), powinnam wiedzieć, a czego nie powinnam?

V. Blondynka zanoszą kopertę do Urbexpress. Ma związek ze śmiercią Alvara, czy jest tylko pośredniczką?

VI. Umiera Alvaro, a ja nie (na razie), choć obydwójce prowadzimy badania w tej samej sprawie. Ktoś jakby chciał wręcz ułatwić mi pracę albo ukierunkować mnie w jakimś nieznanym mi celu. Czy tego kogoś interesuje obraz ze względu na jego wartość rynkową? Czy interesuje go moja praca przy odnawianiu? A może napis? Zadanie szachowe? Chce, żeby ujawnić pewne fakty historyczne bądź też żeby ich nie znać? Co może łączyć kogoś żyjącego w XX wieku z dramatem, jaki rozegrał się w wieku XV?

VII. Pytanie podstawowe (chwilowo): Czy ewentualny zabójca skorzysta na wyższym oszacowaniu ceny wywoławczej obrazu? Czy w obrazie jest coś jeszcze, czego nie odkryłam?

VIII. Możliwe, że problem leży nie w wartości obrazu, a w sekrecie namalowanej partii szachów. Pracuję z Munozem. Rozgrywka szachowa. Jak może dojść przez to do morderstwa po pięciuset latach? To jest mało, że śmieszne, ale wręcz idiotyczne. (Tak sądzę).

IX. Ktoś mi grozi? Może chcą, żebym odkryła coś więcej, żebym pracowała dla nich, nie wiedząc o tym. Może ciągle żyję, bo jestem im jeszcze potrzebna.

Przypomniała sobie coś, co mówił Munoz przy pierwszym spotkaniu, stojąc przed van Huyssem, i spróbowała odtworzyć to na kartce. Szachista nadmienił o kilku poziomach obrazu. Wyjaśnienie jednego z nich mogło pomóc w rozwiązaniu zagadki całości:

Poziom 1. Sceneria obrazu. Podłoga w formie szachownicy, na której rozmieszczono postacie.

Poziom 2. Postacie obrazu: Ferdynand, Beatrycze, Roger.

Poziom 3. Szachownica, na której dwie postacie rozgrywają partię.

Poziom 4. Figury szachowe, będące symbolami trzech postaci.

Poziom 5. Namalowane zwierciadło, w którym odbijają się postacie i partia, ale odwrócone.

Przyjrzała się wynikowi swojej pracy, łącząc poszczególne poziomy liniami, ale udało jej się tylko dojść do niepokojących powiązań. Piąty poziom zawierał w sobie wszystkie cztery poprzednie, pierwszy sprzęgnięty był z trzecim, drugi z czwartym. . . Dziwny zamknięty krąg.

W sumie — pomyślała, studiując dziwny schemat — to wygląda na jakąś koszmarną stratę czasu. Ustalając powyższe powiązania, data jedynie świadectwo szalonego geniuszu autora obrazu. Śmierci Alvara żadną miarą w ten sposób wyjaśnić się nie da,

przewrócił się w wannie (albo ktoś go przewrócił) pięćset lat po „Partii szachów”. Co-
kolwiek kryło się za narysowanymi przez nią strzałkami i prostokątami, ani Alvaro, ani
ona sama nie mogli stanowić elementów dzieła van Huysa, bo ten ostatni absolutnie nie
był w stanie przewidzieć ich istnienia. . . A może jednak. . . ? Po głowie tłukło jej się
niepokojące pytanie. Czy wobec zespołu symboli, jaki stanowił obraz, to widz powi-
nien przyporządkować im znaczenia, czy też znaczenia te wchodziły w skład dzieła od
samego początku?

Nadal kreśliła strzałki i prostokąty, kiedy zadzwieczał telefon. Podniosła gwałtownie
głowę i wbiła wzrok w aparat stojący na dywanie, ale nie śmiała podnieść słuchawki.
Kto to może dzwonić o wpół do czwartej nad ranem? Żadna ewentualność nie brzmiała
uspokajająco, a telefon zdążył się odezwać jeszcze cztery razy, nim się ruszyła. Podeszła
do niego powoli, ciągle niezdecydowana, gdy nagle zdała sobie sprawę, że jeśli się nie
dowie, kto telefonuje, będzie jeszcze gorzej. Całą resztę nocy spędzi pełna trwogi na
sofie, gapiąc się w aparat w nadziei, że znów zadzwieczy. . .

Mowy nie ma. Rzuciła się naprzód niemal z wściekłością.

— Halo?!

Westchnienie ulgi, jakie wyrwało jej się z gardła, musiał dosłyszeć nawet Munoz, który przestał na chwilę się tłumaczyć i zapytał, czy dobrze się czuje. Bardzo mu przykro, że niepokoi ją o tej porze, ale uznał, że warto ją zbudzić. Sam był dosyć podniecony, dlatego się ośmiela. Co? Tak, oczywiście. Właśnie pięć minut temu. . . Proszę pani. . . ? Jest pani tam? Mówi, że już można z całą pewnością dowieść, która bierka zbiła białego skoczka.

VII. Kto zabił rycerza

Białe i czarne bierki symbolizowały jakby manichejską walkę między światłem a ciemnością, między dobrem a złem, toczącą się w duszy człowieka.

Garri Kasparow,
Autobiografia

— Ciągłe o tym myślałem, nie mogłem zasnąć. . . Nagle dotarło do mnie, że analizuję jedyne możliwe zagranie. — Munoz wyjął kieszonkowe szachy na stół. Obok położył pomięty i upstrzony notatkami szkic. — Ale jeszcze wtedy nie mogłem w to uwierzyć. Przez godzinę sprawdzałem co i rusz od początku, w tę i we w tę.

Siedzieli w całodobowym drugistorze, przy stoliku koło dużej szyby, przez którą rozciągał się widok na ogromną, pustą aleję. W lokalu było niewielu gości: paru aktorów z pobliskiego teatru i z pół tuzina nocnych marków płci obojga. Koło elektronicznie zamykanych drzwi stał ochroniarz w uniformie paramilitarnym i ziewał, spoglądając na zegarek.

— Niech pani popatrzy. — Szachista pokazywał szkic, a następnie niewielką planszę. — Przedtem odtworzyliśmy ostatni ruch czarnego hetmana, który przeszedł z b2 na c2, ale nie wiedzieliśmy, jakie posunięcie białych go do tego zmusiło. . . Pamięta pani? Rozpatrując zagrożenie ze strony białych wież, uznaliśmy, że wieża stojąca na b5 mogła przybyć z dowolnego kwadratu w rzędzie 5. Ale to jeszcze nie tłumaczy ucieczki hetmana, bo szachowałaby go wcześniej druga biała wieża na b6. . . Powiedzieliśmy, że pierwsza wieża mogła zbić jakąś bierkę na b5. Ale jaką? Tu się zatrzymaliśmy.

— No i jaką ostatecznie? — Julia uważnie wpatrywała się w szachownicę. Ten geometryczny biało-czarny wzór nie stanowił już dla niej ziemi nieznanej, był teraz całkiem znajomym terenem. — Mówił pan, że zastanowi się nad tymi, co już wypadły z gry...

— Tak zrobiłem. Zbadałem każdą zbitą bierkę i doszedłem do zdumiewającego wniosku:

— ... Kogo mogła zbić wieża na b5?... — Munoz patrzył na szachownicę bezsen-
nymi oczyma, jakby faktycznie nadal nie znał odpowiedzi. — Nie czarnego skoczka, bo
obydwa są jeszcze w grze... Nie gońca, bo b5 jest polem białym, a czarny goniec bia-
łopolowy dotychczas nie ruszył się z miejsca. Stoi na c8 zablokowany przez dwa piony,
które też nie wzięły dotąd udziału w partii.

— Może czarnego pionka — podsunęła Julia.

Munoz pokręcił głową.

— Wykluczenie tej możliwości zabrało mi więcej czasu, bo posterunki pionów są
w tej partii bardzo zagmatwane. Ale nie mógł to być żaden czarny pion, bo ten, który

stoi na a5, pochodzi z pola c7. Wie pani, że piony biją po przekątnej, zatem ten przypuszczalnie zbił dwie białe bierki na b6 i a5. . . Pozostałe cztery czarne piony ewidentnie zostały zbite daleko od tego miejsca. Nigdy w życiu nie mogłyby zejść na b5.

— Czyli że chodzi o czarną wieżę, bo tylko ona jeszcze stoi poza planszą. . . Biała wieża zbiła ją na b5.

— Niemożliwe. Z układu bierek wokół pola a8 wynika, że czarna wieża została zbita właśnie tam, w swoim pierwotnym położeniu, zanim zdołała się ruszyć. Została zbita przez białego skoczka, chociaż to już nie ma takiego znaczenia. . .

Zdezorientowana Julia podniosła oczy znad szachownicy.

— Nie dociera do mnie. . . To wyklucza wszystkie czarne bierki. Co w takim razie zbiła biała wieża na b5?

Munoz uśmiechnął się lekko, ale bez zarozumialstwa. Bawiło go albo pytanie zadane przez Julię, albo odpowiedź, którą przyszykował.

— Tak naprawdę niczego. Nie, niech pani tak na mnie nie patrzy. Pani malarz van Huys był też mistrzem w podsuwaniu fałszywych tropów. . . Bo nikt niczego nie zbił na b5. — Skrzyżowawszy ramiona, pochylił się nad małą szachownicą i zamilkł. Po chwili

podniósł wzrok na Julię i dotknął palcem czarnego hetmana. — Skoro ostatnim ruchem białych nie był szach hetmanowi wykonany przez wieżę, to oznacza, że do tego szacha doszło przez odkrycie wieży przez inną białą bierkę. . . Chodzi mi o bierkę, która stała na b4 albo b3. Van Huys musiał mieć niezły ubaw, wiedząc, że tymi dwiema zwodniczymi wieżami płata sporego figla komuś, kto będzie próbował rozwiązać zagadkę.

Julia skinęła powoli głową. Jedno proste zdanie Munoza wystarczyło, by zakątek szachownicy, który do niedawna zionął statyczną nudą, teraz oferował nieskończone możliwości. Ten facet z jakąś niezwykłą magią prowadził innych przez zawiły, biało-czarny labirynt pełen ukrytych kluczy. Tak jakby posługiwał się siecią niewidocznych połączeń pod planszą, ukazującą niemożliwe, nieoczekiwane kombinacje, które stawały się ciałem, gdy tylko o nich wspomniał, i ujawniały się widzom w całej okazałości, jakby naprawdę trudno ich było przedtem nie dostrzec.

— Rozumiem — odparła po paru sekundach. — Biała bierka chroniła czarną damę przed wieżą. A kiedy ruszyła się z linii strzału, dama znalazła się w szachu.

— Właśnie.

— A co to była za bierka?

— Może sama pani sprawdzi?

— Biały pionek?

— Nie. Jeden został zbity na a5 albo b6, drugi dużo dalej od tego rejonu. Pozostałe też nie mogły tego zrobić.

— No to nic mi nie przychodzi do głowy.

— Niech pani uważnie popatrzy na szachownicę. Mogłem od razu pani powiedzieć, ale pozbawiłbym panią przyjemności, na którą chyba pani zasłużyła. . . Niech się pani spokojnie zastanowi. — Pokazał barek, wyludnioną ulicę, filiżanki z kawą na stoliku.

— Nigdzie się nie spieszymy.

Julia zagłębiła się w szachownicy. Po jakimś czasie, nie odrywając od niej wzroku, wyciągnęła papierosa i uśmiechnęła się nieznacznie.

— Chyba mam — oznajmiła czujnie.

— Słucham.

— Goniec, który chodzi po białych polach, stoi nietknięty na f1 i nie miał czasu, żeby przejść z b3, a z b4 nie mógł, bo to jest pole czarne. . . — Zerknęła na Munoz, szukając akceptacji, po czym kontynuowała: — To znaczy potrzebowałby co najmniej — policzyła przesuwając palcem nad szachownicą — trzech ruchów, żeby dostać się z b3 na swoje obecne miejsce. . . Czyli że to nie biały goniec umożliwił wieży szach czarnej damie. Dobrze kombinuję?

— Świetnie. Proszę dalej.

— Nie mogła też zrobić tego biała królowa, która teraz stoi na e1. Ani biały król. . . Natomiast biały goniec chodzący po czarnych kwadratach, który już został zбитy, nie mógł stać na b3.

— Bardzo dobrze — potwierdził Munoz. — A dlaczego?

— Bo pole b3 jest białe. Ale gdyby ten goniec ruszył się z b4, ciągle stałby na szachownicy, a go tam nie ma. Pewnie został zбитy dużo wcześniej, w innym momencie partii,

— Prawidłowe rozumowanie. Czyli co nam zostaje?

Julia popatrzyła na szachownicę, czując, że nagły zimny dreszcz przechodzi ją po plecach i ramionach, jakby za dotknięciem ostrza noża. Do wyboru pozostawała tylko jedna figura, o której jeszcze nie wspomniała.

— Zostaje konik — powiedziała mimowolnym szeptem i przełknęła ślinę. — Biały konik.

Munoz pochylił się ku niej z poważną miną.

— Biały skoczek, otóż to. — Chwilę siedział, nic nie mówiąc, i patrzył nie na szachownicę, a na Julię. — Biały skoczek, który z b4 przeszedł na c2, odsłaniając tym ruchem groźną dla czarnego hetmana wieżę... I właśnie tam, na c2, czarny hetman, chroniąc się przed szachem i chcąc zdobyć przewagę liczebną, zbił skoczka. — Munoz znowu zamilkł, sprawdzając, czy o czymś ważnym nie zapomniał. Wreszcie blask w jego oczach przygasł, jakby ktoś przekręcił wyłącznik. Szachista oderwał wzrok od Julii, jedną ręką zgarnął bierki, drugą zamknął szachownicę, kończąc tym gestem swój udział w sprawie.

— Czarna królowa — powiedziała osłupiała Julia, niemalże słysząc warkot, z jakim jej umysł pracował na najwyższych obrotach.

— Tak. — Munoz wzruszył ramionami. — Czarna królowa zabiła rycerza. . . Co-
kolwiek to oznacza.

Julia podniosła do ust papierosa, który był już tylko kupką żaru, zaciągnęła się mocno, parząc sobie palce i rzuciła resztkę na podłogę.

— To oznacza — wymamrotała, wciąż oszołomiona odkryciem — że Ferdynand Altenhoffen jest niewinny. . . — Zaśmiała się sucho i z niedowierzaniem popatrzyła na szkic partii, leżący nadal na blacie. Następnie wyciągnęła dłoń i położyła palec wskazujący na polu c1, na fosie Wrót Wschodnich cytadeli ostenburskiej, gdzie zabito Rogera d'Arras. — To oznacza — dodała czując dreszcz — że Beatrycze Burgundzka kazała zamordować rycerza.

— Beatrycze Burgundzka?

Julia przytaknęła. Teraz wszystko wydawało się tak jasne, tak oczywiste. . . Sama strzeliłaby sobie w łeb za karę, że wcześniej na to nie wpadła. Cała partia, cały obraz dosłownie wykrzykiwały tę prawdę. Van Huys uwiecznił ją z wielką starannością, co do szczegółu.

— Nie mogło być inaczej. . . Czarna dama, oczywiście: Beatrycze, księżna Ostenburga. — Chwilę szukała słów. — Przekłeta żmija.

Widziała to teraz aż nadto wyraźnie: malarza, który porusza się po swojej pachnącej oliwami i terpentyną pracowni — od światła okiennego ku łożowym świecom stojącym tuż przy obrazie. Miesza pigment miedziowy z żywicą, żeby uzyskać zdecydowaną zieleń, która oprze się stuleciom. Potem powoli kładzie ją kolejnymi pociągnięciami pędzla, uzupełnia fałdy sukna przykrywającego stół, zamalowuje napis *QUIS NECAVIT EQUITEM*, który kilka tygodni wcześniej sporządził za pomocą aury pigmentu. Zakrywa przepiękne gotyckie litery z takim bólem, bez wątpienia na zawsze. Ale książkę Ferdynand miał rację: „To zbyt oczywiste, mistrzu van Huysie”.

Chyba jakoś tak to się odbyło, a stary mistrz na pewno złorzeczył przez zaciśnięte zęby, manewrując z wolna pędzlem, a tymczasem w blasku świec żywo lśniły niedawno położone na dębowej desce kolory. Może właśnie w tym momencie potarł sobie zmęczone oczy i pokręcił głową. Wzrok miał już nie ten, i to od jakiegoś czasu. Czuł upły-

wające lata. Z coraz większym trudem potrafił się skupić nawet nad jedyną rozrywką, jaka zimą, gdy dni są krótsze, a światła mniej, pomagała mu zapomnieć o malowaniu: nad szachami. Tę pasję dzielił z nieszczęsnym panem Rogerem, który za życia był jego protektorem i przyjacielem i pomimo różnicy stanu i pozycji nie brzydził się poplamionego farbami kaftana, kiedy odwiedzał go w pracowni, żeby rozegrać partyjkę pośród olejków, glinek, pędzli i nieukończonych obrazów. Jak nikt potrafił na przemian toczyć walkę na bierki i gawędzić o sztuce, miłości i wojaczce. Albo wygłaszać niezwykle myśli, jak ta, często powtarzana, a dziś brzmiąca w uszach złowrogo: że szachy to gra dla ludzi, którzy lubią bezczelnie przechadzać się po paszczy Diabła.

Obraz był już gotowy. W młodych latach Pieter van Huys wraz z ostatnim pociągnięciem pędzla odmawiał był krótką modlitwę dziękczynną za szczęśliwe dokończenie dzieła. Ale z upływem lat jego usta coraz bardziej milkły, oczy stawały się coraz suchsze, a włosy posiwiały. Skinął tylko głową, odłożył pędzel do glinianego pojemnika wypełnionego rozpuszczalnikiem i wytarł palce w pomięty skórzany fartuch. Następnie podniósł kandelabr i cofnął się o krok. Niech mu Bóg wybaczy, ale trudno było w tym momencie nie doświadczać uczucia dumy. „Partia szachów” znacznie wykraczała poza

treść zamówienia księcia pana. Na obrazie było wszystko: życie, piękno, miłość, śmierć, zdrada. Ta dębowa deska jest dziełem sztuki, które przeżyje i jego, i tych, których na niej przedstawił. Stary mistrz flamandzki poczuł w sercu chłodny powiew nieśmiertelności.

Zobaczyła Beatrycze Burgundzką, księżną Ostenburga, jak siedzi pod oknem i czyta „Poemat o róży i rycerzu”, a promień słońca pada ukośnie zza jej ramion, oświetlając iluminowane stronice. Zobaczyła, że jej ręka w kolorze kości słoniowej, z lśniącem w owym promieniu pierścieniem, drży delikatnie niczym liść na gałęzi podczas lekkiego zefiru. Może kochała i była nieszczęśliwa, a duma nie pozwalała jej zapomnieć, że ów mężczyzna śmiał odmówić jej tego, czego nie odmówił królowej Ginewrze sam Lancelot z Jeziora. . . Ale mogło też być inaczej: najemny kusznik miał pomścić urazę, jaka została po dawnych uniesieniach, po ostatnim pocałunku, po bezwzględnym pożegnaniu. . . Nad odległym krajobrazem pędziły chmury po niebieskim flamandzkim niebie, a dama wciąż siedziała pogrążona w lekturze książki trzymanej na podolku. Nie. To było niemożliwe, przecież Ferdynand Altenhoffen w życiu nie złożyłby hołdu zdra-

dzie, a Pieter van Huys nie włożyłby w swoje dzieło całej maestrii i wiedzy... Raczej należałoby podejrzewać, że oczy nie patrzyły przed siebie, bo starały się ukryć łzę. Że czarny aksamit był kirem po własnym sercu, przesytyim tym samym grotem, który zaświstał przy fosie. Sercu, które ustąpiło przed racją stanu, przed zaszyfowanym listem jej kuzyna, księcia Burgundii, Karola: złożonym na kilka razy pergaminem ze złamaną pieczęcią, który, oniemiała z rozpaczy, zmięła zimnymi dłońmi, a później spaliła w płomieniu świecy. Listem poufnym, przekazanyim przez zauszniików.

Intrygi i spiski knute wokół księstwa i jego przyszłości, która była także przyszłością Europy. Stronnictwo francuskie, stronnictwo burgundzkie. Cicha wojna gabinetowa, równie bezlitosna, jak najsroższa bitwa w polu: bez bohaterów, za to z katami w koronkach, których bronią były sztylet, trucizna i kusza... Zew krwi, powinność, jakiej domagała się rodzina, nie zakładały niczego, czego później nie wybaczyłyby dobry spowiednik. Co najwyżej tego, żeby stanęła właściwego dnia i o właściwej godzinie w oknie wieży Wrót Wschodnich, gdzie co wieczór pokojówka czesała jej włosy. W oknie, pod którym dzień w dzień o tej samej porze przechadzał się Roger d'Arras, rozmyślając samopas o swej niemożliwej miłości i o swoich tęsknotach.

Tak. Może czarna dama miała oczy spuszczone, wbite w książkę na podołku, wcale nie dlatego, że czytała, ale ponieważ płakała. Ale mogło też być i tak, że nie śmiała spojrzeć w oczy malarza, przez które bacznie przyglądały jej się Wieczność i Historia.

Zobaczyła Ferdynanda Altenhoffena, nieszczęsnego księcia, targanego wichrami ze wschodu i z zachodu, szalejącymi po Europie, która zmieniała się stanowczo zbyt szybko. Stał zrezygnowany i bezradny, więzień własnego miejsca i czasu, bił zamszowymi rękawicami o jedwabne pludry i trząsł się z wściekłości i rozpacz, nie mogąc ukarać zabójcy jedyne go przyjaciela, jakiego miał w życiu. Oparty o kolumnę w sali udekorowanej gobelinami i sztandarami, wspominał lata młodości, wspólne marzenia, własny podziw dla młodzieńca, który poszedł na wojnę i wrócił okryty bliznami i chwałą. W murach zamku wciąż rozbrzmiewał jego śmiech, jego spokojny, rozważny głos, jego rzucane na stronie ważkie uwagi, wytworne komplementy pod adresem dam, stanowcze rady, echo i ciepło jego przyjaźni. . . Ale oto go zabrakło. Odszedł w mroki.

„A najgorsze, mistrzu van Huysie, najgorsze, stary przyjacielu, stary malarzu, któryś miłował go prawie tak jak ja, najgorsze, że nie można go pomścić; i ona, i ja, i on sam, jesteśmy igraszkami w rękach możnych, w rękach tych, co mocą własnych pieniędzy i wpływów postanawiają, że czas wymaże Ostenburg z map, które kreślą kartografowie. . . Nie mogę żadnej głowy ściąć na grobie mego druha, choćbym nawet wiedział którą. Tylko ona wiedziała, ale zataiła. Zabiła go swym milczeniem, zezwoliła, by stawiał się jak co wieczór — ja też opłacam dobrych szpiegów — przy fosie Wrót Wschodnich, zamamiony niemym śpiewem syrenim, który pcha mężczyzn w objęcia przeznaczenia. Przeznaczenia, co uśpione albo ślepe się zdaje, lecz pewnego dnia otwiera oczy i patrzy na nas.

Jak widzisz, mistrzu van Huysie, nie ma miejsca na zemstę. Zawierzam ją więc tylko twym rękom i twemu geniuszowi, a nikt nie zapłaci ci za obraz tyle, ile ja ci zapłacę za ten. Żądam sprawiedliwości, choćby tylko dla mnie. Choćby po to, żeby ona wiedziała, że ja wiem, i żeby jeszcze ktoś oprócz Boga dowiedział się, gdy my, jak Roger d'Arras, w proch się obrócimy. Zatem namaluj ten obraz, mistrzu van Huysie. Na niebiosa, namalujże go. Niech znajdzie się na nim wszystko, niech to będzie twoje

najlepsze, najstraszliwsze dzieło. Namaluj go, a potem niech Diabeł, któregoś kiedyś namalował na koniu u jego boku, porwie nas wszystkich”.

I wreszcie zobaczyła rycerza, jak spaceruje o zmroku koło fosy Wrót Wschodnich, w kaftanie z rozcięciami i w amarantowych pludrach, ze złotym łańcuchem na szyi i beżowym sztyletem przypasanym do boku. Jest sam, giermek nie rozprasza jego rozmyślań. Zobaczyła, jak podnosi oczy ku ostrołukowemu oknu, a na jego twarzy pojawia się delikatny uśmiech, nieobecny i melancholijny. Uśmiech, który jest zwierciadłem wspomnień, chwil uniesienia i chwil grozy, a także przecucia własnego losu. I może Roger d'Arras domyśla się kusznika, który stoi ukryty po drugiej stronie wyszczerbionego blanku, porośniętego bujnymi krzewami, naciąga cięciwę kuszy i mierzy mu w bok. A rycerz nagle pojmuje, że całe jego życie, ta długa droga, jaką przebył pośród bitew stoczonych w chrzęszczącej zbroi, spocony i zlany potem, pośród uścisków kobiet, owe trzydzieści osiem lat, jakie dźwiga niczym ciężki toból, dopełnia się właśnie tu, w tym miejscu i w tej chwili, i że za tym ostatnim bólem nie będzie już nic. Ogarnia

go dogłębna żałość nad samym sobą, bo zdaje mu się niesprawiedliwe, by tak skończyć między dwiema latarniami, zakłuty jak byle knur. Podnosi więc delikatną, piękną, męską rękę — widząc ją, natychmiast zastanawiamy się, którym mieczem wywijała, które cugle dzierżyła, które ciało pieściła, które pióro maczała w kałamarzu, nim skreśliła kilka słów na pergaminie. . . Podnosi tę rękę na znak protestu, o którym wie, że to protest daremny, przede wszystkim dlatego, że nie jest pewien, przed kim ma go złożyć. Chciałby krzyknąć, ale musi być wierny zasadom honoru. Dlatego przesuwa drugą dłoń ku sztyletowi, bo myśli, że nawet jeżeli nie wydobędzie klingi, nawet jeśli tylko zdoła go chwycić za rękojęść, będzie to bardziej rycerska śmierć. . . Słyszy toing cięciwy i przez ułamek sekundy przychodzi mu do głowy, że powinien zejść z toru lotu strzały. Ale przecież grot porusza się szybciej niż człowiek. I czuje, jak z jego duszy dobywa się powoli gorzki lament nad sobą samym, i rozpaczliwie szuka w pamięci jakiegoś Boga, przed którym mógłby okazać skruchę. I ze zdumieniem stwierdza, że nie odczuwa najmniejszej skruchy, chociaż nie jest do końca pewien, czy tego wieczoru jakkolwiek Bóg miałby ochotę go wysłuchać. Wreszcie czuje uderzenie. Tyle ich wcześniej otrzymał, do dziś nosi blizny. Ale wie, że po tym jednym blizny już nie będzie. Bólu też nie

ma, tylko dusza po prostu ulatuje mu przez usta. W końcu nadchodzi nieubłagana noc, a on, pogrążając się w niej, wie, że tym razem będzie to noc wieczna. I kiedy Roger d'Arras krzyczy, nie jest już zdolny usłyszeć własnego głosu.

VIII. Czwarty gracz

Figury na szachownicy nie miały litości. Zatrzymywały go i pochłaniały. Była w tym jakaś groza, ale i jedyna w swoim rodzaju harmonia. Bo przecież czy istnieje na świecie coś poza szachami?

Vladimir Nabokov,
Zaszczyta Łużyna

Munoz skrzywił się w niepełnym uśmiechu, mechanicznym i nieobecnym, który nie obliżował go do niczego, nie usiłował nawet wzbudzać sympatii.

— A więc tak się sprawy miały... — powiedział cicho, dopasowując swój krok do Julii.

— Ano. — Szła zamyślona, z pochyloną głową. Wyjęła dłoń z kieszeni kurtki i odgarnęła włosy z twarzy. — Zna pan teraz całą historię... Chyba miał pan prawo do tego. Zasłużył pan.

Szachista popatrzył przed siebie, dumając nad tym nowo nabytym prawem.

— No tak — mruknął.

Szli bez pośpiechu, w milczeniu, jedno obok drugiego. Było chłodno. Węższe i mniejsze uliczki spowijał jeszcze mrok, a światło latarni gdzieś odbijało się w mokrym asfalcie, połyskując jak świeży werniks. Za to na otwartej przestrzeni cienie bledły pod naporem coraz gęstszej jasności, napływającej z drugiego końca alei, gdzie sylwetki budynków na tle nieba przechodziły już z czerni w szarość.

— A czy jest jakiś szczególny powód — spytał Munoz — że dotychczas ukrywała pani przede mną resztę tej historii?

Zanim Julia odpowiedziała, zerknęła nań z ukosa. Nie widać było po nim urazy, raczej niedbałe zainteresowanie. Patrzył beznamiętnie na wyludnioną ulicę, ręce trzymał w kieszeniach płaszcza, postawiony kołnierz sięgał mu uszu.

— Uznałam, że może nie chciałby pan komplikować sobie życia.

— Rozumiem.

Kiedy wyszli z za rogu, powitał ich łoskot śmieciarki. Munoz zatrzymał się i pomógł Julii przejść między dwoma pustymi kubłami.

— A co teraz pani zamierza zrobić?

— Nie wiem. Chyba dokończę renowację. I napiszę o całej sprawie długi raport. Dzięki panu stanę się trochę sławna.

Munoz słuchał nieuważnie, jakby myślami był gdzie indziej.

— Jak tam śledztwo?

— Pewnie w końcu znajdą mordercę, o ile taki istnieje. Zawsze kogoś znajdują.

— Podejrzewa pani kogoś? Julia wybuchła śmiechem.

— Boże święty, pewnie, że nie — zamyśliła się z grymasem niepewności na twarzy.

— Przynajmniej nie chciałabym... — Spojrzała na szachistę. — Mam wrażenie, że

prowadzenie śledztwa w sprawie zbrodni, której mogło nie być, bardzo przypomina to, co pan zrobił z obrazem.

Munoz skrzywił usta w niedokończonym uśmiechu.

— Wszystko zapewne jest kwestią logiki — odparł. — Może tyle detektyw i szachista mają ze sobą wspólnego. . . — Przymknął oczy, więc Julia nie potrafiła orzec, czy żartował, czy mówił serio. — Podobno Sherlock Holmes grywał w szachy.

— Czytuje pan kryminały?

— Nie. Chociaż to, co czytuję, trochę je przypomina.

— Co na przykład?

— Rzecz jasna, książki o szachach. I jeszcze o zabawach matematycznych, problemach logicznych. . . Takie rzeczy.

Przeszli przez opustoszałą aleję. Dotarłszy do przeciwległego chodnika, Julia znów ukradkiem popatrzyła na swojego rozmówcę. Nie wyglądał na kogoś o porażającej inteligencji. Poza tym raczej trudno było przypuszczać, żeby mu się w życiu wiodło. Gdy tak szedł z rękami w kieszeniach, w koszuli z pomiętym kołnierzykiem i z dużymi uszami sterczącymi ponad płaszczem, robił wrażenie dokładnie tego, kim był: posęp-

nego urzędnika, który ze świata przeciętności mógł uciec tylko w świat kombinacji, zagadnień i ich rozwiązań, a znajdował go właśnie w szachach. Najdziwniejsze u niego było spojrzenie, które gasło z chwilą, gdy nie padało już na szachownicę. I jeszcze ten sposób przechylania głowy, jakby jakiś straszny ciężar uciskał mu kręgi szyjne. Może miało to sprawić, żeby świat zewnętrzny spływał po nim, dotykając go jak najmniej. Przypominał trochę jeńców wojennych z dawnych dokumentalnych filmów wojennych, co to maszerują ze spuszczoneymi głowami. Można go było bez omyłki wziąć za pokonanego jeszcze przed bitwą, kogoś, kto budzi się co rano z klęską od razu wypisaną w oczach.

A przecież miał w sobie coś jeszcze. Kiedy objaśniał posunięcie w zagmatwanej partii, robił to z ulotną iskrą rzetelności, a nawet nieprzeciętnej inteligencji. Jak gdyby wewnątrz, pod pozorami lichej powierzchowności, krył się niezwykle talent logiczny, matematyczny czy jakiś inny, dzięki któremu jego słowa i postawa emanowały pewnością i niekwestionowanym autorytetem.

Dobrze byłoby poznać go bliżej. Zdała sobie sprawę, że niczego o nim nie wie poza tym, że gra w szachy i że jest buchalterem. Ale obudziła się za późno. Wykonał swoje zadanie, a na kolejne spotkanie szansę były marne.

— Dziwna ta nasza znajomość — powiedziała na głos.

Munoz błędził przez parę sekund spojrzeniem wokół siebie, jakby szukał potwierdzenia dla tych słów.

— Typowa znajomość szachowa. . . — odrzekł. — Trwała dokładnie tyle, ile ciągnie się partia. — Znowu się uśmiechnął w ten dziwny sposób, który niczego nie oznaczał.

— Niech pani zadzwoni, jak zechce pani jeszcze raz pograć.

— Pan mnie peszy — odezwała się ni stąd, ni zowąd.

— Na serio.

Zatrzymał się i spojrział na nią zdumiony. Już się nie uśmiechał.

— Nie rozumiem.

— Ja też nie, prawdę mówiąc. — Julia zawahała się, niepewna gruntu, po którym się porusza. — W panu są jakby dwie różne osoby. Czasem jest pan nieśmiały i zamknięty

w sobie, wzruszająco niezdarny... Ale gdy tylko sytuacja zaczyna pachnieć szachami, nabiera pan oszałamiającej pewności siebie.

— No i? — Szachista beznamiętnie czekał na dalszy tok rozumowania.

— No i nic — zacukała się, trochę zawstydzona własnym brakiem taktu, by wreszcie z uśmiezkiem zadrwić z samej siebie. — Wyobrażam sobie, jak to absurdalnie brzmi o świcie. Przepraszam.

Stał przed nią z rękami w kieszeniach płaszcza, z wystającą, gładko wygoloną grdyką nad rozpiętym kołnierzykiem koszuli, z głową przechyloną w lewo, jakby przeżuwał usłyszane właśnie słowa. Ale już nie wyglądał na zbitego z tropu.

— Ach, tak — powiedział i ruchem podbródka dał jej do zrozumienia, że pojmuję, chociaż Julia nie za bardzo wiedziała, co pojmuję. Następnie spojrzął za jej plecy, może w nadziei, że ktoś podrzuci mu zapomniane słowo. I wreszcie zrobił coś, co później dziewczyna zawsze wspominała z najwyższym osłupieniem. Dokładnie tam, w tym momencie, w niespełna kilku zdaniach, tonem chłodnym i bezosobowym, jakby chodziło o kogoś innego, streścił jej swoje życie. Przynajmniej Julia tak to odebrała. Ku jej zaskoczeniu trwało to dosłownie chwilę, nie było żadnej pauzy czy szczególnej in-

tonacji, za to przy zachowaniu absolutnej precyzji, z jaką Munoz zazwyczaj tłumaczył ruchy w szachach. I dopiero kiedy skończył i znów zapadł w milczenie, na jego wargach zagościł na powrót uśmiezek, będący może rodzajem leciutkiej autoironii, kpiny z człowieka, którego właśnie opisał, a do którego szachista nie żywił w głębi duszy ani współczucia, ani pogardy, miał za to dla niego coś na kształt pozbawionej złudzeń, wyrozumiałej solidarności. A Julia dłuższą chwilę trwała przed nim nieruchomo, nie wiedząc, co powiedzieć, i zastanawiała się, jakim, u diabła, cudem ten człowiek, który nie zawraca sobie głowy słowami, potrafi opowiedzieć tak dużo tak trafnym językiem. Dowiedziała się o chłopcu, który grał w myślach w szachy, patrząc na sufit sypialni, kiedy ojciec karał go za opuszczanie się w nauce. Dowiedziała się o kobietach, które z zegarmistrzowską precyzją potrafią rozebrać mężczyznę na kółka i sprężynki. Dowiedziała się o samotności, będącej parawanem przed klęską i beznadzieją. Wszystko to zrozumiała naraz, nawet nie mając czasu się nad tym zastanowić, a pod koniec, który nastąpił zaraz po początku, wcale nie była pewna, jaką część z tego usłyszała z jego ust, a jaką wyobraziła sobie sama. Założywszy oczywiście, że Munoz faktycznie zrobił coś ponad to, że wtulił nieco głowę w ramiona i uśmiechnął się jak zmęczony gladiator,

obojętny na kierunek, który wskaże kciuk decydujący o jego losie. Kiedy zaś przestał w końcu mówić, o ile w ogóle zaczął, a szary brzask oświecił mu pół twarzy, drugą połowę pozostawiając w mroku — Julia pojęła z całą wyrazistością, czym dla tego faceta jest mały skrawek płaszczyzny podzielony na sześćdziesiąt cztery białe i czarne kwadraty: miniaturowym polem bitwy, na którym rozgrywa się tajemnica życia, sukcesów i porażek, straszliwych, sekretnych sił, które rządzą ludzkim losem.

Poznała tę prawdę w ciągu niecałej minuty. A także naturę tego uśmiechu, który nigdy do końca nie zdołał zagościć na jego ustach. I powoli pochyliła trochę głowę, bo była dziewczyną inteligentną i wszystko rozumiała. On zaś popatrzył w niebo i powiedział, że robi się zimno. Wtedy ona wyciągnęła paczkę papierosów, poczęstowała go, on wziął — i wówczas pierwszy i przedostatni raz widziała, jak Munoz pali. Ruszyli w dalszą drogę, by zatrzymać się przed bramą domu Julii. Tutaj szachista miał nieodwołalnie wypaść z całej historii, więc wyciągnął rękę, zamierzając się pożegnać. Ale w tym momencie Julia zerknęła na domofon i zobaczyła niewielką kopertę wielkości wizytówki, złożoną i wciśniętą w szparkę koło jej dzwonka. A gdy otworzyła i wyjęła ze środka

karteczkę, zrozumiała, że Munoz w żadnym razie nie powinien odchodzić. I że zdarzy się jeszcze parę rzeczy, na pewno niedobrych, zanim ostatecznie pozwoli mu odejść.

— Nie podoba mi się — powiedział Cesar. Julia zauważyła, że palce obejmujące fifikę z kości słoniowej drżą nieznacznie. — Wcale mi się nie podoba, że jakiś wariat łązi sobie swobodnie i bawi się z tobą w Fantomasa.

Można było odnieść wrażenie, że słowa antykwariusza były sygnałem, na który wszystkie znajdujące się w sklepie zegary, jeden po drugim bądź jednogłośnie, różnymi tonami od słabego szmeru po ciężki brzęk zegarów ściennych, wybiły cztery kwadransy i godzinę dziewiątą. Ale mimo tego zbiegu okoliczności Julii nie było do śmiechu. Spoglądała na zamkniętą za szkłem Lucyndę Bustellego i czuła się tak samo krucha jak ona.

— Mnie się też nie podoba. Ale nie jestem pewna, czy mamy jakiś wybór.

Odwróciła się od porcelanowej lalki i popatrzyła na stół w stylu regencji, na którym Munoz rozłożył już swoją małą kieszonkową szachownicę i ponownie ustawił bierki zgodnie z sytuacją namalowaną przez van Huysa.

— Niech no ten kanalia wpadnie mi w ręce — mruknął Cesar, zerkając podejrzliwie na karteczkę, którą Munoz trzymał za sam róg, jak pionka, którego nie wie, gdzie postawić. — Jeśli to ma być żart, to stanowczo przekroczył granicę śmieszności. . .

— To nie jest żart — zaoponowała Julia. — Zapomniałeś o biednym Alvarze?

— Zapomnieć? — Antykwariusz podniósł firkę do ust i wypuścił gwałtownie dym. — Bardzo bym sobie tego życzył!

— A jednak to ma sens — odezwał się Munoz.

Popatrzyli na niego. Nieświadom wrażenia własnych słów szachista stał nad szachownicą oparty o blat, nadal trzymając karteczkę w palcach. Nie zdjął jeszcze płaszcza, a jego niedogolony podbródek w świetle padającym przez witraż nabrał niebieskiego odcienia, podobnie jak wyraźnie podkrążone od niewyspania, zmęczone oczy.

— Przyjacielu — w głosie Cesara można było wyczuć jednocześnie uprzejme niedowierzanie i nieco ironiczny szacunek. — Szczere gratulacje, jeśli zdoła pan odnaleźć sens w tym zamieszaniu.

Munoz wzruszył ramionami, nie zwracając uwagi na słowa antykwariusza. Był już pochłonięty nowym problemem, zaszyfrowanym na karteczce:

Wb3(?)... d7-d5+

Jeszcze przez chwilę Munoz przypatrywał się na przemian to zapisowi, to sytuacji na szachownicy. Następnie przeniósł wzrok najpierw na Cesara, potem na Julię.

— Ktoś — owo „ktoś” przyprawilo dziewczynę o dreszcz, jakby gdzieś blisko otwarto niewidzialne drzwi — chyba interesuje się partią rozgrywaną na tym obrazie. . . — przymknął oczy i przytaknął głową, może zgadzając się z jakichś niejasnych powodów z motywacją tajemniczego pasjonata. — Kimkolwiek jest, zna przebieg rozgrywki i wie bądź też podejrzewa, że rozpracowaliśmy jej zagadkę wstecz. Sam proponuje pójść naprzód, kontynuować grę, wychodząc od sytuacji przedstawionej na obrazie.

— Pan żartuje — powiedział Cesar.

Zapadło krępujące milczenie. Munoz wpatrywał się uważnie w antykwariusza.

— Ja nigdy nie żartuję — rzekł wreszcie, jakby zastanawiał się wcześniej, czy wypada mu użyć takiego sformułowania. — Tym bardziej gdy w grę wchodzi szachy — stuknął palcem wskazującym w karteczkę. — Zapewniam pana, że on ma dokładnie taki zamiar: ciągnąć dalej partię od momentu, w którym zostawił ją malarz. Niech państwo spojrzą na szachownicę.

— ...Widzą państwo — Munoz pokazał świstek. — Wb3(?)... d7-d5 +. „Wb3” oznacza, że białe przesuwają wieżę z b5 na pole b3. Znak zapytania w nawiasie interpretuję jako jego sugestię pod naszym adresem. To pozwala się domyślać, że my gramy białymi, a przeciwnik czarnymi.

— Pasuje jak ulał — skomentował Cesar. — Równie nikczemne, jak on sam.

— Nie wiem, czy to nikczemne, czy nie, wiem, że właśnie tak postąpił. Mówi nam: „Ja gram czarnymi i proponuję wam ruch wieży na b3”... Rozumieją państwo? Jeśli podejmuje wyzwanie, musimy zagrać tak, jak nam sugeruje, choć moglibyśmy wybrać posunięcie lepsze. Na przykład zbić czarnego piona na b7 pionem z a6... Albo białą wieżą z b6... — Tu zamilkł na chwilę, jakby jego myśl jęła automatycznie ogarniać kombinacje wynikające z właśnie zaproponowanego przezeń ruchu. Po chwili zamru-

gał oczami i z widocznym wysiłkiem powrócił do rzeczywistości. — Nasz przeciwnik uznał za pewnik, że przyjmujemy jego warunki i ruszymy białą wieżę na b3, żeby chronić naszego króla przed atakiem czarnego hetmana z prawej strony i jednocześnie grozić matem czarnemu królowi na a4 przy wsparciu drugiej białej wieży i białego skoczka. . . Z tego wszystkiego wnoszę, że lubi ryzyko.

Julia śledziła słowa Munoz, patrząc na szachownicę. Teraz podniosła na niego wzrok. Była przekonana, że wyczuła w głosie szachisty ślad podziwu dla nieznanego gracza.

— Dlaczego pan tak uważa. . . ? Skąd pan może wiedzieć, co tamten lubi, a czego nie?

Munoz schował głowę w ramiona i przygryzł dolną wargę.

— Nie wiem — odparł z wahaniem. — Każdy gra w szachy zgodnie ze swoją naturą. Chyba kiedyś już to państwu tłumaczyłem. — Położył karteczkę na blacie koło szachownicy. — „D7-d5+” znaczy, że czarne wybrały teraz ruch pionem z d7 na d5 i dają szacha białemu królowi. . . Ten plusik koło cyfr oznacza szacha. Należy przez to

rozumieć: jesteśmy w niebezpieczeństwie. Niebezpieczeństwie, którego możemy uniknąć, zbijając tego piona naszym białym, stojącym na polu e4.

— Tak — powiedział Cesar. — Jeśli chodzi o ruchy na szachownicy, pełna zgoda. Ale nie pojmuję, co to ma wspólnego z nami. . . Jaki związek może mieć zagranie szachowe z rzeczywistością?

Munoz zrobił nieokreśloną minę, jakby uważał, że żądają od niego zbyt wiele. Julia zobaczyła, że szukał wzrokiem jej oczu, ale zaraz spojrział w inną stronę.

— Nie wiem, jaki jest ścisły związek. Może w grę wchodzi ostrzeżenie, może chce nas o czymś uprzedzić. . . W każdym razie następnym logicznym posunięciem czarnych po zбиiciu ich piona na d5 byłby nowy szach białemu królowi skoczkiem z d1 na b2. . . Jeśli tak, to białe mogą zrobić jeden ruch, żeby uciec spod szacha i zachować pozycję osaczającą wobec czarnego króla: zbić czarnego skoczka białą wieżą. Wieża z pola b3 bije skoczka na b2. Przypatrzmy się teraz położeniu na szachownicy.

Wszyscy troje stali nieruchomo i nie odzywali się, studiowali jedynie nowe ustawienie bierok. Dużo później Julia twierdziła, że w owym momencie, nie rozumiejąc jeszcze całej łamigłówki, przeczuła, że szachownica nie jest już zwykłą mozaiką bia-

łych i czarnych kwadratów, że przeistacza się w obraz jej własnego życia. I jak w lustrze rozpoznała dziwnie znajome cechy w tej małej figurce z drewna, symbolizującej białą królową na polu e1, w melodramatycznie groźnej bliskości czarnych bierek.

Ale to Cesar pierwszy się zorientował.

— Boże — to słowo zabrzmiało tak przedziwnie w jego agnostycznych ustach, że Julia aż spojrzała na niego zaniepokojona. Antykwariusz wpatrywał się w szachownicę, zatrzymawszy fikę kilka centymetrów od ust, jak gdyby to nagłe odkrycie go sparaliżowało.

Julia znowu popatrzyła na szachownicę, czując, jak krew pulsuje jej głucho w nadgarstkach i skroniach. Widziała tylko tę bezbronną białą królową, ale czuła na plecach ciężkie brzemię zagrożenia. Podniosła oczy na Munoza, licząc na jego pomoc, i zobaczyła, że szachista kręci zadumany głową, a czoło przecina mu głęboka pionowa zmarszczka. Po chwili na jego ustach pojawił się tak dobrze jej znany słaby uśmiech, ale nie było w nim cienia wesołości. Przypominał raczej przelotny grymas niezadowolenia kogoś, kto wbrew sobie musi uchylić kapelusza przed czyimś talentem. I wtedy Julię ogarnął mroczny, silny strach, bo zrozumiała, że Munoza też można zaskoczyć.

— Co się dzieje? — spytała, nie poznając własnego głosu. Pola szachownicy tańczyły jej przed oczami.

— Ano to się dzieje — odparł Cesar, wymieniając poważne spojrzenia z Munozem — że ruch białej wieży postawił czarną królową w szachu. . . Nie myślę się?

Szachista pochylił podbródek na znak, że przyznaje mu rację.

— Tak — dodał po dłuższej chwili. — W tej rozgrywce czarny hetman, wcześniej będący pod osłoną, teraz jest wystawiony na niebezpieczeństwo. . . — zamilkł. Zapuszczanie się w pozaszachowe interpretacje nie leżało w jego naturze. — Może to oznaczać, że nasz niewidzialny gracz coś nam chce przekazać: że jest przekonany o rozwiązaniu zagadki obrazu. Czarny hetman. . .

— Czyli Beatrycze Burgundzka — wymamrotała dziewczyna.

— Tak. Beatrycze Burgundzka. Czarna królowa, która, o ile wiem, już raz zadała śmiertelny cios.

Ostatnie słowa Munozu zawisły w powietrzu, jakby nie czekały na odpowiedź. Cesar w milczeniu wyciągnął dłoń i delikatnie strzepnął papierosa do popielniczki. Robił to powoli jak ktoś, kto potrzebuje czynności, która pozwoli mu utrzymać kontakt z rze-

czywistością. Potem rozejrzał się, spodziewając się może, że pośród stojących w sklepie mebli, obrazów i przedmiotów znajdzie odpowiedź na nurtujące ich wszystkich pytania.

— To absolutnie nieprawdopodobny zbieg okoliczności, drodzy przyjaciele — odezwał się. — Tak nieprawdopodobny, że aż niemożliwy.

Uniół ręce i opuścił je bezradnie wzdłuż ciała. Munoz ograniczył się do posępnego wzruszenia ramionami przykrytymi płaszczem.

— Tu nie wchodzi w grę żaden zbieg okoliczności. Ktoś, kto to wszystko obmyślił, jest prawdziwym mistrzem.

— A co z białą królową? — spytała Julia.

Munoz wytrzymał przez chwilę jej spojrzenie, po czym wyciągnął rękę, zatrzymując ją zaledwie kilka centymetrów od królowej, jak gdyby nie śmiał jej tknąć. Następnie wskazał palcem czarną wieżę na c1.

— Biały hetman może zostać zбитy — odrzekł spokojnie.

— No tak — Julia była rozczarowana. Spodziewała się mocniejszych przeżyć, kiedy ktoś na głos potwierdzi jej własne obawy. — O ile dobrze zrozumiałam, fakt odkrycia tajemnicy obrazu, to znaczy winy czarnej królowej, został zilustrowany ruchem wieży

na b2... A biała królowa czuje, że znalazła się w niebezpieczeństwie, bo zamiast bu-
szować i komplikować sobie życie, wycofała się w cichy zakątek. Czy to nauczka, panie
Munoz?

— Mniej więcej.

— Ależ wszystko to zdarzyło się pięć wieków temu — zaproponował Cesar. — Tylko
ktoś niespełna rozumu...

— Może mamy do czynienia z kimś takim — przerwał obojętnym tonem Munoz.

— Ale w szachy grał przy tym, czy raczej gra, rewelacyjnie.

— I mógł znowu zabić — dodała Julia. — Teraz, parę dni temu, w dwudziestym
wieku. Alvara.

Cesar podniósł rękę oburzony, jakby dziewczyna popełniła nietakt.

— Wolnego, księżniczko. Bo się zawikłamy. Żaden morderca nie przeżyłby pięciu-
set lat. A obrazy nie potrafią zabijać.

— Zależy, jak na to spojrzeć.

— Nie pozwalam ci pleść podobnych bzdur. I nie płacz różnych spraw. Mamy z jednej strony obraz i zbrodnię popełnioną pięć wieków temu. . . Z drugiej strony nieżywego Alvara. . .

— I wysłane dokumenty.

— Ale na razie nie wykazano, że osoba, która je wysłała, zabiła Alvara. . . W końcu możliwe jest nawet, że ten nieudacznik naprawdę strzaskał sobie łeb w wannie. — Antykwariusz uniósł trzy palce. — Z trzeciej strony ktoś usiłuje grać z nami w szachy. . . Koniec, kropka. Nie ma dowodów, że te sprawy wiążą się ze sobą.

— A obraz?

— To nie jest dowód. To przypuszczenie. — Cesar popatrzył na Munozę. — Nie mam racji?

Szachista zachowywał milczenie, nie chcąc się mieszać, czym zasłużył sobie na urażone spojrzenie Cesara. Julia pokazała na leżącą obok szachownicy karteczkę.

— Chcecie dowodów? — wypaliła, bo nagle zrozumiała, o co w tym chodzi. — Tu mamy coś, co łączy śmierć Alvara z tajemniczym graczem. . . Aż za dobrze znam te karteczki. . . Alvaro używał ich w pracy — przerwała na moment, chcąc uświadomić

sobie własne słowa. — Ten, kto go zamordował, mógł wziąć ze sobą garść jego fiszek — zamyśliła się, po czym wyciągnęła chesterfielda z paczki, którą miała w kieszeni kurtki. Irracjonalna panika, w jaką wpadła jeszcze parę minut temu, rozwiewała się, ustępując miejsca bardziej konkretnym obawom, o wyraźnie zaznaczonych kształtach. Julia tłumaczyła sobie, że strach przed strachem nie jest tym samym, czym strach przed śmiercią z ręki żywej istoty. Niewykluczone, że wspomnienie Alvara i jego śmierci w światłach rampy, przy odkręconych kranach, rozjaśniło jej umysł, przepędzając precz inne, nadprogramowe lęki. Ten jeden wystarczał w zupełności.

Podniosła papierosa do ust i przypaliła go, ufając, że ten gest zaświadczy przed obydwoma mężczyznami o jej spokoju. Wypuściła pierwszy kłęb dymu i przełknęła ślinę. Gardło miała nieprzyjemnie suche. Gwałtownie potrzebowała wódki. Albo paru wódek. Albo pięknego, silnego, milczącego mężczyzny, z którym kochałaby się do utraty przytomności.

— I co teraz? — spytała tak opanowanym głosem, na jaki było ją stać.

Cesar popatrzył na Munozę, a ten na Julię. Stwierdziła, że jego wzrok na powrót zmętniał, życie zeń uleciało, jakby to wszystko przestało szachistę interesować do czasu kolejnego posunięcia.

— Czekamy — powiedział Munoz, pokazując szachownicę. — Teraz jest ruch czar-
nych.

Menchu była niezwykle podniecona, ale nie z powodu tajemniczego gracza. W miarę opowieści Julii jej oczy coraz bardziej upodabniały się do spodków, aż do chwili kiedy wyteńczywszy słuch, można było dosłyszeć niedyskretny brzęk kasy podliczającej ostateczną sumę. Bez wątpienia w sprawach pieniędzy Menchu zawsze wykazywała pazerność. A w tym momencie, podliczając przyszłe wpływy, wykazywała ją w szczególności.

Jest pazerna i lekkomyślna — dodała w duchu Julia — skoro na wieść o ewentualnym mordercy lubiącym szachy ledwie okazała zaniepokojenie. Menchu wołała zachowywać się wobec problemów zgodnie z tym, co jej dyktowała własna osobowość

— jakby tych problemów nie było. Niezdolna do skupiania uwagi na jakiejś sprawie przez dłuższy czas, może dodatkowo znużona obecnością w domu goryla w postaci Maxa — co utrudniało inne manewry — właścicielka galerii postanowiła zmienić swój punkt widzenia. W jej mniemaniu wszystko to było teraz ciągiem zdumiewających zbiegów okoliczności albo dziwacznym żartem, najpewniej niegroźnym, wykoncypowanym przez kogoś o szczególnym poczuciu humoru, kogoś, czyje motywby były dla niej za mądre. Tę wersję uznała za bardziej uspokajającą, zwłaszcza wobec sporych zarobków czekających na nią po drodze. A co do śmierci Alvara, czy Julia nigdy nie słyszała o pomyłkach w śledztwie...? Weźmy zamordowanie Zoli przez tego Dreyfussa czy na odwrót. Albo Lee Harveya Oswalda czy inne podobne wpadki. Poza tym każdemu mógł się przydarzyć upadek w wannie. No, prawie każdemu.

— Jeśli chodzi o van Huysa, zobaczysz, zgarniemy mnóstwo kasy.

— A co robimy z Montegrifem?

W galerii było niewielu klientów — dwie panie w dojrzałym wieku, dyskutujące przy dużym oleju marynistycznym o klasycznej fakturze, oraz jakiś ciemno ubrany

mężczyzna, który przeglądał teczki z grafikami. Menchu oparła dłoń na biodrze niczym na kaburze pistoletu, zatrzepotała teatralnie rzęsami i powiedziała cicho:

— Nie będzie miał wyboru, maleńka.

— Sądzisz?

— Mówię ci. Albo się zgodzi, albo wojna między nami — zaśmiała się władczo.

— Mamy twoje badania historyczne, mamy wspaniały scenariusz o księciu Ostenburga i tej czarnej owcy, jego ślubnej. Przy takiej historii w Sotheby's czy w Christie's witają nas z otwartymi ramionami. A Paco Montegrifo ma dobrze pod kopułą. . . — Nagle coś sobie przypomniała. — Racja, dziś wieczorem jesteśmy z nim umówione na kawę. Zrób się na bóstwo.

— Jesteśmy?

— Ty i ja. Dzwonił rano, słodziutki jak karmelek. Ma skubaniec nosa.

— Mnie w to nie mieszaj.

— Ja cię wcale nie mieszam. Sam nalegał, żebyś przyszła. Nie wiem, coś ty mu zrobiła, dziewczyno. Taka mizerotka.

Obcasy ręcznie szytych, potwornie drogich, ale dwa centymetry za wysokich butów Menchu zostawiały na beżowej wykładzinie nieprzyjemne ślady. W jej galerii, na wielkich przestrzeniach spowitych odbitym od ścian światłem, panoszyła się — jak to określał Cesar — sztuka prostacka: głównie akryle i gwasze połączone z kolażami, płócienne płaskorzeźby na zmianę z zardzewiałymi kluczami francuskimi albo płataniny plastikowych rur zlepione z kierownicami pomalowanymi na błękitno. I tylko gdzieś, w dalszych zakątkach, pojawiał się bardziej konwencjonalny portret czy pejzaż, sprawiając wrażenie nieproszonego gościa, który jednak służy jako dowód szerokich gustów pretensjonalnej gospodyni. Mimo to galeria przynosiła Menchu pieniądze. Sam Cesar musiał to niechętnie przyznać, wspominając z rozrzewnieniem czasy, kiedy byle gmina nie mogła się obejść w swojej sali konferencyjnej bez uczciwego obrazu *comme il faut*¹, adekwatnie spatynowanego, w grubej, złoconej ramie. Następne pokolenia, które wprowadziły się do tych samych gabinetów po uprzednich wizytach najmodniej-

¹Comme il faut (fr.) — jak się należy.

szych, kosztownych dekoratorów, wołały już obłądne wymysły postindustrialne, zgodne z duchem epoki: plastikowe pieniądze, plastikowe meble, plastikowa sztuka.

Ot, paradoksy życia. Menchu i Julia przyglądały się teraz dziwnej kombinacji czerwieni i zieleni, ilustrującej wydumany tytuł Uczucia, która wyszła kilka tygodni wcześniej spod pędzla Sergia, najnowszego oblubieńca Cesara. Był to obraz, który antykwariusz sam im zarekomendował, aczkolwiek, trzeba przyznać, spuścił ucziwie wzrok, kiedy o nim mówił.

— Tak czy inaczej sprzedam go — westchnęła z rezygnacją Menchu, gdy już obydwie się nań napatrzyły. — W sumie wszystko da się sprzedać. Nie uwierzysz, co?

— Cesar jest ci bardzo wdzięczny — powiedziała Julia. — Ja też.

Menchu potarła z wyrzutem nos.

— To mnie właśnie denerwuje. Że jeszcze się wstawiasz za tą całą zgrają twojego antykwariusza. Ta stara ciota mogłaby się już nieco ustatkować.

Julia potrząsnęła zaciśniętą pięścią przed nosem przyjaciółki.

— Daj mu spokój. Wiesz dobrze, że Cesar to święty człowiek.

— Wiem, wiem. Ciągłe nic, tylko Cesar to, tamto, siamto, od kiedy cię znam. . . — popatrzyła udręczona na obraz Sergia. — Powinniście oboje iść do psychoanalityka i zabić mu klina. Już was widzę razem na kozetce, jak nawijacie mu tę freudowską gadkę: „Widzi pan, panie doktorze, od dzieciństwa nie chciałam posuwać się z ojcem, wolałam tańczyć walca z antykwariuszem. Który notabene jest pedziem, ale mnie uwielbia. . .” Zwątpiłby, dzidzia.

Julia patrzyła na przyjaciółkę, ale nie zdobyła się nawet na uśmiech.

— Jesteś bezczelna. . . Przecież wiesz, na czym polega nasza przyjaźń.

— A kto was tam wie. . .

— Idź do diabła. Wiesz aż za dobrze. . . — zamilkła i prychnęła, wściekła na samą siebie. — To jakiś absurd. Za każdym razem, kiedy mówisz o Cesarze, zaczynam się usprawiedliwiać.

— Bo jest w was coś nienormalnego. Przypomnij sobie, nawet jak byłaś z Alva-rem. . .

— Zostaw Alvara. Zajmij się swoim Maxem.

— Mój Max przynajmniej daje mi to, czego mi trzeba. . . No właśnie, a co z tym szachistą, którego wyciągnęliście z kapelusza? Marzyłabym, żeby rzucić na niego okiem.

— Na Munozę? — teraz Julia nie mogła powstrzymać uśmiechu. — Oj, rozczarowałby cię. Nie jest w twoim typie. . . Ani w moim — zamyśliła się. Nigdy nie sądziła, że będzie go musiała opisać. — Wygląda jak urzędnik z czarno-białych filmów.

— Ale van Huysa ci rozwiązał — Menchu zamruła szelmowsko z szacunku dla szachisty. — Jakieś zdolności posiada.

— Na swój sposób potrafi być bardzo inteligentny. . . Ale nie zawsze. Czasem patrzysz i widzisz, że jest bardzo pewny siebie, że rozumuje jak maszyna, i nagle dosłownie gaśnie w oczach. Wtedy dostrzegasz wytarty kołnierzyk koszuli, prostackie rysy i podejrzewasz, że na pewno jedzie mu ze skarpetek.

— Żonę ma?

Julia wzruszyła ramionami. Patrzyła w dal, gdzieś poza wystawione w oknie obrazy i zdobne ceramiki.

— Nie wiem. Nie należy do tych, co ci się zwierają — zastanowiła się nad własnymi słowami, bo zdała sobie sprawę, że to pytanie nie przyszło jej nawet do głowy. Munoz interesował ją nie jako istota ludzka, lecz jako ktoś, kto przyda się przy rozwiązywaniu zagadki. Dopiero poprzedniego dnia, na krótko przedtem, nim znalazła fiszkę w domofonie, nim mieli pożegnać się na zawsze, zdołała co nieco poznać jego życie wewnętrzne. — Przypuszczam, że raczej ma żonę. Albo miał. . . Nosi jakieś rany, które tylko my, kobiety, potrafimy zadać.

— A co Cesar na niego?

— W porządku. Pewnie go trochę śmieszy. Cesar odnosi się do Munoz z wielką galanterią, czasem podszytą ironią. . . Na przykład kiedy Munoz w błyskotliwy sposób objaśnia jakieś posunięcie szachowe, Cesara jakby kłuła zazdrość. Ale kiedy tamten odwraca oczy od szachownicy, od razu kapcanieje, a Cesar się uspokaja.

Przerwała zaskoczona. Ciągle spoglądała przez szybę na ulicę i właśnie zobaczyła po drugiej stronie, przy krawężniku, dziwnie znajomy samochód. Gdzieś go przedtem już widziała. . .

Nadjechał autobus i zasłonił zaparkowany wóz. Miała lęk wypisany na twarzy, co zaniepokoiło Menchu.

— Coś się dzieje?

Pokręciła niepewnie głową. Za autobusem pojawił się dostawczak i zatrzymał na światłach, więc trudno było stwierdzić, czy tamten samochód ciągle stoi. Ale widziała go na pewno. To był ford.

— Ej, co jest?

Menchu popatrywała to na nią, to na ulicę, nic nie rozumiejąc. Julia poczuła pustkę w żołądku, niemiłe wrażenie, które ostatnio zdołała poznać aż za dobrze. Stała nieruchoma i skupiona, jakby umiała wysiłkiem woli przeniknąć wzrokiem przez blachę ciężarówki i sprawdzić, czy samochód jeszcze tam jest. Niebieski ford.

Bała się. Czuła, jak strach mrowi się po całym ciele, jak pulsuje w żyłach i w skroniach. W końcu — pomyślała — przecież ktoś może ją śledzić. I to od paru dni, od kiedy Alvaro i ona. . . Niebieski ford z zaciemnionymi szybami.

Nagle przypomniała sobie. Stał zaparkowany „na drugiego” przed agencją kurierską, przejechał za nimi na czerwonym świetle na bulwarze tego ranka, kiedy lało. Do-

strzegą go z góry przez firanki mieszkania albo na ulicach tu i ówdzie. . . Przecież to mógł być ten sam samochód. . .

— Julio, dziecinko — Menchu była poważnie zdenerwowana — jesteś cała blada.

Dostawczak ciągle stał na światłach. Może to przypadek. Na świecie pełno jest niebieskich samochodów z ciemnymi szybami. Zrobiła krok w kierunku wystawy i wsunęła dłoń do kieszeni kurtki, którą przewiesiła sobie przez ramię. Alvaro w wannie z odkręconymi kranami. Grzebała na oślep, odsuwając na bok papierosy, zapalniczkę, puderniczkę. Trafiając na kolbę derringera, odczuła jakąś radosną pociechę, a jednocześnie patetyczną nienawiść wobec tego niewidocznego teraz wozu, symbolu jej nagiego lęku. Skurwysynu — pomyślała, a dłoń w kieszeni zaciśnięta na pistolecie zaczęła się trząść ze strachu i ze złości. — Skurwysynu, nie wiem, kim jesteś, i wprawdzie na razie jest ruch czarnych, ale ja ci pokażę szachy. . . Ku zdumieniu Menchu wyszła na ulicę z zaciętą miną, wpatrzona w ciężarówkę zasłaniającą tajemniczy samochód. W chwili kiedy znów zapaliło się zielone, minęła wozy zaparkowane na chodniku. Obskoczyła jakiś zderzak, puściła mimo uszu klakson za plecami i już, już miała wyszarpnąć z kieszeni derringera, żeby przepędzić ciężarówkę, kiedy, dotarłszy pośród spalin na drugą

stronę jezdni, zobaczyła, jak niebieski ford z zaciemnionymi szybami, o numerach rejestracyjnych kończących się na TH, oddala się od niej, niknąc w ruchu ulicznym.

IX. Fosa przy Wrotach Wschodnich

ACHILLES: A co się dzieje, jeśli natrafi się na obraz wewnątrz obrazu, w który już się weszło?

ŻÓŁW: Dokładnie to, czego się spodziewasz, panie: wnika się w ten obraz w obrazie.

Douglas R. Hofstadter,

Godel, Escher, Bach – an Etemal Golden Braid

— ... To już pewna przesada, kochanie. — Cesar nawijał spaghetti na widelec. — Wyobrażasz sobie...? Praworządny obywatel, prowadząc swój, przypadkowo niebieski, samochód staje równie przypadkowo na światłach i widzi, jak podchodzi do niego bazylierek pod postacią ładnej dziewczyny i ni stąd, ni zowąd mierzy do niego z pistoletu. — Popatrzył na Munoza, jakby rozsądek tego ostatniego mógł przyjść mu z odsieczą. — ... Przecież każdy by chyba zmartwił?

Szachista, który kręcił właśnie na obrusie kulkę z chleba, znieruchomiał, jednak nie podniósł wzroku.

— Ale nie udało jej się. To znaczy, nie strzeliła — odezwał się cicho. — Samochód zdążył odjechać.

— Logiczne. — Cesar sięgnął po kieliszek wina rose. — Miał zielone światło.

Julia oparła sztucę o krawędź talerza, obok prawie nietkniętej lasagni. Uczyniła to gwałtownie i z hałasem, czym zasłużyła sobie na zbolale, pełne wyrzutu spojrzenie antykwariusza rzucone znad kieliszka.

— Posłuchaj, głuptaku. Samochód stał tam, zanim zrobiło się czerwone, miał wolną drogę. Ale stał, i to dokładnie przed galerią, kapujesz?

— Kochanie, są setki takich samochodów. — Cesar delikatnie postawił kieliszek na stole, osuszył usta i przywołał na twarz łagodny uśmiech. — A może to był — dodał, zniżając tajemniczo głos — jakiś adorator twojej cnotliwej Menchu. Jakiś umieśniony, czerstwy stręczyciel, co ma nadzieję wykolegować Maxa. Czy ktoś w tym rodzaju.

Julia czuła głuche rozdrażnienie. Wściekało ją, że w momentach kryzysowych Cesar ubierał się w szatki napastliwego złośliwca, niczym stara żmija. Ale teraz nie chciała tracić nerwów na dyskusję. Zwłaszcza przed Munozem.

— Równie dobrze — odparła, kiedy już się opanowała i policzyła do pięciu — mógł to być ktoś, kto wolał się na wszelki wypadek zmyć, jak tylko zobaczył, że wychodzę z galerii.

— Możliwe, ale bardzo mało prawdopodobne, najdroższa. Wierz mi.

— Tak samo uznałbyś za mało prawdopodobne, żeby ktoś Alvarowi skrzył kark jak królikowi, i proszę.

Antykwariusz skrzywił się, uznając pewnie tę uwagę za niestosowną, i pokazał na talerz Julii.

— Lasagna ci wystygnie.

— Mam w dupie lasagnę. Chcę wiedzieć, co ty o tym myślisz. Ale szczerze.

Cesar spojrział na Munoza, ale ten nadal beznamiętnie kręcił swoją kulkę z chleba. Antykwariusz oparł się więc nadgarstkami o kant stołu, symetrycznie po obydwu stronach talerza, i wbił wzrok w wazonik, w którym stały dwa goździki — biały i czerwony.

— Możliwe, że masz rację. — Uniósł brwi, jakby wymuszona szczerłość i uczucie, którym darzył Julię, toczyły teraz ostrą walkę w jego duszy. — ... To pragnęłaś usłyszeć? Proszę bardzo. Powiedziałem. — Niebieskie oczy patrzyły na nią czule, bez zgryźliwości, która dotąd się w nich kryła. — Przyznaję, że ten samochód mnie niepokoi.

Julia spojrzała nań ze złością.

— Można wiedzieć, dlaczego mimo to od pół godziny rzniesz idiotę? — Zniecierpliwiona walnęła zaciśniętą dłonią w obrus. — Nie, nie musisz mi mówić. Sama wiem. Tatunio nie chce, żeby córuchna się martwiła, prawda? Będzie lepiej, jeśli wsadzę głowę w piasek, jak strus. . . Albo jak Menchu.

— Ale niczego nie rozwiążesz, napadając na ludzi tylko dlatego, że ich o coś podejrzewasz. . . Poza tym, jeżeli podejrzienia się potwierdzą, takie wysoki mogą się okazać groźne. I to groźne dla ciebie.

— Miałam przy sobie twój pistolet.

— Obym nigdy nie żałował, że ci go dałem. To nie zabawa. W prawdziwym życiu bandyci też miewają pistolety. . . I grywają w szachy.

Dźwięk słowa „szachy”, jak można było się spodziewać, wyrwał Munozę z odrętwienia.

— Ostatecznie — mruknął szachista w przestrzeń — szachy są kombinacją wrogich odruchów. . .

Zaskoczeni popatrzyli na niego. Ta uwaga nijak się miała do treści ich rozmowy. Munozę wpatrywał się w powietrze, jak gdyby jeszcze nie wrócił z dalekiej podróży.

— Mój wielce szanowny przyjacielu — odezwał się Cesar, nieco zirytowany, że mu przerwano. — Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ma pan sto procent racji, ale bylibyśmy wysoce zobowiązani, gdy zechciał pan łaskawie wyrażać się jaśniej.

Munoz obracał w palcach kulkę z chleba. Miał na sobie niemodną, niebieską marynarkę i ciemnozielony krawat. Rogi pomiętego i niezbyt czystego kołnierzyka koszuli sterczały nieco w górę.

— Nie wiem, co mam państwu powiedzieć. — Potarł podbródek wierzchem dłoni. — Od paru dni ciągle wracam do tej sprawy... — znów się zawahał, szukając może odpowiednich słów. — Rozmyślam o naszym przeciwniku.

— Podejrzewam, że podobnie jak Julia. I jak ja sam. Wszyscy rozmyślamy o tym nędzniku...

— To nie to samo. Mówiąc o nim „nędznik”, ucieka się pan do sądu subiektywnego... To niewiele nam da, za to może odwrócić naszą uwagę od rzeczy naprawdę istotnych. Ja staram się go rozgryźć na podstawie jedyne go dostępnego czynnika obiektywnego: jego ruchów szachowych. To znaczy... — Przesunął palcem po krawędzi kieliszka z winem, którego dotąd nie tknął, i zamilkł, jakby ten gest go rozproszył. — Styl gry zdradza gracza... Chyba zresztą już kiedyś państwu o tym wspominałem.

Julia pochyliła się zaciekawiona ku szachiście.

— Czyli że bada pan teraz osobowość mordercy...? I zna go pan już lepiej?

Przez usta Munoz przemknął zdawkowy uśmiech, ale jego oczy patrzyły na nią z absolutną powagą. Ten człowiek nigdy nie kpił.

— Są różne rodzaje graczy. — Przymknął powieki. Spoglądał pewnie w odległe, ale bardzo dobrze mu znane rejony. — Oprócz stylu każdy szachista ma swoje drobne manie, cechy, które różnią go od pozostałych: Steinitz nucił Wagnera podczas gry, Morphy nigdy nie spojrział na przeciwnika do czasu decydującego ruchu. . . Inni gadają coś po łacinie albo w wymyślonym języku. . . Są to sposoby na rozładowanie napięcia, na lepsze przygotowanie się do dalszej gry. Stosowane przed albo zaraz po ruchu. Prawie każdy to ma.

— Pan też? — spytała Julia. Szachista zawahał się, zmieszany.

— Chyba tak.

— To jaką pan ma małą manię? Munoz przyjrzał się swoim dłoniom, ciągle ugniatającym kulkę.

— Chodźmy do Pendżabu przez dwa H.

— Chodźmy do Pendżabu przez dwa H. . . ?

— Tak.

— A co to znaczy „Chodźmy do Pendżabu przez dwa H”?

— Nic nie znaczy. Po prostu mówię to przez zęby albo tylko w myśli, kiedy wykonuję decydujące posunięcie, tuż przed dotknięciem bierki.

— Przecież to nieracjonalne. . .

— Wiem. Ale nawet nieracjonalne gesty czy manie wiążą się ściśle ze stylem gry. I są też informacją o charakterze szachisty. . . Podczas analizy stylu danego gracza przydaje się każdy fakt. Na przykład Petrosjan był człowiekiem strasznie defensywnym, miał silne poczucie niebezpieczeństwa. Dużo czasu poświęcał na przygotowanie obrony przed ewentualnymi atakami, nawet zanim przyszły one do głowy jego przeciwnikom. . .

— Paranoik — skomentowała Julia.

— Sama pani widzi, że to nietrudne. . . W innych przypadkach mamy do czynienia z typową grą egoisty, człowieka agresywnego, megalomana. . . Weźmy chociażby przykład Steinitza: w wieku sześćdziesięciu lat utrzymywał, że jest w stałym, bezpośrednim kontakcie z Bogiem i że byłby w stanie wygrać z Nim, dając Mu fory w postaci jednego piona i pozwalając grać białymi. . .

— A nasz niewidzialny gracz? — zapytał zasłuchany Cesar, trzymając kieliszek w połowie drogi między stołem a ustami.

— Jest niezły — odparł Munoz bez namysłu. — A dobrzy gracze bywają nierzadko ludźmi skomplikowanymi. . . Mistrz potrafi intuicyjnie dostrzec korzystne posunięcie i wyczuć zagrożenie wynikające z błędnego ruchu. Ten typ instynktu ciężko opisać słowami. . . Patrząc na szachownicę, taki człowiek nie widzi statycznego przedmiotu, ale teren, na którym krzyżują się rozmaite siły magnetyczne, łącznie z tymi, którymi emanuje on sam. — Przez parę sekund przypatrywał się kulce z chleba, następnie odłożył ją delikatnie na bok niczym miniaturowego pionka na nieistniejącej szachownicy. — Jest człowiekiem agresywnym, lubi ryzyko. Chcąc chronić swojego króla, wcale nie uciekł się do hetmana. . . Bardzo błyskotliwie zagrał czarnym pionem, potem czarnym skoczkiem, stwarzając tym samym napięcie wokół białego króla, a jednocześnie dręczy nas ewentualną perspektywą wymiany hetmanów. . . Mam wrażenie, że ten facet. . .

— Albo ta kobieta — przerwała Julia.

Szachista spojrzał na nią niepewnie.

— Nie wiem, co o tym myśleć. Niektóre kobiety dobrze grają w szachy, ale jest ich niewiele. . . W tym przypadku zagrania naszego przeciwnika względnie naszej przeciwniczki świadczą o pewnym okrucieństwie, a dodałbym także, że i o sadystycznej ciekawości. . . Trochę jak kot bawiący się z myszką.

— Podsumowując — Julia liczyła na palcach dłoni — nasz przeciwnik jest prawdopodobnie mężczyzną raczej niż kobietą, bardzo pewnym siebie, agresywnym, okrutnym, posiada cechy sadysty-podglądacza. Tak czy nie?

— Chyba tak. I lubi niebezpieczeństwo. Ewidentnie odrzuca klasyczny punkt widzenia, zgodnie z którym czarnym bierkom przypada rola defensywna. Poza tym ma dobre wycucie ruchów przeciwnika. . . Potrafi postawić się na cudzym miejscu.

Cesar złożył usta i wydobył z siebie gwizd podziwu, od nowa patrząc na Munozę z szacunkiem. Szachista miał znów nieobecną minę, myślami powędrował w odległe rejony.

— O czym pan myśli? — zapytała Julia.

Munoz zwlekał z odpowiedzią.

— O niczym takim... Często podczas rozgrywki mamy do czynienia z walką pomiędzy nie dwiema szkołami szachów, a dwiema filozofiami... Pomiędzy dwoma sposobami rozumienia świata.

— Białe i czarne, nieprawdaż? — wtrącił Cesar, jakby recytował stary wiersz. — Dobro i zło, niebo i piekło, wszystkie te cudowne antytezy.

— Możliwe.

Mina Munoza świadczyła, że szachista nie czuje się na siłach analizować tę kwestię na równie akademickim poziomie. Julia przyjrzała się jego wysokiemu czołu i dużym uszom. Znów zapaliło mu się to fascynujące światełko w zmęczonych oczach i dziewczynę zastanowiło, ile czasu upłynie, nim na powrót zgaśnie, jak po tylekroć dotąd. Widząc ów blask, miała zawsze prawdziwą ochotę wniknąć do wnętrza i poznać milczka, który siedział przed nią.

— A jaka jest pańska szkoła?

Szachista najwyraźniej nie spodziewał się tego pytania. Sięgnął w stronę kieliszka, ale zatrzymał dłoń w pół drogi, na obrusie. Jego wino stało nietknięte od czasu, kiedy nalał je kelner na początku ich spotkania.

— Nie sędę, żebym należał do jakiejś szkoły — odrzekł cicho. Można było chwilami odnieść wrażenie, że gdy mówi o sobie samym, jego skromna osoba przeżywa niewypowiedziane katusze. — Chyba jestem z tych, co to uważają szachy za formę terapii. . . Czasami się zastanawiam, jak państwo, którzy nie grają w szachy, ratują się przed szaleństwem albo przed melancholią. . . Jak już kiedyś wspominałem, są ludzie, którzy grają, żeby zwyciężyć: Alochin, Lasker czy Kasparow. . . Zresztą większość wielkich mistrzów. I zdaje się nasz niewidzialny przeciwnik. . . Inni, jak Steinitz albo Przepiórka, wolą popisywać się swoimi teoriami i wykonywać błyskotliwe posunięcia. . . — znów się zacukał. Widać było, że już nie uniknie rozmowy na własny temat.

— Natomiast pan. . . — podsunęła Julia.

— Ja natomiast nie jestem ani agresywny, ani skłonny do ryzyka,

— Dlatego nigdy pan nie wygrywa?

— W duchu sędę, że mógłbym wygrać. Że jak sobie postanowię, to nie przegram ani jednej partii. Ale moim najgorszym przeciwnikiem jestem ja sam. — Dotknął czubka swojego nosa, przekrzywiwszy przy tym lekko głowę. — Kiedyś przeczytałem takie zdanie: „Człowiek urodził się nie po to, żeby rozwiązać problem świata, ale po to, żeby

stwierdzić, gdzie ten problem leży”... Może dlatego nie staram się niczego rozwiązywać. Zagłębiając się w partię dla niej samej i czasami przyglądając się szachownicy, łapię się na tym, że śnię na jawie, że rozważam różne ruchy innych bierek lub też gram sześć, siedem ruchów do przodu poza ten, nad którym biedzi się akurat mój partner. . .

— Szachy w stanie najczystszym — powiedział Cesar, niezdolny dłużej ukrywać podziwu. Zerkał jednak zaniepokojony na Julię, widząc, jak pochyla się nad stołem i przysłuchuje słowom szachisty.

— Nie wiem — odparł Munoz. — Ale to się przytrafia wielu znanym mi ludziom. Partie mogą trwać godzinami, w trakcie których na bok idą takie rzeczy, jak rodzina, problemy, praca. . . Wszyscy to mamy. I tylko część z nas podchodzi do partii jak do bitwy o zwycięstwo, my zaś, czyli reszta, traktujemy ją jako krainę marzeń i przestrzennych wariantów, gdzie słowa, takie jak „zwycięstwo” czy „przegrana”, nie mają znaczenia.

Julia sięgnęła po leżącą na stole paczkę papierosów, wyciągnęła jednego i stuknęła lekko końcem o szkiełko zegarka, który nosiła po wewnętrznej stronie nadgarstka. Cesar podał jej ogień, ona tymczasem znów popatrzyła na Munoz.

— Wcześniej, kiedy opowiadał pan o walce dwóch filozofii, wspominał pan o mordery, o graczu czarnym. Tym razem chyba chce pan wygrać... Prawda?

Wzrok szachisty znów stał się nieobecny.

— Zdaje się, że tak. Tym razem chciałbym wygrać.

— Dlaczego?

— Instynkt. Jestem szachistą, i to dobrym. Ktoś mnie prowokuje, co zmusza do koncentracji na jego ruchach. Po prawdzie zresztą nie mam wyboru.

Cesar uśmiechnął się żartobliwie, również zapalając swojego papierosa ze złotym filtrem.

— Gniew Munoz, syna Peleja, opiewaj, bogini¹ — zacytował tonem radosnej parodii — Munoz, który w końcu postanowił wyjść ze swojej nory... Nasz przyjaciel wyrusza na wojnę. Dotychczas zachowywał się jak bezstronny biegły, ciesząc się więc, że zdecydował się w końcu złożyć przysięgę na sztandar. Oto bohater malgre lui², ale

¹Wg. Homera, Iliada, przeł. Ignacy Wieniewski

²Malgre lui (fr.) — mimo woli.

jednak bohater. Szkoda — przez jego gładkie, blade czoło przemknął cień — że to tak piekielnie subtelna wojna.

Munoz popatrzył zaintrygowany na antykwariusza.

— Ciekawe, co pan mówi.

— Dlaczego?

— Bo gra w szachy to faktycznie namiastka wojny, ale jeszcze czegoś... Mam na myśli ojcobójstwo. — Spojrzał na nich niepewnie, może nie chcąc, żeby brali jego słowa zbyt serio. — Szach królowi, rozumieją mnie państwo...? To mord na ojcu. Powiedziałbym wręcz, że szachy mniej mają wspólnego ze sztuką wojenną, za to więcej ze sztuką mordowania.

Wokół stołu powiało lodowatym chłodem. Cesar patrzył na zaciśnięte już usta szachisty spod przymrużonych oczu, jakby drażnił go dym własnego papierosa. Prawą dłoń trzymał fikę z kości słoniowej, lewy łokieć oparł na stole. W oczach miał autentyczny podziw dla kogoś, kto właśnie otworzył wrota do niezgłębionych tajemnic.

— Niesamowite — mruknął.

Julia też siedziała zafascynowana szachistą, ale wpatrywała się nie w jego usta, jak Cesar, ale w oczy. Ten przeciętny, niepozorny człowiek, o dużych uszach i nieśmiałej, niechlujnej powierzchowności, wiedział doskonale, o czym mówił. W niezwykłym labiryncie, o którym sama myśl przyprawiała ją o dreszcz niemocy i strachu, tylko Munoz potrafił odczytać znaki, znaleźć drogę tam i z powrotem bez narażania się na śmiertelne spotkanie z Minotaurem. I wtedy, tam, we włoskiej restauracji, nad talerzem zimnej lasagni, której ledwie spróbowała, z matematyczną, niemal szachową precyzją pojęła, że na swój sposób właśnie on był z całej ich trójki najsilniejszy. Jego umysł nie był obciążony uprzedzeniami wobec przeciwnika, czarnego gracza, potencjalnego zabójcy. Podchodził do zagadki z tym samym chłodem naukowca-egoisty, z jakim Sherlock Holmes rozwiązywał problemy zadawane mu przez niegodziwego profesora Moriarty'ego. Munoz rozegra tę partię do końca, nie kierując się poczuciem sprawiedliwości. Jego motywy nie są moralne, a logiczne. Zrobi to zwyczajnie dlatego, że przypadek postawił go po tej stronie szachownicy, choć równie dobrze — na samą myśl o tym Julia zadrżała — mógł go postawić po drugiej. Czy grał czarnymi, czy białymi, było mu wszystko jedno. Dla Munoz nowością było tylko to, że pierwszy raz w życiu chciał partię wygrać.

Wymieniła spojrzenie z Cesarem i pojęła, że on myśli to samo. W tym momencie antykwariusz przemówił łagodnie i cicho, jakby też się bał, że blask w oczach szachisty zagaśnie.

— Zabić króla. . . — Podniósł powoli firkę do ust i wciągnął w płuca sporo dymu. — Bardzo interesujące. Jak rozumiem, to freudowska interpretacja. Nie wiedziałem, że w szachach też chodzi o te okropne sprawy.

Munoz przechylił głowę, pochłonięty swoim krajobrazem wewnętrznym.

— Zazwyczaj to ojciec uczy syna pierwszych kroków na szachownicy. A marzeniem każdego syna grającego w szachy jest wygrać z ojcem. Zabić króla. . . Poza tym w szachach szybko możemy się zorientować, że ów ojciec, ów król, jest najsłabszą figurą z całego kompletu. Wciąż jest obiektem nagonki, wciąż potrzebuje ochrony, rosady, posuwa się tylko o jedno pole. . . Ale paradoksalnie jest to figura niezbędna. Przecież sama jego nazwa dała imię całej grze, bo słowo „szachy” pochodzi od perskiego shah, czyli „król”, i na dobrą sprawę w każdym języku brzmi podobnie.

— A królowa? — spytała zaciekawiona Julia.

— To matka, kobieta. Przy każdym ataku na króla jest jego najskuteczniejszym obrońcą, dysponuje po temu największą siłą. . . My nazywamy ją hetmanem, bo pełni rolę królewskiego dowódcy. A obok tej pary monarchów stoi goniec, po angielsku bishop, czyli „biskup”: ten, który błogosławi ich związkowi i wspiera ich w walce. Nie zapominajmy o arabskim faras, czyli skoczku, który przeskakuje ponad liniami nieprzyjaciela, zwanym po angielsku knight, a więc „rycerz” . . . Prawdę mówiąc, ten problem wyszedł dużo wcześniej, zanim van Huys namalował „Partię szachów”. Ludzie próbują go objaśnić od tysiąca czterystu lat.

Munoz przerwał na chwilę, po czym znów poruszył wargami, jakby chciał coś dodać. Ale na jego ustach, zamiast słów, zagościł znowu ów półuśmiech, ledwie zarysowany i nigdy nie dokończony. W końcu opuścił wzrok na kulkę z chleba, która nadal leżała na obrusie.

— Czasem zastanawiam się — rzekł z wyraźnym wysiłkiem — czy szachy zostały wynalezione przez człowieka, czy tylko odkryte. . . Może to coś, co zawsze było, od początku wszechświata. Jak liczby całkowite.

Julia niczym we śnie usłyszała, jak pęka pieczęć, i pierwszy raz uświadomiła sobie całą rzeczywistość: była to wielka szachownica, która zawierała w sobie przeszłość i teraźniejszość, van Huysa i ją samą, a nawet Alvara, Cesara, Montegrifa, rodzinę Belmonte, Menchu, a także Munoz. Naraz poczuła tak przejmujący strach, że najwyższym, niemal widocznym wysiłkiem fizycznym powstrzymała głośny krzyk. Ta wewnętrzna walka na pewno odmalowała się na jej twarzy, bo Cesar i Munoz popatrzyli na nią z zaniepokojeniem.

— Wszystko w porządku. — Potrząsnęła głową, łudząc się, że tym ruchem ukoji myśli, i wyciągnęła z torebki schemat poziomów interpretacyjnych, które Munoz przypisał swego czasu obrazowi. — Przyjrzyjcie się temu.

Szachista popatrzył na kartkę, po czym przekazał ją bez słowa Cesarowi.

— I co wy na to? — spytała dziewczyna.

Cesar skrzywił usta w jakimś nieokreślonym grymasie.

— Niepokojące. Ale może już za bardzo to literackie... — Jeszcze raz przyjrzał się diagramowi sporządzonemu przez Julię. — Ciekaw jestem, czy łamiemy sobie głowy czymś naprawdę głębokim, czy przeciwnie, potwornie banalnym.

Julia nie odpowiedziała, patrzyła uważnie na Munoza. Chwilę wcześniej szachista położył kartkę na stole, wyjął długopis z kieszeni i coś tam poprawił. Następnie podsunął jej rysunek.

— Teraz mamy jeszcze jeden poziom — powiedział z powagą. — Jest pani w to wplątana co najmniej na równi z postaciami obrazu.

— Tak, jak przypuszczałam — kiwnęła głową dziewczyna. — Poziomy numer jeden i pięć, prawda?

— Co w sumie daje sześć. Poziom szósty, który zawiera w sobie wszystkie pozostałe. — Szachista pokazywał elementy schematu. — Czy pani chce, czy nie, tkwi pani w tym po uszy.

— A to znaczy... — Julia patrzyła na Munoza szeroko otwartymi oczami, jakby pod stopami otwarła jej się studnia bez dna — że osoba, która być może zamordowała Alvara, a która wysłała nam tę karteczkę, rozgrywa jakąś obłądną partię szachów... Partię, gdzie się gra nie tylko mną, ale nami wszystkimi... Czy to możliwe?

Szachista wytrzymał jej spojrzenie w milczeniu. Na jego twarzy nie malował się jednak niepokój, tylko swoista ciekawość, jak gdyby sytuacja podsuwała intrygujące wnioski, którym nie omieszkałby się przyjrzeć.

— Gratuluję — znów ten ulotny uśmiezek zagościł na jego ustach — wreszcie zdali sobie z tego państwo sprawę.

Menchu nałożyła w domu bardzo precyzyjny makijaż i ubrała się z absolutną premedytacją: krótką, bardzo obcisłą spódniczka i wytworny żakiet z czarnej skóry narzucony na kremowy pulower, który uwydatniał jej biust w sposób wręcz nieprzyzwoity, jak oceniła to Julia. Być może spodziewając się tego, sama zdecydowała się w ten wieczór na strój swobodny: mokasyny, džinsy i sportowa, zamszowa kurteczka, do tego jedwabna apaszka na szyi. Gdyby Cesar widział, jak wysiadają z fiata Julii przed biurami Claymore'a, z miejsca powiedziałby, że to matka z córką.

Stukot obcasów i zapach perfum Menchu dotarł do gabinetu dyrektora przed nimi. Paco Montegrifo wyszedł im na spotkanie, ucałował dłonie i zaprezentował swoje

wspaniale kontrastujące z opalenizną błyszczące zęby, które z powodzeniem mogły mu służyć jako wizytówka. W gabinecie, wyłożonym szlachetną boazerią, stał imponujący stół z mahoniu, lampa i ultranowocześnie zaprojektowane fotele. Kiedy już w nich usiadły, podziwiając zawieszoną na honorowym miejscu znakomitego Vlamincka, dyrektor domu aukcyjnego zajął miejsce pod obrazem, po drugiej stronie stołu, ze skromną miną człowieka, który szczerze żałuje, że nie może zaoferować lepszego widoku. Jakiś Rembrandt — zdawało się mówić jego spojrzenie, którym prześliznął się po prowokująco skrzyżowanych nogach Menchu, by z uwagą zatrzymać się na twarzy Julii. Albo na przykład Leonardo.

Montegrifo przystąpił do tematu natychmiast po tym, jak sekretarka przyniosła im kawę w porcelanowych filiżankach Kompanii Indyjskiej. Menchu osłodziła swoją kawę sacharyną, Julia popijała gorzką, nie czekając, aż ostygnie. Kiedy zapalała papierosa, gospodarz zza szerokiego stołu wykonał w jej kierunku jakiś nieporadny, bezużyteczny gest ze złotą zapalniczką w dłoni. W tym czasie zdążył już jednak wyłożyć sprawę w ogólnych słowach. I w głębi duszy Julia musiała przyznać, że, nie uchybiając nienagannym manierom, załatwił to bez ogródek.

A rzecz była więcej niż oczywista: Claymore z przykrością odrzuca warunki zaproponowane przez Menchu w sprawie podziału zysków ze sprzedaży van Huysa. Jednocześnie czuje się w obowiązku powiadomić je, że właściciel obrazu, pan... — tu Montegrifo flegmatycznie zajrzał do notatek — Manuel Belmonte, w porozumieniu ze swoją bratanicą i jej mężem, zdecydował się anulować umowę zawartą z panią Carmen Roch i przekazuje prawa do van Huysa Claymore'owi i Wspólnikom. Wszystko to — dodał, splótłszy dłonie i oparłszy się łokciami o brzeg stołu — zostało zalegalizowane przed notariuszem, dokument jest u niego w szufladzie, do wglądu. — Tu Montegrifo popatrzył na Menchu ze smutkiem, czemu towarzyszyło westchnienie człowieka światowego.

— Chce mi pan powiedzieć — filiżanka drżała w roztrzęsionej dłoni Menchu — że grozi mi pan odebraniem obrazu?

Dyrektor zerknął z wyrzutem na złote spinki koszuli, jakby powiedziały coś niestosownego, i delikatnie wyciągnął wykrochmalone mankiety.

— Obawiam się, że już go pani odebraliśmy — odrzekł ze skrucą jak człowiek, który musi przedstawić wdowie nieopłacone przez zmarłego rachunki. — W każdym

razie pani pierwotny procent od zysku ze sprzedaży na aukcji pozostaje, jak uzgodniono. Oczywiście po odliczeniu wydatków. Claymore nie zamierza czegokolwiek panią pozbawiać, a tylko nie zgadza się na zbyt twarde warunki, droga pani. — Leniwym ruchem wyjął z kieszeni srebrną papierośnicę i położył ją na stole. — Claymore nie widzi powodu, żeby zwiększać pani procent. To wszystko.

— Nie widzicie powodu? — Menchu spojrzała zagniewana na Julię, spodziewając się okrzyków solidarnego oburzenia albo czegoś w tym rodzaju. — Powód, panie Montegrifo, jest taki, że dzięki wykonanym przez nas badaniom wartość tego obrazu znacznie wzrasta. . . Czy to powód niewystarczający?

Bez słowa, samym uprzejmym spojrzeniem Montegrifo zapewnił Julię, że nie posądza jej o to obrzydliwe oszustwo. Następnie zwrócił się do Menchu ze znacznie bardziej surowym wzrokiem.

— Jeśli badania, które panie wykonały — mówiąc „panie”, nie zamierzał ukrywać, jaką opinię ma na temat talentów badawczych Menchu — podniosą wartość van Huysa, automatycznie wzrośnie też wysokość procentu, jaki uzgodniła pani z Claymore’em. . . — Tu pozwolił sobie na pobłażliwy uśmiech, po czym znów jakby zapomniał o Menchu

i popatrzył na Julię. — Jeśli o panią chodzi, nowa sytuacja absolutnie nie godzi w pani interesy, wręcz przeciwnie. Claymore — jego uśmiech nie pozostawiał wątpliwości, kto konkretnie u Claymore'a — uważa, że pani osiągnięcia w tej materii są naprawdę wyjątkowe. Dlatego zwracamy się do pani z prośbą o dalszą renowację obrazu. I proszę się nie niepokoić finansowym aspektem sprawy.

— Przepraszam, można wiedzieć — oprócz dłoni trzymającej filiżankę i spodeczek Menchu drżała też dolna warga — jakim cudem jest pan tak dobrze poinformowany na temat prac nad obrazem. . . ? Julia, owszem, jest nieco prostoduszna, ale nie wyobrażam sobie, żeby opowiedziała panu przy świecach całe swoje życie. Chyba że się mylę?

Był to cios poniżej pasa, Julia już otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Montegrifo uspokoił ją gestem dłoni.

— Niech pani posłucha, pani Roch. . . Pani przyjaciółka odrzuciła kilka propozycji zawodowych, jakie złożyłem jej przed paroma dniami, i uczyniła to, mówiąc kurtuazyjnie, że musi się zastanowić. — Otworzył papierośnicę i skrupulatnie, jakby przeprowadzał ważną operację, wyjął z niej papierosa. — Szczegółów o stanie obrazu, o ukrytym napisie i tym podobnych rzeczach była łaskawa dostarczyć mi bratanica właściciela.

To zresztą uroczy pan, ten don Manuel. A muszę przyznać — nacisnął zapalniczkę i wypuścił niewielki obłoczek dymu — że sprzeciwiał się pozbawieniu pani praw do van Huysa. Jak się zorientowałem, człowiek niezwykle lojalny, upierał się, proszę sobie wyobrazić, żeby nikt poza Julią nie dotykał obrazu, zanim renowacja nie dobiegnie końca. . . W tych rokowaniach niebywale pomógł mi sojusz natury taktycznej, jaki zawarłem z bratanicą don Manuela. . . Natomiast jej mąż, pan Lapena, nie zgłaszał obiekcji, zwłaszcza gdy usłyszał o ewentualnej zaliczce.

— Następny Judasz — Menchu prawie wypluła te słowa.

Montegrifo wzruszył ramionami.

— Przypuszczam — powiedział obojętnym tonem — że można by go ochrzcić takim przydomkiem, zgoda. I jeszcze paroma innymi.

— Ale ja też mam podpisany dokument — zaprotestowała Menchu.

— Wiem. Ale to zwykłe porozumienie bez mocy prawnej, moje tymczasem ma kontrasygnatę notariusza, są bratanica i jej mąż jako świadkowie, i rozmaite poręczenia, łącznie z gwarancją w postaci depozytu pieniężnego z naszej strony. . . Jeśli pozwoli

pani, posłużę się zwrotem, którego użył pan Alfonso Lapena w momencie składania swojego podpisu: mucha nie siada.

Menchu pochyliła się do przodu i Julia przestraszyła się, że trzymana przez nią filiżanka z kawą wyląduje zaraz na nieskazitelnie białej koszuli Montegrifa. Jej przyjaciółka jednak tylko postawiła ją na stole. Sapała z oburzenia, a złość, pomimo solidnego makijażu, wyraźnie dodawała jej lat. Spódnica podciągnęła się do góry, ukazując całe uda. Julii było autentycznie potwornie głupio, że znalazła się w tak absurdalnej, żalostnej sytuacji.

— A co Claymore na to — powiedziała szorstko Menchu — jeśli postanowię pójść z obrazem do innego domu aukcyjnego?

Montegrifo obserwował dym unoszący się spiralnie z papierosa.

— Ze szczerego serca — wydawało się, że naprawdę rozważa taką ewentualność — radziłbym, żeby nie komplikowała sobie pani życia. Byłby to krok nielegalny.

— Mogę was wpakować w proces, który na całe miesiące zablokuje jakąkolwiek aukcję obrazu! Nie przyszło wam do głowy?

— Jasne, że mi przyszło. Ale wtedy pani będzie pierwszą ofiarą. — W tym momencie uśmiechnął się z wyższością człowieka, który udzielił najlepszej rady. — Claymore, jak się pani domyśla, dysponuje niezłymi adwokatami. . . W sumie — zawahał się na chwilę, jakby nie wiedział, czy ma coś jeszcze dodać — może pani wszystko stracić. A to byłaby szkoda.

Menchu gwałtownie obciągnęła spódnicę i wstała.

— Wiesz, co ci powiem? — Przy przejściu na ty jej głos załamał się z wściekłości. — Jesteś najgorszym skurwielem, jakiego w życiu spotkałam!

Montegrifo i Julia też wstali, dziewczyna zakłopotana, dyrektor całkowicie opanowany.

— Bardzo mi przykro za tę scenę — Montegrifo zwrócił się do Julii ze spokojem. — Naprawdę jest mi przykro.

— Mnie też — dziewczyna spojrzała na Menchu, która gestem myśliwego przewieszała sobie torebkę przez ramię niczym strzelbę. — Nie moglibyśmy być trochę bardziej rozsądni?

Menchu spiorunowała ją wzrokiem.

— Sama sobie bądź rozsądna, skoro ten kutas tak cię kręci... Ja się zmywam z tej złodziejskiej meliny.

I wyszła, nie zamykając drzwi. Wściekły stukot obcasów oddalał się szybko razem z nią. Julia została, zawstydzona i niepewna, czy powinna pójść za przyjaciółką, czy nie. Montegrifo wzruszył ramionami.

— Kobieta z charakterem — rzekł, paląc w zamyśleniu.

Julia odwróciła się do niego, ciągle oszołomiona.

— Dużo sobie obiecywała po tym obrazie... Niech pan postara się ją zrozumieć.

— Ależ rozumiem ją — uśmiechnął się pojednawczo.

— Tylko nie mogę przystać na szantaże.

— Pan też spiskował za jej plecami, dogadywał się z bratanicą właściciela... Nie grał pan czysto.

Montegrifo uśmiechnął się jeszcze szerzej, jakby mówił: takie jest życie. Następnie popatrzył w otwarte drzwi, przez które wyszła Menchu.

— Jak pani sądzi, co teraz zrobi?

Julia pokręciła głową.

— Nic. Wie, że przegrała bitwę.

Dyrektor zadumał się.

— Ambicja, Julio, jest jak najbardziej usprawiedliwionym uczuciem — rzekł po chwili. — Gdy w grę wchodzi ambicja, jedyny grzech, jaki można popełnić, to ponieść klęskę, zwycięstwo zaś automatycznie staje się cnotą. — Wyglądał na zadowolonego. — Pani Roch, czy raczej panna Roch, wpakowała się w historię, która ją przerosła. Powiedzmy — puścił kółko z dymu i przyglądał się, jak płynie ku sufitowi — że jej możliwości nie dorównały jej ambicjom. — Kasztanowe oczy patrzyły teraz surowo i Julia doszła do wniosku, że Montegrifo może być niebezpiecznym rywalem, kiedy przestaje zachowywać się uprzejmie. A może jest i niebezpieczny, i uprzejmy jednocześnie. — Ufam, że nie przysporzy nam nowych problemów, bo za taki grzech słono by zapłaciła. . . Rozumie pani, co mam na myśli? A teraz, jeśli pani pozwoli, porozmawiamy o naszym obrazie.

Belmonte był w domu sam. Przyjął Julię i Munozą w salonie, siedząc w wózku pod ścianą, gdzie niegdyś wisiała „Partia szachów”. Samotny, zardzewiały gwóźdź i wyblakły ślad po ramie przywodziły na myśl patetyczny obraz złupionego, opuszczonego domu. Belmonte popatrzył w ślad za ich spojrzeniem i uśmiechnął się smutno.

— Na razie nie chciałem tu niczego wieszać — wyjaśnił. — Jeszcze nie — uniósł wychudzoną rękę i machnął z rezygnacją. — Ciężko się przyzwyczaić.

— Rozumiem pana — odrzekła Julia ze szczerą sympatią.

Starzec powoli pochylił głowę.

— Tak. Wiem, że pani rozumie — spojrzał na Munozę, spodziewając się naturalnie podobnego odruchu współczucia z jego strony, ale szachista milczał i tylko obserwował beznamiętnie puste miejsce na ścianie. — Od pierwszego spotkania wydała mi się pani inteligentną młodą osobą. — Zwrócił się do szachisty: — Pan też jest tego zdania, kawalerze?

Munoz wolno przeniósł wzrok ze ściany na starego gospodarza i lekko skinął głową, nie otwierając ust. Wyraźnie pochłonięty był własnymi, odległymi myślami.

Belmonte zerknął na Julię.

— Jeśli chodzi o pani przyjaciółkę. . . — nachmurzył się zakłopotany. — Życzyłbym sobie, żeby jej pani wytłumaczyła. . . Zapewniam panią, że nie miałem wyboru.

— Rozumiem to doskonale, proszę się nie martwić. A Menchu też zrozumie.

Twarz inwalidy pojaśniała, a jego mina wyrażała uznanie.

— Cieszę się, że pani się tym zajmie, bo strasznie mnie naciskali. . . Nawiasem mówiąc, pan Montegrifo uczynił nam korzystną propozycję. Do tego obiecał, że nagłośni historię obrazu. . . — pogłaskał się po niedogolonym podbródku. — Przyznam, że to mnie trochę oszołomiło. No i pieniądze.

Julia pokazała na grający w kącie gramofon.

— Zawsze nastawia pan Bacha, czy to przypadek? Zeszłym razem też była włączona ta płyta. . .

— Musikalisches Offert — Belmonte wyraźnie się ucieszył. — Często tego słucham. To dzieło tak skomplikowane i genialne, że do dziś zdarza mi się odkryć w nim jakąś niespodziankę — przerwał, jakby coś sobie przypomniał.

— Wiedzą państwo, że niektóre tematy muzyczne można interpretować jako streszczenia całego życia. . . ? Coś w rodzaju luster, w których można się przejrzeć. . . Weźmy

na przykład tę kompozycję: temat pojawia się rozpisany na różne głosy i w różnych tonacjach. Czasem nawet w różnych tempach, przy odwróconych interwałach albo od końca do początku. . . — Przechylił się przez podłokietnik wózka w stronę gramofonu. — Proszę posłuchać. Dostrzegają to państwo? Najpierw pojedynczy głos śpiewa swój temat, potem drugi rozpoczyna cztery tony wyżej albo niżej od pierwszego, ten zaś podejmuje motyw drugoplanowy. . . Każdy głos wchodzi we właściwym momencie, tak jak różne wydarzenia w życiu. . . A kiedy wszystkie głosy wchodzą do gry, następuje koniec reguł — posłał Julii i Munozowi szeroki, smutny uśmiech. — Sami państwo widzą, to idealna metafora starości. Munoz wskazał na pustą ścianę.

— Ten goły gwóźdź — powiedział nieco szorstko — też może symbolizować mnóstwo rzeczy.

Belmonte spojrział z uwagą na szachistę i powoli przytaknął.

— Bardzo trafna uwaga — westchnął. — Wiedzą państwo? Czasem łapię się na tym, że wpatruję się w to miejsce po obrazie i wydaje mi się, że nadal go widzę. Już go tam nie ma, a ja go widzę. Po tylu latach — dotknął palcem własnego czoła — mam go tutaj: postacie, precyzyjnie oddane szczegóły. . . Moimi ulubionymi fragmentami były

zawsze krajobraz widoczny za oknem i wypukłe lustro po lewej, w którym ukośnie odbijają się gracze.

— I szachownica — dodał Munoz.

— I szachownica, naturalnie. Czasami, szczególnie na początku, kiedy moja biedna Ana go odziedziczyła, odtwarzałem na swojej szachownicy sytuację z obrazu. . .

— Grywa pan? — zapytał Munoz z głupia frant.

— Kiedyś grywałem. Teraz właściwie już nie. . . Ale po prawdzie nigdy nie przyszło mi do głowy, że tę partię można rozegrać wstecz. . . — zamyślił się, bębniąc palcami w kolana. — Gra do tyłu. . . Zabawne! Wiedzą państwo, że Bach uwielbiał odwrotne układy muzyczne? W niektórych kanonach odwraca temat i tworzy melodię, która cofa się w tym samym czasie, gdy oryginalny motyw posuwa się naprzód. . . Efekt może się wydać dziwny, ale jak się przyzwyczaić, to nawet sprawia wrażenie bardzo naturalne. Nawet w Musikalisches Opfer jest jeden kanon, który należy grać wstecz wobec partytury. — Spojrzał na Julię. — Chyba już pani wspominałem, że Johann Sebastian lubił przewrotne pułapki. W jego twórczości dosłownie roi się od zagadek. Tak, jakby niektóre nuty, warianty czy pauzy mówiły: „Ukrywam przesłanie. Odkryj je”.

— Zupełnie jak ten obraz — powiedział Munoz.

— Tak. Z tą tylko różnicą, że muzyka nie polega wyłącznie na obrazach, usytuowaniu figur czy w tym wypadku na częstotliwościach, ale na emocjach, jakie te częstotliwości wywołują w mózgu danej osoby. . . Napotkałby pan poważne problemy, gdyby chciał zastosować przy muzyce podobne metody badawcze, jakimi posłużył się przy rozwiązywaniu zagadki obrazu. . . Musiałby pan stwierdzić, która nuta odpowiada za konkretne stany emocjonalne. A ściślej, która kombinacja nut. . . Czyba to bardziej skomplikowane niż gra w szachy?

Munoz zastanowił się nad tym.

— Moim zdaniem nie — odezwał się po chwili. — Bo ogólne zasady logiki są zawsze takie same. Muzyka, podobnie jak szachy, opiera się na regułach. Czyli zadanie polegałoby na wyodrębnieniu symbolu-klucza — skrzywił kącik ust. — Jak kamień z Rosetty dla egiptologów. Kiedy tego dokonamy, reszta jest kwestią roboty, kwestią metody. No i czasu.

Belmonte z niedowierzaniem zamrugał powiekami.

— Tak pan sądzi...? Uważa pan, że wszystkie ukryte komunikaty są do odczytania...? Że wystarczy zastosować jakiś system, żeby zawsze znaleźć właściwe rozwiązanie?

— Jestem o tym przekonany. Istnieje jeden system uniwersalny, ogólne prawa, które pozwalają udowodnić to, co da się udowodnić, i wykluczyć to, co da się wykluczyć.

Stary pokiwał głową ze sceptycyzmem.

— Absolutnie się z panem nie zgadzam, proszę mi wybaczyć. Uważam, że wszelkie podziały, klasyfikacje, porządki i systemy, które przypisujemy wszechświatu, są arbitralną fikcją... Nie ma takiego układu, który nie zawierałby własnego przeciwieństwa. Mówi to panu ktoś, kto już swoje przeżył.

Munoz przekreślił się nieco na krześle, błędząc wzrokiem po pokoju. Nie był uszczęśliwiony tokiem rozmowy, ale Julia odniosła wrażenie, że wcale nie chce zmieniać tematu. Wiedziała, że ten facet nie jest skłonny gadać po próżnicy, więc na pewno coś tam ukrywa. Może także Belmonte jest jedną z figur, które szachista bierze pod uwagę, próbując rozwiązać zagadkę.

— To dyskusyjna sprawa — odezwał się wreszcie Munoz.

— Wszechświat jest na przykład pełen udowodnialnych nieskończoności: liczby pierwsze, kombinacje szachowe. . .

— Naprawdę pan w to wierzy. . . ? Ze wszystko da się udowodnić? Muszę to panu powiedzieć jako były muzyk — starzec trzepnął pogardliwie dłonią w bezwładne nogi — albo mimo kalectwa ciągle jednak muzyk, że nie istnieje system zamknięty. A udowodnialność jest dużo słabszym pojęciem niż prawda.

— Prawda jest jak doskonałe zagranie szachowe: istnieje, ale trzeba ją znaleźć. Po upływie odpowiedniego czasu zawsze da się udowodnić.

Słyszac to, Belmonte uśmiechnął się złośliwie.

— Skłonny jestem raczej dopuścić, że doskonałe zagranie, jak pan to nazwał, czy po prostu prawda, być może istnieje. Ale nie zawsze da się przeprowadzić na to dowód. A każdy system, który podejmie się tego zadania, jest ograniczony i względny. Niech pan wyśle mojego van Huysa na Marsa albo na planetę X i ciekaw jestem, czy tam ktoś rozwiąże jego zagadkę. Powiem więcej: niech pan im wyśle tę płytę, której teraz słuchamy. A żeby jeszcze bardziej ten kłębek zasupłać, niech im pan ją wyśle połamaną. I jakiego sensu się w niej dopatrzą. . . ? A skoro jest pan wielbicielem ścisłych reguł,

przypomnę panu, że suma kątów w trójkącie równa się stu osiemdziesięciu stopniom w geometrii euklidesowej, ale jest większa w eliptycznej, a mniejsza w hiperbolicznej. . . Rzecz w tym, że nie ma jednego systemu, nie ma aksjomatów. Mamy różne systemy, mamy różnice w łonie każdego systemu. . . Lubi pan rozwiązywać paradoksy? Nie tylko muzyka, ale podejrzewam, że i malarstwo, i szachy są ich pełne. Proszę popatrzeć. — Wyciągnął dłoń w stronę stołu, chwycił ołówek i papier, napisał coś szybko i podał kartkę Munozowi. — Proszę rzucić na to okiem, jeśli łaska.

Szachista przeczytał na głos:

— „Zdanie, które w tej chwili piszę, jest zdaniem, które pan w tej chwili czyta” . . .

— Spojrzał zaskoczony na Belmontego. — I co?

— Właśnie to. Napisałem to zdanie półtorej minuty temu, a pan przeczytał je czterdzieści sekund temu. Zatem moje pisanie i pańskie czytanie nastąpiło w różnych chwilach. Na papierze „ta chwila” i „ta chwila” są bez wątpienia tą samą chwilą. . . Czyli zdanie z jednej strony prawdziwe, a z drugiej traci swoją wartość. . . A może abstrahujemy od pojęcia czasu. . . ? To chyba niezły przykład paradoksu. . . ? Widzę, że nie zna pan na to odpowiedzi, a analogiczne zjawiska możemy napotkać w zagadkach stawia-

nych przez mojego van Huysa albo w innych sytuacjach. . . Kto panu zagwarantuje, że pańskie rozwiązanie problemu jest właściwe? Pańska intuicja i pański system? Poza tym, jakim systemem posłuży się pan, aby wykazać, że ma pan dobrą intuicję i dobry system? A jakim systemem potwierdzi pan słuszność poprzednich dwóch systemów. . . ? Jest pan szachistą, więc chyba spodobają się panu te strofy:

I Belmonte zaczął deklamować, robiąc długie pauzy:

*Lecz gracz jest także, tak jak oni, więźniem
(sentencja jest Omara) innej szachownicy,
w której dzień biały w czarnej nocy grzęźnie.*

*Bóg graczem rządzi, ten figurę trzyma.
Jaki bóg spoza Boga spisek rozpoczyna,
zmowę prochu i czasu, i snu, i agonii?*

— Świat jest ogromnym paradoksem — zakończył starzec. — A teraz niech się pan poważy udowodnić mi twierdzenie przeciwne.

Julia spojrzała na Munoza, który wpatrywał się bacznie w Belmontego. Przechylił nieco głowę, a oczy już mu zmętniały. Wyglądał na zakłopotanego.

Przefiltrowana przez wódkę muzyka — miękki jazz, ściszony niemal do poziomu delikatnego szmeru, który snuł się po ciemnych kątach mieszkania — spowijała ją niczym słaba, uspokajająca pieśczęta. Dzięki niej Julia odczuwała jasny spokój. Tak jakby wszystko, noc, muzyka, mrok, cienie, a nawet wygoda, z jaką jej głowa spoczywała na skórzanym oparciu sofy, tworzyło doskonałą harmonię, w której nawet najmniejszy przedmiot wokół niej, najbardziej ulotna myśl, odnalazły właściwe miejsce w umyśle albo w przestrzeni i z geometryczną precyzją wpasowały się w jej świadomość i zmysły.

Nic, najmroczniejsze choćby wspomnienia nie były w stanie zburzyć spokoju, jaki panował teraz w jej duszy. Pierwszy raz od dawna odzyskała równowagę i zupełnie się w niej zatraciła. Magii tej chwili nie zniszczyłyby nawet głuche telefony, z którymi ostatecznie zdołała się już oswoić. Zamknąwszy oczy, kiwała głową w takt muzyki i uśmiechała się radośnie. W takich chwilach życie w zgodzie z samą sobą wydawało się bardzo łatwe.

Podniosła leniwie powieki. Polichromowane oblicze Madonny gotyckiej też uśmiechało się w półmroku, a jej oczy emanowały odwiecznym spokojem. Z obrazu w owalnej ramie, stojącego na poplamionym farbami dywanie z Szirazu i opartego o nogę stołu, spod nie do końca zdjętego werniksu, wyglądał romantyczny pejzaż andaluzyjski, nostalgiczny i delikatny: snująca się rzeka sewilska o gęsto porośniętych, zielonych brzegach, łądz i drzewa w oddali. A na środku pokoju — tu i tam rzeźby z drewna i z brązu, ramy, farby, pojemniki z rozpuszczalnikami, obrazy na ścianach i na podłodze, barokowy Chrystus w trakcie renowacji, stosy książek o sztuce i płyt, ceramika — w przypadkowym, choć wyraźnym, przedziwnym punkcie przecięcia się rozmaitych linii i perspektyw, stała Partia szachów, sprawując uroczyście władzę nad tym uporządkowanym bałaganem, przypominającym magazyn domu aukcyjnego albo sklep ze starociami. Słabe światło dobiegające z przedpokoju tworzyło na powierzchni obrazu wąski, jasny prostokąt, dzięki któremu flamandzka scena nabierała życia, a wszystkie detale, lekko zniekształcone przez szarą poświatę, były jednak dobrze widoczne z miejsca, gdzie siedziała Julia. Stopy miała bose, a na gołe nogi naciągnęła prawie do kolan czar-

ny wełniany sweter. Deszcz łomotał o lukarnę, ale wewnątrz nie było chłodno, grzejniki trzymały ciepło.

Nie odrywając wzroku od obrazu, sięgnęła ręką, po omacku szukając na dywanie papierosów, które leżały gdzieś obok szklanki i butelki z rżniętego szkła. Wreszcie trafiła na nie, położyła sobie paczkę na brzuchu, powoli wyciągnęła jednego papierosa i włożyła go do ust, ale nie zapaliła. Na razie nawet nie chciało jej się palić.

W półmroku jasno świeciły złote litery świeżo odsłoniętego napisu. Kosztowało ją to dużo drobiazgowej pracy, przerywanej co chwila w celu sporządzenia dokumentacji fotograficznej wszystkich faz procesu. Po ostatecznym usunięciu zewnętrznej warstwy żywicznego miedzi aury pigment gotyckich liter wyszedł na jaw pierwszy raz po tym, jak pięćset lat temu Pieter van Huys zakrył go, by jeszcze bardziej zamotać tajemnicę.

I oto był widoczny jak na dłoni: *QUIS NECAVIT EQUITEM*. Julia wolałaby pozostawić go pod wierzchnią warstwą zielonej farby, dowodem istnienia napisu były przecież zdjęcia rentgenowskie. Ale Montegrifo uparł się, żeby go odsłonić — jego zdaniem to mogło wzniecić gorączkę u klientów. Niebawem obraz zostanie wystawio-

ny na widok publiczny, będą go oglądać pracownicy domów aukcyjnych, kolekcjonerzy, historycy sztuki. . .

Okres dyskretnej egzystencji, jaką dotąd się cieszył, wyjąwszy krótki czas spędzony w Prado, dobiegał końca. Wkrótce „Partia szachów” stanie się przedmiotem badań ekspertów, tematem polemik, artykułów w prasie, wybitnych prac doktorskich, specjalistycznych opracowań podobnych do tego, jakie właśnie pisała sama Julia. . . Nawet autor, dawny mistrz flamandzki, nie mógł się spodziewać, że jego dzieło zyska taką sławę. Ferdynand Altenhoffen zaś zadrzałby zapewne z radości pod zakurzoną kamienną płytą krypty w jakimś belgijskim czy francuskim opactwie, gdyby echo tych wydarzeń mogło doń dotrzeć. Jego imię zostanie ostatecznie zrehabilitowane. Kilka wierszy w książkach historycznych trzeba będzie napisać na nowo.

Spojrzała na obraz. Niemal cała wierzchnia warstwa utlenionego werniksu już znikła, a wraz z nią pożółkły welon skrywający dotychczas kolory. Uwolniony od tego filtru i z odsłoniętym napisem obraz błyszczał doskonałymi kolorami nawet po ciemku. Precyzyjnie kreślone, idealne kontury postaci były świetnie widoczne, a harmonia, jaka panowała w tej scenie domowej (domowej, o paradoksie — pomyślała Julia), stanowi-

ła tak doskonałą kwintesencję stylu i epoki, że bez wątpienia obraz uzyska na aukcji niebotyczną cenę.

Rozmowa, o paradoksie. . . Widząc dwóch zasepionych rycerzy pogrążonych w szachowej rozgrywce i damę ubraną na czarno, skromnie czytającą pod ostrołukowym oknem, nikt nie domyślałby się dramatu, który wyłaniał się z głębi obrazu na podobieństwo pokręconego korzenia pięknej z pozoru rośliny.

Popatrzyła na profil Rogera d'Arras, pochylonego nad szachownicą i pochłoniętego partią, w której rzecz toczyła się o jego życie, w której właściwie padł już martwy. W stalowym naszyjniku zbroi i napierśniku wyglądał na rycerza, żołnierza, jakim przecież kiedyś był. Wojaka obdarzonego cnotami, który pewnego dnia, odziany może w tę wypolerowaną zbroję widoczną na obrazie z Diabłem, powiódł jako drużba ku łóżu małżeńskiemu kobietę zniewoloną przez rację stanu. Julia wyobraziła ją sobie bardzo wyraźnie, jeszcze jako dziewczynę, znacznie młodszą niż na obrazie, w czasach, nim gorycz dorysowała jej zmarszczki wokół ust — jak wygląda spoza zasłonek lektyki, jak ucisza porozumiewawczy śmiech podróżującej z nią piastunki i szpieguje ukradkiem wdzięcznego kawalera, przybyłego w ślad za własną wielką sławą. Był przyjacielem

jej przyszłego męża, młodym jeszcze mężczyzną, który u boku towarzysza zabaw dziecinnych odnalazł spokój po walkach, jakie stoczył pod francuską lilią przeciwko lwu angielskiemu. Jej niebieskie, szeroko otwarte oczy musiały wtedy spotkać się z jasnym, zmęczonym wzrokiem rycerza.

Z pewnością połączyło ich coś jeszcze oprócz tego spojrzenia. Z niejasnych powodów, może na skutek figła, jakiego płała jej wyobraźnia — jak gdyby długotrwała praca nad obrazem zdołała wytworzyć tajemną więź między Julią a przedstawionym przez van Huysa fragmentem przeszłości — dziewczyna, patrząc na scenę, była, a w każdym razie czuła się, członkiem tej małej społeczności, jak ktoś, kto z nimi mieszka, komu bliskie są wszystkie szczegóły i drobiazgi ich codzienności. Okrągłe zwierciadło namalowane na ścianie, odbijające zmniejszone sylwetki graczy, zawierało też i jej podobiznę. Tak samo jak lustro na obrazie Damy dworu, które odbija parę królewską (portret czy żywych ludzi?) spoglądającą na scenę malowaną przez Velazqueza, albo mikroskopijny autoportret Jana van Eycka na Portrecie małżonków Arnolfinich.

Uśmiechnęła się do cieni w pokoju, postanawiając wreszcie zapalić papierosa. Blask zapalki oślepił ją na moment i przesłonił „Partię szachów”, wkrótce jednak jej źrenice

na powrót wyłowiły z ciemności całą scenę, postacie, kolory. I ona też tu była z pewnością od samego początku, od chwili, gdy Pieter van Huys wyobraził sobie całą kompozycję. Nawet zanim flamandzki artysta zręcznie zmieszał węglan wapnia z klejem zwierzęcym, by zagruntować dębową deskę przed rozpoczęciem malowania.

Beatrycze, księżna Ostenburga. Mandolina, na której brzdąka siedzący pod murem paż, powoduje, że w jej oczach, opuszczonych na książkę, pojawia się nuta melancholii. Kobieta przypomina sobie burgundzką młodość, swoje nadzieje i marzenia. Kamienny kapitel w oknie, wychodzącym na przeczyste błękitne niebo Flandrii, wyobraża mężnego świętego Jerzego w chwili, gdy ten mierzy włócznią w smoka wijącego się pod kopytami jego konia. Czas złamał świętemu — nieomylnie oko malarza, ale także oko Julii, która przygląda się malarzowi, dostrzegają takie szczegóły — górny koniec włóczni, a w miejscu, gdzie jeździec wystawiał groźnie prawą stopę, uzbrojoną niewątpliwie w ostrogę, teraz widać tylko obłamany fragment. Zatem nikczemnego smoka zabija święty Jerzy nie w pełni uzbrojony, kulawy, z tarczą zniszczoną przez wiatr i deszcz.

Ale może właśnie dlatego łatwiej się utożsamić z takim rycerzem, który przez dziwną grę wyobraźni kojarzy się Julii z wojowniczą powierzchownością okaleczonego ołowianego żołnierzyka.

Beatrycze z Ostenburga czyta — pomimo małżeństwa nigdy nie zagasła w niej dumna krew burgundzkiego rodu. Czyta tajemniczą książkę, nabijaną srebrnymi ćwiekami, z jedwabną zakładką w formie wstążki. Inicjały, wyborne iluminowane miniatury, są dziełem mistrza od Coeur d'Amour epris. Książka nosi tytuł „Poemat o róży i rycerzu”, oficjalnie jest nieznanego autorstwa, ale wszyscy wiedzą, że powstała blisko dziesięć lat wcześniej na dworze króla francuskiego Karola Walezjusza, napisana przez rycerza ostenburskiego nazwiskiem Roger d'Arras:

*O, pani, ta sama rosa,
co brzaskiem przygnana przychodzi,
by róże okryć srebrzystym
welonem w twoim ogrodzie,
opada i w ogniu bitewnym,*

*wśród szczęku, wśród krzyków powodzi,
rdzewieje od niej mój pancerz,
od łez rdzewieje mi serce...*

Co chwila jej niebieskie oczy, błyszczące flamandzkim światłem, wędrują znad książki ku dwóm mężczyznom, którzy grają przy stole w szachy. Jej małżonek duma, oparty na lewym łokciu, prawą dłońią bezwiednie gładząc się po Złotym Runie, które posłał mu w ślubnym podarunku jego kuzyn Filip Dobry, świeć Panie nad jego duszą, a które on nosi teraz na szyi, zawieszony na ciężkim łańcuchu ze złota. Ferdynand Ostenburski waha się, wyciąga dłoń w stronę jednej bierki, dotyka jej, po namyśle jednak cofa rękę i spogląda przeproszającym wzrokiem w spokojne oczy Rogera d'Arras. „Dotknięta bierka musi wykonać ruch, panie” — mruczą z przyjazną ironią uśmiechnięte uprzejmie usta rycerza, wobec czego lekko zawstydzony Ferdynand z Ostenburga wzrusza ramionami i przesuwając bierkę, której dotknął, bo wie, że człowiek zasiadający z nim przy szachownicy to ktoś więcej niż dworak: to jego przyjaciel. Poprawia się

na taborecie i czuje się mimo wszystko szczęśliwy. Ostatecznie to nic złego mieć koło siebie kogoś, kto co jakiś czas przypomni, że nawet książąt obowiązują pewne reguły.

Dźwięki mandoliny płynące z ogrodu docierają też do innego okna, którego nie widać z tej komnaty. Okna, za którym nadworny malarz Pieter van Huys przygotowuje dębową deskę złożoną z trzech części, właśnie sklejaną przez jego pomocnika. Stary mistrz nie może się jeszcze zdecydować, jakiej tematyki się podejmie. Może wybierze motyw religijny, który od jakiegoś czasu chodzi mu po głowie: młoda Madonna, prawie dziecko, która toczy krwawe łzy, wpatrując się z bólem na twarzy w swoje puste łono. Ale po namyśle van Huys wzdycha zniechęcony i kręci głową. Wie, że nigdy nie namaluje tego obrazu. Nikt nie zrozumie go tak, jak należy, a on miał już przed laty dostatecznie dużo kłopotów ze Świętym Oficjum. Jego znużone członki nie zniosłyby karni. Paznokciami brudnymi od farb drapie się po łysinie pod wełnianym biretem. Starzeje się i dobrze wie o tym, cierpi na niedostatek praktycznych pomysłów, za to umysł zaludniają mu ulotne widma. Chcąc je przegnać, zamyka na chwilę zmęczone oczy, by otworzyć je na powrót i popatrzeć na nietkniętą dębową powierzchnię, w nadziei, że życie przyjdzie mu z pomocą. W ogrodzie brzdąka mandolina, pewnie jakiś zakochany

paż. Mistrz uśmiecha się do siebie i umoczywszy pędzel w glinianym naczyniu, nakłada grunt cienkimi warstwami, z góry na dół, zgodnie z fakturą drewna. Raz po raz zerka przy tym przez okno, napełniając oczy światłem, wdzięczny ciepłym promieniom słonecznym, które padając ukośnie ogrzewają jego stare kości.

Roger d'Arras powiedział coś cicho, na co książę odpowiada śmiechem. Jest zadowolony, bo właśnie zbił konika. A Beatrycze Ostenburska czy też Burgundzka czuje, że muzyka staje się nieznośnie smutna. Już, już chce nakazać jednej z dworek, żeby poszła uciszyć grajka, ale powstrzymuje się, bo słyszy w płynących z ogrodu nutach echo tego żalu, który spętał jej serce. Muzyka miesza się z przyjacielską pogawędką dwóch mężczyzn grających w szachy, ona tymczasem odnajduje przejmujące piękno w czytanim właśnie poemacie. A ta sama rosa, co okrywa różę i zbroję rycerza, teraz spływa łzą z jej niebieskich oczu, gdy kobieta podnosi wzrok i napotyka spojrzenie Julii, która z ciemnego kąta obserwuje scenę w milczeniu. I pewnie Beatrycze sądzi, że te ciemne oczy i młoda, śródziemnomorska twarz, podobna do twarzy na portretach, które przy-

bywają z Włoch, to tylko odbicie jej własnego, zboląłego oblicza w dalekim, matowym zwierciadle. Beatrycze Ostenburska, czyli Burgundzka, wyobraża sobie, że jest poza komnatą, po drugiej stronie ciemnego szkła, skąd kontempluje samą siebie, siedzącą pod okaleczonym świętym Jerzym z gotyckiego kapitelu, pod oknem wychodzącym na jasny błękit nieba, który tak mocno kontrastuje z czernią jej sukni. I dociera do niej, że żadna spowiedź nie zmaże jej grzechu.

X. Niebieski samochód

— To było nieczyste posunięcie — rzeki Harun do wezyra. — Chciałbym zobaczyć uczciwe.

Raymond M. Smullyan,

The Chess Mysteries of the Arabian Knights

Cesar uniósł z dezaprobatą jedną brew pod rondem kapelusza, kiwając przy tym parasolem. Pogardliwe spojrzenie antykwariusza okrasila dodatkowo skrajna odraza, ty-

powa reakcja, gdy rzeczywistość potwierdzała jego najgorsze obawy. Istotnie, tego poranka Rastro¹ nie sprawiało przytulnego wrażenia. Z szarego nieba lada chwila mógł lunąć deszcz, w związku z czym właściciele stoisk rozlokowanych na ulicach tworzących bazar już przygotowywali się do ochrony swoich towarów. Na niektórych odcinkach marsz wymagał żmudnego lawirowania między ludźmi, płachtami brezentu i brudnymi pokrowcami z folii, zwisającymi ze straganów.

— Tak naprawdę — powiedział antykwariusz do Julii, która oglądała podwójny kandelabr z giętego mosiądzu, wyłożony na plandecce rozciągniętej na ziemi — to tylko strata czasu... Od wieków nie trafiłem tu na nic godnego uwagi.

Co nieco rozmijał się z prawdą, o czym Julia dobrze wiedziała. Na tym wysypisku, na tym olbrzymim cmentarzu marzeń wyrzuconych na ulicę wskutek kolejnych nieznanых kataklizmów Cesarowi raz na pewien czas udawało się, dzięki wprawnemu oku specjalisty, wygrzebać jakąś zapomnianą perłę, maleńki skarb, przez przypadek nie dostrzeżony przez tyle innych par oczu: kryształowy kieliszek z osiemnastego wieku,

¹Rastro — duży jarmark staroci w Madrycie

starą ramę, porcelanowe cacuszko. Kiedyś zaś w zapyziałej budce ze starymi książkami i czasopismami znalazł dwie piękne strony tytułowe, wybornie iluminowane zręczną dłonią anonimowego trzynastowiecznego mnicha, które po odnowieniu przez Julię antykwareusz sprzedał za przyzwoitą sumkę.

Przeszli powoli w stronę górnej części bazaru, gdzie w obdrapanych budynkach i w ciemnych podwórkach, połączonych przejściami o żelaznych balustradach, mieściła się większość w miarę liczących się sklepów ze starociami. Aczkolwiek nawet wspominając o nich, Cesar nie mógł powstrzymać miny wyrażającej sceptyczną ostrożność.

— O której umówiłeś się z dostawcą?

Przerzuciwszy parasol — bardzo drogi, ze srebrną, pięknie rzeźbioną rączką — do drugiej ręki, Cesar podciągnął lewy rękaw i zerknął na tarczę złotego chronometru, który nosił na przegubie. Ubrany był niezwykle elegancko w pilśniowy, tabaczkowy kapelusz z szerokim rondem i z jedwabną wstążką, płaszcz z wielbłądziej wełny przerzucony przez ramię, i chustkę pod szyją, wystającą spod jedwabnej koszuli. Strój jak zwykle posunięty był do granic, ale ich nie przekraczał.

— Za kwadrans. Mamy czas.

Połązili trochę po straganach. Czując na sobie podejrzliwe spojrzenie Cesara, Julia wzięła do ręki drewniany talerz z topornie namalowanym pożółkłym pejzażem przedstawiającym scenę wiejską: wóz zaprzężony w dwa woły oddalał się drogą pośród drzew.

— Chyba nie zamierzasz tego kupić, skarbie — wycedził antykwariusz z wyrzutem. — To wyrób nikczemny. . . Nawet nie chcesz się potargować?

Julia otworzyła przewieszoną przez ramię torbę i wyciągnęła portmonetkę, nie zwracając uwagi na protesty Cesara.

— Nie wiem, na co się tak skarżysz — odparła przyglądając się, jak pakują jej talerz w stary tygodnik ilustrowany. — Zawsze powtarzałeś, że ludzie comme il faut nigdy nie kłócą się o cenę: mam albo płacić bez gadania, albo odejść z podniesioną głową.

— Ta zasada nie sprawdza się w tym miejscu — Cesar rozglądał się z obojętnością zawodowca, marszcząc nos na widok plebejskich budek z tandetą. — Nie z tymi ludźmi.

Julia wsunęła zawiniątko do torebki.

— Swoją drogą mogłeś wpaść na to, żeby sprezentować mi ten talerz. . . Jak byłam mała, kupowałeś mi, co tylko chciałam.

— Jak byłaś mała, za bardzo cię rozpieściłem. Poza tym odmawiam płacenia za taką lichotę.

— Mam wrażenie, że wyłazi z ciebie skapiradło. Starzejesz się.

— Zamilknij, zmij. — Rondo kapelusza rzuciło cień na twarz Cesara, gdy ten pochylił się, żeby zapalić papierosa. Stali przed witryną zapchaną zakurzonymi, starymi lalkami. — Ani słowa więcej, albo cię wymażę z mojego testamentu.

Julia patrzyła za nim, jak wchodził z godnością po niedużych stopniach wiodących do sklepiku, unosząc rękę trzymającą firkę z kości słoniowej. Jego mina wyrażała coś pomiędzy pogardą a odrazą. Ten nieco gnuśny wyraz Cesar przywoływał na twarz zawsze, kiedy nie spodziewał się znaleźć niczego specjalnego u kresu drogi, ale ze względów czysto estetycznych nie widział przeszkód, by jej nie przebyć — z możliwie jak największą dystynkcją. Przypominał Karola Stuarta, który wstępował na szafot, jakby robił katu łaskę, z remember już czekającym na ustach, gotów stracić głowę z profilu, zgodnie z wizerunkiem bitym na ówczesnych monetach.

Z torebką przyciśniętą do boku w obawie przed kieszonkowcami Julia ruszyła znów między stragany. W tej części Rastra był za duży ścisk, zawróciła więc na pięcie ku

schodkom, z których roztaczał się wspaniały widok na plac i główną ulicę jarmarku, wypełnionego budami i plandekami oraz kłębiącym się pod nimi tłumem.

Miała godzinę do ponownego spotkania z Cesarem w kawiarence na placu, między sklepem ze sprzętem do nurkowania a handlarzem odzieżą z demobilu. Oparła się łokciami o balustradkę, zapaliła chesterfielda i spoglądała z góry na ludzi. U stóp schodków, na cembrowinie kamiennej fontanny pełnej papierów, skórek po owocach i pustych puszek po piwie, przysiadł młody, długowłosy blondyn w poncho i zaczął grać melodie andyjskie na prostym flecie z trzciny. Jakiś czas przysłuchiwała się muzyce, by po chwili wrócić znów do odgłosów bazaru, przytłumionych na skutek odległości. Dopaliła papierosa, po czym zeszła na chodnik i zatrzymała się przed wystawą z lalkami. Niektóre były bez ubrań, inne w malowniczych strojach wiejskich albo wyszukanych ubiorach romantycznych z rękawiczkami, kapelusikami i parasolkami. Dziewczynki i dorosłe kobiety, o twarzach prostackich, dziecinnych, naiwnych i przewrotnych. . . Dłonie i ramiona miały upozowane w rozmaitych gestach, jakby zastygły zaskoczone nagłym zimnym powiewem historii w chwili, gdy ich właścicielka porzuciła je, sprzedała — lub też umarła. Właścicielki, dziewczynki, które w końcu zmieniły się w kobiety — pomyślała

Julia — ładne albo brzydkie, które później pokochały albo zostały pokochane, najpierw pieściły te ciała ze szmat, tektury i porcelany swoimi dłońmi, dziś obróconymi w proch na cmentarzach. Za to lalki je przeżyły, ich wymalowane źrenice były niemymi, nieruchomymi świadkami dawnych scen domowych, które czas zatarł w pamięci żywych. Wyblakłych, mgliście naszkicowanych, nostalgicznych obrazów rodzinnego ogniska, dziecięcych piosenek, przytulających ramion. Ale także łez i rozczarowań, zniweczonych marzeń, upadków, rozpaczy. Może także okrucieństw. Dostyc niesamowite wrażenie robiła na niej ta mnogość szklanych i porcelanowych oczu, wpatrujących się bez zmruczenia powiek, z hieratyczną mądrością właściwą Czasowi, oczu nieruchomych, wprawionych w blade twarze z wosku i tektury, świecących pośród strojów pociemniałych ze starości, przygaszonych wstążeczek i koronek. Do tego jeszcze ich włosy, uczesane albo w nieładzie, naturalne — zadrżała na tę myśl — które wcześniej należały do żywych kobiet. Melancholia podsunęła jej fragment wiersza, który wiele lat temu recytował Cesar:

*Gdybyż tylko dało się zachować
włosy wszystkich zmarłych kobiet...*

Z trudem oderwała wzrok od wystawy, w której widziała odbicie ciężkich, szarych chmur wiszących nad miastem. Kiedy się odwróciła, chcąc ruszyć w drogę, ujrzała przed sobą Maxa. Prawie wpadła na niego w połowie schodków. Był w długim granatowym surducie, postawiony kołnierz sięgał mu kitki, w którą miał związane włosy; oglądał się za siebie, jak gdyby oddalał się od kogoś, czyja obecność nie była mu na rękę.

— To ci niespodzianka — powiedział, uśmiechnął się jak piękna bestia, co w taki zachwytywprawiło Menchu, po czym rzucił kilka banalnych uwag na temat nieprzyjemnej pogody i motłochu na bazarze. Z początku nie wytłumaczył swojej obecności w tym miejscu, ale Julia dostrzegła, że jest lekko podminowany, czujny, jakby krępowano go coś — lub ktoś. Może Menchu, z którą, jak później wyjaśnił, był w pobliżu umówiony: jakaś mętna historia z okazjnymi ramami, które po odnowieniu — Julia zajmowała się tym niejednokrotnie — podnosiły wartość wystawionych w galerii płócien.

Max nigdy nie był dla niej sympatyczny i pewnie dlatego Julia zawsze w jego obecności czuła się niezręcznie. Niezależnie od stosunków, które łączyły go z jej przyjaciółką, od zarania ich znajomość miała w sobie coś niemiłego. Cesar, którego nigdy nie zawiodła jego własna kobieca intuicja, twierdził, że oprócz bardzo dobrego wykończenia w Maksie była jakaś nieokreślona marność, która ujawniała się w jego nieszczerych uśmiechach i bezczelnych spojrzeniach, jakie posyłał Julii. Nigdy nie zatrzymywał na niej spojrzenia zbyt długo, ale kiedy przestawała nań patrzeć, przy następnym zerknięciu stwierdzała, że uparcie jej się przypatruje — skrycie, ukradkiem, kątem oka. To nie było spojrzenie błędzące beznamiętnie po otoczeniu, by spocząć spokojnie na danym przedmiocie czy człowieku — tak patrzył Paco Montegrifo — ale spojrzenie, które zatrzymuje się na kimś, gdy ten ktoś nie patrzy, ucieka zaś, gdy zostaje odkryte. „Tak spogląda ktoś, kto chce ci co najmniej ukraść portfel” — opisał kiedyś Cesar kochanka Menchu i Julia, aczkolwiek upomniała antykwariusza za jego złośliwość, w duchu musiała przyznać, że słowa te pasowały do Maxa jak ulał.

Dochodziły zresztą jeszcze inne niepokojące aspekty sprawy. Julia wiedziała, że w tych spojrzeniach kryło się coś więcej niż ciekawość. Świadom swoich atutów ze-

wewnętrznych, Max zachowywał się często — pod nieobecność Menchu albo za jej plecami — w sposób wyrachowany i prowokujący. Wszelkie wątpliwości co do tego rozwiały się pewnej nocy, kiedy zasiedzieli się u Menchu. Rozmowa snuła się leniwie, w pewnym momencie jej przyjaciółka wstała i poszła po lód. Max, pochylony nad stolikiem, gdzie stały drinki, chwycił szklankę Julii i podniósł ją do ust. Tylko tyle, nic więcej, i może nie zwróciłaby na to uwagi, gdyby odstawiając szkło na blat nie zerknął na nią przez sekundę, nie oblizał ust i nie uśmiechnął się z cynicznym żalem, że okoliczności nie pozwalają mu posunąć się dalej w jej prywatną sferę. Menchu, rzecz jasna, o niczym nie wiedziała, a Julia dałaby sobie język uciąć, nim odważyłaby się wypowiedzieć coś, co na głos zabrzmiałoby idiotycznie. Jednak po incydencie ze szklanką przyjęła wobec Maxa jedyną możliwą postawę: swoją absolutną pogardę manifestowała zwracając się doń jedynie wówczas, kiedy było to nieuniknione. Z wyrachowanym chłodem utrzymywała dystans, gdy tylko znaleźli się twarzą w twarz bez świadków, jak tego poranka na Rastro.

— Ustawiłem się z Menchu za jakiś czas — powiedział z tym zadowolonym uśmiechem na ustach, który tak ją wkurzał. — Masz ochotę na kieliszeczek?

Popatrzyła na niego uważnie i powoli, z rozmysłem pokręciła głową.

— Czekam na Cesara.

Uśmiech zarysował się jeszcze wyraźniej. Max miał świadomość, że nie jest obiektem uwielbienia również ze strony antykwariusza.

— Szkoda — bąknął. — Mało mamy okazji, żeby się spotykać tak jak dziś. To znaczy sam na sam.

Julia uniosła tylko brwi i rozejrzała się, jakby Cesar miał się pojawić lada moment. Max powiódł oczami za jej wzrokiem i wrzucił ramionami pod granatowym surdudem.

— Mam się spotkać z Menchu tam, koło pomnika żołnierza, za pół godziny. Jak masz ochotę, możemy się później napić razem — zrobił umyślną pauzę. — We czworo.

— Zobaczę, co Cesar na to.

Patrzyła za nim, jak się oddalał, lawirując szerokimi plecami w tłumie, by w końcu zniknąć pośród masy ludzkiej. I jak zwykle miała nieprzyjemne wrażenie, że nie udało jej się w pełni kontrolować sytuacji, że Max mimo jej niechęci zdołał znowu naruszyć jej prywatność, jak wtedy ze szklanką. Zła na samą siebie, chociaż nie bardzo wiedziała, co mogłaby sobie zarzucić, zapaliła kolejnego papierosa i zaciągnęła się łapczywie.

Czasami była gotowa oddać wszystko, byleby mieć na tyle siły, żeby bez wysiłku rozwalić Maxowi tę jego śliczną buzię zadowolonego ogiera.

Jeszcze kwadrans przechadzała się między stoiskami, zanim udała się do kawiarni. Chciała poddać się rechwachowi wokół siebie, gwarowi zachwalających towar handlarzy i stłoczonych ludzi, ale czoło wciąż miała nachmurzone, a spojrzenie błędne. O Maksie zdążyła już zapomnieć, teraz powody były inne. Obraz, śmierć Alvara, partia szachów — powracały obsesyjnie, prowokując pytania bez odpowiedzi. Kto wie, czy niewidzialny gracz nie znajduje się gdzieś niedaleko i nie obserwuje jej, obmyślając kolejny ruch. Rozejrzała się podejrzliwie i przycisnęła do brzucha skórzaną torebkę, w której nosiła pistolet od Cesara. To był jakiś koszmarny absurd. Albo na odwrót: absurdalny koszmar.

Kawiarnia miała drewniane Pięterko i stare stoliki z kutego żelaza i marmuru. Julia zamówiła coś zimnego i usiadła cichutko koło okna, usiłując o niczym nie myśleć. Wreszcie niewyraźna sylwetka antykwariusza pojawiła się na ulicy, zamglona na skutek

zaparowanych szyb. Julia wybiegła mu na spotkanie, jakby mógł przynieść jej pociechę, co nie było zresztą dalekie od prawdy.

— Jesteś coraz piękniejsza — skomplementował ją Cesar, wzięwszy się pod boki z teatralnym podziwem i stanąwszy na środku ulicy. — ... Jak ty to robisz?

— Nie pleć — chwyciła go pod ramię z uczuciem niewypowiedzianej ulgi. — Rozstaliśmy się raptem godzinę temu.

— Właśnie o tym mówię, księżniczko — antykwariusz zniżył głos, jakby poruszał jakąś tajemnicę. — Jesteś jedyną znaną mi kobietą, która potrafi jeszcze bardziej wypięknąć w przeciągu zaledwie sześćdziesięciu minut... Jeśli stosujesz jakiś chwyt, trzeba go opatentować. Naprawdę.

— Dureń.

— Ślicznota.

Ruszyli ulicą w stronę miejsca, gdzie Julia zaparkowała samochód. Po drodze Cesar poinformował o zakończonej sukcesem operacji, jakiej właśnie dokonał: Matka Boża Boleściwa, która mogła ująć jako dzieło Murilla w oczach niezbyt wymagającego klienta, oraz sekretera biedermeier, sygnowana i datowana w 1832 roku przez Virieni-

chena, sponiewierana, ale autentyczna. Każdy dobry ebenista sobie z tym poradzi. Dwie wspinałe okazje, nabyte za całkiem rozsądną cenę.

— Szczególnie ta sekretera, księżniczko — Cesar bujał parasolem, zadowolony z ubitego interesu. — Wiesz, że Bogu dzięki istnieje pewna klasa ludzi, co nie może wyżyć bez łoża, które należało do Eugonii de Montijo, albo bez biurka, przy którym Talleyrand podpisywał fałszywe przyrzeczenia. . . Oprócz tego nowi burżuje, którzy chcą im dorównać, parweniusze, dla których symbolem klasy jest *biedermeier*. . . Przychodzą i proszą o niego jak gdyby nigdy nic, nie precyzując, czy chodzi im o stół, czy o biurko. Oni po prostu żądają za wszelką cenę *biedermeiera*, na diabła im wiedza, co to takiego. Niektórzy nawet wierzą w istnienie jakiegoś pana *Biedermeiera* i bardzo się dziwią, gdy widzą, że mebel firmował ktoś inny. . . Najpierw uśmiechają się niepewnie, a potem trącają łokciem i z miejsca pytają, czy nie mam na zbyciu innego, autentycznego *biedermeiera*. . . — antykwariusz westchnął, biadając nad marnymi czasami. — Gdyby nie ich książeczki czekowe, zapewniam cię, że niejednego posłałbym *chez les grecs*².

²*Chez les grecs* — (fr.) do diabła.

— Raz nawet to zrobiłeś, o ile pamiętam.

Cesar znowu westchnął ze smutną miną.

— To moja brutalna połowa, kochanie. Czasem gubi mnie mój charakter, bywam krewki jak stara królowa-impetyczka. . . Jestem jak Jekyll i mister Hyde. Całe szczęście, że nikt już nie mówi należycie po francusku.

Do samochodu zaparkowanego w zaułku dotarli w chwili, gdy Julia relacjonowała spotkanie z Maxem. Na sam dźwięk tego imienia Cesar zmarszczył czoło pod przesuniętym kokieteryjnie na bakier kapeluszem.

— Jestem wdzięczny losowi, że nie napotkałem tego kuplera — odezwał się zgryźliwie. — Ciągłe cię po świńsku nagabuje?

— Już prawie nie. Chyba tak naprawdę boi się, że Menchu się o wszystkim dowie.

— Ach, tu nikczemnika boli. . . Że mu na chlebuś nie starczy. — Cesar okrążył samochód, kierując się ku drzwiczkom po prawej. — Hej, patrz, wlepili nam mandat.

— Nie gadaj.

— Nie gadam, tylko mówię. Tam jest kartka, za wycieraczką. — Antykwariusz stuknął nerwowo szpicem parasola o ziemię. — Niewiarygodne. Środek Rastra, a policja

zajmuje się mandatami, zamiast łapać bandytów i resztę tej hołoty, a przecież to należy do ich obowiązków... Co za hańba. — I zaraz powtórzył głośniejszym głosem, rozglądając się prowokująco: — Hańba!

Julia odłożyła pusty pojemnik po sprayu, który ktoś postawił na masce fiata, i wzięła do ręki kartkę, a ściślej, niewielki kartonik wielkości wizytówki. I natychmiast znieruchomiała, jakby piorun w nią strzelił. Zaskoczenie musiało być widoczne, skoro Cesar, zobaczywszy, że coś się dzieje, błyskawicznie do niej podszedł.

— Córeczko, dlaczegoś tak pobladła...? Coś się stało?

Zdołała mu odpowiedzieć dopiero po chwili, a i wtedy nie rozpoznała własnego głosu. Miała potworną ochotę rzucić się do ucieczki ku jakiemuś ciepłemu, bezpiecznemu miejscu, gdzie mogłaby schować głowę i zamknąć oczy.

— To nie jest mandat, Cesar.

Na widok trzymanej przez nią karteczki antykwariusz wyrzucił z siebie przekleństwo absolutnie nieodpowiednie w ustach człowieka wykształconego. Figurował na niej beczelnie lakoniczny komunikat, zapisany tak dobrze im znaną czcionką maszynową:

. . . a7:Wb6

Rozglądając się w oszołomieniu, czuła, jak kręci jej się w głowie. W zaułku było pusto. Najbliższa osoba, sprzedawczyni świętych obrazków, siedziała na rogu na trzcinowym krzeselku jakieś dwadzieścia metrów dalej, skupiona na ludziach, którzy przyglądali się jej ofercie.

— Był tutaj, Cesar. . . Rozumiesz to. . . ? Był tutaj.

Sama we własnych słowach dosłyszała trwogę, ale nie zaskoczenie. Strach — ta świadomość przypląnęła do niej wraz z falą nieskończonego przygnębienia — nie dotyczył już czegoś niespodziewanego, zmienił się raczej w ponurą rezygnację, jak gdyby tajemniczy, złowrogi, stale obecny gracz stał się przekleństwem, z którym przyjdzie jej żyć już do samej śmierci. Przy założeniu — pomyślała w przypląwie wisielczej jasności umysłu — że ta śmierć nie nastąpi wkrótce.

Cesar, zmieniony na twarzy, obracał w palcach karteczkę. Ledwie był w stanie wykrztusić słowa z oburzenia:

— Co za kanalia. . . Łajdak. . .

Naraz Julia przestała myśleć o kartce. Jej uwagę przykuł pusty pojemnik, który znalazła na masce. Podniosła go, czując, że porusza się jak w sennej mgle, z wysiłkiem przeczytała napis na etykiecie i zrozumiała. Oniemiała pokręciła głową i pokazała puszkę Cesarowi. Kolejny absurd.

— Co to jest? — spytał antykwariusz.

— Spray do naprawiania przebitych opon... Kładziesz to na wentyl i pompujesz koło. W środku jest taka biała pasta, która zalepia dziurę od wewnątrz.

— A co to tu robi?

— Sama chciałabym wiedzieć.

Sprawdzili opony. Po lewej stronie wszystko wyglądało normalnie, Julia okrążyła więc wóz, żeby sprawdzić pozostałe dwa koła. Też w porządku. Ale kiedy już miała rzucić pojemnik na ziemię, zwróciła uwagę na jeden szczegół: wylot wentyla w prawym tylnym kole nie miał gwintowanej nasadki. Na jej miejscu widniał pęcherzyk białej masy.

— Ktoś napompował oponę — wywnioskował Cesar, patrząc ze zdumieniem na pusty pojemnik. — Może była przekłuta.

— Na pewno nie do czasu, jak tu zaparkowaliśmy — odparła i obydwójce popatrzyli na siebie, pełni najgorszych przeczuć.

— Nie wsiadaj do wozu — ostrzegł ją Cesar.

Sprzedawczyni obrazków nikogo nie widziała. Przechodzi tędy masa ludzi, a ona pilnuje swoich spraw — klarowała, układając na ziemi święte serduszka, świętych Pankracych i rozmaite Najświętsze Paniarki. A co do zaułka, to nie była pewna. Może ktoś z sąsiedztwa, w ciągu ostatniej godziny ze trzy, cztery osoby.

— Przypomina sobie pani kogoś konkretnie? — Cesar zdjął kapelusz i pochylał się ku handlarce. Stał w płaszczu narzuconym na ramiona i z parasolem pod pachą. Prawdziwy mężczyzna — pomyślała pewnie kobieta — chociaż może chustka pod szyją trochę dziwnie wygląda u pana w tym wieku.

— No, chyba nie. — Handlarka otuliła się szczelniej wełnianym szalem. Po minie było widać, że wysila pamięć.

— Jakaś kobieta, zdaje się. I młoda para.

— Jak wyglądali?

— Wie pan: jak to młodzi, skórzane kurtki i dżinsy. . .

Julii tłukła się po głowie absurdalna idea. W końcu w ostatnich dniach jej głowa siłą rzeczy musiała stać się pojemniejsza, więcej musiało się w niej pomieścić.

— Widziała pani kogoś w granatowym surducie? Chodzi mi o mężczyznę w wieku dwudziestu ośmiu, trzydziestu lat, wysokiego, z włosami związanymi w kitkę.

Sprzedawczyni nie przypominała sobie Maxa. Natomiast co do kobiety, to owszem, zapamiętała ją, bo tamta zatrzymała się na chwilę koło jej obrazków, może nawet chciała któryś kupić. Blondynka, w średnim wieku, dobrze ubrana. Ale żeby majstrowała przy samochodzie? Co to, to nie. Nie wyglądała na taką. Miała na sobie płaszcz od deszczu.

— W okularach słonecznych?

— Tak.

Cesar spojrział na Julię z powagą.

— Dziś nie ma słońca.

— Wiem.

— To mogła być ta kobieta od dokumentów — Cesar przerwał na moment i popatrzył jeszcze surowiej. — Albo Menchu.

— Nie pleć bzdur.

Antykwariusz pokręcił głową, zerkając na przechodzących mimo ludzi.

— Masz rację. Ale sama pomyślałaś o Maksie.

— Max. . . to co innego — Julia nachmurzyła się, lustrując wzrokiem ulicę, jak gdyby Max albo blondynka w płaszczu przeciwdeszczowym jeszcze tamtędy maszerowali. Ale od tego, co tam zobaczyła, nie tylko słowa zamarty jej na ustach, ale całe ciało doznało wstrząsu. Nie ujrzała kobiety odpowiadającej rysopisowi. Zobaczyła natomiast, pomiędzy plandekami i foliami na straganach, zaparkowany na rogu samochód. Niebieski samochód.

Z tego miejsca nie potrafiła ocenić, czy to był ford, ale od razu poczuła się jak w gorącej. Odeszła parę kroków od handlarki, ku zdumieniu Cesara, i wyminawszy kilka kiosków z tandetą, stanęła, wspinając się na palce. Istotnie był to ford z przyciemnionymi szybami. Nie zdołała odczytać numeru rejestracyjnego, ale pomyślała, że jak na jeden poranek trochę za dużo tych zbiegów okoliczności: Max, Menchu, karteczka na

przedniej szybie, pusty pojemnik, kobieta w płaszczu i teraz ten samochód, który stał się kluczem do jej koszmaru. Poczowała, że drżą jej ręce, więc wsunęła je do kieszeni kurtki. Bliskość antykwariusza za plecami dodała jej odwagi.

— To ten samochód, Cesar. Rozumiesz. . . ? Kimkolwiek jest ta osoba, siedzi w środku.

Cesar nic nie odpowiedział. Zdjął powoli kapelusz, który uznał widocznie za strój niewłaściwy do tego, co teraz mogło nastąpić, i popatrzył na Julię. Nigdy bardziej go nie uwielbiała, jak w tym momencie, gdy tak stał z zaciśniętymi ustami, wysuniętym do przodu podbródkiem, przymkniętymi oczami i niesamowitym, twardym blaskiem dobiegającym spod powiek. Szczupłe rysy gładko wygolonego oblicza nagle mu stężały. Po obydwu stronach ust wyraźnie zarysowały się mięśnie twarzy. Może i jest homoseksualistą — mówiły jego oczy — a także mężczyzną wstrzemięźliwym, nieskorym do gwałtu. Ale absolutnie nie pozwoli się nazwać tchórzem. Przynajmniej gdy chodzi o jego księżniczkę.

— Zaczekaj tu — powiedział.

— Nie. Idziemy tam razem — spojrzała na niego czule. Kiedyś w zabawie pocałowała go w usta, kiedy jeszcze była dziewczynką. Znów miała odruch, żeby to zrobić. Ale teraz to już nie była zabawa. — Ty i ja.

Wsunęła dłoń do torebki i odbezpieczyła derringera. Cesar wetknął parasol pod pachę i z największym spokojem, jakby chodziło o laseczkę, wybrał ogromny, żelazny pogrzebacz na jednym ze straganów.

— Za pozwoleniem — powiedział zdziwionemu sprzedawcy, wtykając mu do ręki pierwszy lepszy banknot wyciągnięty z portfela. Następnie popatrzył spokojnie na Julię.

— Przynajmniej raz, kochanie, pozwól, że pójde przodem.

I ruszyli w stronę samochodu. Szli, kryjąc się za budami, Julia z ręką w torebce, Cesar z pogrzebaczem w prawej dłoni, a parasolem i kapeluszem w lewej. Zobaczywszy tablicę rejestracyjną dziewczyna poczuła, że serce wali jej jak młotem. Nie było żadnych wątpliwości: niebieski ford, ciemne szyby, litery TH. W ustach jej zaszcło, a żołądek boleśnie się skurczył. Przemknęło jej przez głowę, że tak właśnie czuł się kapitan Peter Blood na chwilę przed abordażem.

Dotarli do rogu. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Ktoś wewnątrz wozu odkręcił szybę od strony kierowcy, żeby wyrzucić peta. Cesar odłożył na ziemię kapelusz i parasol, uniósł pogrzebacz i skierował się ku lewej stronie samochodu, gotów nawet zabić piratów czy kogokolwiek miał napotkać. Julia podbiegła z zaciśniętymi zębami i przyspieszonym tętnem, wyszarpnęła pistolet z torebki i wetknęła go przez okno, zanim ci w środku zdążyli podkręcić z powrotem szybę. Przed wylotem lufy pojawiła się nieznana jej twarz: na wycelowaną broń z przerażeniem spoglądał młody brodaty mężczyzna. Na sąsiednim siedzeniu drugi człowiek aż podskoczył ze strachu, kiedy Cesar otworzył drzwiczki i zamierzył się nań żelaznym pogrzebaczem.

— Wyłazić! Wyłazić! — wrzeszczała Julia, prawie tracąc panowanie nad sobą.

Oniemiały brodacz podniósł w błagalnym geście otwarte dłonie.

— Niech się pani uspokoi! — wybełkotał. — Na litość boską, niech się pani uspokoi...! Jesteśmy z policji!

— Przyznaję — powiedział w gabinecie nadinspektor Feijoo, krzyżując ramiona na biurku — że na razie nie okazaliśmy się w tej sprawie specjalnie skuteczni. . .

Zawiesił głos i popatrzył na Cesara łagodnie, jak gdyby brak skuteczności ze strony policji mógł wszystko wytłumaczyć. My, ludzie światowi — zdawało się mówić to spojrzenie — możemy sobie czasem pozwolić na konstruktywną samokrytykę.

Cesar jednak nie zamierzał dać za wygraną.

— To inna forma wyrażenia — wyrzekł z pogardą — tego, co zwykliśmy nazywać niekompetencją.

Po skonsternowanym uśmiechu Feijoo widać było, że ta uwaga dopiekła mu do żywego. Pod meksykańskimi wąsami ukazały się białe zęby, którymi nadinspektor zaczął gryźć dolną wargę. Spojrzał najpierw na antykwariusza, potem na Julię i jął bębnić o blat swoim byle jakim długopisem. W obecności Cesara nie miał wyjścia, musiał postępować bardzo ostrożnie. Wszyscy troje wiedzieli dlaczego.

— Policja ma swoje metody.

Były to tylko słowa, co doprowadzało Cesara do furii. Fakt, że łączyły go z Feijoo interesy, jeszcze nie oznaczał, że ma być dla niego sympatyczny. Zwłaszcza gdy wyszło na jaw, że nadinspektor gra nielojalnie.

— Jeżeli te metody polegają na śledzeniu Julii, podczas gdy jakiś wariat łązi sobie spokojnie i posyła jej anonimowe karteczki, wolę powstrzymać się od komentarza na temat takich metod. . . — Popatrzył na dziewczynę i znowu na nadinspektora. — Nawet w głowie mi się nie mieści, że mogliście ją podejrzewać o zabicie profesora Ortegi. . . A dlaczego mną się nie zajmiecie?

— Zajęliśmy się — policjanta drażniła bezczelność antykwariusza, z trudem się hamował. — Gwoli ścisłości sprawdzamy wszystkich. — Rozłożył dłonie na znak, że ma świadomość potwornej wpadki. — Niestety, taka praca.

— I coś już wiecie?

— Z żalem przyznaję, że nie. — Feijoo podrapał się pod pachą przez marynarkę i zaczął się wiercić na krześle.

— Jeżeli mam być szczery, to nie jesteśmy mądrzejsi, niż na początku... Lekarze sądowi też nie są zgodni co do przyczyn śmierci Alvara Ortegi. Cała nasza nadzieja w tym, że jeśli istotnie jest jakiś morderca, to zrobi fałszywy krok.

— I dlatego mnie śledzicie? — wypaliła wściekła Julia. Siedziała z dymiącym papierosem w dłoni, przycisnąwszy torebkę do siebie. — Że to może ja zrobię ten fałszywy krok?!

Policjant spojrzał na nią smętnie.

— Proszę tego nie brać tak do siebie. To działania rutynowe... Zwykła taktyka policyjna.

Cesar uniósł brew.

— Jeśli to taktyka, to mało obiecująca. I nieszczególnie szybka.

Feijoo przełknął ślinę i gorycz. W tym momencie — pomyślała Julia z mściwym zadowoleniem — policjant z całej duszy żałował, że prowadzi ciemne interesy z antykwariuszem. Wystarczyłoby, żeby Cesar chlapnął coś w paru odpowiednich miejscach, a nadinspektor, bez oskarżenia i oficjalnego dochodzenia, dyskretnie, jak zwykle

w pewnych kręgach, zakończyły karierę w ciemnym gabinecie jakiegoś zabitego dechami komisariatu. Po uszy w papierkach i bez premii.

— Mogę państwa tylko zapewnić — odezwał się wreszcie, kiedy już strawił połowę gniewu, jaki najwyraźniej wypełniał mu żołądek — że nie ustaniemy w śledztwie. . . — nagle przypomniał sobie o czymś z niechęcią. — Oczywiście panienka będzie korzystać ze specjalnej ochrony.

— Mowy nie ma — odparła Julia. Upokorzenie policjanta nie mogło zmazać jej własnego. — Proszę, żadnych niebieskich samochodów. Mam dosyć.

— Tu chodzi o pani bezpieczeństwo.

— Sami panowie widzieli, że potrafię się obronić.

Feijoo uciekł wzrokiem. Z pewnością jeszcze miał chrypę od wrzasku, jakim poczęstował dwóch policjantów za to, że tak dali się zaskoczyć. „Jełopy! — krzyczał. — ...Zasrane żółtodzioby...! Przez was umoczyłem dupę i będziecie za to ukrzyżowani...!” Cesar i Julia słyszeli to wszystko przez drzwi, kiedy czekali na korytarzu komisariatu.

— W tej sprawie — zaczął po dłuższym zastanowieniu. Widać było, że toczą w nim teraz ciężką walkę obowiązek przeciwko rozsądkowi. Ostatecznie przeważył ten drugi. — Zważywszy okoliczności, nie sądzę. . . To znaczy, ten pistolet. . . — znów przełknął ślinę i zerknął na Cesara. — W końcu to zabytek, nie żadna nowoczesna broń w pełnym znaczeniu tego słowa. A pan, jako antykwariusz, ma oczywiście pozwolenie. . . — Popatrzył na blat. Zapewne myślał teraz o osiemnastowiecznym zegarze, za który parę tygodni temu Cesar zapłacił mu niezłą sumkę. — Jeśli o mnie chodzi, a mówię tu też w imieniu moich dwóch podwładnych. . . — ponownie uśmiechnął się krzywo, na zgodę. — To znaczy, jesteśmy gotowi przymknąć oczy na szczegóły tej sprawy. Don Cesar, pan odbierze swojego derringera i na przyszłość zobowiąże się lepiej go pilnować. A paniątka niech nas informuje o wszystkim, co się jeszcze wydarzy, dzwoni do nas natychmiast, jak pojawią się jakieś problemy. I nie chciałbym dowiedzieć się o jakichś kombinacjach z pistoletem. . . Czy wyrażam się jasno?

— Absolutnie — odparł Cesar.

— Dobrze — ich uległość w sprawie pistoletu wyraźnie poprawiła mu morale, bo zwracając się do Julii, Feijoo był już mniej spięty. — A co do koła w pani wozie, chciałbym wiedzieć, czy zamierza pani złożyć doniesienie o przestępstwie.

Popatrzyła nań zaskoczona.

— O przestępstwie...? Przeciwno komu?

Nadinspektor zwlekał z odpowiedzią, mając może nadzieję, że dziewczyna sama się domyśli.

— Przeciwno nieznanemu sprawcy lub sprawcom — rzekł w końcu. — Odpowiedzialnym za próbę pozbawienia życia.

— Alvara?

— Nie, pani. — Zęby znów wychyły się spod wąsów. — Bo owa tajemnicza osoba, która posyła karteczki, ma troszkę poważniejsze zamiary, niż tylko pograć sobie w szachy. Spray, którym napompowano pani koło po spuszczeniu powietrza, można kupić w każdym sklepie z częściami samochodowymi... Tyle że akurat ten pojemnik wcześniej napełniono benzyną za pomocą strzykawki... Mieszanka paliwa z substancją, która była tam przedtem, nabiera silnych właściwości wybuchowych przy pewnej

temperaturze... Wystarczyłoby przejechać kilkaset metrów, żeby opona się nagrzała i nastąpiła eksplozja dokładnie pod bakiem. Samochód razem z państwem stałby się wielką pochodnią. — Uśmiechał się ze złośliwym zachwytem, jakby ta zarezerwowana na koniec opowieść miała przynieść mu drobną satysfakcję. — ...Prawda, że to możliwe?

Szachista pojawił się w sklepie Cesara godzinę później. Uszy sterczały mu nad kołnierzem płaszcza, włosy ociekały wodą. Wygląda niby wychudły, bezpański pies — pomyślała Julia, patrząc, jak otrząsa się na progu z deszczu, chlapiąc na kobierce, porcelaną i obrazy, które kosztowały więcej, niż był w stanie zarobić przez cały rok. Munoz podał dziewczynie rękę — krótkim, prostym gestem, pozbawionym ciepła i jakiegokolwiek znaczenia — i skinął Cesarowi głową na powitanie. Następnie, starając się nie pomoczyć dywanów butami, wysłuchał z zimną krwią relacji o tym, co się stało na Rastro. Kilka razy przytaknął beznamiętnie, jakby historia o niebieskim fordzie i po-grzebaczu Cesara wcale go nie interesowała, a jego mętne oczy rozbłyły, dopiero gdy

Julia wyciągnęła z torebki karteczkę i mu ją podała. Niebawem miał już przed sobą na stoliku małą szachownicę, z którą się chyba ostatnio nie rozstawał, i przyglądał się nowemu położeniu.

— Jednego nie rozumiem — powiedziała Julia, patrząc mu przez ramię. — Dlaczego postawili pusty pojemnik na masce? Przecież od razu musieliśmy go zobaczyć. . . Chyba że ten ktoś bardzo się spieszył.

— Może chodziło tylko o groźbę — odezwał się Cesar, siedzący na skórzanym fotelu pod witrażem. — Groźbę w najgorszym stylu.

— No to włożyła w nią dużo wysiłku, prawda? Spreparować spray, spuścić powietrze, znów napompować koło. . . I jeszcze ryzykowała, że ją przy tym ktoś zobaczy — Julia liczyła z niedowierzaniem na palcach. — To dziwne — zaskoczyły ją własne słowa. — . . .Zauważyliście? Mówię o tajemniczym graczu w rodzaju żeńskim, jakby był kobietą. . . Ta podejrzana dama w płaszczu nie daje mi spokoju.

— Może posuwamy się za daleko — zastanawiał się Cesar. — Jak dobrze przemyśleć, rano na Rastro mogło być i kilkanaście blondynek w płaszczach przeciwdesz-

czowych. Niektóre mogły też mieć ciemne okulary. . . Ale z tym pojemnikiem to masz słuszość. Tak na widoku, na samochodzie. . . Jakaś groteska.

— Może nie do końca — powiedział Munoz i obydwójce spojrzeli na niego. Szachista siedział na stołku przy niewielkim stoliku i patrzył na szachownicę. Zdjął wcześniej płaszcz i marynarkę, był teraz w samej koszuli, pomiętej i byle jakiej. Rękawy podwinął kilka razy do łokci, może nie chcąc pokazać, że ma za długie mankiety.

Mówił, nie odrywając wzroku od bierok, dłonie trzymał na kolanach, a stojąca obok Julia dostrzegła w kątku ust ten tak już dobrze jej znany grymas, coś pomiędzy milcząca zadumą a półuśmiechem. Wtedy zrozumiała, że Munozowi udało się rozszyfrować kolejny ruch.

Szachista zbliżył palec do pionka stojącego na polu a7.

— Czarny pion z a7 bije białą wieżę na b6. . . — powiedział i zademonstrował tę sytuację. — To właśnie oznacza zapis, jaki dostaliśmy od przeciwnika na karteczce.

— A co się za tym kryje? — spytała Julia.

Munoz jakiś czas zwlekał z odpowiedzią.

— Że rezygnuje z innego posunięcia, którego jakoś tam się obawialiśmy: z bicia białego hetmana na e1 czarną wieżą z c1... Taki ruch z konieczności oznaczałby wymianę hetmanów, czy, jak pani woli, królowych — podniósł wzrok znad szachownicy i popatrzył na Julię z niepokojem. — I wszystkie dalsze konsekwencje.

Julia otworzyła szeroko oczy.

— Czyli że rezygnuje ze zbitia mnie?

Szachista miał niewyraźną minę.

— Można to w taki sposób zinterpretować. — Przyjrzał się białemu hetmanowi. — Zatem przesyłałby nam komunikat: „Mogę zabić, ale zrobię to wtedy, kiedy zechcę”.

— Jak kot bawiący się z myszką — mruknął Cesar, waląc dłonią w oparcie fotela. — Nikczemnik!

— Albo nikczemniczka — dodała Julia. Antykwariusz cmoknął językiem z niedowierzaniem.

— Przecież nikt nie twierdzi, że kobieta w płaszczu, jeśli to naprawdę ona była w zaułku, działa na własny rachunek. Może być czyimś współnikiem.

— Dobrze, ale czyim?

— Sam chciałbym wiedzieć, kochanie.

— W każdym razie — powiedział Munoz — jeżeli zechcą państwo zapomnieć na chwilę o damie w płaszczu przeciwdeszczowym i przyjrzeć się karteczce, to możemy wyciągnąć kolejny wniosek na temat osobowości naszego przeciwnika. . . — Spojrzał na Julię, potem na antykwariusza, wzruszył ramionami i pokazał dłonią na szachownicę, jakby szukanie odpowiedzi poza nią uważał za stratę czasu. — Wiemy już, że ma bardzo dziwny umysł, ale teraz dowiadujemy się, że jest na dodatek samowystarczalny. . . I próżny. Albo próżna. Otóż ten ktoś usiłuje nas nabrać. . . — Gestem ręki zachęcił ich, by pochylili się nad szachownicą. — Niech państwo patrzą. Według czystych reguł szachowych zabicie białego hetmana byłoby fatalnym posunięciem. . . Białe nie miałyby wyboru, musiałyby zgodzić się na wymianę hetmanów i zbić czarnego hetmana białą wieżą z b2, co z kolei postawiłoby czarne w bardzo niekorzystnej sytuacji. Począwszy od tego momentu, ich jedynym wyjściem byłby ruch wieżą z e1 na e4 i szach białemu królowi. . . Ten zaś mógłby zyskać ochronę dzięki przesunięciu białego piona z d2 na d4. Wówczas czarny król, będąc w otoczeniu bierka przeciwnika i bez szansy na ratunek, nie mógłby już uniknąć mata. Czarne przegrałyby partię.

— To znaczy — zapytała Julia — że cała historia ze sprayem na samochodzie i szach białej królowej to tylko zasłona dymna?

— Wcale by mnie to nie zdziwiło.

— Dlaczego?

— Bo nasz przeciwnik wybrał ruch, na który sam bym się na jego miejscu zdecydował: bicie białej wieży pionem z a7. To zmniejsza napór białych na czarnego króla, który znajdował się już w przykłej sytuacji. — Pokręcił głową z podziwem. — Już państwu mówiłem, że to dobry szachista.

— I co teraz? — zapytał Cesar.

Munoz potarł dłonią czoło i zadumał się nad szachownicą.

— Teraz mamy dwie możliwości... Może powinniśmy zbić czarnego hetmana, ale to mogłoby zmusić przeciwnika do dokonania wymiany hetmanów — popatrzył na Julię — co mi się nie podoba. Nie skłaniajmy go do ruchu, którego nie zrobił... — Znowu pokręcił głową, jakby białe i czarne kwadraty potwierdziły jego rozumowanie. — On w zadziwiający sposób wie, że tak właśnie będziemy kombinować. To godne uwagi, bo

ja widzę ruchy, jakie on robi i nam wysyła, on zaś tylko może wyobrazić sobie moje. . .
A przy tym je zakłada. Na razie robimy to, co on chce, żebyśmy robili.

— A mamy wybór? — zapytała Julia.

— Chwilowo nie. A później, to się okaże.

— Jaki jest następny ruch?

— Nasz goniec. Posuwamy go z f1 na d3, dając szacha hetmanowi.

— A co on zrobi. . . ? Albo ona?

Munoz nie odpowiedział od razu. Nieruchomo wpatrywał się w szachownicę, jak gdyby nie dosłyszał pytania.

— Nawet w szachach — odezwał się wreszcie — przewidywalność jest ograniczona. . . Najlepszym albo najbardziej prawdopodobnym posunięciem jest takie, które postawi przeciwnika w najtrudniejszym położeniu. Dlatego kalkulacja na temat możliwości kolejnego ruchu polega po prostu na wyobrażeniu sobie, że ten ruch już się zrobiło, i na dalszej analizie partii w roli przeciwnika. Czyli patrzeć na szachownicę własnymi oczami, ale z punktu widzenia rywala. Gracz projektuje pewien ruch i natychmiast stawia się w sytuacji przeciwnika swojego przeciwnika, a więc znowu we

własnej. I tak dalej, tak długo, na ile wystarcza komuś wyobraźni... Chodzi mi o to, że wiem, dokąd sam dotarłem, nie mam natomiast pojęcia, jak daleko dotarł on.

— Ale zgodnie z tym rozumowaniem — wtrąciła się Julia — najprawdopodobniej wybierze ruch, który będzie dla nas najdokuczliwszy. Nie sądzi pan?

Munoz podrapał się po karku, a następnie, bardzo powoli, przesunął białego gońca na pole d3, w bezpośrednie sąsiedztwo czarnego hetmana. Analizował nową sytuację na szachownicy zadumany po same uszy.

— Cokolwiek zrobi — rzekł w końcu z posępną miną — jestem pewien, że zbije nam jakąś bierkę.

XI. Warianty analityczne

Niech pan nie będzie głupi. Flaga jest
wykluczona, zatem to nie ona faluje. Wiatr
natomiast faluje.

Douglas R. Hofstadter,

Godel, Escher, Bach – an Etemal Golden Braid

Aż podskoczyła na dźwięk telefonu. Bez pośpiechu odjęła wacik z rozpuszczal-
nikiem od fragmentu obrazu, nad którym pracowała — za mocno nałożonej plamki

werniksu na szacie Ferdynanda z Ostenburga — i wsunęła pęsetę między zęby. Potem spojrzała nieufnie na aparat stojący na dywanie u jej stóp, zapytując sama siebie, czy podniósłszy słuchawkę, znów będzie musiała wsłuchiwać się w kolejną długą ciszę, tak dobrze jej już znaną od paru tygodni. Na początku przyciskała słuchawkę do ucha i bez słowa, niecierpliwie usiłowała wyłowić jakikolwiek dźwięk, choćby zwykły oddech, lada oznakę obecności żywego człowieka, choćby i przerażającą. Ale napotykała kompletną pustkę, nawet bez wątpliwej pociechy w postaci trzasku przerwane go połączenia. Za każdym razem tajemniczy abonent — względnie tajemnicza abonentka — wytrzymał dłużej. Julia zawsze dawała za wygraną, choćby tkwiła przy aparacie Bóg wie ile. Ten ktoś czał się, cierpliwie i bez obawy, że zaalarmowana przez Julię policja może podłączyć się do linii i namierzyć dzwoniącego. Najgorsze, że nie mógł mieć pojęcia o własnej bezkarności. Julia nie powiedziała o tym nikomu, nawet Cesarowi ani Munozowi. Nie wiedzieć czemu uważała nocne głucho telefony za coś wstydlivego, upokarzającego, co wdziera się w jej sferę domowej prywatności, w ciszę nocną, którą tak kochała, zanim zaczął się koszmar. Najbardziej przypominały rytualny gwałt, powtarzający się co noc, bez udziału słów czy gestów.

Odebrała, kiedy telefon zadzwonił szósty raz, i z ulgą rozpoznała głos Menchu. Ale ten spokój trwał tylko chwilę. Jej przyjaciółka musiała dużo wypić, może pochłoneła też, jak domyślała się Julia, sporo substancji znacznie mocniejszych niż alkohol. Podnosząc głos, żeby przekrzyczeć otaczający ją gwar i muzykę, i wypowiadając sensowne słowa pół na pół z bełkotem, Menchu oznajmiła, że jest w barze Stephan's, po czym wyrzuciła z siebie mętną opowieść, w której występowali Max, obraz van Huysa i Montegrifo. Julia nic z tego nie rozumiała, ale kiedy poprosiła przyjaciółkę, żeby jeszcze raz spokojnie opowiedziała jej, co zaszło, Menchu wybuchła pijackim, histerycznym śmiechem. Rozmowa została przerwana.

Julia wyszła na ulicę. Na dworze panowała lepka chłodna wilgoć. Trzęsąc się w grubej skórzanej kurtce, zatrzymała taksówkę. Podczas jazdy co chwila odwracała głowę do taksówkarza, z roztargnieniem reagując na jego cczą gadaninę, a światła miasta rzucały jej na twarz na przemian szybkie błyski i cienie. Wreszcie położyła głowę na oparciu i zamknęła oczy. Przed wyjściem z domu włączyła alarm elektroniczny i zamknęła drzwi na dwa razy. W bramie jej wzrok przyciągnęła kratka automatyczna —

mogła w niej tkwić kolejna karteczka. Tej nocy jednak niczego nie znalazła. Niewidzialny gracz dalej rozmyślał o swoim następnym ruchu.

W Stephan's był tłum. Pierwszą osobą, jaką ujrzała po wejściu, był Cesar, który siedział z Sergiem na otomanie. Chłopak, z grzywką w śmiesznym nieładzie, przytakiwał słuchając, co antykwariusz szepcze mu do ucha. Cesar palił, z nogą założoną na nogę, dłoń z papierosem położył na kolanie, drugą gestykulował blisko ramienia podopiecznego, jednak powstrzymując się przed kontaktem fizycznym. Na widok Julii poderwał się i poszedł jej na spotkanie. Nie wyglądał na zaskoczonego, że dziewczyna pojawiła się tu o tej porze, nieumalowana, w skórzanej kurtce i džinsach.

— Tam jest — powiedział tylko, pokazując wnętrze lokalu z miną obojętną, która źle maskowała lekkie rozbawienie.

— Na którejś z tych sof w głębi.

— Dużo wypila?

— Jak mityczna gąbka. Obawiam się, że poza tym dosłownie sypie się z niej biały proszek. . . Nie mogła tak często latać do damskiej ubikacji za potrzebą. — Spojrzał na żar papierosa i uśmiechnął się jadowniczo. — Dopiero co wywołała skandal, strzelając

w pysk Montegrifa na środku baru. . . Masz pojęcie, kochanie? Był to widok naprawdę — smakował w ustach słowo, nim wypowiedział je z miną konesera — rozkoszny.

— A Montegrifo?

Miejsce zadowolenia na twarzy antykwariusza zajął okrutny uśmiech.

— Był niesamowity, moja miła. Właściwie boski. Odszedł wyprostowany, z godnością, jak to on. Z szalenie wyzywającą blondynką pod rękę, trochę może wulgarną, ale dobrze ubraną. Ona dosłownie cała zaczerwieniona, i słusznie. To było coś — uśmiechnął się wyjątkowo złośliwie. — Muszę przyznać, księżniczko, że gość czuje światła rampy. Przyjął policzek ze spokojem, okiem nie mrugnął, jak jakiś twardziel z filmu. Ten wasz aukcjoner to ciekawy typek. . . Zachował się absolutnie w porządku. Jak prawdziwy matador.

— Gdzie jest Max?

— Nie widziałem go tu, czego bardzo żałuję. — Na jego usta powrócił przewrotny uśmiezek. — Byłaby to niezwykła rozrywka. Wisienka na torcie.

Zostawiwszy Cesara, Julia przeszła w głąb lokalu, po drodze pozdrawiając paru znajomych. Wreszcie zobaczyła przyjaciółkę. Menchu siedziała sama, wciśnięta w sofę,

oczy miała mętne, spódniczkę trochę za bardzo podciągniętą, a na jednej pończosze groteskowo puszczone oczko. Robiła wrażenie, jakby nagle postarzała się o dziesięć lat.

— Menchu. . .

Ledwie rozpoznała Julię. Mamrotała bez ładu i składu, uśmiechała się niedorzecznie. W końcu przechyliła głowę w lewo i w prawo i wybuchła krótkim, niepewnym śmiechem pijaczki.

— Przechlapałaś go sobie — powiedziała po chwili miękkim głosem, nie przestając się śmiać. — Ten młot stał tu, pół gęby jak pomidor. . . — Wyprostowała się nieco i potarła zaczerwieniony nos, nie dostrzegając ciekawskich i zgorszonych spojrzeń, jakie posyłano jej z sąsiednich stolików, — Głupi bezczel.

Julia czuła, że cały lokal wlepił w nie oczy, mogła dosłyszeć ciche komentarze. Mimowolnie się zarumieniła.

— Jesteś w stanie stąd wyjść?

— Chyba tak. . . Ale czekaj, opowiem ci. . .

— Później. Teraz idziemy.

Menchu wstała z wysiłkiem, szarpiąc w dół spódniczkę. Julia narzuciła jej płaszcz na ramiona i z jaką taką godnością wyprowadziła ku drzwiom. Podszedł do nich Cesar.

— Wszystko w porządku?

— Tak. Poradzę sobie.

— Na pewno?

— Na pewno. Do jutra.

Na ulicy Menchu, chwając się zdezorientowana, szukała wzrokiem taksówki. Ktoś z okna przejeżdżającego samochodu obdarzył ją epitetem.

— Zabierz mnie do domu, Julia... Proszę.

— Twojego czy mojego?

Popatrzyła na nią, jakby z trudem ją rozpoznawała. Poruszała się jak lunatyczka.

— Do twojego.

— A Max?

— Już po Maksie... Pożarliśmy się... Koniec.

Zatrzymały taksówkę, Menchu zwinęła się w kłębek na tylnym siedzeniu. Po chwili wybuchła płaczem. Obejmując ją, Julia poczuła, że jej przyjaciółka cała się trzęsie

pośród szlochów. Samochód stanął na światłach, blask okna wystawowego padł na jej udręczoną twarz.

— Przepraszam. . . Jestem ostatnia. . .

Julii było aż nieprzyjemnie ze wstydu. Co za absurdalna sytuacja. Cholerny Max — powiedziała w duchu. — Cholera z nimi wszystkimi.

— Nie gadaj głupot — przerwała jej rozdrażniona. Popatrzyła na plecy taksówkarza, który przyglądał im się zaciekawiony w lusterku, a kiedy znów odwróciła się do Menchu, zaskoczona napotkała w jej oczach niespodziewany, krótki przeblysłk trzeźwości. Jak gdyby opary narkotyku i alkoholu nie zdołały opanować wszystkich zakamarków jej organizmu. Julia dostrzegła tam niezmiernie głębokie o mrocznych znaczeniach. Ten wyraz twarzy tak nie pasował do ogólnego stanu jej przyjaciółki, że poczuła się zbita z pantałyku. I wtedy Menchu znowu przemówiła, a jej słowa zabrzmiały jeszcze dziwniej.

— Ty niczego nie rozumiesz. . . — kręciła z bólem głową, jak zranione zwierzę. — Ale niech się dzieje, co chce. . . Chcę, żebyś wiedziała. . .

Urwała, jakby właśnie ugryzła się w język, jej spojrzenie wtopiło się w ciemność. Taksówka na nowo ruszyła, a Julia siedziała zamyślona i zdezorientowana. Trochę za dużo jak na jedną noc. Jeszcze brakuje — pomyślała z głębokim westchnieniem, obawiając się, że cała sytuacja nie wróży niczego dobrego — żeby w domofonie tkwiła kolejna karteczka.

Tej nocy obyło się bez karteczek, mogła się więc zająć Menchu, która poruszała się jak we mgle. Zanim ją położyła, zrobiła jej dwie filiżanki kawy. Krok po kroku, z cierpliwością prawdziwego psychoanalityka przy kozetce, udało jej się mimo bełkotliwych pomruków i chwil milczenia odtworzyć wydarzenia tego dnia. Maxowi, okropnemu Maxowi, przyszło do głowy, że wybierze się w podróż, i to w najmniej odpowiedniej chwili. Jakiś idiotyzm związany z pracą w Portugalii. Menchu przeżywała trudny okres, więc uznała postanowienie Maxa za akt egoistycznej dezercji. Zaczęli się kłócić, w wyniku czego Max, zamiast załagodzić kwestię w łóżku, jak miał dotąd w zwyczaju, trzasnął drzwiami. Menchu nie miała pojęcia, czy wróci, czy też nie, ale w tym momencie

guzik ją to obchodziło. Nie chcąc sterczeć w domu sama, postanowiła pójść do baru Stephan's. Parę działek koki postawiło ją na nogi, wprawiając w stan agresywnej euforii. . . Siedziała w kącie, nie myśląc o Maksie, sączyła jedno za drugim bardzo wytrawne martini i zaczynała nawiązywać kontakt wzrokowy z upiornie przystojnym facetem, któremu najwyraźniej nie była obojętna, kiedy nagle scena się zmieniła: Paco Montegrifo wpadł na kretyński pomysł, żeby się pojawić akurat w tym miejscu, w towarzystwie jednej z tych obwieszonych klejnotami zdzir, z którymi często się prowadzał. . . Sprawa procentu jeszcze była świeża, Menchu wyczuła niejaką ironię w powitaniu dyrektora, co podziałało na nią, jak to piszą w powieściach, niczym sól sypana na ranę. Strzeliła go w pysk bez namysłu, pac, jak w dawnych, dobrych czasach, ku wielkiemu zdumieniu zainteresowanego. . . Wielki skandal, koniec pieśni. Kurtyna.

Menchu zasnęła równo o drugiej w nocy. Julia przykryła ją kocem i jeszcze przez chwilę czuwała obok, patrząc, jak przyjaciółka śpi niespokojnie, co jakiś czas wierci się i mruczy coś niezrozumiale przez zaciśnięte usta, z włosami na twarzy w zupełnym nieładzie. Julia przypatrywała się zmarszczkom wokół jej ust, oczom, z których łzy i pot zmyły częściowo makijaż, pozostawiając czarne, patetyczne ślady: Menchu wyglądała

jak dojrzała kurtyzana po nieprzyjemnej nocy. Cesar z pewnością wyciągnąłby tu zjadliwe wnioski, ale w tym momencie Julia nie miała ochoty go słuchać. Zaczęła błagać własne przeznaczenie by, kiedy przyjdzie jej kolej, pozwoliło jej odpuścić i zestarzeć się z godnością. Westchnęła z niezapalonym papierosem w ustach. Nie dysponować tratwą ani choćby deską, która pomogłaby ocalić skórę podczas powodzi — to musi być straszne. Zdała sobie sprawę, że właścicielka galerii mogłaby być jej matką. Zawstydziała się tą myślą, jak gdyby wykorzystywała sen przyjaciółki do tego, by w jakimś sensie jej się sprzeniewierzyć.

Dopiła resztkę zimnej kawy i zapaliła. Deszcz znowu bębnił w szybę lukarny. To dźwięk samotności — pomyślała z goryczą. Szum deszczu przypomniawszy jej tamtą ulewę sprzed roku, kiedy przyszło jej skończyć z Alvarem, i poczuła, że wtedy coś w niej w środku nieodwołalnie pękło, na podobieństwo bezpowrotnie zepsutego mechanizmu. Zrozumiała także, że od tamtej pory owa słodko-gorzka samotność ogarniająca jej serce stała się jej główną, nieodłączną towarzyszką, od której nie uwolni się już nigdy, dokądkolwiek powiodą ją ścieżki życia, pod niebiosami, gdzie bogowie umierają ze śmiechu. Tamtej nocy deszcz dłuższy czas padał i na nią, gdy tak siedziała skulona pod

prysznicem, otulona parą niczym gorącą mgłą, a łzy mieszały się z wodą chlapiącą na włosy zakrywające twarz, na jej nagie ciało. Z tą czystą, ciepłą wodą, pod którą spędziła niemal godzinę, odpłynął i Alvaro, na rok przed swoją śmiercią fizyczną, rzeczywistą i ostateczną. Wyrokiem chorej ironii, którą tak uwielbia Przeznaczenie, sam Alvaro miał skończyć właśnie w wannie, z otwartymi oczami i skrzyconym karkiem, w strugach wody. W strugach deszczu.

Odpędziła wspomnienie. Rozwiało się wraz z kłębem dymu w mrokach pokoju. Pomyślała o Cesarze i pokiwała głową w takt melancholijnej muzyki, jaka grała w jej wyobraźni. Zapra gnęła położyć mu głowę na ramieniu, zamknąć oczy, wciągnąć ten od dzieciństwa znany jej zapach tytoniu i mirry... Cesar. Przeżyć z nim jeszcze raz te wszystkie przygody, w których od początku wiadomo, że kończą się dobrze.

Znów zaciągnęła się dymem papierosa i trzymała go w płucach dłużej chwilę, chcąc oszołomić się do tego stopnia, by jej myśli popłynęły gdzieś bardzo daleko. Tak strasznie dawno minęły czasy szczęśliwych zakończeń, tak bardzo nie pasowały do jej obecnej wiedzy...! Czasem trudno jest spojrzeć w lustro i zobaczyć tam wiecznego wygnańca z Nibylandii.

Zgasiła światło i dalej paliła, siedząc na dywanie, przed dziełem van Huysa, którego tylko domyślała się w ciemności. Papieros dawno się wypalił, a ona jeszcze trwała nieruchomo, oczami wyobraźni widząc postacie z obrazu i słysząc daleki szum fal ich życia. Tamta partia szachów przekracza granice epok i krajów, nadal trwa, jak tykanie powolnego, bezlitosnego mechanizmu zegara rzucającego wyzwanie stuleciom. Nikt nie jest w stanie przewidzieć zakończenia. Wreszcie Julia zapomniała o wszystkim, i Menchu, o tęsknocie za straconym czasem, i poczuła dobrze znany dreszcz. Owszem, był to dreszcz strachu, ale także dziwnej, osobliwej pociechy. Coś w rodzaju niezdrowego wyczekiwania. Pamiętała to z dzieciństwa, kiedy przytulała się do Cesara, czekając na kolejną opowieść. W końcu kto powiedział, że kapitan Jakub Hak rozwiął się w mrokach przeszłości? Może po prostu teraz gra w szachy.

Kiedy się obudziła, Menchu jeszcze spała. Ubrała się po cichu, położyła na stole jeden komplet kluczy i wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi. Była prawie dziesiąta rano, deszcz ustąpił miejsca brudnej mieszaninie mgły i spalin, w której zacierały

się szare kontury budynków, samochody sprawiały wrażenie widm. Ich włączone światła odbijały się w asfalcie w postaci grup niezliczonych drobnych, jasnych punkcików. W tym nierzeczywistym blasku Julia szła z dłońmi wciśniętymi w kieszenie płaszcza.

Belmonte przyjął ją w salonie, w którym na ścianie wciąż widział ślad po van Huijsie. Z gramofonu dobiegały oczywiście dźwięki Bacha i Julii przyszło do głowy, gdy wyjmowała z torebki raport, że może starzec nastawia go przy każdej jej wizycie. Belmonte żałował, że nie przyszedł z nią Munoz, matematyk-szachista, jak się wyraził z czytelną ironią, a następnie, siedząc w wózku inwalidzkim, rzucił okiem na raport przygotowany przez Julię: dane historyczne, końcowe wnioski Munoz w odniesieniu do zagadki Rogera d'Arras, zdjęcia poszczególnych faz renowacji oraz kolorowy prospekt na temat obrazu i aukcji, niedawno wydrukowany przez Claymore'a. Czytał w milczeniu, kiwając z zadowoleniem głową. Chwilami podnosił wzrok, by popatrzeć na Julię z podziwem, po czym znów zagłębiał się w lekturze.

— Znakomite — orzekł, kiedy skończył i zamknął teczkę. — Jest pani niezwykle młodą osobą.

— To nie tylko moja zasługa. Jak pan wie, sporo ludzi nad tym pracowało... Paco Montegrifo, Menchu Roch, Munoz... — zawahała się. — Zwróciliśmy się też do znawców sztuki.

— Mówi pani o zmarłym profesorze Ortedze?

Julia popatrzyła na niego zaskoczona.

— Nie sądziłam, że pan wie.

Starzec uśmiechnął się krzywo.

— Otóż wiem. Kiedy zmarł, policja skontaktowała się z moją bratanicą, z jej mężem i ze mną... Przyszedł tu jakiś inspektor, żeby mnie przesłuchać, nie pamiętam nazwiska... Taki gruby, z gęstymi wąsami.

— To Feijoo. Nadinspektor Feijoo — spuściła wzrok zażenowana. Niech to szlag trafi. Niech szlag trafi bezmyślnego policjanta. — ... Ostatnim razem, kiedy tu byłam, nic mi pan nie mówił.

— Miałem nadzieję, że sama mi pani powie. A skoro pani milczała na ten temat, to wnosilem, że miała pani swoje powody.

Wyczuła w jego głosie rezerwę i zdała sobie sprawę, że chyba traci sojusznika.

— Uważałam. . . To znaczy, naprawdę jest mi przykro. Nie chciałam pana niepokoić tymi historiami. Ostatecznie pan. . .

— Chodzi pani o mój wiek i zdrowie? — Belmonte splótł na brzuchu kościste, pokryte plamami dłonie. — Czy może bała się pani, że to wpłynie na losy obrazu?

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy, nie wiedząc sama, co odrzec. Wreszcie wzruszyła ramionami z uśmiechem i wyrazem szczerzego zakłopotania na twarzy. Doszła do wniosku, że tylko taka reakcja zadowoli gospodarza.

— Jak mam się panu wytłumaczyć? — wymamrotała i stwierdziła, że był to strzał w dziesiątkę: Belmonte też się uśmiechnął, przystając na zaproponowany przez nią poufny ton.

— Proszę się nie martwić. Życie nie jest łatwe, a co dopiero stosunki między ludźmi.

— Zapewniam pana, że. . .

— O niczym nie trzeba mnie zapewniać. Mówiliśmy o profesorze Ortedze. . . To był wypadek?

— Chyba tak — skłamała. — Przynajmniej o ile mi wiadomo.

Stary popatrzył na swoje dłonie. Nie sposób było orzec, czy jej uwierzył.

— Niezależnie od wszystkiego, to potworna historia... Nie sądzi pani? — W jego głębokim, poważnym spojrzeniu dostrzegła lekki niepokój. — Te sprawy, mam na myśli śmierć, robią na mnie spore wrażenie. A w moich latach powinno być odwrotnie. Ciekawe, że wbrew wszelkiej logice człowiek przywiązuje się do własnej egzystencji z siłą odwrotnie proporcjonalną do tej resztki życia, jaka mu została.

Przez moment Julia miała ochotę zdradzić mu pozostałą część historii: opowiedzieć o tajemniczym szachiście, o groźbach, o mrocznych przecuciach, jakie ją ogarniały. O przekleństwie van Huysa, którego ślad, pusty prostokąt pod zardzewiałym gwoździem, spoglądał na nich ze ściany na podobieństwo złej wróżby. Ale to wiązało się z wyjaśnieniami, których nie miała siły mu udzielić. Bała się, że niepotrzebnie jeszcze bardziej starszego pana zaniepokoi.

— Nie ma się czym tak przejmować — skłamała znowu z absolutnym spokojem. — Wszystko jest pod kontrolą. Podobnie jak obraz.

Uśmiechnęli się do siebie, ale były to uśmiechy wymuszone. Julia nadal nie miała pojęcia, czy Belmonte jej wierzy, czy nie. Po chwili gospodarz zmarszczył czoło.

— Co się tyczy obrazu, chciałbym coś pani powiedzieć. . . — przerwał i chwilę myślał. — Poprzednim razem, kiedy odwiedziliście mnie państwo, pani i ten szachista, już po państwa wyjściu zastanawiałem się nad treścią obrazu van Huysa. . . Przypomina sobie pani naszą dyskusję o systemie niezbędnym do zrozumienia innego systemu, że obydwa potrzebują jeszcze systemu wyższego rzędu, i tak w nieskończoność. . . ? Wiersz Borgesa o szachach, pytanie, jaki bóg spoza Boga porusza graczem, który figurę trzyma. . . ? Otóż widzi pani, sędzę, że coś takiego jest z tym obrazem. Że coś jest zawarte w samym sobie, co samo się powtarza, a człowiek podążając za tym, dociera do punktu wyjścia. . . W moim odczuciu prawidłowy klucz do odczytania „Partii szachów” nie otwiera przed nami drogi linearnej, czyli następstwa faktów, które oddalałoby nas od punktu początkowego. Ten obraz obraca się sam wokół siebie, jak gdyby prowadził do własnego wnętrza. . . Rozumie mnie pani?

Zasłuchana w słowa starca, Julia skinęła głową. Usłyszała po prostu racjonalne, wypowiedziane na głos potwierdzenie własnych domysłów. Przypomniała sobie swój szkic, sześć poziomów, które zawierały się jedno w drugich, wieczny powrót do punktu wyjścia, obrazy wewnątrz obrazów.

— Rozumiem to lepiej, niż pan przypuszcza — odparła.

— To jakby obraz oskarżał sam siebie.

Belmonte zawahał się, zmieszany.

— Oskarżał? To trochę wykracza poza mój tok rozumowania — zadumał się przez chwilę, po czym jednym mchem brwi wykluczył ten niezrozumiały dlań wątek.

Miałem na myśli coś innego... — pokazał w kierunku gramofonu. — Niech pani posłucha Bacha.

— Jak zwykle.

Belmonte uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Dzisiaj nie planowałem towarzystwa Johanna Sebastiana, ale postanowiłem go przywołać na pani cześć. Mówię o Suicie francuskiej numer 5. Proszę zauważyć: ta kompozycja składa się z dwóch połówek, każda z nich zostaje powtórzona. Tonika pierwszej połowy to G, ale gdy dobiega do końca, jest już w tonacji D... Kojarzy pani? I teraz proszę o uwagę: wydaje się, że utwór skończył się w tej tonacji, ale nasz podstępny Bach każe nam raptem wrócić do początku, znów mamy tonikę G i znów transpozycję na D. Nawet nie wiemy jak, a dzieje się to raz za razem... I co pani na to?

— Pasjonujące — Julia śledziła z zapartym tchem zmiany akordów. — To jak nieustająca pętla. . . Jak obrazy i rysunki Eschera, gdzie rzeka płynie, spada kaskadą i w niewytłumaczalny sposób trafia do punktu wyjścia. . . Albo schody, które prowadzą do nikąd, do własnego początku.

Belmonte uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Właśnie. A przecież można grać według różnych kluczy. — Spojrzał na pusty prostokąt na ścianie. — Trudno jest, jak sądzę, zdać sobie sprawę, w którym punkcie tych kręgów człowiek się znajduje.

— Ma pan rację. Ciężko byłoby mi to panu wytłumaczyć, ale coś podobnego jest w całej sprawie obrazu. Kiedy już się wydaje, że historia się kończy, nagle zaczyna się na nowo, choć w trochę innym kierunku. Pozornie w innym. . . Bo może wcale nie ruszamy się z miejsca.

Belmonte wzruszył ramionami.

— Ten paradoks muszą rozstrzygnąć państwo, pani i pani znajomy szachista. Mnie brakuje danych. Poza tym, jak pani wie, jestem amatorem. Nawet nie byłem w stanie

domyślić się, że tę partię trzeba rozegrać do tyłu. — Zapatrzył się na Julię. — A mając Bacha na uwadze, to z mojej strony błąd nie do wybaczenia.

Dziewczyna wsunęła dłoń do torebki po paczkę papierosów i zadumała się nad najnowszymi niespodziewanymi interpretacjami. Po nitce do kłębka — pomyślała. — Za dużo tych nici jak na jeden kłębek.

— A poza policją i mną odwiedzał pana ostatnio ktoś, kto interesował się obrazem...? Albo szachami?

Starzec zwlekał z odpowiedzią, może usiłując doszukać się w tym pytaniu ukrytych intencji. Wreszcie wzruszył ramionami.

— Ani tym, ani tym. Kiedy żyła moja żona, istotnie, ludzie tu przychodzili. Była bardziej towarzyska ode mnie. Od kiedy jestem wdowcem, utrzymałem zaledwie paru przyjaciół. Na przykład Estebana Cano. Pani jest za młoda, żeby pamiętać czasy, gdy był wziętym skrzypkami... Ale umarł zimą, teraz będzie już dwa lata... Prawdę mówiąc, mój stary, niewielki krąg towarzyski stale się zmniejsza. Należę do nielicznych, co przeżyli — uśmiechnął się z rezygnacją. — Jeszcze jest Pepe, dobry przyjaciel. Pepin Perez Gimenez, też na emeryturze, do dzisiaj chadza do kasyna i wpada tu od czasu

do czasu uciąć partyjkę. Ale ma już prawie siedemdziesiąt lat i silne bóle głowy, jak gra dłużej niż pół godziny. Swego czasu był wielkim szachistą. . . Czasami grywa ze mną. Albo z moją bratanicą.

Julia brała właśnie papierosa do ręki, ale w tym momencie zamarła. Powróciła do przerwanej czynności bardzo powoli, jakby się bała, że gwałtowny albo niecierpliwy gest może zatrzeć to, co przed chwilą usłyszała.

— Pańska bratanica gra w szachy?

— Lola. . . ? Całkiem nieźle. — Inwalida uśmiechnął się w szczególny sposób, żałując może, że ta zaleta bratanicy nie ma siostr w innych dziedzinach życia. — Sam przed laty nauczyłem ją grać. Ale przerosła mistrza.

Julia z najwyższym trudem starała się zachować spokój. Siłą woli niespiesznie zapaliła papierosa i zanim przemówiła, wypuściła dwie długie smugi dymu. Serce trzepotało jej w piersiach. Strzeliła na ślepo.

— Co pańska bratanica sądzi o obrazie. . . ? Jest zadowolona, że zdecydował się pan go sprzedać?

— Jest cała w skowronkach. A jej mąż tym bardziej — w głosie Belmontego zabrzmiała nutka goryczy. — Przypuszczam, że Alfonso już z góry wie, na które numery w ruletce postawi każdego centyma uzyskanego z van Huysa.

— Jeszcze ich nie ma — zauważyła Julia, wpatrując się w gospodarza.

Inwalida z niezmaconym spokojem wytrzymał to spojrzenie i dłuższą chwilę nie odpowiadał. W jego jasnych, wilgotnych oczach pojawił się surowy blask, by po chwili zgasnąć.

— Za moich czasów — powiedział z niespodziewanie dobrym humorem, a Julia mogła teraz dostrzec w jego oczach jedynie łagodną ironię — mawiało się, żeby nie dzielić skóry na żywym niedźwiedziu.

Julia poczęstowała go papierosem.

— Czy bratanica poruszała kiedykolwiek temat zagadki obrazu, postaci albo samej partii szachów?

— Nie przypominam sobie. — Stary zaciągnął się głęboko dymem. — Pani pierwsza przyniosła nam nowiny o obrazie. Dla nas to był zawsze obraz szczególny, ale nie

niezwykły... Ani tajemniczy. — Spojrzał w zamyśleniu na prostokąt na ścianie. — Wydawało się, że wszystko jest na wierzchu.

— A nie wie pan, czy zanim albo w czasie, kiedy Alfonso przedstawił państwu Menchu Roch, pańska bratanica dogadywała się z kimś innym?

Belmonte zmarszczył czoło. Najwyraźniej taka ewentualność bardzo mu była nie w smak.

— Mam nadzieję, że nie. Koniec końców, to był mój obraz. — Popatrzył na papierosa w ręku wzrokiem, jakim umierający spogląda na święte oleje, i na jego ustach pojawił się słaby chytry uśmiezek, nie pozbawiony inteligentnej złośliwości. — I ciągle jest mój.

— Pozwoli pan, don Manuelu, że jeszcze o coś zapytam?

— Pani pozwolę na wszystko.

— Czy słyszał pan kiedykolwiek, żeby bratanica rozmawiała z mężem o zasięgnięciu opinii historyka sztuki?

— Nie sędę. Nie przypominam sobie, a chyba o czymś takim bym nie zapomniał. . .
— Patrzył na Julię zaintrygowany i pełen podejrzeń. — Profesor Ortega zdaje się być kimś takim, prawda. . . ? Historykiem sztuki. Nie sugeruje pani chyba. . .

Julia postanowiła zwijać żagle. Wołała nie posuwać się za daleko, więc wybrnęła z sytuacji za pomocą najpiękniejszego ze swoich uśmiechów.

— Nie myślałam o Alvarze Ortedze, ale o jakimkolwiek historyku sztuki. . . Ale to nic dziwnego, jeśli była ciekawa, ile obraz jest wart albo jakie są jego dzieje. . .

Belmonte zerknął zadumany na plamy pokrywające wierzch jego dłoni.

— Nigdy o tym nie wspominała. Spodziewam się zresztą, że powiedziałyby mi, bo dużo rozmawialiśmy o van Huysie. Zwłaszcza kiedy rozgrywaliśmy tę samą partię, nad którą siedzą postacie. . . Rzecz jasna graliśmy ją do przodu. Wie pani co. . . ? Chociaż przewaga jest po stronie białych, Lola, grając czarnymi, zawsze wygrywała.

Prawie przez godzinę chodziła tam i sam we mgle i usiłowała uporządkować myśli. Na twarzy i włosach perlily jej się krople wilgoci. Przeszła obok wejścia do hotelu Pa-

lace, którego odźwierny, wystrojony w cylinder i uniform ze złotymi galonami, schronił się pod markizą, owinięty w płaszcz, który nadawał mu bardzo dziewiętnastowieczny i londyński wygląd, jak ulał do mgły. Brakuje tu jeszcze — pomyślała — dorożki z latarnią przyćmioną na skutek smogu, oraz wysiadających z niej Sherlocka Holmesa i jego wiernego Watsona. A gdzieś w brudnej mgle mógłby czaić się niecny profesor Moriarty. Napoleon zbrodni. Geniusz zła.

Za dużo ludzi gra ostatnio w szachy. Każdy może mieć wystarczające powody, żeby interesować się van Huyssem. Za dużo portretów dostrzega wewnątrz tego cholernego obrazu.

Munoz. On był jedyną osobą, którą poznała po tym, jak pojawiła się tajemnica. Podczas niespokojnych godzin, kiedy przekręcała się w łóżku, na próżno kusząc sen, tylko jego nie widywała w koszmarnych wizjach. Na jednym końcu kłębka Munoz, a cała reszta postaci na drugim. Ale jego też nie mogła być pewna. Rzeczywiście, poznała go potem, kiedy pierwsza tajemnica już się ujawniła, ale zanim historia wróciła do punktu wyjścia i nabrała odmiennej tonacji. Przy tak zaawansowanym splocie wydarzeń nie

można było mieć absolutnej pewności, że śmierć Alvara i pojawienie się tajemniczego szachisty to elementy tego samego posunięcia.

Zrobiła jeszcze parę kroków i stanęła, czując, że twarz ma całą moką od otaczającej mgły. W ostatecznym rozrachunku pewna mogła być tylko siebie samej. Tylko tym dysponowała, żeby iść naprzód. Tym — i pistoletem, który dalej nosiła w torebce.

Poszła do klubu szachistów. W holu leżały trociny, widać było parasole, płaszcze i peleryny, unosił się zapach wilgoci, dymu tytoniowego i szczególnie woń miejsc uczęszczanych wyłącznie przez mężczyzn. Przywitała się z dyrektorem Cifuentesem, który usłużnie wyszedł jej na spotkanie, a gdy pomruki na widok dziewczyny jęły cichnąć, rozejrzała się po stołach, chcąc odnaleźć Munozę. Siedział pochłonięty grą, oparty łokciem o poręcz krzesła. Nieruchomy, z podbródkiem w dłoni, przypominał sfinksa. Jego przeciwnik, młody człowiek w grubych okularach dalekowidza, oblizywał wargi i strzelał niespokojnymi spojrzeniami w kierunku wytrawnego gracza, jakby obawiał się, że ten lada chwila zniszczy misterną linię obronną, którą, sądząc po nerwowym

zachowaniu i wyczerpanej minie, zbudował wokół własnego króla z najwyższym wysiłkiem.

Munoz był jak zwykle spokojny i nieobecny i można by przysiąc, że jego oczy nie tyle studiują szachownicę, ile raczej odpoczywają patrząc na nią. Kto wie, może właśnie oddawał się tym marzeniom, o których kiedyś opowiadał Julii, szybował myślą tysiące kilometrów od stolika szachowego, a jego matematyczny umysł układał i wykluczał nieskończone kombinacje? Trzech czy czterech kibiców przyglądało się rozgrywce z pozornie większym zainteresowaniem, niż dawało się zauważyć u samych zawodników. Co i raz wymieniali po cichu komentarze, sugerując taki czy inny ruch. Napięcie panujące wokół stołu kazało przypuszczać, że oczekiwano teraz decydującego posunięcia Munoz, które ostatecznie pogrzebie młodego okularnika. To dodatkowo tłumaczyło nerwy tego ostatniego, który oczami wyolbrzymionymi przez szklane soczewki patrzył na swojego przeciwnika niczym niewolnik na arenie, otoczony przez lwy, co błaga o zmiłowanie wszechpotężnego cesarza w purpurach.

W tym momencie Munoz podniósł wzrok i zobaczył Julię. Przez parę sekund przypatrywał jej się uważnie, jak gdyby jej nie poznał, po czym powoli wrócił do siebie ze

zdziwieniem na twarzy. Przypominał kogoś, kto zbudził się ze snu albo przyjechał z dalekiej podróży. Gestem zaprosił dziewczynę w pobliże stolika, jego spojrzenie wyraźnie się ożywiło. Znów zerknął na szachownicę, chcąc sprawdzić, czy tam wszystko w porządku, by w końcu bez wahania, nie spiesząc się i nie na chybcika, ale z rozmysłem — przesunąć pionka. Wokół stołu rozległ się pomruk rozczarowania, a młody okularnik popatrzył na niego najpierw zdumiony, jakby był skazańcem ułaskawionym tuż przed egzekucją, następnie zaś uśmiechnięty i zadowolony.

— No, dalej to już warcaby — ocenił któryś z gapiów.

Munoz, wstając od stołu, wzruszył ramionami.

— Tak — odparł. Nie patrzył już na szachownicę. — Ale goniec na d7 doprowadziłby do mata w pięciu.

Porzucił grupkę i podszedł do Julii, tymczasem kibice Studiowali wariant, o którym przed chwilą mówił. Julia ukradkiem pokazała w ich stronę.

— Muszą nienawidzić pana z całego serca — rzekła cicho.

Szachista przechylił głowę, a jego minę równie dobrze można było uznać za daleki uśmiech, jak i za grymas pogardy.

— Pewnie tak — odpowiedział, wziął do ręki płaszcz i ruszył naprzód. — Zlatują się jak sępy, w nadziei że będą świadkami, jak ktoś mnie wreszcie rozszarpie na strzępy.

— Ale pan pozwala z sobą wygrać. . . Dla nich to musi być upokarzające.

— Mniejsza o to — w jego głosie nie było śladu zadufania ani dumy, tylko bezinteresowna wzgarda. — Za nic w świecie nie chcą stracić żadnej mojej partii.

W szarej mgle okalającej muzeum Prado Julia poinformowała go o okolicznościach rozmowy z Belmontem. Munoz wysłuchał do końca bez słowa komentarza, nawet kiedy dziewczyna wyjawiała mu, jakie hobby ma bratanica. Wilgoć nie przeszkadzała szachistom: spacerował powoli, wsłuchany w opowieść Julii, w rozpiętym płaszczu, z poluźnionym, jak zwykle, węzłem krawata. Głowę miał pochyloną, a oczy wbite w niezbyt czyste czubki butów.

— Pytała mnie pani kiedyś, czy kobiety też grają w szachy. . . — odezwał się w końcu. — Odpowiedziałem wtedy, że wprawdzie szachy są grą typowo męską, ale zdarzają się dobre szachistki. Tyle że należą do wyjątków.

— Które, jak podejrzewam, potwierdzają regułę.

Munoz potarł dłonią czoło.

— Źle pani podejrzewa. Wyjątek nie tyle potwierdza, ile unieważnia albo niszczy wszelkie reguły... Dlatego tak bardzo trzeba uważać przy wyprowadzaniu wniosków. Ja tylko powiedziałem, że kobiety słabo grywają w szachy, a nie, że wszystkie źle grają. Rozumie mnie pani?

— Rozumiem.

— Nie przeczy to faktowi, że w praktyce kobiety mają nienadzwyczajne wyniki jako szachistki... Dam pani przykład: w Rosji, gdzie szachy są narodową rozrywką, tylko jednej kobiecie — Wierze Mienczik, udało się dorównać największym mistrzom.

— Z czego to wynika?

— Może z tego, że szachy wymagają zbyt dużej obojętności na świat zewnętrzny.
— Zatrzymał się i popatrzył na Julię. — A jaka jest ta Lola Belmonte?

Dziewczyna zamyśliła się.

— Nie wiem, jak ją określić. Antypatyczna. Być może despotka... Agresywna. Szkoda, że nie było jej w domu, jak poszliśmy tam obydwój.

Stali koło cembrowiny kamiennej fontanny, zwieńczonej niewyraźną sylwetką posągu, który groźnie pochylał się ku nim we mgle. Munoz przygładził włosy do tyłu, spojrzął na zmoczoną dłoń i wytarł ją o płaszcz.

— Agresja, uzewnętrzniona albo wewnętrzna, charakteryzuje wielu graczy — uśmiechnął się zdawkowo, nie precyzując, czy ta definicja obejmuje także jego. — Szachistę zazwyczaj utożsamia się z człowiekiem osaczonym, w jakiś sposób uciskanym. . . Atak na króla, czyli sens gry, zamach na władcę, byłby więc formą wyzwolenia się z tego stanu. Widziana z takiej perspektywy gra może zainteresować kobietę. . . — przez usta Munozą znów przebiegł słaby uśmiech. — Podczas rozgrywki ludzie wokół wydają się bardzo malutcy.

— A poprzez ruchy naszego przeciwnika odkrył pan u niego podobną cechę?

— To niełatwe pytanie. Mam za mało danych. Za mało ruchów. Na przykład: kobiety wykazują często predylekcję do gry gońcami — wchodząc w szczegóły, Munoz wyraźnie się ożywił. — . . . Nie znam przyczyn, dla których tak się dzieje, ale być może ta figura, poruszająca się bardzo w głąb szachownicy i po przekątnej, ma najbardziej żeński charakter ze wszystkich. — Machnął ręką, jakby sam nie przywiązywał specjal-

nej wagi do tego, co mówił, i chciał wymazać własne słowa. — Na razie jednak czarne gońce nie odgrywają w naszej partii ważnej roli. . . Jak pani widzi, mamy mnóstwo pięknych teorii, które do niczego nie służą. . . Stoimy przed problemem podobnym do tego na szachownicy: jesteśmy w stanie sformułować hipotezy, domysły, ale bez dotykania bierek.

— A zdradzi mi pan którąś hipotezę. . . ? Czasem mam wrażenie, że doszedł pan do jakichś wniosków, ale nie chce ich nam pan wyjawić.

Munoz przechylił głowę, jak zwykle, gdy miał się zmierzyć z trudnym zagadnieniem.

— To skomplikowana sprawa — odparł po krótkim wahaniu. — Mam w głowie parę koncepcji, ale stoję przed problemem, o którym właśnie pani powiedziałem. . . W szachach nie ma sposobu, żeby coś udowodnić, dopóki nie zrobi się ruchu, a wtedy już za późno na korektę.

Ruszyli dalej, mijając z jednej strony kamienne ławki, z drugiej zamazane we mgle ogrodzenia. Julia westchnęła cicho.

— Gdyby ktoś mi powiedział, że będę iść śladem mordercy po szachownicy, uważałbym, że oszalał. Do imentu.

— Już mówiłem pani, że szachy mają dużo wspólnego z dochodzeniem policyjnym. — Munoz znowu machnął dłonią w powietrzu, jakby przesuwając figurę po planszy. — Jeszcze przed Conan Doyle’em ma pani metodę analityczną Lupina, u Poe.

— Edgara Allana Poe...? Nie uwierzę, że on też grał w szachy.

— Był wielbicielem szachów. Najślynniejszą anegdotą jest jego śledztwo w sprawie tak zwanego Gracza Maelzela, który prawie nigdy nie przegrał partii... Poe poświęcił mu esej napisany w tysiąc osiemset trzydziestym którymś. Żeby rozwikłać jego zagadkę, przeprowadził szesnaście wariantów analitycznych, by wreszcie dojść, że wewnątrz automatu musi znajdować się ukryty człowiek.

— I to samo pan robi? Szuka ukrytego człowieka?

— Próbuję, ale to niczego nie gwarantuje. Nie jestem Allanem Poe... .

— Oby się panu udało, to leży w moim interesie... . Pan jest moją ostatnią nadzieją. Munoz poruszył ramionami i milczał przez chwilę.

— Nie chciałbym, żeby się pani za bardzo łudziła — rzekł, przeszedłszy kilka kroków. — Kiedy zaczynałem grać w szachy, były takie momenty, w których sądziłem, że nie przegram żadnej partii. . . I nagle, w samym środku euforii, padałem pokonany i dopiero klęska pozwalała mi znów stanąć twardo na ziemi — przymknął oczy, jakby czał się na kogoś we mgle. — Okazuje się, że każdy znajdzie lepszego od siebie przeciwnika. Dlatego dobrze jest trwać w zdrowej niepewności.

— Mnie ta niepewność wykańcza.

— Ma pani powody, by tak to odczuwać. Przystępując do partii, szachista wie, że walka będzie bezkrwawa. Pociesza się, że to w końcu tylko gra. . . Pani przypadek jest inny.

— A pan. . . ? Uważa pan, że on domyśla się pańskiej roli w tej historii?

Munoz zrobił wymijającą minę.

— Nie mam pojęcia, czy on wie, kim jestem. Ale jest pewien, że ktoś potrafi odczytać jego posunięcia. W innym razie gra nie miałaby sensu.

— Chyba powinniśmy odwiedzić Lolę Belmonte.

— Zgoda.

Julia spojrzała na zegarek.

— Jesteśmy blisko mojego domu, więc najpierw zapraszam pana na kawę. Jest u mnie Menchu, pewnie już wstała. Ma problemy.

— Poważne?

— Na to wygląda. Wczoraj w nocy zachowywała się nad wyraz dziwnie. Chciałabym, żeby pan ją poznał — zamyśliła się z niewesołą miną. — Zwłaszcza teraz.

Przeszli na drugą stronę alei. Samochody jechały powoli, oślepiając ich światłami.

— Jeśli to Lola Belmonte zorganizowała cały ten horror — rzekła Julia nagle — to ją zamorduję tymi rękami. . .

Munoz popatrzył na nią zaskoczony.

— Założywszy, że teoria o agresywności jest słuszna — powiedział, a Julia stwierdziła, że spogląda na nią z nieznanym jej dotychczas, pełnym zainteresowania szacunkiem — to byłaby z pani znakomita szachistka, o ile chciałaby pani poświęcić się szachom.

— Już zaczęłam — odparła, patrząc z niechęcią na otaczające ją mętne, mgliste cienie. — Od jakiegoś czasu gram w szachy. I za cholerę mnie to nie bawi.

Wsunęła klucz w potężny zamek i przekręciła go dwukrotnie. Munoz czekał obok na podeście. Składał na ramieniu płaszcz, który właśnie zdjął.

— Wszystko jest rozbebeszone — powiedziała. — Rano nie miałam czasu posprzątać...

— Nie ma znaczenia. Najważniejsza jest kawa.

Julia weszła do pracowni, położyła torebkę na krześle i rozsunęła żaluzje w lukarnie. Mglista jasność dnia napłynęła do środka, oblewając wnętrze szarym światłem, niezdolnym rozgonić cieni z najdalszych zakątków mieszkania.

— Za ciemno — powiedziała i podeszła do kontaktu lampy. W tym momencie zobaczyła zdziwienie w oczach Munoz i w nagłej panice pobiegła wzrokiem za jego spojrzeniem.

— Gdzie postawiła pani obraz? — spytał szachista. Nie odpowiedziała. Głęboko w niej coś pękło. Wpatrywała się nieruchomo, szeroko otwartymi oczyma, w puste sztalugi.

— Menchu — wymamrotała po chwili, czując, że wszystko się w niej wywraca. — Zapowiadała mi to wczoraj w nocy, a ja, jak ta głupia, nie zwróciłam uwagi...!

Żołądek skurczył się jej w odruchu potwornych mdłości, w ustach poczuła gorzką żołąć. Spojrzała nieprzytomnie na Munozę i, nie mogąc się dłużej powstrzymać, popędziła do łazienki. W przedpokoju opadły z niej siły, stanęła, oparła się o futrynę drzwi do sypialni. I wtedy zobaczyła Menchu. Leżała na podłodze u nóg łóżka, twarzą do góry, a chustkę, którą została uduszona, jeszcze miała zawiązaną wokół szyi. Sprawca podciągnął jej groteskowo spódnicę aż do pasa, a między nogi wbił szyjkę butelki.

XII. Hetman, skoczek, goniec

Ja nie gram martwymi białymi i czarnymi
bierkami. Gram istotami ludzkimi z krwi i kości.

Emanuel Lasker

Zgodnie z poleceniem sędziego śledczego ciało denatki można było zabrać dopiero o siódmej, kiedy na dworze zrobiło się ciemno. Przez całe popołudnie po mieszkaniu kręcili się w tę i w tę policjanci i funkcjonariusze sądu okręgowego, uwijający się

w sypialni i przedpokoju w błyskach fleszy. W końcu wynieśli Menchu na noszach, w plastikowej białej torbie zasuniętej na zamek. Została tylko jej kredowa sylwetka na podłodze, obojętną ręką narysowana przez jednego z inspektorów, których uzbrojona Julia przyłapała w niebieskim fordzie na Rastro.

Nadinspektor Feijoo wyszedł na ostatku, ale przedtem jeszcze przez prawie godzinę uzupełniał zeznania, jakie złożyli wcześniej Julia i Munoz, a także Cesar, który zjawił się natychmiast po ich telefonie. Policjant, który nigdy w życiu nie miał w rękę szachów, był wyraźnie skonsternowany. Spoglądał na Munozą jak na raroga, nieufnie przyjmując jego techniczne objaśnienia, tylko co chwila popatrywał na Cesara i Julię, jakby zastanawiał się może, czy we trójkę nie robią z niego gigantycznego wała.

Na przemian notował, dotykał węzła krawata i sięgał do kieszeni, by rzucić tępy wzrokiem na tekturową karteczkę, znaną koło ciała Menchu. Widniały na niej zapisane na maszynie znaki, które Munoz podjął się mu wytłumaczyć, ale policjanta zaczęła od tego tylko potwornie boleć głowa. Naprawdę interesowała go tu jedna rzecz: czego dotyczyła kłótnia, jaką stoczyła poprzedniego wieczoru właścicielka galerii ze swoim narzeczonym. Albowiem — jak wynikało z raportu przedstawionego po południu

przez wysłanych na miejsce funkcjonariuszy Maximo Olmedilla Sanchez, kawaler, lat dwadzieścia osiem, z zawodu model pracujący w reklamie, przebywał w miejscu nieznanym. Dla wyjaśnienia: dwóch świadków, taksówkarz i odźwierny sąsiedniej posesji, rozpoznało go z rysopisu jako młodego mężczyznę, który opuszczał bramę domu Julii między dwunastą a dwunastą piętnaście w południe. Natomiast według wstępnego rozpoznania lekarza sądowego Carmen Roch po otrzymaniu śmiertelnego ciosu w tylną część czaszki została uduszona przez osobę stojącą z przodu, pomiędzy jedenastą a dwunastą. Butelkę tkwiącą między nogami (trzy czwarte litra džinu Beefeater, prawie nie ruszone), do której Feijoo powracał z niemiłosiernym uporem — w ramach odwetu za szachową kołomyję, zafundowaną mu przez trójkę rozmówców — sam był skłonny uznać za ważny dowód, bo w grę całkiem prawdopodobnie mogła wchodzić zbrodnia w afekcie. Przecież denatka — tu zmarszczył czoło z wypisaną na twarzy mądrością ludową, że niby kto mieczem wojuje. . . według zgodnych wyjaśnień, złożonych przez samą Julię i don Cesara, nie należała do osób o nieposzlakowanej moralności. Co zaś do związku tej sprawy ze śmiercią profesora Ortegi, mieli do czynienia z oczywistym łącznikiem w postaci zniknięcia obrazu. Feijoo rzucił jeszcze kilka uwag, wysłuchał

odpowiedzi Julii, Mimoza i Cesara na kolejne pytania, po czym pożegnał się, prosząc, żeby stawili się nazajutrz rano w komisariacie.

— A pani, panienko, może już się nie bać — zatrzymał się w progu i popatrzył na Julię z miną stróża prawa, który panuje nad sytuacją. — Już wiemy, kogo mamy szukać. Dobranoc.

Zamknawszy za nim, Julia oparła się plecami o drzwi i spojrzała na przyjaciół. Jej spokojne już oczy były mocno podkrążone — dużo tego dnia płakała z rozpacz i wściekłości, że jest tak bezradna. Najpierw, przy Munozie, po cichu, zaraz po odkryciu ciała Menchu. Potem, kiedy zjawił się wyraźnie oniemiały i przerażony okropną nowiną Cesar, objęła go rękami jak mała dziewczynka i, wpijając się w jego ubranie, wybuchła głośnym szlochem. Nie mogła już dłużej nad sobą zapanować. Szeptane jej na ucho przez antykwariusza słowa pociechy na nic się nie zdawały. Do takiego stanu doprowadziła ją nie tylko śmierć przyjaciółki, ale — jak wyznała dławiąc się strumieniami łez, które paliły jej policzki — nieznośne napięcie ostatnich dni i upokarzająca świadomość, że morderca zupełnie bezkarnie gra ich losami, wiedząc, że są na jego łasce.

Przesłuchanie odniosło w każdym razie jeden pozytywny skutek: przywołało ją do rzeczywistości. Niebotyczna tępota, z jaką Feijoo nie dopuszczał do siebie rzeczy oczywistych, zakłamanie, z jakim potakiwał podawanym przez ich troje informacjom, kompletnie nic nie pojmując — te fakty uzmysłowiły jej, że ze strony policji nie powinna liczyć na zbyt wiele. Po telefonie od funkcjonariusza wysłanego do Maxa i po zeznaniach dwóch świadków Feijoo, bezmyślnie jak typowy gliniarz, doszedł do następującego wniosku: najprostszy motyw jest motywem najbardziej prawdopodobnym. Zgoda, całkiem ciekawa ta historyjka z szachami. Na pewno pozwoli uzupełnić kilka szczegółów. Natomiast jeśli chodzi o sedno sprawy, to trzeba ją traktować raczej anegdotycznie. . . Kluczem jest butelka. Patologia znana z dziejów kryminalistyki. Bo wbrew temu, co się czytuje w powieściach kryminalnych, panienko, pozory nigdy nie mylą.

— No to teraz nie ma wątpliwości — powiedziała Julia. Na schodach jeszcze słychać było kroki Feijoo. — Alvaro został zamordowany, podobnie jak Menchu. Ktoś od dawna ukrywał się za obrazem.

Koło stołu stał Munoz, z rękami w kieszeniach marynarki, i wpatrywał się w papier, na którym tuż po odejściu nadinspektora zapisał treść karteczki, znalezionej koło trupa.

Cesar siedział na sofie, na której Menchu spędziła ostatnią noc, i osłupiały gapił się na puste sztalugi. Słyszając słowa Julii, pokręcił głową.

— To nie był Max — powiedział po krótkim zastanowieniu. — To całkowicie wykluczone, żeby ten bałwan potrafił wszystko zorganizować.

— Ale był tutaj. Przynajmniej na klatce.

Antykwariusz skulił się w sobie wobec tego dowodu, ale nie wyglądał na przekonanego.

— W takim razie ktoś jest z nim w zмовie... Jeżeli Max był, nazwijmy to, ślepym mieczem, do kogoś innego musiała należeć ręka. — Uniósł powoli dłoń i palcem wskazującym puknął się w czoło. — Do kogoś, kto jest tu mózgiem.

— Do tajemniczego szachisty. Który wygrał partię.

— Jeszcze nie — odezwał się Munoz ku ich zaskoczeniu.

— Ma obraz — wyjaśniła Julia. — Jeśli to nie oznacza zwycięstwa...

Szachista podniósł wzrok znad notatki leżącej na stole. W jego oczach można było dostrzec podziw i fascynację, a rozszerzone źrenice zdawały się widzieć gdzieś dalej,

poza czterema ścianami pokoju, w świecie trudnych kombinacji, jakiś wzór matematyczny.

— Z obrazem czy bez obrazu, partia będzie się toczyć dalej — powiedział i pokazał im kartkę:

. . . H:W

He7 (?) - Hb3+

Kd4 (?) - b7:c6

— Tym razem — dodał — zabójca nie proponuje jednego ruchu, ale trzy. — Podszedł do płaszcza przewieszzonego przez oparcie krzesła i wyciągnął składane szachy. — Pierwszy jest ewidentny: H:W, czarny hetman bije białą wieżę. . . Menchu Roch została zamordowana właśnie w ramach tej symboliki, wedle której pani znajomy Alvaro, a na obrazie Roger d'Arras, byli białymi skoczkami — nie przerywając mówienia, ustawił sytuację na planszy. — Czarny hetman zbił więc do tej pory w naszej partii tylko dwie figury. W wymiarze praktycznym — zerknął na Cesara i Julię, którzy podeszli do szachownicy — tym dwóm zbitym figurom odpowiadają dwa morderstwa. . . Nasz

przeciwnik utożsamia się z czarną królową, czyli hetmanem. Kiedy inna czarna bierka bije, jak zdarzyło się dwa posunięcia temu, gdy straciliśmy pierwszą wieżę, nic szczególnego się nie wydarzyło. Przynajmniej o ile wiemy. Julia pokazała na papier.

— Dlaczego postawił pan znaki zapytania przy dwóch kolejnych ruchach białych?

— Ja ich nie postawiłem. Były na bileciku. Morderca przewiduje nasze kolejne ruchy. Mam wrażenie, że jest to forma zaproszenia, żebyśmy je wykonali. . . „Jeśli wy zrobicie tak, ja zrobię tak”, mówi do nas. W ten sposób — przesunął kilka bierek — sytuacja wygląda następująco.

— . . . Jak państwo widzą, zaszły poważne zmiany. Po z biciu naszej wieży na b2 czarne przewidziały, że zdecydujemy się na posunięcie optymalne, przesuwając naszego hetmana z pola e1 na e7. Zyskujemy w ten sposób pewną przewagę: powstaje przekątna linia ataku na czarnego króla, i tak już mocno osaczonego wobec sąsiedztwa białego skoczka, gońca i pionów. . . Uznawszy, że zagramy tak, jak właśnie zagraliśmy, czarny hetman przechodzi z b2 na b3, żeby wesprzeć kontrgrą swojego króla i zaszachować białego, na co my nie mamy innego ratunku, jak tylko, co zresztą czynimy, uciec królem na sąsiednie pole, z c4 na d4, poza zasięg hetmana. . .

— To już trzeci szach, jakiego nam daje — zauważył Cesar.

— Tak. Można to rozumieć rozmaicie... Na przykład: do trzech razy sztuka, i za trzecim razem morderca kradnie obraz. Chyba zacznym go powoli poznawać. Także jego szczególne poczucie humoru.

— A co teraz? — zapytała Julia.

— Teraz ofiarowujemy czarnym białego piona z c6, bije go czarny pion, który stał na polu b7. To posunięcie osłania czarny skoczek z b8... Potem następuje nasza kolej, ale przeciwnik niczego nam dalej na kartce nie sugeruje... Może mówi w ten sposób, że odpowiedzialność za następne nasze posunięcia spada już wyłącznie na nas.

— I co my zrobimy? — zainteresował się Cesar.

— Jest tylko jedna korzystna opcja: grać dalej białym hetmanem. — Tu szachista spojrział na Julię. — Ale to także oznacza, że ryzykujemy jego utratę.

Julia wzruszyła ramionami. Pragnęła tylko dotrzeć do końca, niezależnie od ryzyka.

— No to jedziemy z tą królową.

Cesar założył ręce za siebie i pochylił się nad szachownicą, jakby to była sztuka starej porcelany niewiadomej wartości, którą chciał ocenić.

— Ten biały skoczek na b1 też nie najlepiej wygląda — rzekł cicho do Munoz. — Nie sądzi pan?

— Owszem. Wątpię, żeby czarne na długo darowały mu życie. Stwarza potencjalne zagrożenie na tyłach i stanowi doskonale wsparcie przy ataku białego hetmana. . . Podobnie zresztą jak biały goniec na d3. Obydwie te figury plus hetman mają kluczowe znaczenie.

Mężczyźni popatrzyli na siebie w milczeniu i Julia dostrzegła coś, czego przedtem między nimi nie było: silną nić sympatii. Przypominali połączonych straceńczą solidarnością dwóch Spartan pod Termopilami, którzy łowią z oddali dźwięki zbliżających się perskich wozów bojowych.

— Wiele bym dał, żeby wiedzieć, którą figurą jest każde z nas. . . — oznajmił Cesar, unosząc brew. Na jego ustach zakwitł blade uśmiech. — Prawdę mówiąc, nie chciałbym wystąpić w roli tego konika.

Munoz uniósł palec.

— Niech pan pamięta, skoczek to naprawdę rycerz: knight. Przy takim rozumieniu hańba znika.

— Nie chodzi mi o rozumienie słów. — Cesar przyglądał się figurze z zaniepokojeniem. — Ten konik, rycerz czy jakkolwiek go nazwiemy, ma wyrok wypisany na pysku.

— Jestem tego samego zdania.

— Pan nim jest czy ja?

— Nie mam pojęcia.

— Wyznam panu, że wolałbym wcielić się w gońca.

Munoz przechylił głowę zamyślony, nie odrywając wzroku od szachownicy.

— Ja też. Jest zdecydowanie mniej zagrożony niż skoczek.

— Właśnie o tym mówię, mój drogi.

— Życzę więc panu szczęścia.

— Nawzajem. A ostatni gasi światło.

Nastała dłuższa cisza. Wreszcie Julia postanowiła ją przerwać.

— Skoro teraz jest nasza kolej, jaki zrobimy ruch. . . ? Wspominał pan o białej królowej. . .

Szachista niedbale rzucił okiem na planszę. Już dawno przeanalizował każdą możliwość.

— Początkowo zamierzałem zbić czarnego piona na c6 naszym pionem z d5, ale to by naszemu przeciwnikowi dało za dużo swobody. . . Dlatego przesuniemy naszego hetmana z e7 na pole e4. W ten sposób, wycofując króla w kolejnym ruchu, możemy dać szacha czarnemu królowi. Pierwszego szacha z naszej strony.

Tym razem to Cesar ujął w palce białego hetmana i postawił go na wskazanym polu, w sąsiedztwie króla. Julia widziała, że mimo wielkiego wysiłku, jaki antykwariusz włożył w zachowanie spokoju, jego dłoń lekko drżała. — Oto nasza sytuacja — skinał głową Munoz. Wszyscy troje patrzyli na szachownicę.

— A co on teraz zrobi? — spytała Julia. Munoz skrzyżował ręce, nie odrywając wzroku od planszy. Kiedy po jakimś czasie przemówił, od razu wiedziała, że wcale nie zastanawiał się nad kolejnym ruchem, tylko nad tym, czy powinien mówić o nim głośno.

— Ma parę wariantów — rzekł wymijająco. — Niektóre są bardziej interesujące, inne mniej. . . Są też bardziej niebezpieczne. Począwszy od tego momentu, ewentualny

przebieg partii rozgałęzia się jak drzewo. Istnieją co najmniej cztery możliwości. Część z nich wciągnie nas w długą i skomplikowaną grę, co być może jest jego zamiarem. . . Reszta prowadzi do rozstrzygnięcia w czterech, pięciu ruchach.

— A jak będzie pana zdaniem? — zapytał Cesar.

— Chwilowo zachowam je dla siebie. Grają czarne. Zgarnął bierki, zamknął szachownicę i wsunął ją do kieszeni płaszcza. Julia patrzyła nań z zaciekawieniem.

— Dziwne to, co pan powiedział. . . Mówiąc o tym, że zaczyna go pan poznawać, wspomniał pan o jego poczuciu humoru. . . Naprawdę widzi tu pan jakiś dowcip?

Szachista nie odpowiedział od razu.

— Można by to nazwać poczuciem humoru, ironią, może jeszcze inaczej. . . — rzekł wreszcie. — Ale nie ulega kwestii, że nasz wróg lubi grę słów. — Położył dłoń na kartce leżącej na stole. — Jest tu coś, czego może państwo nie zauważyli. . . Morderca, pisząc „H:W”, wiąże śmierć państwa znajomej z wieżą zbitą przez czarnego hetmana. Panna Menchu miała na nazwisko Roch, prawda? To słowo można tłumaczyć jako „skała”, ale także jako ruk, czyli po persku „rydwan”. W szachach zaś terminem „roch” bądź „ruk” dawniej określano wieżę.

— Policja była tu rano — Lola Belmonte patrzyła na Julię i Munozę tak kwaśno, jakby obarczała ich bezpośrednią odpowiedzialnością za wszystko, co się stało. — Było to coś... — szukała bezskutecznie słowa, wreszcie spojrzała na męża w nadziei na pomoc z jego strony.

— Bardzo nieprzyjemnego — dokończył Alfonso i dalej bezczelnie kontemlował zarys piersi Julii. Nie ulegało wątpliwości, że bez względu na to, czy policja była, czy nie, i tak dopiero co wyszedł z łóżka. Mieli przed sobą utracjusza z krwi i kości, co podkreślały podkrążone napuchnięte oczy.

— Mało powiedziane — koścista Lola Belmonte wreszcie znalazła odpowiednie określenie i poprawiła się na krześle.

— Było to coś haniebnego: czy znają państwo Iksa, Igreka... Można by pomyśleć, że jesteśmy jakimiś przestępcami.

— A przecież nie jesteśmy — dodał z cyniczną powagą mąż.

— Nie gadaj idiotyzmów. — Lola Belmonte posłała mu cierpkie spojrzenie. — Mówimy serio.

Alfonso zaśmiał się przez zęby.

— Raczej tracimy czas. Fakty są takie, że obraz się ulotnił, a z nim nasze pieniądze.

— Moje pieniądze, Alfonso — wtrącił się z wózka stary Belmonte. — Jeśli wolno.

— Tak tylko mi się powiedziało, stryjkę Manolo.

— No to wyrażaj się właściwie.

Julia zamieszała łyżeczką kawę w filiżance. Była ciekawa, czy bratanica gospodarza specjalnie podała jej zimną. Przyjechali tuż przed dwunastą bez zapowiedzi, pod pretekstem powiadomienia rodziny Belmonte o najnowszych wydarzeniach.

— Czy państwo sądzą, że obraz się znajdzie? — spytał stary. Był w swetrze i kapciach, uprzejmością starał się wynagrodzić oschłe zachowanie Loli. Patrzył na nich niepokieszony, z filiżanką w dłoniach. Był prawdziwie roztrzęsiony na wieść o kradzieży obrazu i o śmierci Menchu.

— Policja już się tym zajęła — odparła Julia. — Jestem pewna, że go znajdą.

— Jak rozumiem, funkcjonuje czarny rynek dzieł sztuki. I ktoś może usiłować sprzedać obraz za granicą.

— Tak, ale policja ma dokładny opis obrazu, sama dałam im sporo zdjęć. Niełatwo będzie go wywieźć.

— Nie potrafię sobie wytłumaczyć, jak mogli wejść do pani domu... Policjanci mówili, że ma pani solidne zamki i alarm.

— Może sama Menchu im otworzyła. Głównym podejrzanym jest jej narzeczony Max. Świadkowie widzieli, jak wychodził z mojej bramy.

— Znamy tego narzeczonego — odezwała się Lola Belmonte. — Raz tu z nią był. Wysoki, z tych przystojnych. Może nawet za przystojny, takie miałam wrażenie... Spodziewam się, że szybko go dorwą i dostanie za swoje. Dla nas — spojrzęła na pusty prostokąt na ścianie — to niepowetowana strata.

— Może uda się udzyskać ubezpieczenie — powiedział jej mąż, uśmiechając się do Julii jak lis, który wszedł do kurnika. — A to dzięki tej przezornej młodej ślicznotce.

Coś sobie przypomniał i stosownie do okoliczności spochmurniał. — Chociaż to oczywiście nie przywróci życia pani przyjaciółce.

Lola Belmonte popatrzyła koso na Julię.

— Przynajmniej ubezpieczenie, skoro nie był dobrze zabezpieczony — mówiąc wydymała pogardliwie dolną wargę. — Ale pan Montegrifo twierdzi, że w porównaniu z ceną, jaką mógłby uzyskać, polisa to nędza.

— Rozmawiali już państwo z Montegrifem? — spytała Julia zaintrygowana.

— Tak. Zadzwoił natychmiast. Na dobrą sprawę wykopał nas z łóżka tą wiadomością. Dlatego wiedzieliśmy wszystko, kiedy przyjechała policja. . . Prawdziwy dżentelmen. — Bratanica popatrzyła na męża ze źle skrywaną urazą. — Od razu mówiłam, że marnie tym wszystkim pokierowano.

Alfonso postanowił umyć ręce.

— Nieodżałowana Menchu złożyła dobrą ofertę — oświadczył. — Nie moja wina, że potem wszystko się poplątało. Poza tym ostatnie słowo zawsze miał stryjek Manolo. — Spojrzał na inwalidę z teatralnym szacunkiem. — Nie mam racji?

— W tej sprawie — odparła jego żona — można by osobno pogadać.

Belmonte patrzył na nią ponad brzegiem filiżanki, którą właśnie podniósł do ust, a w jego oczach pojawił się błysk, dobrze już Julii znany.

— Obraz ciągle jest na moje nazwisko, Lolita — powiedział, osuszywszy sobie usta wyciągniętą z kieszeni pomietą chusteczką. — Tak czy siak, czy został skradziony, czy też nie został, sprawa dotyczy mnie — zawahał się,

Jakby chciał dobrze rzecz przemyśleć, a kiedy znów popatrzył na Julię, w jego oczach zalśniła szczerza sympatia. — Co zaś do tej młodej osoby — uśmiechnął się krzepiąco, jakby to ona potrzebowała teraz pociechy — jestem przekonany, że postąpiła właściwie. . . — Zwrócił się do Munoza, który dotąd nie otworzył ust. — Nie sądzi pan?

Szachista siedział wciśnięty w fotel, z nogami wyciągniętymi przed siebie, palce spleótł pod brodą. Dosłyszawszy pytanie, przekrzywił głowę i zamrugał oczami, jakby wyrwano go z głębokiej zadumy.

— Bez wątpienia — odparł.

— Nadal sądzi pan, że każdą tajemnicę można rozwiązać za pomocą reguł matematycznych?

— Nadal.

Ta krótka wymiana zdań coś Julii przypomniała.

— Dziś nie gra Bach.

— Po historii pani przyjaciółki i zaginięciu obrazu nie czas na muzykę — Belmonte zadumał się przez chwilę i nagle na jego ustach zakwitł tajemniczy uśmiech. — Poza

tym cisza gra równie ważną rolę, co zorganizowane dźwięki... Nie mam racji, panie Munoz?

Szachista wreszcie przychylił się do jego zdania.

— Nie ulega kwestii. — Patrzył na rozmówcę z nowym zainteresowaniem. — Po-dejrzewam, że chodzi o coś podobnego do negatywu fotograficznego. Tło, które pozor-nie nie odbiło się na błonie, w rzeczywistości także zawiera informacje... Czy to samo zachodzi u Bacha?

— Ależ oczywiście. U Bacha znajdzie pan przestrzenie w negatywie, cisze równie wymowne, co nuty, tematy i kontrapunkty... Czy pańskie systemy logiczne zakładają badanie także pustych przestrzeni?

— Naturalnie. To po prostu kwestia zmiany punktu widzenia. Czasami patrzymy na ogród, który widziany z danego miejsca wydaje się chaotyczny, z innego natomiast ujawnia regularny, geometryczny układ.

— Boję się — Alfonso spoglądał na nich szyderczo — że to trochę za naukowe jak dla mnie. — Podniósł się i podszedł do barku. — Można komuś czegoś nalać?

Nikt mu nie odpowiedział, więc sam sobie przygotował whisky z lodem, oparł się o kredensik i gestem skierowanym ku Julii wzniósł toast.

— Z tym ogrodem to całkiem do rzeczy — powiedział.

Munoz nie słuchał, przyglądał się Loli Belmonte. Zastygł niby zaczajony myśliwy, w nieruchomym ciele żywe były tylko oczy, zamyślane i przenikliwe. Julia dobrze znała już tę jedyną u pozornie obojętnego Munoz'a oznakę, że jego umysł pracuje i skupia się na wydarzeniach świata zewnętrznego. Teraz ruszy do ataku — pomyślała z zadowoleniem. Poczwała, że jest w dobrych rękach i musiała sięgnąć po filiżankę z zimną kawą, żeby ukryć porozumiewawczy uśmiech, jaki cisnął jej się na usta.

— Jak podejrzewam — Munoz zwrócił się flegmatycznie do bratanicy gospodarza — także dla pani był to spory cios.

— A jakże — Lola Belmonte znowu popatrzyła na stryja z wyrzutem. — Przecież ten obraz jest wart fortunę.

— Nie miałem na myśli wyłącznie strony finansowej. Zdaje się, że rozgrywała pani tę partię... Często pani grywa?

— Czasami.

Jej mąż podniósł szklankę z whisky.

— Po prawdzie to całkiem niezłe gra. Nigdy nie udało mi się z nią wygrać. — Pomyślał nad tym, co właśnie powiedział, mrugnął okiem i pociągnął tęgi łyk. — Co oczywiście o niczym nie świadczy.

Lola Belmonte spoglądała podejrzliwie na Munoza. Na Julii sprawiała wrażenie osoby zarazem zaborczej i dwulicowej, co w jakiś sposób podkreślały jej za długie spódnice, szczupłe, przypominające szpony, kościste dłonie i baczne spojrzenie, któremu asystowały haczykowany nos i agresywnie wysunięty podbródek. Chyba z trudem się powstrzymywała, by nie wybuchnąć, bo wyraźnie uwydatniły jej się ścięgna w dłoniach. Przypomina niebezpieczną harpię — pomyślała Julia — rozdrażnioną i zuchwałą. Nietrudno było wyobrazić sobie, jak się delektuje złośliwościami, mszcząc się na innych za własne kompleksy i frustracje. Skrępowana jednostka, ograniczona przez okoliczności. Atak na króla jako sprzeciw wobec każdej władzy, która nie jest jej własną, okrucieństwo i wyrachowanie, chęć odegrania się na każdym. . . Na stryju, na mężu. . . Może i na całym świecie. Obraz to obsesja jej chorego, nietolerancyjnego umysłu. Te szczupłe, nerwowe dłonie posiadały siłę, żeby zadać śmiertelny cios w kark, udusić jedwabną

chustką. . . Bez trudu wyobraziła ją sobie w czarnych okularach i płaszczu przeciwdeszczowym. Nie potrafiła jednak ustalić żadnego powiązania między nią a Maxem. To już zakrawało na absurd.

— Nieczęsto — odezwał się Munoz — spotyka się kobiety grające w szachy.

— Owszem, gram. — Lola Belmonte wyraźnie się spłoszyła, wietrząc niebezpieczeństwo. — Przeszkadza to panu?

— Wręcz przeciwnie. Bardzo mi miło. . . Na szachownicy można zrealizować zamysły, które w praktyce, to znaczy w rzeczywistym życiu, zdają się niewykonalne. . . Co pani na to?

Zrobiła jakąś nieokreśloną minę, jakby nigdy nie przyszło jej do głowy to, o czym mówił.

— Może. Dla mnie to tylko kolejna gra. Hobby.

— Ale ma pani chyba po temu zdolności. Podkreślam, nieczęsto spotyka się kobiety dobrze grające w szachy. . .

— Kobiety potrafią różne rzeczy. Inna sprawa, że nie każdy nam pozwala rozwinąć skrzydła.

W kąciku ust Munoz pojawił się wyzywający uśmieszek.

— Lubi pani grać czarnymi? Zazwyczaj są zmuszane do gry obronnej... Inicjatywę mają białe.

— To bzdury. Nie rozumiem, dlaczego czarne miałyby tylko czekać na cios. Zupełnie jak kobieta w domu.

— Zerknęła z pogardą na męża. — Wszyscy uważają, że to oczywiście mężczyzna nosi spodnie.

— A tak nie jest...? — dociekał Munoz z lekkim uśmieszkiem. — ...Na przykład w partii z obrazu. Pozycja wyjściowa daje przewagę białym. Czarny król jest w opresji. A czarny hetman, przynajmniej z początku, niewiele może zdziałać.

— W tej partii czarny król nie odgrywa żadnej roli. Cała odpowiedzialność spada na czarną królową. Na nią i na pionki. Tę partię wygrywa się królową i pionkami.

Munoz wyjął z kieszeni kartkę.

— Grała pani kiedyś ten wariant?

Lola Belmonte patrzyła wyraźnie skonsternowana na rozmówcę, a następnie na podaną jej kartkę. Munoz niby to błędził wzrokiem po pokoju, by wreszcie spojrzeć na

Julię. Nieźle rozegrane — mógł odczytać w jej oczach, sam jednak nie dał po sobie niczego poznać.

— Chyba tak — odrzekła Lola Belmonte po chwili.

— Białe grają pionkami po kolei albo królową w pobliżu króla, szykują się do szacha w następnym ruchu. . . — popatrzyła z zadowoleniem na Munozę. — Białe, chyba słusznie, postanowiły zagrać królową.

Munoz skinął głową.

— Zgadzam się. Ale mnie bardziej interesuje następne posunięcie czarnych. Co by pani zrobiła?

Lola Belmonte zmrużyła podejrzliwie oczy. Usiłowała dopatrzeć się w pytaniu jakichś podtekstów. Wreszcie oddała kartkę Munozowi.

— Już od dawna nie rozgrywam tej partii, ale przypominam sobie co najmniej cztery warianty: czarna wieża bije konika, który wiezie białe do banalnego zwycięstwa na bazie królowej i pionków. . . Inna możliwość: chyba to konik bije pionka. Czarna królowa może też zbić wieżę, goniec może zbić pionka. . . Możliwości są nieskończone. — Spojrzała na Julię i znów na Munozę. — Ale nie bardzo wiem, co to ma wspólnego z. . .

— Co by pani zrobiła — zapytał niewzruszony Munoz, puszczając jej uwagę mimo uszu — żeby czarne wygrały...? Między nami, szachistami, chciałbym wiedzieć, w którym momencie zdobyłaby pani przewagę.

Lola Belmonte popatrzyła na niego wyniośle.

— Możemy zagrać, kiedy pan zechce. Wtedy się pan dowie.

— Z rozkoszą, i trzymam panią za słowo. Ale jest jeden wariant, o którym pani nie wspomniała, może dlatego, że go pani nie pamięta. Wariant przewidujący wymianę hetmanów. — Machnął lekko ręką, jak gdyby zmiatał bierki z niewidzialnej szachownicy. — Wie pani, o czym mówię?

— Oczywiście, że tak. Kiedy czarna królowa bije pionka na d5, wymiana jest rozstrzygająca — to powiedziawszy, Lola Belmonte uśmiechnęła się z okrutnym triumfem. — I czarne wygrywają. — Jej jastrzębie oczy znów popatrzyły z pogardą na męża, a następnie na Julię. — ... Szkoda, że pani nie gra w szachy.

— I co pan sądzi? — zapytała Julia, gdy tylko wyszli na ulicę.

Munoz lekko przechylił głowę. Szedł zewnętrzną stroną chodnika, po jej prawej stronie, i beznamiętnie zawieszał wzrok na mijanych twarzach. Podejrzewała, że wolałby uniknąć odpowiedzi.

— Z technicznego punktu widzenia — odezwał się niechętnie — to może być ona. Zna wszystkie warianty partii, poza tym gra dobrze. Powiedziałbym wręcz, że całkiem dobrze.

— Ale nie jest pan przekonany. . .

— Pewne szczegóły nie pasują.

— Jest bardzo bliska naszemu wyobrażeniu o tamtym. Zna partię na wylot. Jest na tyle sprawna, żeby zabić kobietę czy mężczyznę, i ma w sobie coś niepokojącego, co sprawia na innych nieprzyjemne wrażenie. — Zmarszczyła czoło, zastanawiając się, jak uzupełnić charakterystykę. — Jest chyba złym człowiekiem. Poza tym darzy mnie niewytłumaczalną antypatią. . . A przecież jestem taka, jaka powinna być kobieta według jej własnych słów: niezależna, nie skrepowana rodziną, raczej pewna siebie. . . Nowoczesna, jak by to określił don Manuel.

— I może właśnie dlatego pani nienawidzi. Za to, że pani jest tym, czym jej się nie udało być. . . Nie mam pamięci do tych historyjek, które pani i Cesar tak lubicie, ale zdaje się, że czarownica w końcu znenawidziła zwierciadełko.

Mimo powagi sytuacji Julia wybuchła śmiechem.

— Możliwe. . . Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

— Widzi pani — Munoz też zdobył się na słaby uśmiech.

— Niech pani unika jabłek w najbliższych dniach.

— Stoją przy mnie moi książęta. Pan i Cesar. Goniec i konik, prawda?

Munoz już się nie uśmiechał.

— Panno Julio, to już nie jest gra — powiedział po chwili. — Proszę o tym nie zapominać.

— Nie zapominam. — Wzięła go pod ramię, na co lekko zesztyniał. Czuł się niezręcznie, ale Julia, nie puszczając go, szła naprzód. Polubiła w końcu tego dziwnego, niezręcznego i gburowatego faceta. Sherlock Munoz i Julia Watson — pomyślała, śmiejąc się w duchu pod wpływem nagłego przyływu optymizmu, który ustąpił dopiero na wspomnienie Menchu.

— O czym pan myśli? — spytała szachistę.

— Ciągle o bratanicy Belmontego.

— Ja też. Prawdę mówiąc, odpowiada we wszystkich szczegółach obrazowi osoby, której szukamy. . . Chociaż pan nie jest zdecydowany.

— Nie twierdzę, że ona nie mogła być kobietą w płaszczu. Tyle że nie rozpoznaję w niej tajemniczego szachisty. . .

— Ale przecież tyle rzeczy się zgadza. Czy to nie dziwne, że kobieta tak interesowna zaledwie w parę godzin po tym, jak skradziono jej obraz, nagle zapomina o oburzeniu i spokojnie gawędzi o szachach. . . ? — Julia puściła ramię Munoz i wbiła w niego wzrok. — Albo jest hipokrytką, albo szachy znaczą dla niej więcej, niż nam się wydaje. A w każdym przypadku zaczyna być podejrzana. Może cały czas udaje. Od momentu, kiedy zadzwonił do niej Montegrifo, miała aż nadto czasu, by wiedząc, że policja do niej przyjdzie, przygotować sobie linię obrony, jak pan to nazywa.

Munoz skinął głową.

— Istotnie, to możliwe. W końcu gra w szachy. A szachista potrafi uciekać się do różnych środków. Zwłaszcza gdy znajdzie się w trudnej sytuacji. . .

Szedł w milczeniu, wpatrując się w czubki własnych butów. Wreszcie wyprostował się i pokręcił głową.

— Nie wierzę, że to ona — dorzucił. — Od początku byłem pewien, że kiedy stanemy twarzą w twarz, coś poczuję. A nie poczułem.

— A nie przyszło panu na myśl, że za bardzo idealizuje pan przeciwnika...? — spytała Julia po chwili wahania. — ...Może rzeczywistość pana rozczarowała, dlatego zaprzecza pan oczywistym faktom?

Munoz stanął i w spokoju popatrzył na nią zmrużonymi oczami bez wyrazu.

— Owszem, przyszło mi na myśl — mruknął. — I nie wykluczam tej ewentualności.

Coś ukrywa — pomyślała Julia, nie zwiedziona tą lakoniczną odpowiedzią. Z jego milczenia, ze sposobu, w jaki przechylał głowę i patrzył niewidzącym wzrokiem, pograżony w enigmatycznych rozmyślaniach — domyśliła się z absolutną pewnością, że zajmuje go coś innego, co nie ma nic wspólnego z Lolą Belmonte.

— Coś jeszcze? — spytała, nie mogąc powstrzymać ciekawości. — ... Odkrył pan coś nowego, o czym mi pan nie mówi?

Munoz nie odpowiedział.

Wpadli do sklepu Cesara, żeby opowiedzieć mu o rozmowie. Antykwariusz wyglądał ich z niecierpliwością i wyszedł im na spotkanie, ledwie usłyszał dzwonek. Miał dla nich nowinę.

— Aresztowali Maxa. Rano na lotnisku. Telefonowali z policji pół godziny temu. . . Jest w komisariacie Prado. I chce cię zobaczyć, Julio.

— Dlaczego mnie?

Cesar wzruszył ramionami. Znam się na porcelanie chińskiej albo na malarstwie dziewiętnastowiecznym — mówił jego gest. Chwilowo psychologia rajfurów i zbrodniarzy nie należy do jego specjalności. Do czego to doszło.

— A obraz? — zapytał Mimos. — Nie wie pan, czy go odzyskali?

— Mocno wątpię. — W niebieskich oczach antykwariusza zagościła troska. — I zdaje się, tu leży problem.

Nadinspektor Feijoo wcale nie ucieszył się na widok Julii. Przyjął ją w gabinecie, gdzie urzędował pod portretem króla i kalendarzem Sił Bezpieczeństwa Państwa. Był w tak złym humorze, że nie zaprosił jej, żeby usiadła, ale natychmiast przeszedł do rzeczy.

— To trochę wbrew przepisom — rzekł oschle. — Mamy do czynienia z podejrzanym o dwa zabójstwa... Upiera się jednak, że nie złoży żadnych zeznań, dopóki z panią nie pogada. A jego adwokat — miał ochotę wypluć z siebie, co naprawdę sądzi o adwokatach — przychyliła się do tego.

— Jak go dopadliście?

— Bez trudu. Wczoraj wieczorem rozesłaliśmy wszędzie jego rysopis, także do straży granicznej i na lotniska. Dzisiaj rano zidentyfikowała go obsługa na Barajas, kiedy usiłował odlecieć do Lizbony na fałszywym paszporcie. Nie stawiał oporu.

— Powiedział, gdzie jest obraz?

— Nie pisnął ani słówka. — Feijoo uniósł pulchny palec z płaskim paznokciem. — Przepraszam, jedno zdradził. Że jest niewinny. To zdanie akurat często tu słyszymy. Naturalna część procedury. Ale kiedy zapoznał się z zeznaniami taksówkarza i odźwiernego, spotulniał. Zaczął się domagać adwokata... I zażądał rozmowy z panią.

Wyprowadził ją z gabinetu, korytarzem aż do drzwi, których pilnował umundurowany policjant.

— Będę tu na wypadek, gdybym był pani potrzebny. Upierał się, że chce z panią rozmawiać na osobności.

Zamknęli za nią drzwi na klucz. Max siedział na jednym z dwóch krzeseł stojących po obydwu stronach drewnianego stolika, pośrodku pustego pokoju bez okien, o ścianach obitych brudną tapetą.

— Cześć, Max.

Podniósł oczy i długo na nią patrzył. Widać było, że niewiele spał, miał niepewną, zmęczoną minę. Jak po bardzo długim, daremnym wysiłku.

— Wreszcie jakaś przyjazna twarz — powiedział z ironią i znużeniem, gestem dłoni wskazując na drugie krzesło.

Julia poczęstowała go papierosem — chciwie zapalił, przysuwając twarz do zapalniczki, którą trzymała w dłoni.

— Po co chciałeś mnie widzieć?

Przypatrywał jej się przez chwilę, nim odpowiedział. Lekko dyszał. Już nie przypominał pięknej bestii, ale królika osaczonego w zaroślach, nasłuchującego zbliżających

się prześladowców. Julię zastanowiło, czy policjanci go bili, aczkolwiek nie było widać żadnych śladów. Już nie biją ludzi — pomyślała. — Już nie.

— Chcę cię ostrzec.

— Ostrzec?

Nie wyjaśnił od razu. Palił, trzymając papierosa tuż przed twarzą, dłońmi zakutymi w kajdanki.

— Już była martwa, Julio — powiedział cicho. — Ja tego nie zrobiłem. Kiedy przyszedłem do twojego domu, już nie żyła.

— To jak wszedłeś? Ona ci otworzyła?

— Mówię ci, że nie żyła. . . za drugim razem.

— Za drugim? Czyli że był pierwszy? Max, oparty łokciami o stół, strzepnął popiół na blat. Nieogolony podbródek położył na kciukach.

— Poczekaj — westchnął z niebywałym znużeniem.

— Chyba opowiem ci od początku. . . — Znowu włożył papierosa do ust, mrużąc oczy od dymu. — Wiesz, jak Montegrifo załatwił Menchu. Łaziła po całym domu

jak dzikie zwierzę, bluzgała obelgami i groźbami. . . Wykrzykiwała co chwila: „Okradł mnie”. Usiłowałem ją uspokoić, nakłoniłem do rozmowy. Na pomysł wpadłem ja.

— Na pomysł?

— Mam znajomości. Ludzi, którzy potrafią wywieźć z kraju każdą rzecz. Poradziłem Menchu, żebyśmy ukradli van Huysa. Najpierw wpadła w obłąd, oczyściła mnie, powołując się na waszą przyjaźń i w ogóle. Dopiero po chwili dotarło do niej, że tobie krzywdy nie wyrządza. Byłaś kryta, bo ubezpieczyłaś obraz, a co do twoich zysków ze sprzedaży. . . No, później mieliśmy ci to jakoś wynagrodzić.

— Zawsze wiedziałam, Max, że kawał skurwysyna z ciebie.

— Tak. Pewnie tak. Ale co to ma do rzeczy. . . ? W każdym razie Menchu zgodziła się na mój plan. Miała cię tylko namówić, żebyś zabrała ją do siebie. Pijaną, naszprycowaną, wiesz. . . Prawdę mówiąc nigdy bym się nie spodziewał, że tak dobrze to odegra. . . Potem rano, kiedy wyjdiesz, miałem zadzwonić, żeby sprawdzić, czy wszystko gra. Tak zrobiłem, po czym poszedłem do twojego mieszkania. Zawinęliśmy obraz, wziąłem klucze, które mi dała Menchu. . . Zszedłem zaparkować jej samochód pod bramą,

żeby potem wejść i wziąć van Huysa. Według planu w czasie kiedy byłem na dole, Menchu miała wzniecić pożar.

— Jaki pożar?!

— Twojego mieszkania — Max zaśmiał się cierpko. — To też należało do planu. Przykro mi.

— Przykro? — Julia walnęła dłonią w stół z pełnym gniewu zdumieniem. — Boże święty, jemu jest przykro. . . ! — rozejrzała się po ścianach i znów popatrzyła na Maxa. — Taki plan mogli ułożyć tylko szaleńcy.

— Działaliśmy w bardzo przemyślany sposób, wszystko było przewidziane. Menchu miała sfigować jakiś wypadek, na przykład niedopalek. A że u ciebie pełno jest rozpuszczalników i farb. . . Założyliśmy, że wytrzyma tam do ostatniej chwili, po czym wyjdzie, dusząc się od dymu, cała w panice i hysterii, i będzie wołać o ratunek. Choćby strażacy pędzili na złamanie karku, i tak pół mieszkania zdążyłoby spłonąć. — Jego mina rozczarowanego drania wyrażała żal, że sprawy nie potoczyły się tak, jak się spodziewał. — I nikt by nie kwestionował tego, że van Huys spalił się z innymi rzeczami. A resztę możesz sobie dośpiewać. . . Ja miałem sprzedać obraz w Portugalii jednemu

kolekcjonerowi, z którym już się dogadaliśmy. . . Tego dnia, kiedy widziałas mnie na Rastro, Menchu i ja właśnie byliśmy po spotkaniu z pośrednikiem. . . Odpowiedzialność za szkody w twoim mieszkaniu miała wziąć na siebie Menchu, ale że byliście przyjaciółkami i w grę wchodził wypadek, więc nie istniała obawa jakichś ciężkich oskarżeń. Może skarga majątkowa. I tyle. Z drugiej strony natomiast mówiła, że najbardziej ostrzy sobie zęby na myśl o minie, jaką zrobi Paco Montegrifo.

Julia z niedowierzaniem pokręciła głową.

— Menchu nie była zdolna do takich rzeczy.

— Menchu była zdolna do wszystkiego, jak każdy.

— Świnia jesteś, Max.

— W tej chwili nie ma wielkiego znaczenia, kim jestemn — Max znów wyglądał jak zbity pies. — W każdym razie pół godziny zabrało mi przyprowadzenie samochodu i zaparkowanie. Pamiętam, że była gęsta mgła nie mogłem znaleźć miejsca, co chwila patrzyłem na zegarek, bo bałem się, że się na ciebie natknę. . . Piętnaście po dwunastej znowu wszedłem na górę. Nie dzwoniłem, tylko od razu otworzyłem kluczymi. Menchu leżała w przedpokoju, twarzą do góry i z otwartymi oczami. Najpierw myślałem,

że po prostu straciła przytomność z nerwów. Ale kiedy się schyliłem, zobaczyłem, że ma siniec na szyi. Leżała martwa, Julio. Martwa i jeszcze ciepła. Wtedy oszalałem ze strachu. Zrozumiałem, że jak wezwę policję, będę się musiał gęsto tłumaczyć... Dlatego rzuciłem klucze na podłogę, zatrzasnąłem drzwi i zleciałem na dół, skacząc chyba po cztery stopnie. Nie potrafiłem zebrać myśli. Przenocowałem w jakimś pensjonacie, cały przerażony, roztrzęsiony, oka nie zmrużyłem. Rano na lotnisku... A resztę znasz.

— Obraz był w domu, kiedy znalazłeś Menchu?

— Tak. To była jedyna rzecz, oprócz jej ciała, na jaką spojrzałem... Leżał na sofie, zawinięty w gazety pozlepiane i taśmą klejącą. Sam go tak zapakowałem — uśmiechnął się gorzko. — Ale już nie miałem odwagi, żeby go zabrać. Uznałem, że dosyć mi się na łeb zważyło.

— Mówisz, że Menchu leżała w przedpokoju, a przecież znalazłam ją w sypialni... Nie widziałeś u niej chustki na szyi?

— Nie miała żadnej chustki. Tylko goła, uderzona szyja. Zabili ją ciosem w gardło, prosto w grdykę.

— A butelka?

Max popatrzył na nią wściekły.

— Jeszcze ty z tą cholerną butelką... Policjanci w kółko mnie pytają, dlaczego wsadziłem Menchu butelkę w cipę. Przysięgam ci, że nie wiem, o czym mówią. — Podniósł papierosa do ust i zaciągnął się głęboko, patrząc podejrzliwie na Julię. — Menchu leżała nieżywa, koniec, kropka. Zabita jednym ciosem i tyle. Nie ruszałem jej. Nie przebywałem u ciebie dłużej jak przez minutę... To musiał zrobić kto inny, potem.

— Potem? Kiedy? Według tego, co mówisz, morderca już zdążył pójść.

— Nie wiem — był wyraźnie zakłopotany. — Może wrócił po moim odejściu. — Nagle zbladł, jakby zdał sobie z czegoś sprawę. — A może... — widziała, jak trzęsą mu się ręce w kajdankach — może ciągle się tam chował. I czekał na ciebie.

Postanowili podzielić się pracą. W czasie, kiedy Julia rozmawiała z Maxem i zdawała później relację nadinspektorowi, który potraktował jego wersję nad wyraz sceptycznie, Cesar i Munoz spędzili resztę dnia, rozpytując wśród sąsiadów. O zmierzchu spotkali się we trójkę w kawiarni przy ulicy Prado. Siedząc wokół marmurowego stoli-

ka, nad przepelnioną popielniczką i opróżnionymi filiżankami, przeanalizowali dogłębnie opowieść Maxa. Nachyleni ku sobie, pogrążeni w cichej rozmowie wśród dymu i gwaru, wyglądali jak spiskowcy.

— Wierzę Maxowi — orzekł Cesar. — Jego historia nie jest od rzeczy. Na dobrą sprawę pasuje do niego pomysł z kradzieżą obrazu. Ale nie bardzo mieści mi się w głowie, żeby był zdolny do tej reszty... Butelka z dżinem, kochani, to już zwyrodnienie. Nawet jak na niego. Ponadto wiemy, że kobieta w płaszczu też krążyła wokół twojego domu. Lola Belmonte, Nemezis czy diabli wiedzą kto.

— A może Beatrycze Ostenburska? — spytała Julia.

Antykwariusz zgromił ją wzrokiem.

— Twoje dowcipy są absolutnie nie na miejscu — poprawił się niespokojnie na krzeselku, spojrzął na siedzącego nieruchomo Munozę i pół żartem, pół serio odegnał widma machnięciem dłoni. — Kobieta koło twojego domu była człowiekiem z krwi i kości... Tak miemam przynajmniej.

Cesar dyskretnie wypytał wcześniej dozorcę domu naprzeciwko, którego znał z widzenia. W ten sposób dowiedział się paru przydatnych szczegółów. Na przykład tego, że

odźwierny, w czasie kiedy zamykał bramę, czyli między dwunastą a wpół do pierwszej, widział, jak wysoki, młody człowiek z włosami w kitkę wyszedł z domu Julii i ruszył ku samochodowi, zaparkowanemu przy krawężniku. Ale niedługo potem — antykwariusz kontynuował wyraźnie podniecony, jakby powtarzał jakąś plotkę z wyższych sfer — powiedzmy, z kwadrans później, kiedy ów człowiek wyrzucał śmieci, ujrzał jeszcze jakąś blondynkę w ciemnych okularach i w płaszczu... To powiedziawszy, Cesar rozejrzał się wokół z obawą, jakby fatalna kobieta mogła siedzieć przy którymś z sąsiednich stolików. Dozorca — relacjonował — nie przyjrzał jej się dobrze, bo odeszła ulicą w tym samym kierunku, co tamten... Nie był też w stanie potwierdzić, czy wychodziła z domu Julii. Po prostu kiedy odwrócił się z kubłem w rękę, to ją zobaczył. Nie, policji nic o niej nie mówił, bo go o nią nie pytali. I drapiąc się w skroń, dodał, że teraz też by pewnie nie przyszło mu do głowy, gdyby sam Cesar nie zadał mu konkretnego pytania. Nie, nie zwrócił uwagi, czy miała jakiś duży pakunek. Zobaczył tylko blondynkę na ulicy. Nic poza tym.

— Na ulicy — odezwał się Munoz — pełno jest blondynek.

— W płaszczu od deszczu i okularach przeciwsłonecznych? — odparła Julia. — To mogła być Lola Belmonte. W tym czasie odwiedziłam don Manuela. I ona, i jej mąż byli poza domem.

— Nie — przerwał jej Munoz. — W południe zdążyła już pani zejść do mnie, do klubu. Spacerowaliśmy z godzinę i przyszedliśmy do pani koło pierwszej. — Zerknął na Cesara, w którego oczach, jak zauważyła Julia, błysnął podziw dla intelektu szachisty. — ... Jeśli morderca czekał na panią, zapewne zmienił plan, widząc, że pani nie nadchodzi. Zabrał więc obraz i uciekł. Może to ocaliło pani życie.

— A dlaczego zabił Menchu?

— Na przykład nie spodziewał się jej tam znaleźć, wobec czego usunął niewygodnego świadka. Może wcale nie planował zbiecia wieży hetmanem. . . Wszystko to byłoby więc, powiedzmy, błyskotliwą improwizacją.

Cesar uniósł brew z odrazą.

— Przesadził pan, przyjacielu, z tą „błyskotliwą”.

— Mniejsza o określenie. Zmienić planowany ruch w marszu, stosując wariant, który pasuje do sytuacji, do tego położyć przy trupie karteczkę z odpowiednim zapisem. . .

— szachista zamyślił się na chwilę. — Zdążył jeszcze pokombinować. Nawet bilecik napisał, jak twierdzi Feijoo, na maszynie Olivetti panny Julii. Nie zostawiając śladów. Ten ktoś działał z ogromnym spokojem, ale szybko i sprawnie. Jak w zegarku.

Julii przypomniało się, jak poprzedniego dnia Munoz oczekiwał przyjazdu policji, klęcząc obok ciała Menchu — niczego nie dotykał, nie odzywał się, tylko patrzył na bilecik od mordercy, z zimną krwią, jakby siedział w klubie Capablanca.

— Dalej nie rozumiem, dlaczego Menchu otworzyła mu drzwi. . .

— Myślała, że to Max — podsunął Cesar.

— Nie — powiedział Munoz. — A klucze, te same, które znaleźliśmy na podłodze? Ona wiedziała, że to nie Max.

Cesar okręcił sobie topaz wokół palca i westchnął.

— Wcale się nie dziwię, że policja uchwyciła się kurczowo Maxa — rzekł zbulwersowany. — Już zaczyna brakować podejrzanych. A niedługo również zabraknie ofiar. . . I jeśli pan Munoz będzie za wszelką cenę stosował swoje metody dedukcji, to się okaże. . . Macie pojęcie? Zostanie pan sam, otoczony trupami jak w ostatnim akcie Hamleta, i dojdzie do nieuchronnego wniosku: „Przeżyłem tylko ja, zatem zgodnie z zasadami

ściśle logiki, po wykluczeniu wariantów niemożliwych, czyli zabitych, mordercą muszę być ja”... I odda się pan w ręce policji.

— To nie takie oczywiste — odparł Munoz.

Cesar spojrział nań z wyrzutem.

— Że pan jest mordercą...? Proszę wybaczyć, drogi przyjacielu, ale nasza rozmowa niebezpiecznie przeistacza się w dialog prowadzony w domu wariatów. Nawet na chwilę nie przyszłoby mi do głowy...

— Nie o tym mówię. — Szachista przyglądał się swoim dłoniom, opartym o blat po obydwu stronach pustej filizanki. — Chodzi mi o to, co przed chwilą powiedzieliście: że już nie ma podejrzanych.

— Jak to? — wymamrotała Julia z niedowierzaniem. — Ma pan jakąś nową koncepcję?

Munoz podniósł oczy i z rozważą popatrzył na dziewczynę. Po chwili cmoknął językiem i przechylił głowę.

— Możliwe.

Julia domagała się wyjaśnień, ale ani jej, ani Cesarowi nie udało się wydobyć zeń ni słowa. Szachista nieobecny wzrokiem spoglądał na stół między dłońmi, jak gdyby w marmurowym deseniui odgadywał ruchy tajemniczych figur. I tylko przez jego usta raz po raz przebiegał, niczym ulotny cień, ten blady uśmieszek, za którym krył się zawsze, kiedy chciał odizolować się od świata.

XIII. Siódma Pieczęć

I w tej płomiennej chwili ujrzał coś, co
napełniło go trudnym do zniesienia lękiem:
koszmar przepastnych głębin szachownicy.

Vladimir Nabokov,
Zaszczita Łuzyna

— Rzecz jasna — powiedział Paco Montegrifo — ta okropna historia w niczym nie
zmienia naszej umowy.

— Jestem panu wdzięczna.

— Nie ma za co. Wiemy, że stało się to nie z pani winy. Dyrektor Claymore'a odwiedził Julię w pracowni w Prado, przy okazji — jak oświadczył, pojawiwszy się bez zapowiedzi — spotkania z dyrektorem muzeum w związku z planowanym zakupem jakiegoś rekomendowanego jego firmie Zurbarana. Zastał ją przy pracy, kiedy wstrzykiwała mieszankę kleju i miodu do drobnego otworu w tryptyku przypisywanym Ducciowi di Buoninsegna. Nie mogąc odłożyć przedmiotów, trzymany w ręku, pozdrowiła Montegrifa szybkim skinieniem głowy i wcisnęła tłok strzykawki, którą nakładała przygotowaną substancję. Dyrektor domu aukcyjnego był zachwycony, że przyłapał ją in flagranti — jak wyraził się, posyłając jej swój najbardziej promienny uśmiech — usiadł więc na jednym ze stołów i przyglądał się, paląc papierosa.

Julia czuła się niezręcznie, więc skończyła pracę tak szybko, jak tylko mogła. Na fragment, który poddawała renowacji, położyła dla ochrony woskowany papier i starannie przycisnęła woreczkiem z piaskiem. Potem wytarła dłonie w pstrokato poplamiony fartuch i sięgnęła po napoczętego papierosa, który dymił w popielnicze.

— Coś cudownego — Montegrifo wskazał obraz. — Koło tysiąc trzechsetnego, prawda? Mistrz Buoninsegna, o ile się nie mylę.

— Tak. Muzeum kupiło go parę miesięcy temu. — Julia przyglądała się krytycznym okiem rezultatom własnej pracy. — Miałam trochę kłopotu ze złotymi płatkami na lamówce szaty Matki Bożej. W paru miejscach poodpadały.

Montegrifo z uwagą profesjonalisty pochylił się nad tryptykiem.

— W każdym razie wspaniała robota — ocenił. — Jak wszystko, co wychodzi spod pani rąk.

— Dzięki.

Dyrektor popatrzył na Julię z życzliwym smutkiem.

— Aczkolwiek, rzecz jasna, nie ma porównania z naszym kochanym arcydziełem flamandzkim. . .

— Pewnie, że nie. Nie ujmując niczego Ducciowi.

Uśmiechnęli się obydwójce. Montegrifo poprawił nieskazitelne mankiety koszuli, żeby wystawały dokładnie trzy centymetry spod rękawów granatowej marynarki w pepit-

kę, dzięki czemu można było podziwiać złote spinki z jego inicjałami. Miał na sobie idealnie wyprasowane szare spodnie i czarne włoskie buty, lśniące mimo deszczu.

— Wiadomo, co z van Huyssem? — spytała dziewczyna.

Dyrektor domu aukcyjnego spoglądał z wykwintną melancholią.

— Niestety nie. — Wprawdzie po podłodze walały się trociny, papierki i resztki farby, on jednak strzepnął papierosa do popielniczki. — Ale jesteśmy w stałym kontakcie z policją. . . Mam wszelkie pełnomocnictwa ze strony rodziny Belmonte. — Tym razem mina wyrażała pochwałę dla takiej roztropności i jednoczesny żal, że właściciele nie uczynili tego wcześniej. — Paradoksalnie, Julio, jeśli „Partia szachów” się odnajdzie, ten ciąg przykrych wydarzeń z pewnością nieprawdopodobnie wpłynie na jej cenę. . .

— Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości. Ale sam pan mówi: jeśli się odnajdzie.

— Widzę, że nie jest pani optymistką.

— Po tym, co ostatnio przeszłam, raczej nie mam po temu powodów.

— Rozumiem panią. Wierzę jednakże w skuteczność działań policji. . . Albo w szczęście. Jeżeli zdołamy odzyskać obraz i wystawić go na aukcję, to zapewniam

panią, że będzie to wydarzenie. — Uśmiechnął się, jak gdyby chował w kieszeni cudowny podarek. — Czytała pani ostatnie „Arte y Antigüedades”? Dali na tę historię pięć kolorowych stron. Ciągłe wydzwaniania dziennikarzy z branży. W przyszłym tygodniu będzie reportaż w „Financial Times”. . . Oczywiście paru dziennikarzy chciało nawiązać kontakt także z panią.

— Nie chcę żadnych wywiadów.

— Jeśli mogę wyrazić swoją opinię, to wielka szkoda. W pani pracy prestiż to fundamentalna sprawa. Reklama podnosi pani pozycję zawodową. . .

— Ale nie taka reklama. Przecież obraz skradziono z mojego domu.

— Ten szczegół staramy się przemilczać. To nie była pani wina, o czym dobitnie świadczy raport policyjny. Według dostępnych danych, narzeczony pani przyjaciółki dostarczył obraz nieznanemu pośrednikowi; śledztwo toczy się w tym kierunku. Jestem przekonany, że się odnajdzie. Bardzo trudno nielegalnie wywieźć dzieło równie sławne, jak van Huys. Zacznijmy od tego.

— Gratuluję dobrego samopoczucia. Trzeba przyznać, że umie pan przegrywać. Można by powiedzieć, wzorowy sportowiec. A miałam wrażenie, że kradzież była kosztownym ciosem dla pana firmy. . .

Montegrifo przybrał cierpiętniczy wyraz twarzy. Wątpiąc obraża mnie pani — można było wyczytać w jego oczach.

— Istotnie, ma pani rację — odparł patrząc na Julię, jakby oceniała go niesprawiedliwie. — Prawdę mówiąc, musiałem się gęsto tłumaczyć naszej londyńskiej centrali. Ale cóż poradzić, taki biznes. . . Nawiasem mówiąc, nie ma tego złego. . . Nasza filia w Nowym Jorku przy okazji odkryła innego van Huysa: „Wekslarza z Leuven”.

— „Odkryła” to trochę za dużo powiedziane. To znany obraz, figuruje w katalogach. Należy do prywatnego kolekcjonera.

— Jak widzę, jest pani świetnie poinformowana. Chodziło mi o to, że jesteśmy w trakcie negocjacji z właścicielem. Chyba wyczuł, że może teraz na nim dobrze zarobić. Tym razem moi nowojorscy koledzy uprzedzili konkurencję.

— Winszuję.

— Pomyślałem, że moglibyśmy to uczcić. — Zerknął na swojego rolexa. — Docho-
dzi siódma, więc zapraszam panią na kolację. Musimy omówić nasze przyszłe wspól-
ne przedsięwzięcia. . . Mam rzeźbę w drewnie, polichromowaną. Siedemnastowieczna
szkoła z Indii Portugalskich. Chciałbym, żeby rzuciła pani na to okiem.

— Bardzo panu dziękuję, ale nie jestem w nastroju. Śmierć przyjaciółki, ta cała
afera z obrazem. . . Nie byłabym dziś wymarzoną towarzyszką.

— Szkoda. — Montegrifo przyjął jej odmowę z galanterią, nie przestając się uśmie-
chać. — Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, zadzwonię na początku przyszłego
tygodnia. . . Może w poniedziałek?

— Zgoda. — Julia wyciągnęła dłoń, którą dyrektor uściskał delikatnie. — I dziękuję
za odwiedziny.

— Spotkanie z panią to zawsze wielka przyjemność, Julio. Jeśli będzie pani czego-
kolwiek potrzebować — spojrzał jej głęboko w oczy z intencją niełatwą do odczytania
— podkreślam, czegokolwiek, wszystko jedno. Proszę się nie wahać, tylko dzwonić.

Poszedł, posyłając jej od progu ostatni olśniewający uśmiech. Julia została sama.
Jeszcze pół godziny popracowała nad Buoninsegną i też zaczęła się zbierać. Munoz

i Cesar przekonywali ją, żeby przez parę dni nie pokazywała się w domu, antykwariusz zaoferował jej gościnę. Julia jednakże twardo obstawała przy swoim, zmieniała tylko zamek w drzwiach. Uparta i niezłomna, jak z wyrzutem w głosie określił jej postawę Cesar, dzwoniąc raz po raz, żeby się dowiedzieć, czy wszystko w porządku. Co zaś się tyczyło Munozy, Julia wiedziała (antykwariusz nie zdołał utrzymać tajemnicy), że noc po zamordowaniu Menchu obydwaj spędzili na straży w pobliżu jej domu, ogrzewając skostniałe ciała kawą z termosu i piersiówką koniaku, którą Cesar przewidująco zabrał ze sobą. Sterczeli tam ładnych parę godzin, otuleni w płaszcze i szaliki, i zacieśniali przedziwną przyjaźń, którą wskutek dramatycznego obrotu spraw te dwie jakże różne postacie zdołały przy Julii zawiązać. Dowiedziawszy się o wszystkim, Julia zabroniła im powtarzania podobnych wybryków. W zamian obiecała, że nikomu nie będzie otwierać i że będzie sypiać z derringerem pod poduszką.

Spojrzała na pistolet, kiedy pakowała rzeczy do torebki, i musnęła czubkami palców chłodny metal lufy. Mijał czwarty dzień od śmierci Menchu. Nie pojawiły się nowe karcetki, nie było głuchych telefonów. Może — pomyślała bez przekonania — koszmar się skończył.

Nakryła Buoninsegnę płótnem, powiesiła fartuch do szafy i narzuciła na siebie płaszcz. Tarcza zegarka, połyskująca po wewnętrznej stronie lewego przegubu, pokazywała za piętnaście ósmą. Właśnie miała zgasić światło, kiedy zadzwonił telefon.

Odłożyła słuchawkę i znieruchomiała, wstrzymując oddech i hamując się przed gwałtowną ucieczką. Dreszcz przebiegł ją po plecach niczym lodowaty podmuch, tak nagły, że aż się cała zatrzęsła. Musiała się oprzeć o stół, żeby odzyskać jaki taki spokój. Nie była w stanie oderwać przerażonych oczu od aparatu. Głos, który usłyszała, był nie do rozpoznania, bezpłciowy, taki, jakiego brzechomówcy używają swym niesamowitym lalkom. Skrzeszający głos, od którego przeszła ją gęsia skórka, a sercem zawładnął ślepy strach.

„Sala dwunasta, Julio...” Cisza i stłumiony oddech: być może ten ktoś zasłonił mikrofon chustką. „... Sala dwunasta” — powtórzył. „Bruegel starszy” — dodał po chwili milczenia. Potem rozległ się krótki suchy, złowrogi śmiech i trzask odkładanej słuchawki.

Usiłowała zebrać rozdygotane myśli i nie dać się opętać obezwładniającej panice. Podczas nagonki — powiedział jej kiedyś Cesar — pierwsze kaczkę, które padają na widok strzelby myśliwego, to te przerażone. . . Cesar. Chwyciła telefon, żeby wykręcić numer antykwariatu, potem jego domu — na próżno. Munozą też nie zastała. Przez jakiś czas, którego długość napawała ją niepokojem, będzie musiała dawać sobie radę sama.

Wyjęła i odbezpieczyła derringera. Przynajmniej teraz jest w stanie być równie groźna, jak tamci. I znów przypomniła sobie słowa Cesara. Kiedy była mała, zwierzyła mu się ze swoich dziecinnych lęków, a on, udzielając jej kolejnej lekcji, powiedział: „W ciemności rzeczy nie zmieniają kształtu ani miejsca, po prostu tylko ich nie widzimy”.

Wyszła na korytarz z pistoletem w dłoni. O tej porze w budynku byli tylko strażnicy. Robili właśnie obchód, ale trudno było się zorientować, gdzie akurat mogła na nich trafić. W końcu korytarza były schody, a tam, gdzie zakręcały pod kątem prostym, znajdowały się szerokie podesty. Światła alarmowe tworzyły wokół niebieski półmrok, w którym można było dostrzec zarysy ciemnych swą patyną obrazów, marmurową balustradę schodów i popiersia rzymskich patrycjuszy, pełniących wartę w swoich niszach.

Zdjęła buty i wsadziła je do torebki. Chłód podłogi przeniknął ją poprzez pończochy. W najlepszym przypadku cała dzisiejsza przygoda skończy się gigantycznym przeziębieniem. Zeszła po schodach, przechylając się co i raz przez barierkę, ale niczego podejrzanego nie zauważyła. Wreszcie dotarła na sam dół i tu musiała dokonać wyboru. Jedna droga, wiodąca przez ciąg sal przeznaczonych do renowacji dzieł sztuki, prowadziła aż do wyjścia ewakuacyjnego, przez które dzięki karcie elektronicznej Julia mogła wydostać się na ulicę. Idąc drugą drogą, przez wąziutki korytarzyk, docierało się do drzwi wychodzących na część wystawową muzeum. Wprawdzie z reguły były zamknięte, ale klucz tkwił w zamku do dziesiątej wieczorem, kiedy strażnicy robili ostatni obchód aneksu, w którym się teraz znajdowała.

Stojąc u stóp schodów na bosaka, z pistoletem w ręku, zastanawiała się nad obydwiema możliwościami. Od dołu ciągnęło zimnem, w żyłach krew łomotała nieznośnie i strasznie szybko. Za dużo pałę — przyszła jej do głowy kretyńska myśl. Cała skupiła się teraz na dłoni ściskającej derringera. Uciec stąd w te pędy, czy sprawdzić, co się kryje w sali dwunastej. . . Druga ewentualność oznaczała niemiłą perspektywę sześciu, siedmiu minut spaceru przez opustoszały gmach. Gdyby tylko miała szczęście dopaść

po drodze strażnika tego skrzydła. . . Był to młody mężczyzna, który za każdym razem, kiedy spotykał Julię podczas pracy w warsztacie konserwatorskim, zapraszał ją na kawę z automatu i przekomarzał się, mówiąc, że najpiękniejszym eksponatem całego muzeum są jej nogi.

Niech to diabli — pomyślała po chwili zastanowienia. Przecież zabijała już w życiu piratów. Jeżeli zabójca jest tam w środku, to nadarza się świetna okazja, może jedyna, żeby stanąć z nim twarzą w twarz. W końcu to on się porusza, a ona, czujna i ostrożna kaczka, kątem oka obserwuje teren, ściskając w dłoni pięćset gramów chromowanego metalu, masy perłowej i ołowiu, które po uruchomieniu z odpowiedniej odległości mogą radykalnie zmienić układ sił w tym specyficznym polowaniu.

Julia nie wypadła sroce spod ogona, na dodatek była tego świadoma. Rozchyliła nozdrza, jakby chciała zwietrzyć, z której strony nadciąga niebezpieczeństwo, zaciśnęła zęby i przypomniała sobie wściekłość, jaką budziły w niej wspomnienia Alvara i Menchu. Postanowiła, że nie będzie wystraszoną marionetką na szachownicy, ale figurą zdolną do odwetu przy pierwszej okazji. Oko za oko, ząb za ząb. Ktokolwiek to

jest, wyjdzie mu na spotkanie. Czy to w sali dwunastej, czy choćby w piekle. Na rany Chrystusa, tak zrobi.

Popchnęła drzwi wewnętrzne, które, jak się spodziewała, stały otworem. Stróż nocny był chyba daleko, bo wokół panowała niczym nie zmacona cisza. Minęła nawę, z której spoglądały na nią puste, nieruchome oczy marmurowych posągów, rzucających groźne cienie. Dalej była sala ze średniowiecznymi retabulami, na których w mroku zdołała dojrzeć tylko słabe refleksy złocień i aureoli. Na drugim końcu nawy, po lewej, widziała już zarys schodków, wiodących do sal z wczesnym malarstwem flamandzkim. Wśród nich była też sala dwunasta.

Zawahała się, stanąwszy na pierwszym stopniu, i wbiła czujny wzrok w ciemności. W tej części strop był dużo niższy, więc światelka alarmowe pozwalały dostrzec więcej szczegółów. W niebieskawym półmroku kolory obrazów sprowadzały się do czystego światłocienia. Ledwie rozpoznała „Zdjęcie z krzyża” van der Weydena, wyolbrzymione złowrogo i nierealnie przez ciemność, w której dawało się rozróżnić jedynie najjaśniejsze plamy: sylwetka Chrystusa i oblicze Jego zmartwiałej Matki z ręką leżącą obok bezwładnego ramienia Syna.

Oprócz postaci z obrazów nie było tu nikogo, a i one, niewidoczne z braku światła, wydawały się pogrążone w długim śnie. Spokój tego miejsca musiał być tylko pozorny, więc Julia, natchniona przez śledzące ją ze ścian obrazy stworzone rękami ludzi zmarłych setki lat temu, podeszła do progu sali dwunastej. Daremnie usiłowała przełknąć ślinę, w ustach miała kompletnie sucho. Obejrzawszy się za siebie jeszcze raz i nie dostrzegłszy niczego podejrzanego, czując, jak mięśnie twarzy tężeją jej od napięcia, zaczerpnęła powietrza i weszła do sali tak, jak widziała na filmach: palec na spuście pistoletu, kolba ściśnięta obydwoma dłońmi, lufa wycelowana w mrok.

Tu też nikogo nie było i na Julię spłynęła nieskończona, upojna ulga. Najpierw zobaczyła w mroku zarys genialnego koszmaru „Ogrodu rozkoszy”, zajmującego większą część jednej ze ścian. Sama oparła się o ścianę przeciwległą, mącąc oddechem przejrzystą szybę okrywającą „Autoportret” Durera. Wierzchem dłoni otarła pot ściekający po czole i ruszyła w kierunku trzeciej ściany, tej w głębi. W miarę jak się zbliżała, kontury, a potem i kolory obrazu Bruegla z wolna wyłaniały się przed jej oczami. Ciemność skrywała szczegóły, ale potrafiła je rozpoznać bez trudu, bo dzieło zawsze wywierało na niej niezwykle wrażenie. Od lat szczególnie mocno działał na jej wyobraźnię tra-

gizm oddany najdrobniejszym ruchem pędzla, wyraziste, niezliczone postacie ogarnięte nieubłaganym tchnieniem śmierci, mnogość scen związanych w makabryczną całość. W słabym błękiecie dobiegającym z sufitu można było rozróżnić szkielety wylewające się tłumnie z wnętrzości ziemi na podobieństwo mściwego, niszczącego wichru, czarne sylwetki ruin odcinające się na tle odległej pożogi, obracające się daleko koła męczarni, obok szkielet wznoszący miecz nad głową skazańca, który modli się na klęczkach z związanymi oczyma... A na pierwszym planie króla zaskoczonego w środku festynu, objętych kochanków, nieświadomych nadejścia ostatniej godziny, roześmianą czaszkę walącą w kotły Sądu Ostatecznego, zdjętego przerażeniem rycerza, który jednak wciąż ma na tyle odwagi, że w geście buntu wyciąga miecz z pochwy, by drogo sprzedać swą skórę w tej beznadziejnej, końcowej walce...

Karteczka tkwiła wciśnięta na dole między obraz a ramę. Tuż nad połączoną winietką, na której Julia raczej odgadła niż zobaczyła dwa straszliwe słowa, będące tytułem dzieła: „Triumf śmierci”.

Na zewnątrz lało jak z cebra. Izabelińskie latarnie oświetlały smugi wody, spadające wściekłą, ciemną zasłoną na bruk. Z kałuż rozpryskiwały się niezliczone, grube strugi, w których chaotycznie odbijał się korowód światła miasta.

Julia podniosła głowę pozwalając, by deszcz obmył jej włosy i policzki. Do twarzy, stężelej z zimna, przykleiły się mokre kosmyki. Zapięła wysoki kołnierz płaszcza i ruszyła między żywopłotami i kamiennymi ławkami, nie bacząc na deszcz i na coraz bardziej wilgotne buty. Obraz Bruegla ciągle stał jej powidokiem w oczach, oślepionych przez samochody jadące pobliską aleją i wykrawające światłami stożki jasnego deszczu. Chwilami sylwetka dziewczyny wyłaniała się z mroku — długi cień pełzał po połyskujących plamach wilgoci na chodniku. W jej wyobraźni, rozświetlona lampami miasta i aut, rozgrywała się teraz na nowo przejmująca tragedia średniowieczna. Wyraźnie widziała, jak kobiety i mężczyźni, pogrążeni w lawinie wychodzących z ziemi szkieletów zagłady, niosą na ramionach postacie z innego obrazu: Rogera d'Arras, Ferdynanda Altenhoffena, Beatrycze z Burgundii... A nawet, na drugim planie, spuszczoną głowę i zmęczoną twarz starego Pietera van Huysa. W tej straszliwej, fatalnej scenerii wszystko się łączyło, tam ostatecznie zmierzały piękno i brzydota, miłość i nienawiść, dobro

i zło, wysiłek i rezygnacja, bez względu, jaką wartość pokaże ostatnia kostka, tocząca się wciąż po powierzchni ziemi. I sama Julia też rozpoznała siebie w zwierciadle, w którym z nieubłaganą oczywistością widać było przełamanie Siódmej Pieczęci Apokalipsy. To ona jest ową dziewczyną, odwróconą plecami do całej sceny, pogrążoną w marzeniach, oczarowaną dźwiękami lutni, na której przygrywa uśmiechnięty kościotrup. W tym mrocznym krajobrazie nie było już miejsca na piratów ani ukryte skarby, wszystkie Wendy toczyły beznadziejną walkę z legionem szkieletów, Kopciuszek i Królowna Śnieżka z przerażeniem w wybałuszonych oczach wietrzyły zapach siarki, a ołowiany żołnierz, czyli święty Jerzy, co porzucił smoka — albo może Roger d'Arras z mieczem na poły wyciągniętym z pochwy — już nie mógł nic dla nich zrobić. Powodowany raptem poczuciem honoru, daremnie usiłował zadać skuteczne pchnięcie w próżnię. Niebawem i on, jak cała reszta, splecie ręce z chudymi kośćmi Śmierci, która powiedzie ich wszystkich w swój ostatni taniec.

Światła jakiegoś auta padły na budkę telefoniczną. Julia weszła jak w malinie, wyszukała monety w torebce i mechanicznymi ruchami wybrała numery najpierw Cesara, potem Munoz. Nie odpowiadali. Odwiesiła słuchawkę, mokrą od wody ściekającej jej

z włosów, oparła głowę o szybę kabiny i wsunęła w ściśnięte, zziębnięte usta mokrego papierosa. Spowił ją dym. Kiedy, nie otwierając oczu, poczuła, że żar pali jej wargi, upuściła niedopałek na ziemię. Deszcz dzwonił monotonicznie o dach budki, ale nawet tutaj Julia nie czuła się bezpiecznie. Miała gorzką, potwornie znużoną świadomość, że to tylko niepewne zawieszenie broni i że wcale nie ocali jej przed zimnem, światłami i cieniami, które były coraz bliżej.

Nie miała pojęcia, ile czasu spędziła w budce. W pewnej chwili znów wrzuciła monety do aparatu i wybrała tym razem numer Munoz. Usłyszawszy głos szachisty, z wolna wróciła do siebie, jakby zakończyła właśnie długą podróż, co w pewnym sensie było prawdą. Podróż przez czas i czeluście własnej duszy. Ze spokojem, który umacniał się z każdym wypowiedzianym słowem, zrelacjonowała mu, co zaszło. Munoz zapytał o treść bileciku, na co odparła: G: P, goniec bije piona. Na drugim końcu kabla zapadła cisza, po której Munoz, dziwnym, nieznanym jej dotąd tonem, spytał, gdzie się znaj-

duże. Usłyszawszy odpowiedź, poprosił, by nie ruszała się stamtąd, on przyjedzie tak szybko, jak to będzie możliwe.

Kwadrans później koło budki zatrzymała się taksówka i Munoz otworzył drzwiczki, żeby mogła wsiąść. Julia popędziła w strugach deszczu w stronę samochodu. Kiedy taksówka ruszyła, szachista pomógł jej zdjąć przemoczony płaszcz i narzucił na nią własny.

— Co się dzieje? — zapytała dziewczyna, szcękając zębami.

— Zaraz się pani przekona.

— Co oznacza bicie piona przez gońca?

Mijane światła rzucały błyski na posępną twarz szachisty.

— Że czarny hetman — odparł — zaraz zbije następną bierkę.

Zaskoczona Julia zamrugnęła oczami. W zziębnięte ręce ujęła dłoń Munozą i spoj-rzała na niego z niepokojem.

— Trzeba ostrzec Cesara.

— Mamy czas — odrzekł.

— A dokąd jedziemy?

— Do Pendżabu. Przez dwa H.

Kiedy dotarli do klubu szachowego, deszcz padał z taką samą siłą. Munoz, nie puszczać ręki Julii, otworzył drzwiczki.

— Proszę iść ze mną.

Posłusznie poszła. Wspięli się po schodach do holu. Przy stolikach jeszcze siedziało paru graczy, ale Cifuentesa już nigdzie nie było widać. Munoz skierował się prosto do biblioteki, gdzie pomiędzy dyplomami i pucharami, na oszklonych regałach, stało kilkaset książek. Szachista puścił wreszcie dłoń Julii i otworzył jedną z szaf. Wziął do ręki opasły tom oprawny w sukno, na którego okładce zbita z tropu Julia przeczytała tytuł wypisany złotymi literami, pociemniałymi ze starości:

Tygodnik Szachowy. Trzeci kwartał.

Rok był nieczytelny.

Munoz położył księgę na stole i przerzucił kilka pożółkłych kartek z kiepskiego papieru. Zadania szachowe, analizy partii, informacje o turniejach, wyblakłe zdjęcia

uśmiechniętych triumfatorów w niedzisiejszych garniturach, białych koszulach, krawatach i fryzurach. Zatrzymał się na rozkładówce wypełnionej fotografiami.

— Niech się pani uważnie przypatrzy — powiedział. Pochyliła się nad zdjęciami. Były lichej jakości, na wszystkich widniały grupki szachistów pozujących do obiektywu. Niektórzy trzymali puchary albo dyplomy. Przeczytała nagłówek rozkładówki: II TURNIEJ KRAJOWY IM. JOSE RAULA CAPABLANKI. Zdezorientowana spojrzała na Munoz.

— Nie rozumiem — wymamrotała.

Szachista palcem wskazał jedno ze zdjęć. Tu też uwieczniono grupkę chłopców, dwóch dzierżyło w dłoniach niewielkie puchary. Pozostała czwórka wpatrywała się uroczyście w obiektyw. Podpis brzmiał: FINALIŚCI ROZGRYWEK MŁODZIEŻOWYCH.

— Rozpoznaje pani kogoś? — spytał Munoz.

Julia przyjrzała się uważnie każdej twarzy. Tylko u jednego, stojącego najbardziej z prawej, odnalazła jakieś znajome rysy. Chłopak miał z piętnaście, szesnaście lat, włosy zaczesane do tyłu, marynarkę, krawat i opaskę żałobną na lewym ramieniu. Spoglądał

przed siebie spokojnym, inteligentnym wzrokiem, który miał w sobie nawet coś wyzywającego. I wtedy go poznała. Drżącą ręką pokazała jego twarz, a kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że szachista kiwa potakująco głową.

— Tak — rzekł Munoz. — To nasz niewidzialny gracz.

XIV. Rozmowy w salonie

- I znalazłem ją, bo jej szukałem.
- Co? Pan jej szukał?
- Wydawało mi się, że powinna tu być.

Arthur Conan Doyle,
Srebrna gwiazda
(przeł, Jerzy Działek)

Światło na schodach było zepsute, więc musieli wspinać się po ciemku. Munoz szedł pierwszy, prowadząc ją przy balustradzie. Kiedy dotarli do piętra, stanęli i nasłuchiwali

w ciszy. Zza drzwi nie dobiegały żadne dźwięki, ale przy dolnej krawędzi, na progu, widać było wąziutki pasek światła. Julia nie dostrzegając w ciemności twarzy swojego towarzysza, ale odgadła, że się w nią wpatruje.

— Już nie możemy się cofnąć — odparła na pytanie, którego jej nie zadał, i w odpowiedzi usłyszała jego spokojny oddech. Po omacku odszukała dzwonek i nacisnęła go raz. Jego dźwięk odpłynął w głąb mieszkania dalekim echem.

Po chwili dosłyszeli zbliżające się kroki. Odgłos ustał na moment, po czym z wolna znów dał się słyszeć, dużo bliżej, by wreszcie ucichnąć na dobre. Po nieuchronnym przekręceniu zamka drzwi otworzyły się wreszcie, zalewając ich światłem, od którego przez chwilę mrużyli oczy.

Julia popatrzyła na tę tak dobrze znaną postać, rysującą się na tle jasnego prostokąta, i pomyślała, że wcale nie zależało jej na takim zwycięstwie.

Odsunął się, żeby ich przepuścić. Nie było widać, żeby nieoczekiwana wizyta wprawiła go w zakłopotanie. Ograniczył się do eleganckiego zdziwienia, czego jedyną ozna-

ką był niepewny uśmiech, który spostrzegła, gdy odwracał się, żeby zamknąć za nimi. Na wieszaku, ciężkim meblu edwardiańskim z orzecha i brązu, wisiały płaszcz, kapelusz i parasol, z których ściekały krople wody.

Zaprowadził ich do salonu długim korytarzem o misternie rzeźbionym suficie. Ściany zdobiła mała kolekcja dziewiętnastowiecznych pejzaży sewilskich. Szedł przodem, co chwila odwracając się z miną uprzejmego gospodarza, i w tych momentach Julia na próżno usiłowała odnaleźć cokolwiek, co zdradziłoby tę drugą osobowość, która gdzieś w nim przecież siedziała, ukryta jak krążące widmo. Cokolwiek miało się wydarzyć, już nigdy nie zdoła o nim zapomnieć. A przecież, choć rozum wydobywał na światło ostatnie zakamarki jej wąpiącego umysłu, choć fakty pasowały teraz jak elementy dobrze wykrojonej układanki, rzucając na „Partię szachów” blaski i cienie innej (innych?) tragedii i przytłaczając symbole przedstawione przez flamandzkiego mistrza. . . Mimo wszystko, mimo świdrującego bólu, który zastąpił początkowe oszołomienie, Julia wciąż nie była w stanie znienawidzić człowieka, który szedł przed nią, galanteryjnie na wpół odwrócony ku niej, elegancki nawet w pieleszach domowych, w jedwabnym niebieskim szlafroku, dobrze skrojonych spodniach, w chustce związanej pod rozpię-

tym kołnierzem koszuli. Włosy falowały mu lekko na karku i skroniach. Miał uniesione brwi jak urażony, podstarzały dandys, co łagodził dobrze jej znany, czuły, smutny uśmiech, czający się w kącikach wąskich, pobladłych ust antykwariusza.

Bez słowa dotarli do salonu, obszernego pokoju o suficie pokrytym pięknie wymalowanymi scenami klasycznymi — do tego dnia ulubionym fragmentem Julii było pożegnanie Hektora w złoconym hełmie z Andromachą i synem. Tu, pośród gobelinów i obrazów wiszących na ścianach, antykwariusz zgromadził swoje najcenniejsze skarby, które przez całe życie zbierał wyłącznie dla siebie, odmawiając wystawienia ich na sprzedaż niezależnie od oferowanej ceny. Julia знаła je jak własne, lepiej niż przedmioty z domu rodzinnego czy nawet z jej obecnego mieszkania: oto obita jedwabiem sofa w stylu empire, na której Munoz, pomimo zachęcających gestów Cesara, nie zdecydował się usiąść, tylko stał obok z rękami w kieszeniach płaszcza i kamienną powagą na twarzy; oto sygnowany przez Steinera posążek fechtmistrza z brązu, w wyprostowanej postawie i z uniesionym dumnie podbródkiem, spoglądającego władczo na pokój z wyżyn piedestału postawionego na biurku holenderskim z końca osiemnastego wieku, gdzie, jak Julia sięgała pamięcią, Cesar zawsze przeglądał pocztę; oto naroż-

na gablota z epoki Jerzego IV, wypełniona wspaniałym zbiorem grawerowanych sreber, które antykwariusz osobiście polerował co miesiąc; oto wielkie obrazy, natchnione przez Boga, najbliższe sercu — „Młoda dama” przypisywana Lorenzowi Lotto, przepiękne „Zwiastowanie” Juana de Soredy, niezłomny „Mars” Luki Giordana, melancholijny „Zmierzch” Thomasa Gainsborough. . . I jeszcze kolekcja angielskiej porcelany, i kobierce, i kolejne gobeliny, i wachlarze, przedmioty, których dzieje Cesar zgłębił szczególnie, na wylot znając ich styl, pochodzenie, rodowód. Tworzyły jedyne w swoim rodzaju muzeum, tak pieczołowicie dobrane do jego własnego gustu estetycznego i sposobu bycia, że on sam mógł uchodzić za esencję całego zbioru i każdego eksponatu z osobna. Brakowało tu jedynie małego tria z porcelanowej commedii dell’arte: Lucynydy, Oktawia i Scaramuccia, dzieł Bustellego, które stały w szklanej szafce na parterze antykwariatu.

Munoz stał w milczeniu, okazując na zewnątrz całkowity spokój, aczkolwiek coś — może sposób, w jaki stawiał stopy na dywanie, może sterczące na boki łokcie — wskazywało, że jest czujny, gotów stawić czoło wszelkim niespodziankom. Cesar z kolei przyglądał mu się z chłodnym, uprzejmym zainteresowaniem i tylko chwilami zwracał

oczy ku Julii, jakby była u siebie, a tylko Munoz, ostatecznie gość w tym domu, musiał się wytłumaczyć z tak późnej wizyty. Julia pomyślała, że zna Cesara jak siebie samą — tu natychmiast się poprawiła: znała go jak siebie samą — i antykwariusz z pewnością domyślił się, ledwie otworzył im drzwi, że nie wpadli ot, tak, do trzeciego z paczki kumpli, że cel odwiedzin jest znacznie poważniejszy. Pod płaszczykiem przyjaznej pobłażliwości, w jego uśmiechu, a bardziej nawet w niewinnym spojrzeniu jasnoniebieskich oczu, dziewczyna dostrzegła czujne wyczekiwanie, nie wolne od ciekawości i pewnego rozbawienia. Z takim samym wyrazem twarzy przed laty, gdy siedziała mu na kolanach, czekał, aż Julia wypowie magiczne słowa, odpowiedzi na dziecięce zagadki, które zadawał dziewczynce ku jej wielkiej radości: „Złotem się wydaje, srebrem nie jest. . .”. Albo: „Wpierw idzie na czterech łapach, potem na dwóch, wreszcie na trzech. . .”. I najpiękniejsza ze wszystkich: „Dostojny kochanek zna imię damy i kolor jej sukni. . .”.

Cesar wciąż patrzył na Munozą. W tę dziwną noc, w przyćmionym świetle angielskiej lampy z pergaminowym abażurem, stojącej obok sztancy do książek rzucającej wokół ukośne światło i cienie, oczy antykwariusza nie baczyły na obecność Julii. Ce-

sar nie unikał jej wzroku, bo kiedy tylko ich spojrzenia się skrzyżowały, patrzył na nią szczerze i otwarcie, choć krótko, jakby nie mieli przed sobą żadnych tajemnic. Można było odnieść wrażenie, że kiedy Munoz już powie, co ma do powiedzenia, i sobie pójdzie, na wszystko, cokolwiek zaistniałoby między Cesarem a Julią, znalazłaby się konkretna, przekonująca, logiczna i ostateczna odpowiedź. Może nawet wielka odpowiedź na wszystkie pytania, jakie w życiu zadawała. Ale już było za późno i Julia pierwszy raz nie miała ochoty niczego wysłuchiwać. Jej ciekawość zaspokoił Bruegel Starszy swoim Triumfem śmierci. Już nikt nie był jej potrzebny, nawet on. Wszystko to stało się jeszcze, zanim Munoz otworzył stary rocznik szachowy i pokazał jej pewne zdjęcie, i nie miało żadnego związku z obecną nocną wizytą u Cesara. Przepęłniała ją teraz ciekawość czysto formalna, estetyczna, jak powiedziałaby sam Cesar. Nie mogła przegapić spektaklu, w którym była jednocześnie bohaterką i chórem, aktorką i publicznością, w tej najbardziej fascynującej tragedii klasycznej (wszyscy tu byli: Edyp, Orestes, Medea i jeszcze paru starych znajomych), jaka kiedykolwiek rozegrała się przed jej oczami. W końcu w tym przedstawieniu chodziło o jej cześć.

Wszystko to było tak nierzeczywiste, że Julia opadła na sofę z zapalonym papierosem, skrzyżowała nogi, a łokieć położyła na tylnym oparciu. Stało przed nią dwóch mężczyzn, usytuowanych podobnie jak w scenie na zaginionym obrazie. Munoz po lewej, na wzorzystym, bardzo starym pakistańskim kobiercu, wyblakłym ze starości, na którym zachowały się tylko piękne czerwienie i ochry. Szachista — teraz nie jest już jedynym graczem, jak pomyślała z dziwną satysfakcją — ciągle w płaszczu, spoglądał na antykwariusza, z lekko przekrzywioną głową i tym holmesowskim wyrazem twarzy, który dodawał mu godności, podkreślonej jeszcze spojrzeniem zmęczonych oczu, pochłoniętych obserwacją przeciwnika. Ale Munoz, nie patrzył na Cesara jak zadowolony zwycięzca. W jego wzroku nie było też wrogości ani tak zrozumiałych w zaistniałej sytuacji podejrzeń. Było natomiast napięcie, widoczne także w napiętych mięśniach kościstej szczęki, co zdaniem Julii wynikało z faktu, że szachista wreszcie mógł przyrzec się rzeczywistej postaci wroga po tylu dniach walki z jego postacią idealną. Bez wątplenia analizował poprzednie błędy, odtwarzał posunięcia, przyporządkowywał im zamiary. Wyglądał jak uparty, ogłupiały gracz, który rozegrawszy błyskotliwą partię,

jest w stanie myśleć tylko o jednym: jakim cudem przeciwnik zdołał sprzątnąć mu piona na jakimś zapadłym, nieważnym polu.

Cesar stał po prawej, a dzięki siwiznie i jedwabnemu szlafrokowi przypominał elegancką postać z komedii z początków stulecia: spokojny, dystyngowany, pewny siebie, świadom, że dywan, po którym stąpa jego rozmówca, ma dwieście lat i jest jego własnością. Julia zobaczyła, jak wsuwa dłoń do kieszeni, wyjmując paczkę papierosów ze złożonym filtrem i wkłada jednego w firkę z kości słoniowej. Zbyt niezwykła była to scena, żeby nie miała zapisać się w jej pamięci: dekoracja z ciemnych, słabo oświetlonych antyków, sufit pokryty smukłymi postaciami mitologicznymi, starzejący się, elegancki, dziwaczny dandys i chudy, zaniedbany facet w pomiętym płaszczu, zwrócenie do siebie twarzami, mierzący się wzrokiem w milczeniu, jakby w oczekiwaniu, że ktoś, na przykład sufler, schowany w którymś z zabytkowych mebli, nagle da sygnał do rozpoczęcia ostatniego aktu. Już w momencie, kiedy odkryła znajome rysy na twarzy młodzieńca patrzącego w obiektyw z całą powagą swoich piętnastu czy szesnastu lat, Julia przewidziała, że kluczowa scena tak mniej więcej będzie wyglądać. Przeżywała coś na kształt *deja vu*. Znała to zakończenie, brakowało tylko ochmistrza w pasiastej liberii

— który by wszedł i oznajmił, że wieczerza gotowa — aby wszystko przybrało wymiar groteski. Popatrzyła na swoich ulubionych bohaterów i włożyła do ust papierosa. Usiłowała sobie coś przypomnieć. Wygodna ta sofa Cesara — przemknęło jej mimochodem przez myśl, gdy tak siedziała rozleniwiona. W żadnym amfiteatrze nie zapewniono by jej bardziej stosownych warunków. Tak. Wspomnienie odżyło bez trudu i okazało się, że jest to wspomnienie całkiem świeże. Ten scenariusz też miała już przed oczami, zaledwie kilka godzin temu, w sali dwunastej muzeum Prado. Obraz Bruegla, łoskot kotłów jako tło niszczącego wichru, nieubłagane zmiatającego z powierzchni ziemi trawę co do źdźbła, wszystko opętane jakimś jednym wielkim, końcowym piruetem przy dźwiękach rechotu pijanego boga, który rozkoszuje się tym olimpijskim kataklizmem zza poczerwiałych wzgórz, dymiących ruin i blasku pożogi. Pieter van Huys, inny Flamand, stary nadworny mistrz z Ostenburga, również przekazał tę wizję, po swojemu, może delikatniej, subtelniej, w sposób bardziej hermetyczny i zawily niż ten brutal Bruegel. Ale zamiar był identyczny. Ostatecznie wszystkie obrazy są obrazami jednego obrazu, wszystkie lustra są odbiciami jednego lustra, wszystkie śmierci są śmierciami jednej Śmierci:

Wszystko jest szachownicą nocy i dni, na której Los gra ludźmi niczym figurami.

Powtórzyła ten cytat bezgłośnie, patrząc na Cesara i Munozą. Wszystko było w porządku, więc można zaczynać. Uwaga, uwaga, uwaga. Obydwaj bohaterowie stali w żółtawym stożku światła, padającym z angielskiej lampy. Antykwariusz pochylił trochę głowę i zapalił papierosa, Julia wciąż trzymała swojego w ustach. Jak gdyby to właśnie był sygnał do rozpoczęcia dialogu, Munoz powoli skinął głową, choć nikt nie wypowiedział dotąd żadnego słowa, po czym rzekł:

— Mam nadzieję, Cesarze, że ma pan pod ręką jakąś szachownicę.

Dziewczyna musiała przyznać, że początek nie był ani rewelacyjny, ani nawet stosowny. Niewidzialny scenarzysta mógł bez wątplenia włożyć w usta Munozą coś lepszego. Ale — pomyślała z rezygnacją — autor tej tragikomedii jest w końcu tak samo nikczemny jak świat, który powołał do życia. Trudno się spodziewać, że farsa przerosnie talent, głupotę czy przewrotność własnego autora.

— Nie uważam, żeby szachownica była potrzebna — odpowiedział Cesar, znacznie podnosząc poziom dialogu. Nie słowami, które też nie były nadzwyczajne, ale jakże odpowiednim tonem, wzbogaconym o ów szczególny odcień niechęci, który antykwariusz zawsze umiał wsaczyć w zdanie, odcień bardzo dlań typowy, jak gdyby Cesar przyglądał się całej scenie, rzecz by można, z daleka, zasiadając na żelaznym krześle ogrodowym, pomalowanym oczywiście na białą, z bardzo wytrawnym martini w szklance. Cesar miał szalenie dekadentkie pozy, wyrafinowane jak jego homoseksualizm i jego perwersje. Także za to Julia kochała go bardzo i doceniła teraz owo wysmakowane do perfekcji zachowanie. Rozkoszując się widokiem, aż położyła się na sofie, z podziwem obserwując antykwariusza poprzez spirale dymu. Najbardziej fascynowało ją to, że ów mężczyzna oszukiwał ją już od dwudziestu lat. A mimo to ostateczną winę za oszustwo ponosił nie on, lecz ona sama. W Cesarze nic nie uległo zmianie: czy Julia by go przejrzała, czy nie, pozostawał (bo przecież musiał pozostać) sobą. Stoi tu, z zimną krwią pali papierosa i — była święcie o tym przekonana — nie odczuwa najmniejszych wyrzutów sumienia czy niepokojów w związku z własnymi uczynkami. Wyglądał — starał się wyglądać — na człowieka absolutnie nienagannego, jakiego Julia pamiętała,

gdy opowiadał jej przepiękne historie o miłości i o wojnie. W każdej chwili mógł teraz wspomnieć Długiego Johna Silvera, Wendy, Lagardere'a albo sir Kennetha od Lamparta, a Julii zupełnie by to nie zdziwiło. A przecież to on wepchnął Alvara do wanny, on wbił Menchu butelkę dżinu między nogi. . . Julia powoli zaciągnęła się dymem i przymknęła powieki, smakując własną gorycz. Jeżeli to on — pomyślała — a wszystko wskazuje, że on, w takim razie to ja się zmieniłam. Dlatego patrzę na niego dzisiaj innymi oczami i widzę w nim innego człowieka: łajdaka, komedianta i mordercę. A przy tym nadal tu siedzę, pełna fascynacji, i znów wyczekuję, co powie. Za parę sekund, zamiast jakiejś karaibskiej historyjki, opowie mi, że wszystko to zrobił dla mnie albo coś w tym rodzaju. A ja jak zawsze będę go słuchać, bo to będzie jego najbardziej niezwykła opowieść. Najbardziej pomysłowa i najbardziej przerażająca.

Zdjęła ramię z oparcia sofy i pochyliła się do przodu, uważnie patrząc z rozchyłonymi ustami, żeby nie uронić najdrobniejszego momentu rozgrywającej się przed nią sceny. Tym ruchem dała pewnie sygnał, by bohaterowie wznowili dialog. Munoz spoglądał na Cesara, z rękami w kieszeniach płaszcza i lekko przekrzywioną głową.

— Niech mi pan wyjaśni jedną wątpliwość — powiedział. — Po z biciu białego piona na a6 przez czarnego gońca, białe postanawiają przesunąć króla z d4 na e5, odsłaniając tym samym białego hetmana, który daje szacha czarnemu królowi. . . Jak powinny zagrać czarne?

W oczach antykwariusza zatańczyły iskierki rozbawienia. Były jedyną oznaką uśmiechu w tej poza tym niewzruszonej twarzy.

— Nie wiem — odparł po chwili. — To pan jest tu mistrzem, mój drogi. Pan powinien to wiedzieć.

Munoz przybrał jedną z tych swoich nieokreślonych min, jak gdyby zrzucał z siebie tytuł mistrzowski, którym Cesar pierwszy raz go obdarzył.

— A jednak — nalegał, cedząc słowa — chciałbym poznać pańską opinię.

Na ustach antykwariusza wykwitł uśmiech, dotąd zastrzeżony wyłącznie dla oczu.

— W takim razie osłoniłbym króla, stawiając gońca na e4. . . — Spojrzał na szachistę z uprzejmą troską. — Czy to właściwy ruch?

— Zbijam tego gońca — odezwał się Munoz prawie grubiańsko. — Białym gońcem z d3. A pan daje mi szacha skoczkiem na d7.

— Ja panu niczego nie daję, przyjacielu — antykwariusz spoglądał na niego ze spokojem. — Nie wiem, o czym pan mówi. Zresztą nie pora teraz na zagadki.

Munoz z uporem pocierał czoło.

— Pan mi daje szacha na d7 — powtórzył. — Niech pan skończy te dyrdymały i zajmie się szachownicą.

— Ale to niby dlaczego?

— Bo niewiele zostało panu dróg wyjścia. . . Uciekam przed tym szachem i przesuwam białego króla na d6.

Słyszając to, Cesar westchnął, a jego niebieskie oczy, które z braku dostatecznego światła teraz wydawały się bardzo jasne, niemal bezbarwne — spoczęły na Julii. W końcu wsunął firkę w zęby i z wyrazem lekkiego znużenia skinął dwukrotnie głową.

— W takim układzie z prawdziwym żalem — naprawdę wyglądał na zniecierpliwionego — byłbym zmuszony do zbiccia drugiego białego skoczka, tego z b1 — popatrzyl na rozmówcę ze skruchą. — Nie sądzi pan, że to przykre?

— Tak. Szczególnie z punktu widzenia skoczka. . . — Munoz przygryzł w skupieniu dolną wargę. — A zbiłby pan wieżę czy hetmanem?

— Oczywiście, że hetmanem — obruszył się Cesar. — Są pewne zasady. . . — zawiesił zdanie w powietrzu, unosząc prawą dłoń. Dłoń bladą i smukłą, z prześwitującymi niebieskawymi żyłkami. Dłoń całkowicie zdolną, z czego Julia wreszcie zdała sobie sprawę, do zadania śmiertelnego ciosu tym samym, naturalnym, eleganckim ruchem, który teraz antykwariusz kreślił w pustce.

I wtedy, pierwszy raz od przyjscia do domu Cesara, na ustach Munoz pojął się wreszcie ów nic nie znaczący uśmiezek, słaby i nieobecny, znak raczej matematycznych rozważań niż reakcji na otaczającą rzeczywistość.

— Ja na pana miejscu zagrałbym hetmanem na c1, ale to nie ma już znaczenia. . . — powiedział cicho. — Chciałbym tylko wiedzieć, jak miał mnie pan zamiar zabić.

— Proszę nie wygadywać niestosownych bzdur — odrzekł antykwariusz z autentycznym oburzeniem i, chcąc może zaapelować do dobrych obyczajów szachisty, wskazał dłonią sofę, na której siedziała Julia, choć nie patrzył w jej stronę. — Ta młoda dama. . .

— Sprawy zaszły tak daleko — wtrącił Munoz, a uśmiezek błąkał mu się w kąciuku ust — że młoda dama jest chyba równie zaciekawiona, jak ja. Ale nie odpowiedział

mi pan na pytanie... Zamierzał pan uciec się do swojego typowego ciosu w gardło albo w kark czy rezerwował pan dla mnie jakieś rozwiązanie klasyczne? Może truciznę, sztylet czy coś w tym stylu... Jak by pan to nazwał? — zerknął na sufit, szukając tam odpowiedniego określenia. — Ach, tak. Coś w stylu weneckim.

— Ja bym użył raczej słowa „florenckim” — poprawił go Cesar, ścisły do końca, choć nie krył swoistego podziwu.

— Ale nie wiedziałem, że potrafi pan sobie dworować z tak poważnych kwestii.

— Nie potrafię — odpowiedział szachista. — Zupełnie nie potrafię — spojrzał na Julię, po czym wycelował palec w antykwariusza. — ...Widzi go pani: to goniec, zasznik króla i królowej. By sprawę bardziej udratyzować, nazwijmy go z angielska bishop, biskupem spiskowcem. Wielkim Wezyrem zdrajcą, który knuje w ciemności, bo tak naprawdę jest Czarną Królową w przebraniu... .

— Cóż za cudowny romans przygodowy — zakpił Cesar, składając dłonie w niemym podziwie. — Ale nie zdradził mi pan, co zrobią białe po stracie konika... . Jeśli mam być szczerzy, drogi przyjacielu, to wprost umieram z ciekawości.

— Goniec na d3, szach. I czarne przegrywają partię.

— Tak po prostu? Niepokoi mnie pan, mój drogi.

— Tak po prostu.

Cesar zamyslił się nad nowym obrotem sprawy. Po chwili wyjął resztkę papierosa z fufki i wrzucił do popielniczki, strzepnąwszy starannie popiół.

— Interesujące — powiedział i unióśł fufkę niczym palec, domagając się chwili na zastanowienie, po czym z wolna, żeby nie wystraszyć Munoz, przeszedł w stronę angielskiego stolika do gier, stojącego obok sofy, po prawej stronie Julii. Przekręcił srebrny kluczyk w szufladzie, fornirowanej drewnem goździkowca, i wyjął poźółkłę i ciemne szachy z kości słoniowej, które Julia widziała pierwszy raz w życiu.

— Interesujące — powtórzył, ustawiając na szachownicy bierki smukłymi dłońmi o wypielęgnowanych paznokciach.

— Zatem sytuacja wygląda następująco.

— Dokładnie tak — potwierdził Munoz, spoglądając na szachownicę z daleka. — Biały gонец wycofując się z c4 na d3, umożliwia podwójnego szacha: biały hetman czarnemu królowi, a sam gонец czarnemu hetmanowi. Król może już tylko uciec z a4 na b3 i pozostawić swojego hetmana własnemu losowi. . . Biały hetman da kolejnego

szacha na c4, spychając króla przeciwnika jeszcze bardziej w dół, nim biały goniec wykończy czarnego hetmana.

— Tego gońca zbije czarna wieża.

— Owszem. Ale to już nie ma znaczenia. Bez hetmana czarne są przegrane. Poza tym po odejściu tej figury cała partia przestaje mieć rację bytu.

— Załóżmy, że ma pan rację.

— Mam. Partię, czy to, co z niej zostaje, rozstrzyga teraz biały pion z d5, który po zabicu czarnego piona na c6 bez przeszkód dotrze do końca i skorzysta z promocji na hetmana. . . Dojdzie do tego po sześciu, najwyżej dziewięciu ruchach. — Munoz wyjął z kieszeni zapisaną kartkę i ołówek. — Na przykład takich:

d5 : c6/Sd7 - f6

Hc4 - e6/a5 - a4

He6 : Sf6/a4 - a3

c3 - c4+/Kb2 - c1

Hf6 - c3+/Kc1 - d1

Hc3 : a3/Wb1 - c1

Ha3 - b3+/Kd1 : d2

c6 - c7/b6 - b4

c7 - c8.../(czarne poddają się)

Antykwariusz wziął kartkę z notatkami i ze spokojem przyjrzał się szachownicy, gryząc pustką firkę. Uśmiechał się jak ktoś, kto widzi, że jego klęska zapisana była w gwiazdach. Po kolei przesuwiał bierki aż do pozycji finałowej.

— Przyznaję, że nie ma wyjścia — rzekł w końcu. — Czarne przegrywają.

Oczy Munoza powędrowały z szachownicy na Cesara.

— Bicie drugiego skoczka — mruknął beznamiętnie — było błędem.

Antykwariusz, ciągle z uśmiechem, wzruszył ramionami.

— Od pewnego momentu czarne nie miały już wyboru... Powiedzmy, że one też były więźniami swego własnego impetu, swej naturalnej dynamiki. Ten skoczek zdecydował o grze — Julia przez chwilę dostrzegła w oczach Cesara iskierkę dumy. — W gruncie rzeczy otarł się o perfekcję.

— Ale nie w szachach — odparł oschle Munoz.

— W szachach...? Przyjacielu drogi — antykwariusz machnął pogardliwie dłonią w stronę bierek na planszy. — Mam na myśli coś więcej niż zwykłą szachownicę. — Błękit oczu Cesara nabrał głębi, jakby otworzył się w nich cały ukryty świat. — Mam na myśli samo życie, zupełnie inne sześćdziesiąt cztery pola czarnych nocy i białych dni, o których pisał poeta... A nawet być może na odwrót: białych nocy i czarnych dni. Zależy, z której strony staniemy do tej partii... Czyli, by rzecz ująć w kategoriach symbolicznych, z której strony umieścimy lustro.

Julia wpatrywała się w Cesara, który wprawdzie nie spoglądał w jej stronę, ale zdawał się cały czas do niej mówić, choć pozornie zwracał się do Munoz.

— Skąd pan wiedział, że to on? — spytała szachistę. W tym momencie antykwariusz pierwszy raz się przestraszył, coś w jego zachowaniu uległo raptownej zmianie, jakby Julia, poświadczając na głos oskarżenie Munoz, złamała jakiś pakt milczenia. Ale ta początkowa niepewność natychmiast się rozwiła, a drwiący uśmiech ustąpił miejsca grymasowi gorzycy.

— Tak — zwrócił się do szachisty. To była pierwsza formalna kapitulacja z jego strony. — Proszę jej powiedzieć, skąd pan wiedział, że to ja.

Munoz przechylił nieco głowę ku Julii.

— Pani przyjaciel popełnił parę błędów. . . — Zreflektował się i popatrzył na antykwariusza z leciutko przeproszającą miną. — Chociaż nazywanie ich „błędami” byłoby niewłaściwe, bo przez cały czas pan wiedział, co robi i co ryzykuje. . . Paradoksalnie to pani go zdemaskowała.

— Ja? Przecież nie miałam o tym najmniejszego pojęcia do czasu, aż. . .

Cesar pokręcił głową. Prawie ze słodyczą — pomyślała Julia przerażona tym, co czuje.

— Nasz przyjaciel Munoz mówi w przenośni, księżniczko.

— Nie nazywaj mnie księżniczką, błagam cię — Julia nie rozpoznała własnego głosu. Zabrzmiał niespodziewanie twardo nawet w jej własnych uszach. — Przynajmniej dziś.

Antykwariusz obserwował ją parę chwil i wreszcie skinął głową.

— Zgoda — rzekł i z wyraźnym trudem powrócił do zasadniczego wątku. — Munoz usiłuje ci wyjaśnić, że twoja obecność w tej grze stanowiła dlań tło, na którym wyrażnie mógł analizować zamiary przeciwnika. Nasz przyjaciel jest świetnym szachistą, ale okazał się też znacznie lepszym detektywem, niż sądziłem. . . Nie takim, jak ten bęcwiał Feijoo, który widząc niedopałek w popielniczce, dojdzie najwyżej do wniosku, że ktoś palił. — Spojrzał na Munozę. — Zatem uczuliło pana zabicie pionka na d5 gońcem zamiast hetmanem, czyż nie?

— Tak. W każdym razie była to jedna ze wskazówek, które wzbudziły moje podejrzenia. Wcześniej, w czwartym posunięciu, czarne zrezygnowały już ze zbiccia białego hetmana, choć ten ruch rozstrzygnąłby partię na ich korzyść. . . Z początku myślałem, że to taka zabawa w kotka i myszkę albo że Julia jest niezbędna w tej grze i chwilowo nie powinna być zbita czy zabita. Ale kiedy nasz wróg, czyli pan, zdecydował się bić pionka na d5 gońcem zamiast hetmanem, co musiało doprowadzić do wymiany hetmanów, zrozumiałem, że tajemniczy gracz wcale nie ma zamiaru bić białego hetmana. Że wręcz, gdyby miało dojść do takiej ewentualności, woli poddać partię. A związek tego posunięcia ze sprayem na Rastro, z chełpliwym komunikatem „mogę zabić, ale tego

nie robię”, był tak oczywisty, że przestałem mieć jakiegokolwiek wątpliwości: groźby pod adresem białego hetmana były zasłoną dymną. — Spojrzał na Julię. — Bo pani w tej całej historii absolutnie nic nie groziło.

Cesar kiwał głową, jakby tematem rozważań nie były jego własne uczynki, ale jakiejś innej osoby, która ani go parzyła, ani ziębiła.

— Zrozumiał pan też — powiedział — że przeciwnikiem jest nie czarny król, a królowa. . .

Munoz poruszył ramionami, nie wyjmując dłoni z kieszeni płaszcza.

— To akurat nie było trudne. Tutaj ewidentny był trop prawdziwych morderstw: odpowiadały im tylko figury zbite przez czarnego hetmana. Przeanalizowałem wówczas ruchy właśnie tej figury i wyciągnąłem interesujące wnioski. Chociażby na temat jej roli ochronnej, bardziej widocznej niż zazwyczaj w szachach, niż w wypadku jej głównego przeciwnika, białego hetmana, którego zresztą szanowała jak świętego. . . Zwróciłem też uwagę, że czarny hetman ciągle pozostawał blisko białego skoczka, na sąsiednich polach, prawie jak sojusznik, a swoje zatrute ostrze miał w niego wbić dopiero później, kiedy nie będzie już alternatywy. . . — Patrzył na Cesara matowym wzrokiem. — Mogę

się tylko pocieszać, że zabiłby mnie pan bez nienawiści, a nawet z gracją i sympatią współnika. Z prośbą o wybaczenie i zrozumienie na ustach. Padłbym ofiarą reguł czysto szachowych.

Cesar machnął ręką z osiemnastowieczną, manieryczną galanterią i schylił czoło z wdzięczności za tak trafne odgadnięcie jego intencji.

— Ma pan absolutną rację — zaznaczył. — Ale proszę mi zdradzić. . . Jak pan się zorientował, że jest skoczkiem, a nie gońcem?

— Dzięki całej serii wskazówek, wyraźnych i drobnych. Decydująca okazała się symboliczna rola gońca jako powiernika króla i królowej, o której wspomniałem wcześniej. Pan, panie Cesarze, zagrał tu postać niezwykłą: białego gońca przebranego za czarnego hetmana, działał pan z obydwu stron szachownicy. . . Ta podwójna osobowość doprowadziła do pana klęski, choć, co ciekawe, rozpoczął pan grę dokładnie w tym celu: żeby ją zakończyć na przegranej pozycji. A śmiertelny cios zadaje pan sobie sam: biały goniec zbija czarnego hetmana, antykwariusz, przyjaciel Julii, własną grą zdradza, kim jest niewidoczny gracz, skorpion zabija się własnym kolcem. . . Zapewniam pana, że pierwszy raz w życiu jestem świadkiem tak doskonałego samobójstwa na szachownicy.

— Znakomicie — odezwał się Cesar i Julia nie była pewna, czy mówi o analizie Munoz, czy o własnej grze. — Ale proszę mi powiedzieć... Czym należy tłumaczyć, pana zdaniem, moje utożsamienie się z czarną królową i białym gońcem?

— Obawiam się, że moja odpowiedź zabrałaby nam całą noc, a dyskusja na ten temat parę tygodni... Teraz mogę tylko mówić o tym, co zobaczyłem na szachownicy. Dojrzałem tam podwójną osobowość: zło, panie Cesarze, mroczne i czarne... Pana kobietą kondycję, przypomina pan sobie...? Sam kiedyś prosił mnie pan o analizę: osobowość osaczoną, skrępowaną przez otoczenie, rzucającą wyzwanie narzuconym normom, kombinację wrogich odruchów i skłonności homoseksualnych... Wszystko to ukrył pan pod czarną szatą Beatrycze Burgundzkiej, czyli królowej planszy... A po drugiej stronie, jak światło dnia, pańska miłość do Julii... To pańska druga kondycja, będąca dla pana takim samym źródłem cierpień: męskość i jej wszystkie implikacje, estetyzm etosu rycerskiego. Wszystko, czym pan chciał być, ale nadaremno. Roger d'Arras wcielony nie w skoczka, czyli rycerza, a w eleganckiego, białego gońca... Co pan na to?

Cesar stał blady, nieporuszony, i pierwszy raz w życiu Julia widziała, że zdumienie go sparaliżowało. Wreszcie po paru chwilach, które wydawały się wiecznością, wypeł-

nionych i odmierzanych jedynie tykaniem ściennego zegara, zdobył się znów na słaby uśmiech, który zamajaczył w kącikach jego śmiertelnie bladych ust. Tym razem jednak był to grymas czysto machinalny, próba stawienia czoła bezlitosnej wiwisekcji, którą Munoz rzucił mu pod nogi jak rękawiczkę.

— Proszę mi opowiedzieć o tym gońcu — wychrypiał.

— Opowiem, skoro pan mnie o to prosi — teraz w oczach Munoz zagościł gorączkowy blask, jak w chwilach decydującego posunięcia. Był to jego zawodowy rewanż za zwątpienia i chwile niepewności, jakie stały się jego udziałem przy szachownicy. Julia zdała sobie sprawę, że szachista w którymś momencie partii był już bliski uwierzenia we własną przegraną. — Goniec. Figura najbardziej porównywalna z homoseksualistą, poruszająca się w głąb i po przekątnej... Tak. Pan przypisał tu sobie wspaniałą rolę obrońcy bezradnej białej królowej, który, zgodnie z przyjętym na samym początku przemyślnym planem, zada śmiertelny cios własnej ciemnej stronie, udzielając przy tym swojej ukochanej królowej mistrzowskiej, przerażającej lekcji. . . Wszystko to odkrywałem stopniowo, zbierając rozproszone obserwacje. Ale pan nie gra w szachy. Początkowo ten fakt nie pozwolił mi na jakiegokolwiek podejrzenia. Później, kiedy nabrałem

pewności, wprawiał mnie w prawdziwe zakłopotanie. Plan tej partii był zbyt doskonały jak na zwykłego gracza i nie do pomyślenia u amatora. . . Po prawdzie ciągle tego nie pojmuję.

— Wszystko ma swoje wytłumaczenie — odparł Cesar. — Ale nie chcę panu przerywać, mój drogi. Proszę mówić.

— Niewiele mi zostało do powiedzenia. Przynajmniej tu i teraz. Alvara Ortegę zabił ktoś, kogo ofiara może znała, ale nie byłem dostatecznie wprowadzony. Natomiast Menchu Roch nigdy nie otworzyłaby drzwi nieznanemu, w każdym razie w okolicznościach, które znamy z ust Maxa. Nocą w kawiarni powiedział pan, że już prawie nie ma podejrzanych, i miał pan rację. Postanowiłem przebadać rzecz, posługując się analizą wariantową. Lola Belmonte nie była moim przeciwnikiem, wiedziałem to, gdy stanąłem z nią twarzą w twarz. Jej mąż tym bardziej. Z kolei sporo do myślenia dały mi ciekawe paradoksy muzyczne don Manuela Belmontego. . . Ale jak na podejrzanego miał niedostateczne kwalifikacje. Jego szachowe wcielenie, że tak powiem, nie dorastało do reszty. Poza tym jest inwalidą, a to wykluczało go jako człowieka odpowiedzialnego za bezpośrednio zadane ciosy. . . Ewentualna kombinacja stryj-bratanica, tłumacząca

udział kobiety w płaszczu, też nie wytrzymała próby analitycznej: po co mieliby kraść coś, co i tak należało do nich...? Natomiast w sprawie tego Montegrifa przeprowadziłem małe dochodzenie i wiem, że nie ma najmniejszych związków z szachami. Poza tym Menchu Roch w życiu nie wpuściłaby go do domu tamtego ranka.

— Czyli pozostawałem tylko ja.

— Wie pan, że po wykluczeniu wariantów niemożliwych to, co zostaje, siłą rzeczy musi być prawdą, choćby nieprawdopodobną.

— Pamiętam, mój drogi, i winszuję. Cieszę się, że nie pomyliłem się co do pana.

— Po to mnie pan wybrał, prawda...? Wiedział pan, że wygram partię? Pan chciał zostać pokonany.

Cesar wyrozumiałym wyrazem twarzy dał do zrozumienia, że to już nie jest ważne.

— Istotnie, spodziewałem się tego. Liczyłem na pańskie umiejętności, ponieważ Julia potrzebowała przewodnika podczas drogi do piekieł... Ja w tym przypadku mu-

siałem ograniczyć się do jak najlepszego odegrania roli Diabła. „Żeć przewodnikiem będę”¹. Otóż i zesłałem jej przewodnika.

Słyszac te słowa, Julia spojrzala na niego gniewnie. Jej głos zadźwięczał metalicznie:

— Nie odgrywałeś Diabła, ale samego Boga. Dysponowałeś złem i dobrem, życiem i śmiercią.

— To twoja gra, Julio.

— Kłamiesz. Twoja gra i tyle. A ja byłam tylko pretekstem.

Antykwariusz skrzywił się z wyrzutem.

— Niczego nie rozumiesz, kochanie. Ale to już nie ma specjalnie znaczenia... Przejrzyj się w dowolnym lustrze i może przyznasz mi rację.

— Cesar, wsadź sobie swoje lustra, gdzie chcesz. Popatrzył na nią z prawdziwym bólem, jak pies, albo dziecko niesprawiedliwie ukarane. Stopniowo niema wymówka, przepełniona absurdalną wiernością, ulatniała się z jego błękitnych oczu, ustępując

¹Dante Alighieri, Boska komedia, przeł. Edward Porębowicz.

w końcu miejsca zagubionemu w pustce, dziwnie wilgotnemu spojrzeniu. Antykwaryusz powoli zwrócił głowę z powrotem ku Mimosowi.

— Ciągle — odezwał się i było słychać, że z trudem odzyskuje poprzedni ton głosu — nie powiedział mi pan, w jaki sposób powiązał swoje teorie indukcyjne z faktami. . . Na przykład dlaczego przyszedł pan do mnie z Julią dzisiaj, a nie wczoraj?

— Bo wczoraj jeszcze nie wiedziałem, że drugi raz zrezygnował pan z bicia białego hetmana. . . Poza tym dopiero dziś wieczorem znalazłem to, czego szukałem: oprawiony rocznik pisma szachowego z trzeciego kwartału tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Jest tam zdjęcie finalistów turnieju młodzieżowego. Pan, panie Cesarze, figuruje na tym zdjęciu. A pana imię i nazwisko na następnej stronie. Zadziwia mnie, że nie został pan zwycięzcą. . . Zdumiewające też, że od tamtej chwili znika szachowy ślad w pańskiej biografii. Nigdy nie rozegrał pan publicznie żadnej partii.

— Jednego nie rozumiem — wtrąciła się Julia. — A właściwie jest jeszcze jedna rzecz pośród tego całego szaleństwa, której nie rozumiem. . . Jesteś obecny w moim życiu, Cesar, od kiedy sięgam pamięcią. Wychowałam się przy tobie, wydawało mi się,

że znam najdrobniejsze zakamarki twojego życia. Ale nigdy nie mówiłeś o szachach.

Ani razu. Dlaczego?

— To długa historia.

— Mamy czas — rzekł Munoz.

Była to ostatnia partia turnieju. Finał gońcami i pionami, na szachownicy zostało już niewiele bierek. Naprzeciwko podium, na którym potykali się finaliści, ich ruchy śledziło paru widzów. Jeden z sędziów zaznaczał zmiany sytuacji na tablicy wiszącej na ścianie pomiędzy portretem caudilla², a kalendarzem z datą 12 października 1945, stojącym na stole obok połyskującego pucharu dla zwycięzcy.

Młodzieniec w szarej marynarce odruchowo dotknął węzła krawata i popatrzył na swoje czarne bierki z rozpaczą. Bezlitosną, metodyczną grą przeciwnik od paru posunięć osaczał go, nie dając żadnej nadziei. Białe nie grały błyskotliwie, raczej dokony-

²Caudillo (hiszp.) — wódcz: tytuł przysługujący ówczesnemu szefowi państwa hiszpańskiego, generałowi Franciscowi Franco.

wały powolnego postępu na solidnie przygotowanej bazie — grano obronę królewsko-indyjską — i zyskiwały przewagę dzięki cierpliwemu wykorzystywaniu błędów rywala. Grały bez wyobraźni, niweczając jednak skutecznie wszelkie próby ataku na króla ze strony czarnych, zdziatkowanych i rozproszonych, pozbawionych możliwości schronienia, niezdolnych przeszkodzić białym pionom w ich nieustępliwym dążeniu do promocji na hetmana.

Oczy młodzieńca w szarej marynarce zaszyły mgłą ze zmęczenia i wstydu. Przekonanie, że mógł zwyciężyć, że grał lepiej, odważniej i błyskotliwiej od przeciwnika, nie zdołało pocieszyć go w obliczu nieuchronnej klęski. Jego niepoohamowana, żarliwa wyobraźnia piętnastolatka, niezwykła wrażliwość, jasność myśli, a nawet niemal fizyczna rozkosz, jaką odczuwał, gdy dotykał bierok z lakierowanego drewna i przesuwiał je wytwornymi ruchami po szachownicy, snując na białych i czarnych polach delikatną intrygę o prawie idealnej harmonii i pięknie — wszystko to nagle okazało się jałowe, splamione dziką satysfakcją i pogardą, malującą się na twarzy zwycięskiego przeciwnika, ponurego gbura o małych oczkach i prostackich rysach, którego jedynym tytułem do

chwały było ostrożne wyczekiwanie. Jak pajak pośrodku sieci, jak niewypowiedziany tchórz.

A więc szachy mogły być i takie — pomyślał młodzieniec grający czarnymi. Ostatcznym upokorzeniem, niezasłużoną klęską, nagrodą dla tego, kto niczym nie ryzykuje. Tak to odczuwał w owym momencie, siedząc przed szachownicą, na której widać było nie tyle porozstawiane głupie bierki, ale namacalne odbicie ludzkiego losu, życia i śmierci, bohaterstwa i ofiary. Przypomnieli mu się dumni rycerze francuscy pod Crecy, rozbici w pełnej glorii przez łuczników walijskich króla Anglii. Podobnie i jego śmiałe, głębokie ataki skoczkami i gońcami, piękne ruchy, zuchwałe jak ciosy szpada, nadciągające niczym heroiczne, daremne fale, napotykały druzgocący opór flegmatycznego, nieruchawego przeciwnika. Biały król, znieawidzona figura, stał za nieprzebytą barykadą plebejskich pionków i z dala, z pogardą identyczną jak ta na twarzy jego gracza, obserwował niepokój i bezsilność osamotnionego czarnego króla, który nie mógł już liczyć na pomoc rozproszonych, wiernych pionów, pierzchających w popłochu wobec beznadziejnej sytuacji.

Na tym zimnym biało-czarnym polu okrutnej walki nie było już nawet jak ocalić honoru. Katastrofa kompletnie go zrujnowała, razem z nim niszcząc także jego wyobraźnię, jego marzenia, jego cześć. Młodzieniec w szarej marynarce oparł łokieć na stole, czoło położył na dłoni, zamknął na chwilę oczy i słuchał słabnącego z wolna szczęku broni w pogrążonej w ciemności dolinie. Nigdy więcej — powiedział sobie w duchu. Gallowie pokonani przez Rzym odmówili wypowiedzenia nazwy miejsca własnej przegranej, i on też do końca życia nie będzie wspominał tego, co w owej chwili objawiła mu jałowa chwała. Nigdy już nie usiądzie do szachów. I oby mógł także pogrzebać to w pamięci, jak faraonów, których po śmierci składano do grobowców razem z ich imionami.

Przeciwnik, sędzia i widzowie oczekiwali kolejnego posunięcia ze źle skrywaną niechęcią, finał bowiem za bardzo już się przedłużał. Młodzieniec ostatni raz popatrzył na swego osaczonego króla i z uczuciem wspólnie poniesionej klęski uznał, że pozostaje tylko jedno wyjście: własną ręką zadać mu cios łaski, dać prawo do godnej śmierci, nie czekając, aż skończy zaszczuty niczym kundel, zapędzony w kozi róg szachownicy. Wy-

ciągnął więc palce ku samotnej figurze i z niebywałą czułością przewrócił pokonanego króla, pełnym uwielbienia gestem kładąc go na pustych kwadratach.

XV. Końcówka hetmana

Grając w nie popełniłem niejeden grzech: namiętności,
kłótnie, niepotrzebne (albo i kłamliwe) słowa
nie ominęły ani mnie, ani mojego przeciwnika
— a czasem nas obydwu naraz. Przez szachy
zaniedbałem tyle powinności tak wobec Boga, jak i ludzi. . .

E. Harley,

The Harleyan Miscellany

Kiedy Cesar skończył swą opowieść — a mówił cicho, wpatrzony w nieokreślony punkt pokoju — uśmiechnął się do siebie i odwrócił z wolna ku szachom z kości słoniowej, leżącym na stole. Wreszcie wzruszył ramionami, chcąc może dać tym gestem do zrozumienia, że nikt nie wybiera własnej przeszłości.

— Nigdy mi o tym nie opowiadałeś — odezwała się Julia. Miała wrażenie, że jej głos zabrzmiał jakoś absurdalnie nie na miejscu.

Nie od razu odpowiedział. Pergaminowy abażur sprawiał, że połowa jego twarzy pozostawała w cieniu. Skąpe światło wyraźnie akcentowało zmarszczki wokół oczu, arystokratyczny profil, wąski nos i podbródek, wszystko jak z misternie rytego starego medalu.

— A jakże mógłbym opowiadać ci o czymś, czego nie było? — szepnął miękko i pierwszy raz po długiej przerwie jego wzrok, a może tylko przyćmiony blask oczu, spoczął na Julii. — Przez ponad czterdzieści lat czyniłem wysiłki, by wierzyć, że tak właśnie jest — w jego uśmiechu pojawił się drwiący grymas, którego adresatem był bez wątpienia sam antykwariusz. — Nie zagrałem więcej w szachy, nawet samemu. Nigdy.

Dziewczyna pokręciła w zdumieniu głową. Ledwie była w stanie w to wszystko uwierzyć.

— Ty jesteś chory.

Odpowiedział jej krótki, oschły śmiech. Światło odbijało się w oczach Cesara jak w kryształkach lodu.

— Rozczarowujesz mnie, księżniczko. Przynajmniej po tobie oczekiwałem, że nie będziesz iść po linii najmniejszego oporu — popatrzył w zadumie na fikę. — Zapewniam cię, że jestem w pełni władz umysłowych. Czy mógłbym tak precyzyjnie dopracować szczegóły tej pięknej historii, gdyby było inaczej?

— Pięknej? — wpatrywała się weń zaskoczona. — Mówisz o Alvarze, o Menchu...? I nazywasz to „piękną historią”? — wzdrygnęła się z przerażeniem i pogardą. — Na miłość boską! Co ty, do cholery, wygadujesz?!

Antykwariusz spokojnie wytrzymał jej spojrzenie, po czym zwrócił się w stronę Munozy, jakby szukał pomocy.

— Są pewne aspekty... estetyczne — powiedział. — Czynniki nader oryginalne, których nie powinniśmy sprowadzać do tak powierzchownego poziomu. Szachownica

nie składa się wyłącznie z bieli i czerni. Na fakty można spoglądać z wyższych perspektyw. Z perspektyw obiektywnych — popatrzył na nich z nagłym smutkiem, który musiał być autentyczny. — Ufałem, że zdajecie sobie z tego sprawę.

— Wiem, o czym pan mówi — odezwał się Munoz ku zdumieniu Julii. Ciągle stał nieruchomo pośrodku salonu, z rękami w kieszeniach pomiętego płaszcza. W kąciku jego ust znów pojawił się ten słaby grymas, ledwie widoczny uśmiezek, nieokreślony, nieobecny.

— Pan wie? — krzyknęła Julia. — Co pan pieprzy? Co pan może wiedzieć?!

Zacisnęła pięści z oburzenia. Dyszała jak zwierzę po długim biegu. Na Munozie jednak nie zrobiło to wrażenia i Julia dostrzegła wdzięczność w spokojnym spojrzeniu, jakie Cesar posłał szachiście.

— Dokonałem trafnego wyboru — rzekł antykwariusz. — I bardzo mnie to raduje.

Munoz nie odpowiadał, patrzył tylko na obrazy, meble i przedmioty wypełniające pokój i kiwał powoli głową, jakby wyciągał z tego sekretne wnioski. Wreszcie po jakimś czasie pokazał na dziewczynę ruchem podbródka.

— Chyba panna Julia ma prawo poznać całą historię.

— Pan też, mój drogi.

— Ja też. Chociaż ja pełnię tu tylko rolę świadka.

W jego głosie nie było słyhać nagany czy groźby. Szachista o dziwo sprawiał wrażenie, jakby przyjął neutralną postawę. Neutralną do czasu — pomyślała Julia — bo prędzej czy później przyjdzie moment, kiedy wyczerpią się słowa i trzeba będzie podjąć decyzję. Tyle że ten moment jest jeszcze bardzo daleko, jak stwierdziła, oszołomiona nieustającym odczuciem, że cała scena jest zupełnie nierealna.

— No to zaczynajmy — rzekła, i z nieoczekiwaną ulgą poznała po własnym głosie, że odzyskuje spokój. Spojrzała twardo na Cesara. — Powiedz nam o Alvarze.

Antykwariusz skinął głową.

— O Alvarze — powtórzył cicho. — Ale najpierw muszę zająć się obrazem. . . — tu na jego twarzy pojawił się żal, jakby antykwariusz zdał sobie sprawę, że zapomniał o elementarnej gościnności. — To niewybaczone, do tej pory niczego nie zaproponowałem. Napijcie się czegoś?

Nikt nie odpowiedział. Cesar podszedł do starego dębowego kufra, którego używał jako barku.

— Pierwszy raz zobaczyłem ten obraz, kiedy byłem u ciebie, Julio. Pamiętasz...? Przywieźli go parę godzin wcześniej, cieszyłaś się jak mała dziewczynka. Przez prawie godzinę przypatrywałem ci się, jak badasz każdy szczegół i tłumaczysz mi, jakimi technikami się posłużysz, żeby, cytuję dosłownie, uczynić zeń najpiękniejsze osiągnięcie w twojej karierze — mówiąc to, Cesar wybrał wąską szklankę z drogiego, rźniętego kryształu, i napełnił ją lodem, dżinem i sokiem z cytryny. — Byłem urzeczony twoim szczęściem, a prawdę mówiąc, księżniczko, ja też byłem szczęśliwy. — Odwrócił się do nich ze szklanką w dłoni, zadowolony z proporcji koktajlu. — Ale nie powiedziałem ci wtedy... Cóż. Rzecz w tym, że i dzisiaj nie znajduję odpowiednich słów... Wpadłaś w zachwyty na widok urody obrazu, doskonałości jego kompozycji, kolorów i światła. Ja też, ale z innych powodów. Ta szachownica, pochyleni nad nią gracze i dama, która czyta przy oknie, obudzili we mnie echo dawno uśpionej pasji, o której wydawało mi się, że już zapomniałem. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy — trach! — powróciła jak armatnia kula, a mnie i zachwyty zdjął, i strach. Poczułem jakby tchnienie szaleństwa.

Antykwariusz zamilkł na chwilę i oświetloną częścią ust uśmiechnął się do siebie podstępnie, jakby to wspomnienie napawało go szczególną błogością.

— Rzec nie dotyczyła wyłącznie szachów — podjął po chwili — ale owego zawodowego poczucia, że ta gra stanowi parabolę życia i śmierci, łączy rzeczywistość z marzeniami. . . I kiedy ty, Julio, mówiłaś o barwnikach i werniksach, ja ledwie cię słuchałem, zaskoczony dreszczem rozkoszy i niezwykłego smutku, jaki przesywał mi ciało, tylko siedziałem koło ciebie na sofie i wpatrywałem się nie w to, co Pieter van Huys namalował na trzech deskach, ale w to, co ów genialny mistrz miał w głowie podczas malowania.

— I postanowiłeś, że obraz musi należeć do ciebie. . .

Cesar spojrział na dziewczynę z ironią i naganą.

— Upraszczasz, księżniczko. — Upił łyk drinka. Jego słaby uśmiech wyrażał prośbę o wyrozumiałość. — Postanowiłem raczej, że bezwzględnie muszę do końca spełnić dług wobec młodzieńczej pasji. Takiego długiego życia, jak moje, nie należy przeżywać na darmo. Bez wątpienia właśnie dlatego natychmiast dotarł do mnie nie komunikat wprawdzie, który okazał się tu kluczem, ale niezbity fakt, że w obrazie zawarta jest fascynująca, straszliwa zagadka. Może ta zagadka, pomyśl przez chwilę, dawała mi wreszcie rację bytu.

— Rację bytu?

— Tak. Świat nie jest tak prosty, jak niektórzy chcieliby nam wmówić. Kontury są niewyraźne, liczą się odcienie. Nic nie jest czarne albo białe. Zło może skrywać dobro albo piękno i na odwrót, a żadne z tych pojęć nie wyklucza drugiego. Istota ludzka potrafi kochać i zdradzić ukochaną osobę, co w niczym nie zaprzecza autentyczności jej uczuć. Można być zarazem ojcem, bratem, synem i kochankiem, ofiarą i katem. . . Weź pierwszy z brzegu przykład. Życie to niebezpieczna przygoda w zamglonym pejzażu o ruchomej powierzchni i sztucznie wyznaczonych granicach. Tu wszystko może w każdej chwili skończyć się i zacząć na nowo względnie urwać nagle, jak ucięte, na zawsze. Tu jedynym rzeczywistym absolutem, spójnym, niepodważalnym i ostatecznym jest śmierć. A my jesteśmy małymi błyskami między dwiema wiecznymi nocami i mamy, księżniczko, bardzo mało czasu.

— Ale to się nie wiąże ze śmiercią Alvara.

— Wszystko się wiąże ze wszystkim — Cesar gestem dłoni poprosił o cierpliwość.

— Poza tym życie jest ciągiem wypadków, które wynikają z siebie nawzajem, często bez udziału woli. . . — Spojrzał pod światło na szklanke, jakby tam pływała dalsza

część jego rozumowania. — I wtedy, to znaczy w dniu, kiedy byłem u ciebie, postanowiłem wyświecić prawdę na temat tego obrazu. Podobnie jak tobie, pierwszą osobą, jaka przyszła mi na myśl, był Alvaro. . . Nigdy go nie lubiłem, ani kiedy byliście ze sobą, ani potem. Jedna istotna różnica: absolutnie mu nie wybaczyłem, że przez niego cierpiałś.

Julia wyjmowała właśnie drugiego papierosa, ale na dźwięk tych słów zastygła i popatrzyła na Cesara zaskoczona.

— To była moja sprawa, nie twoja.

— Mylisz się. To była moja sprawa. Alvaro zajął miejsce, którego ja nigdy zająć nie byłem w stanie. W jakimś sensie — antykwariusz zawahał się z gorzkim uśmiechem — był moim rywalem. Jedynym mężczyzną, który mógł mnie od ciebie oddzielić.

— Między nim a mną wszystko się skończyło. . . Jak można łączyć te dwie sprawy?

— Owszem, można. Ale zostawmy tę kwestię. Nienawidziłem go, koniec, kropka. Naturalnie to jeszcze nie powód, żeby kogoś zabijać. A i tak zapewniam cię, że na konkretny powód nie musiałem długo czekać. . . Świątek specjalistów od sztuki i antyków jest bardzo mały. Alvaro i ja miewaliśmy nieco zawodowych kontaktów, trudno było ich

uniknąć. Nie można oczywiście powiedzieć, żeby to były ciepłe stosunki. Ale czasami dzięki pieniądзом i wspólnemu interesowi najdziwniejsze pary trafiają do wspólnego łóżka. Dowodem fakt, że i ty, kiedy pojawiła się zagadka van Huysa, zwróciłaś się do niego... Otóż ja poszedłem do Alvara z prośbą o informacje na temat obrazu. Wcale nie z miłości do sztuki. Zaoferowałem znaczną sumę. Twój były, Panie, świeć nad jego duszą, zawsze był drogi. Bajońsko drogi.

— Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś?

— Z paru powodów. Po pierwsze dlatego, że nie chciałem, by wasze stosunki się odnowiły, choćby na gruncie zawodowym. Nigdy nie mamy pewności, czy w popielisku nie tli się żar... Ale w grę wchodziło coś jeszcze. Obraz łączył się z najbardziej skrytymi wspomnieniami — pokazał palcem szachy z kości słoniowej rozstawione na stoliku.

— Z tą częścią mnie, którą zdawało mi się, że pogrzebałem na zawsze. Z zakamarkiem, do którego nikogo, nawet ciebie, księżniczko, w życiu bym nie wpuścił. Bo to oznaczałoby sprowokowanie pytań, których nie miałbym odwagi z tobą roztrząsać. — Popatrzył na Munozę, który trzymał się na uboczu i milczał. — Spodziewam się, że

nasz przyjaciel potrafiłby ci to zagadnienie nieźle zobrazować. Nie mylę się? Szachy jako projekcja ego, kłeska jako cios zadany libido i tym podobne, wybornie świńskie rzeczy. . . Te głębokie, długie ruchy gońców po przekątnej szachownicy — przesunął językiem po skraju szklanki i wzdygnął się niezauważalnie. — No tak. Stary Sigismund mógłby wiele na ten temat powiedzieć.

Westchnął nad upiorami własnej przeszłości, wznosił szklankę w toaście skierowanym do Munoz, siadł w fotelu i skrzyżował niedbale nogi.

— Nie rozumiem — nalegała dziewczyna — co to ma wspólnego z Alvarem.

— Z początku miało niewiele — przyznał antykwariusz.

— Ja tylko chciałem zdobyć zwykłą informację historyczną. Coś, za co, jak ci wspominałem, byłem gotów dobrze zapłacić. Ale wszystko się skomplikowało, kiedy i ty się do niego zwróciłaś. . . Zrazu sprawa nie wyglądała poważnie. Ale Alvaro, który szczycił się pochwałą godnym instynktem zawodowym, nie pisnął ci ani słówka o moich indagacjach, ponieważ wymogłem na nim absolutną dyskrecję. . .

— A nie był zdziwiony, że dopytujesz się o ten obraz za moimi plecami?

— Zupełnie nie. A jeśli tak, to niczego nie powiedział. Może uznał, że chcę ci zrobić niespodziankę, przynosząc nowe fakty... Albo pomyślał, że szykuje ci jakiś kawał — Cesar zamyślił się z powagą. — Gdy teraz do tego wracam, sędzę, że już choćby tym zasłużył na śmierć.

— Próbował mnie ostrzec. Powiedział, że van Huys robi się ostatnio modny.

— Nikczemnik do ostatka — orzekł Cesar. — Tym łatwym wybiegiem zapewniał sobie alibi wobec ciebie, nie łamiąc umowy ze mną. Zadowalał nas wszystkich, inkasował pieniądze i na dodatek otwierał sobie furtkę do tego, by czułe scenki z przeszłości powróciły... — zaśmiał się, unosząc brew. — Ale opowiadałem ci o tym, co zaszło między Alvarem a mną — zajrzał do szklanki. — Dwa dni po naszym spotkaniu ty przysłaś mi powiedzieć, że obraz zawiera ukryty napis. Staralem się opanować ze wszystkich sił, ale poczułem, jakby mnie prąd przeszedł: to potwierdzało moje podejrzenia, że mamy do czynienia z jakąś tajemnicą. Z miejsca pojąłem: to oznacza dużo pieniędzy, bo wy-cena na aukcji będzie kilkakrotnie wyższa, i o ile pamiętam, zakomunikowałem ci to. Powiązanie twojego odkrycia z historią obrazu i jego postaci otworzyło przede mną iście cudowne perspektywy: obydwójce będziemy prowadzić dochodzenie, dotrzemy do

rozwiązania pięćsetletniej zagadki. Jak w dawnych czasach, dasz wiarę? Jakbyśmy szukali skarbu, tyle że wreszcie prawdziwego. Ty, Julio, zyskałabyś sławę. Twoje nazwisko pojawiłoby się w publikacjach naukowych, w książkach o sztuce. A ja... Powiedzmy, że to już mi wystarczyło, ale wchodząc w tę grę, podejmowałem trudne wyzwanie osobiste. I przysięgam ci, że ambicja nie odgrywała tu żadnej roli. Wierzysz mi?

— Wierzę.

— Miło to słyszeć. Bo tylko w ten sposób zdołasz pojąć wszystko, co się potem zdarzyło. — Cesar rozkołysał drinka w szklance i wydawało się, że dźwięczenie kostek lodu pomaga mu uporządkować myśli. — Kiedy już poszłaś, zadzwoniłem do Alvara i umówiliśmy się, że wpadnę do niego w południe. Bez żadnych złych zamiarów. Przyznaję, że cały drżałem z podniecenia. Alvaro zdał mi sprawę z tego, co zdołał stwierdzić. Z zadowoleniem przekonałem się, że nie ma pojęcia o ukrytym napisie, i sam strzegłem się, żeby niczego mu nie palnąć. Wszystko szło jak z płatka, dopóki nie zaczął mówić o tobie. Wtedy to, księżniczko, sceneria zmieniła się diametralnie.

— W jakim sensie?

— W każdym.

— Chodzi mi o to, co powiedział o mnie.

Cesar poprawił się w fotelu. Wyraźnie niezadowolony zwlekał z odpowiedzią.

— Twoja wizyta zrobiła na nim kolosalne wrażenie... Przynajmniej dał mi to do zrozumienia. Pojąłem, że niebezpiecznie roznieciłaś w nim dawne uczucia i że Alvarowi nie byłoby nie na rękę, gdyby sprawy wróciły do dawnego stanu. — Przerwał na chwilę i zmarszczył czoło. — Wyznaję, Julio, że to mnie wściekło w stopniu dla ciebie niewyobrażalnym. Alvaro, który zniszczył ci dwa lata życia, oto siedział przede mną i bezczelnie snuł plany, jak wszcząć na nowo ów proceder... Bez ogródek powiedziałem mu, żeby zostawił cię w spokoju. Popatrzył na mnie jak na stare, wścibskie pedaliszcze i zaczęliśmy się kłócić. Oszczędzę ci szczegółów, ale wyglądało to bardzo nieprzyjemnie. Zrzucił mi, że mieszam się w cudze sprawy.

— I słusznie.

— Nie. Ty jesteś moją sprawą, Julio. Najważniejszą na świecie.

— Opowiadasz bzdury. Nigdy w życiu nie wróciłabym do Alvara.

— Nie jestem wcale pewien. Pamiętam, ile ten łajdak dla ciebie znaczył... — Uśmiechnął się kpiąco w przestrzeń, jakby widmo Alvara, już niegroźne, pojawiło się

w pokoju. — Podczas kłótni poczułem, że narasta we mnie dawna nienawiść. Uderzyła mi do głowy jak ta twoja wódka na gorąco. Była to, kochanie, nienawiść, jakiej nigdy w życiu nie odczuwałem. Porządna, silna nienawiść, cudownie śródziemnomorska. Wtedy wstałem, chyba straciłem nieco panowanie nad sobą, i obrzuciłem go zaprawdę bazarowym stekiem inwektyw, które zachowuję na szczególne okazje. . . Z początku mój wybuch go zaskoczył. Potem ten drań zapalił fajkę i zaśmiał mi się w twarz. Powiedział, że rozpadowi jego związku z tobą winien jestem ja. Podobno przeze mnie nie dorosłaś. Moja obecność w twoim życiu, chora i obsesyjna, jak ją nazwał, przeszkodziła ci w zasmakowaniu swobody. „A najgorsze ze wszystkiego — dodał ze złośliwym uśmiechem — że w głębi duszy Julia zawsze była zakochana w tobie, bo jesteś dla niej ojcem, którego ledwie znała. . . I z tym jej dobrze”. Po tych słowach Alvaro wsadził rękę do kieszeni spodni, pyknął parę razy z fajki, popatrzył na mnie poprzez dym i dodał: „Jesteście w związku kazirodczym nie skonsumowanym. Całe szczęście, że jesteście gejem”.

Zawiesił ostatnie zdanie w powietrzu i zamilkł. Julia zamknęła oczy. Zawstydzona i wzburzona, nie śmiała zmącić tej ciszy. Kiedy wreszcie zebrała się na odwagę, by

znów spojrzeć na antykwariusza, ten wzruszył wymijająco ramionami, jakby nie przyjmował odpowiedzialności za wydarzenia, które miał dalej zrelacjonować.

— Tymi słowami, księżniczko, Alvaro podpisał swój wyrok śmierci. . . Palił sobie spokojnie przede mną, ale już był martwy. Nie z powodu tego, co powiedział, bo była to opinia równie dobra jak każda inna, ale z powodu tego, co jego osąd objawił mnie samemu. Czuję, jakby opadła jakaś zasłona, która przez lata odgradzała mnie od rzeczywistości. Może po prostu potwierdził domysły, ukryte w najdalszym, mrocznym zakamarku mojej głowy, gdzie nie dopuszczałem dotąd światła rozumu i logiki. . .

Przerwał, jak gdyby stracił wątek, i popatrzył niepewnie najpierw na Julię, potem na Munozę. Na koniec uśmiechnął się zagadkowo, nieśmiało i przewrotnie zarazem, podniósł szklankę do ust i pociągnął niewielki łyk.

— Wówczas spłynęło na mnie nagłe natchnienie. — Julia spostrzegła, że pijąc, stał z ust dziwny uśmiezek. — . . . Oto, dziwnie nad dziwny, przed oczami stanął mi cały plan, jak w opowieściach o czarownicach. Wszystkie błędzące dotąd bezładnie elementy naraz znalazły swoje miejsce i właściwy odcień. Alvaro, ty, ja i obraz. . . Odezwała się też moja ciemna strona, dalekie echo zapomnianych emocji, uśpionych pasji. . . Wszystko

w ciągu paru sekund ułożyło się w olbrzymią szachownicę, gdzie każda osoba, każde pojęcie, każda sytuacja znalazły swoje odpowiedniki w bierkach, swoje konkretne punkty w czasie i przestrzeni. . . To miała być partia przez duże P, wielka gra mojego życia. I twojego. Wszystko tam było, księżniczko: szachy, przygoda, miłość, życie i śmierć. A na końcu zostawałaś ty, wolna od wszystkiego i od wszystkich, piękna i doskonała, odbita w najczystszy zwierciadle dojrzałości. Musiałaś zagrać w szachy, Julio. Nie mogłaś tego uniknąć. Musiałaś zabić nas wszystkich, żeby wreszcie poczuć się wolna.

— Boże święty. . .

Antykwariusz pokręcił głową.

— Bóg nie ma tu nic do gadania. . . Zapewniam cię, że kiedy podszedłem do Alvara i uderzyłem go w kark popielniczką z obsydianu, która stała na stole, już nie czułem doń nienawiści. Była to tylko zwykła nieprzyjemna formalność. Dokuczliwa, ale konieczna.

Przyjrzał się swojej prawej dłoni z badawczym zaciekawieniem. Może oceniał śmiercionośny potencjał skryty w tych smukłych białych palcach zakończonych wypielęgowanymi paznokciami, które teraz z niedbałą elegancją obejmowały szklanekę z dżinem.

— Zwalił się jak wór — powiedział chłodno, zakończywszy oględziny. — Padł bez jęku, plaf, nie wypuściwszy nawet fajki z ust. Potem na podłodze. . . Cóż, kolejnym, lepiej wymierzonym ciosem dopilnowałem, żeby umarł na pewno. W końcu jak coś robić, to robić to dobrze. . . Resztę znasz: wanna i pozostałe elementy należały do artystycznego wykończenia. Brouillez les pistes¹, jak mawiał Arsene Lupin. . . Aczkolwiek Menchu, Panie, świeć nad jej duszą, z pewnością przypisałyby te słowa Coco Chanel. Biedaczka. — Upił łyk ku pamięci Menchu i znów zapatrzył się w przestrzeń. — Otóż ja zatarłem ślady chustką i na wszelki wypadek zabrałem popielniczkę. Wyrzuciłem ją do śmieci daleko od tego miejsca. . . Nieładnie, że ja to mówię, księżniczko, ale w moim umyśle pojawiły się arcyzbrodnicze kalkulacje, zdumiewające jak na debiutanta. Nim wyszedłem, wziąłem raport o van Huysie, który Alvaro zamierzał dostarczyć ci osobiście, i wsadziłem do koperty, napisawszy na maszynie twój adres.

— Zabrałeś też pakiet jego fiszek.

¹Brouillez les pistes (fr.) — zatrzyście ślady.

— Nie. Był to znakomity szczegół, lecz wpadłem na niego za późno. Nie było czasu, żebym się po nie fatygował, więc kupiłem takie same w sklepie papierniczym. Ale to kilka dni potem. Najpierw trzeba było zaplanować rozgrywkę. Każde posunięcie musiało być perfekcyjne. Natomiast owszem, jako że byliśmy umówieni na wieczór nazajutrz, musiałem dopilnować, żebyś dostała jego raport. Nie mogłaś nie znać wszystkich szczegółów związanych z obrazem.

— Tak to stałeś się kobietą w płaszczu. . .

— Zgadza się. I tu muszę ci coś wyznać. Nie zajmuję się przebierankami, transwestytyzm za cholerę mnie nie bawi. . . Kiedyś, w młodości, przebierałem się dla czystej rozrywki. Jakby chodziło o karnawał czy coś w tym stylu. Zawsze w samotności i przed lustrem. . . — Tu Cesar uśmiechnął się przewrotnie i pobłażliwie zarazem do własnych wspomnień. — Ale w momencie, gdy przyszło do wysłania koperty, nie odmówiłem sobie powtórki z dawnych doświadczeń. Coś w rodzaju zapomnianego kaprysu, rozumiesz? Albo, ujmując to w kategoriach. . . bohaterskich, coś w rodzaju wyzwania. Chciałem sprawdzić, czy potrafię oszukać ludzi, bawiąc się, że tak powiem, w mówienie im częściowej prawdy. . . Wybrałem się zatem na zakupy. Dystyngowany mężczyzna,

kupujący płaszcz przeciwdeszczowy, torebkę, buty na płaskim obcasie, perukę blond, pończochy i sukienkę, nie wzbudza podejrzeń, jeśli zachowuje się przy tym odpowiednio. Trzeba to robić w dużym domu towarowym, gdzie jest pełno ludzi, z miną, jakby się kupowało coś dla żony. Reszty dokonało porządne golenie i makijaż. Wyznaję to już bez rumieńców, mam po temu trochę akcesoriów w domu. Żadnego szarżowania, znasz mnie przecież, tylko dyskretny retusz. W agencji kurierskiej nie mieli najmniejszych podejrzeń. Przyznaję, że było to doświadczenie zabawne... i pouczające.

Westchnął głęboko z wystudiowaną melancholią. Zaraz jednak spochmurniał.

— W sumie — dodał znacznie mniej frywolnym tonem — była to ludyczna część całej historii... — Popatrzył na Julię z zadumą i powagą, jakby dobierał słowa przed doborowym niewidzialnym towarzystwem, wobec którego musiał wypaść jak najlepiej. — Teraz zbliżało się naprawdę trudne zadanie. Musiałem właściwie tobą pokierować, zarówno w stronę rozwiązania zagadki, co było pierwszą fazą gry, jak i ku tej drugiej części, dużo bardziej niebezpiecznej i skomplikowanej... Problem polegał na tym, że oficjalnie nie byłem szachistą. Musieliśmy razem szukać wyjaśnienia tajemnicy, ale ja nie mogłem ci pomóc, bo miałem związane ręce. Okropność. Nie mogłem też grać prze-

ciwko samemu sobie, potrzebowałem przeciwnika. Kogoś, kto mi dorówna. Co więc pozostało innego, niż znaleźć ci Wergiliusza, który poprowadzi cię przez całą przygodę? To była ostatnia figura, jakiej brakowało na mojej szachownicy.

Dopił drinka i odstawił szklankę na stół. Następnie z rękawa szlafroka wyciągnął jedwabną chusteczkę i starannie osuszył nią usta. Na koniec popatrzył przyjaźnie na Munoz.

— I wtedy właśnie, po uprzedniej konsultacji z moim sąsiadem, kierownikiem klubu Capablanca, zdecydowałem się na pana, przyjacielu.

Munoz kiwnął głową raz, z góry na dół. Jeżeli nawet uważał, że to wątpliwy zaszczyt, to powstrzymał się od komentarza. Patrzył tylko z zaciekawieniem na antykwariusza, a jego oczy na skutek niedostatecznego światła w pomieszczeniu zdawały się tkwić jeszcze głębiej w oczodołach.

— Pan ani razu nie powątpiewał, że ja wygram — rzekł cicho.

Cesar z ironią uchylił przed nim nieistniejącego kapelusza.

— Rzeczywiście, nigdy — przyznał. — Ma pan szachowy talent, który rzucił się w oczy w momencie, gdy zobaczyłem, jak patrzy pan na van Huysa. Ale oprócz tego,

drogi mój, byłem gotów dostarczyć istotnych wskazówek, które, odpowiednio zinterpretowane, pozwoliłyby panu odsłonić także drugą tajemnicę: niewidzialnego gracza — mlasnął z zadowoleniem językiem, jakby smakował wyborne danie. — I nie powiem, zaimponował mi pan. I nadal imponuje. Ma pan swoisty sposób analizowania wszystkich ruchów i każdego z osobna, stosuje metodę wariantową, wykluczając po kolei wszystkie nieprawdopodobne hipotezy... Znać mistrza.

— Pan mnie peszy — odrzekł Munoz beznamiętnie. Julia nie była w stanie ocenić, czy powiedział to szczerze, czy z ironią. Cesar odrzucił głowę do tyłu i wydał z siebie cichy teatralny śmiech.

— Muszę panu oznajmić — rzekł z zagadkową, nieco kokieteryjną miną — że widząc, jak mnie pan z wolna osacza, odczuwałem niekłamane podniecenie, proszę mi wierzyć. Było to doznanie... prawie fizyczne, jeśli mogę tak to określić. Aczkolwiek pan nie jest raczej w moim typie — zadumał się na chwilę, jak gdyby usiłował zaliczyć Munoz do konkretnej kategorii, ale zarzucił tę próbę.

— Już przy kilku ostatnich ruchach zrozumiałem, że staję się jedynym możliwym podejrzanym. Pan zaś wiedział, że ja to wiem... Chyba nie rozminę się z prawdą, jeśli

powiem, że właśnie od tego momentu zbliżyliśmy się do siebie, prawda...? Tej nocy, którą spędziliśmy, czuwając na ławce przed domem Julii, przy piersiówce koniaku, stoczyliśmy długą rozmowę na temat cech psychologicznych mordercy. Pan był już niemal pewien, że to ja jestem jego przeciwnikiem. Słuchałem z najwyższą uwagą, jak w odpowiedzi na zadane przeze mnie pytanie rozwinął pan wszelkie znane teorie patologii związanych z szachami... Oprócz tej jednej właściwej. Której nie wspomniał pan nawet do dzisiaj, a którą znał doskonale. Wie pan, co mam na myśli.

Munoz na potwierdzenie znowu skinął powoli głową. Cesar pokazał na Julię.

— Pan i ja wiemy, ale ona nie. A w każdym razie nie do końca. Trzeba by jej wytłumaczyć.

Dziewczyna popatrzyła na szachistę.

— Tak — rzekła. Była zmęczona i wściekła, także na Munozę. — Może wyjaśniłby mi pan, o czym tu mowa, bo mam troszkę dosyć, słuchając, jak się spoufalacie.

Szachista nie spuszczał wzroku z Cesara.

— Matematyczna natura szachów — odparł niewzruszony irytacją Julii — obdaruła tę grę szczególnym charakterem. Specjaliści nazywają to związkiem sadystyczno-

analnym. . . Domyśla się pani: szachy to walka w zwarciu dwóch mężczyzn, pojawiają się tu słowa-klucze w rodzaju „agresja”, „narcyzm”, „masturbacja”. . . Charakter homoseksualny. Zwyciężyć to pokonać dominującego ojca albo matkę, usytuować się ponad nimi. A przegrać to doznać klęski, poddać się.

Cesar uniósł znacząco palec.

— Z tym że zwycięstwo — uzupełnił uprzejmie — oznacza dokładnie to samo.

— Tak — zgodził się Munoz. — Zwycięstwo okazuje się, paradoksalnie, demonstracją własnej porażki — zerknął na Julię. — Koniec końców, Belmonte miał rację. Partia podobnie jak obraz oskarżała samą siebie.

Antykwariusz posłał mu uśmiech pełen podziwu, może nawet szczęścia.

— Brawo. Unieśmiertelnić się poprzez własną klęskę, coś w tym stylu, prawda. . . ? Jak stary Sokrates, kiedy wypijał cykutę. — Tu zwrócił się z triumfem do Julii:

— Nasz przyjaciel Munoz wiedział o tym wszystkim od kilku dni, księżniczko, ale jednak nie puścił pary z gęby nikomu, ani tobie, ani mnie. A ja z całą skromnością zrozumiałem, że mój przeciwnik jest na dobrej drodze, gdy świadomie pominął w dyskusji mój przypadek. Kiedy spotkał się z młodymi Belmonte i ostatecznie wykluczył ich jako

podejrzanych, nie miał już żadnych wątpliwości co do tego, kim jest zabójca. Czy się myłę?

— Nie myli się pan.

— Czy mogę zadać pytanie natury trochę osobistej?

— Proszę bardzo, chociaż mogę nie odpowiedzieć.

— Co pan poczuł, kiedy wykonał prawidłowy ruch...? W chwili kiedy już pan wiedział, że to ja?

Munoz zastanawiał się przez moment.

— Ulgę — odrzekł. — Gdyby to był kto inny, poczułbym zawód.

— Zawód, że nie odgadł pan tożsamości tajemniczego gracza...? Nie chcę tu wyolbrzymiać moich zasług, ale wcale nie była ona taka oczywista, drogi przyjacielu. Nawet dla pana nie było to łatwe zadanie. O wielu postaciach tej historii nawet pan nie słyszał, a znamy się dopiero parę tygodni. Miał pan do dyspozycji jedynie szachownicę.

— Nie rozumiemy się — odparł Munoz. — Ja pragnąłem, żeby to był pan. To mi odpowiadało.

Julia patrzyła na nich, nie kryjąc niedowierzania.

— Winszuję wam, żeście się tak dobrali — rzuciła z sarkazmem. — Potem, jak macie ochotę, możemy gdzieś wpaść na kielicha, będziemy się poklepywać po ramionach i zaśmiewać z całej tej afery. — Potrząsnęła głową, usiłując odzyskać poczucie rzeczywistości. — Niebywałe, ale mam wrażenie, że jestem tu zbędna.

Cesar popatrzył na nią z czułym smutkiem.

— Są rzeczy, których nie pojmiesz, księżniczko.

— Nie nazywaj mnie księżniczką. . . ! I mylisz się całkowicie! Wszystko doskonale rozumiem. A teraz to ja ci zadam pytanie: co byś zrobił wtedy rano na Rastro, gdybym wsiadła do samochodu, włączyła silnik, nie zauważając sprayu i bilecika, i ruszyła z bombą w oponie?

— To śmieszne — Cesar poczuł się urażony. — Nigdy bym nie pozwolił, żebyś. . .

— Nawet pod groźbą przyznania się do wszystkiego?

— Dobrze wiesz, że tak. Munoz niedawno sam przyznał: tobie nic nie groziło. . . Wszystko przewidziałem: gotowe przebranie w klitce z dwoma wyjściami, którą wynajmuję na magazyn, umówione spotkanie z dostawcą, co załatwiłem w parę minut. . . Wystroiłem się w mgnieniu oka, poszedłem do zaułka, pomajstrowałem przy oponie

i zostawiłem pojemnik i bilecik. Potem stanąłem przed sprzedawczynią obrazków, żeby mnie sobie zapamiętała, wróciłem do magazynu, hop, zmieniłem strój i makijaż, stawiłem się na spotkanie z tobą w kawiarni. . . Zgodzisz się, że plan był nieskazitelny.

— Obrzydliwie nieskazitelny, to prawda.

Na twarzy antykwariusza malował się wyrzut.

— Nie bądź ordynarna, księżniczko — patrzył na nią prostodusznie. — Te okropne przymiotniki do nikąd nas nie prowadzą.

— Po co tyle zachodu, żeby mnie przerazić?

— Chodziło o przygodę, czyż nie. . . ? Zagrożenie jest konieczne. Wyobrażasz sobie przygodę bez cienia strachu. . . ? Już nie mogłem cię zabawiać tymi historyjkami, którymi fascynowałaś się w dzieciństwie. Wymyśliłem więc najlepszą, jaką potrafiłem. Przygodę, której nie zapomnisz do końca życia.

— Nie mam najmniejszych wątpliwości.

— Zatem misja wypełniona. Walka rozumu przeciwko tajemnicy, przegnanie upiórów, które cię zniewoliły. . . Jeszcze ci mało? Do tego dodaj więc odkrycie, że Dobro i Zło nie są od siebie oddzielone na podobieństwo białych i czarnych pól na szachow-

nicy. — Zerknął na Munoza i uśmiechnął się ukradkiem, jakby mówił o ich wspólnym sekrecie. — Wszystkie pola są szare, córeczko, co wynika z uświadomienia sobie, że Zło jest pochodną doświadczenia. I że to, co nazywamy Dobrem, jest często jałowe, beczynne i niesprawiedliwe. Przypominasz sobie mojego ukochanego Settembriniego z Czarodziejkiej góry. . . ? On powiadał, że złośliwość to najskuteczniejsza broń rozumu przeciwko mocom mroków i brzydoty.²

Julia z uwagą wpatrywała się w częściowo oświetloną twarz antykwariusza. Chwilami miała wrażenie, że mówi tylko połowa, ta jasna bądź ta mroczna, a druga pełni rolę świadka. Zapytywała sama siebie, która z tych połówek jest bardziej realna.

— Wtedy jak napadliśmy na niebieskiego forda, kochałam cię, Cesar.

Podświadomie zwracała się do oświetlonej połowy, ale odpowiedź przysła ze strony pogrążonej w cieniu.

— Wiem. I to mi wystarcza za całe usprawiedliwienie. . . Nie wiedziałem, co tam robi ten samochód, jego pojawienie się intrygowało mnie tak samo jak ciebie. A nawet

²Tomasz Mann, „Czarodziejska góra”, przeł. Józef Kramsztyk.

bardziej, z powodów oczywistych: któż zapaliłby im świeczkę na grobie? Wybacz ten beznadziejny dowcip, kochanie — pokręcił z rozkoszą głową. — Muszę przyznać, że te parę metrów, ty z pistoletem, ja z tym dramatycznym pogrzebaczem, napaść na dwóch kretynów, którzy okazali się zbirami nadinspektora Feijoo... — Zamachał dłońmi, jakby brakowało mu słów. — To było autentyczne чудо. Patrzyłem, jak zmierzasz prosto na linię nieprzyjaciela, nastroszona, zęby zaciśnięte, dzielna i przerażająca jak jakaś mściwa furia, i przysięgam ci, czułem oprócz własnego podniecenia także ogromną dumę. „Oto kobieta, co się zowie” — pomyślałem z podziwem. . . Gdybyś była inna, nie zrównoważona albo słaba, nigdy nie poddałbym cię takiej próbie. Ale byłem świadkiem twoich narodzin i znam cię na wylot. Miałem pewność, że to doświadczenie wyjdzie ci na zdrowie, że cię wzmocni i uodporni.

— Trochę dużo ludzi za to zapłaciło, nie sądzisz? Alvaro, Menchu. . . Ty sam.

— Ach, tak, Menchu. — Antykwariusz zamyślił się, jakby z trudem kojarzył, o kim Julia mówi. — Biedna Menchu, wciągnięta w grę dla niej za trudną. . . — Potarł czoło, przypominając sobie. — W pewnym sensie była to błyskotliwa improwizacja, wybaczcie brak skromności. Zadzwoiłem do ciebie z rana, żeby się zorientować, jak sprawy

stoją. Odebrała Menchu i powiedziała, że cię nie ma. Miałem wrażenie, że jest w strasznym pośpiechu, dzisiaj wiemy dlaczego. Czekwała na Maxa, żeby dokonać bezsensownej kradzieży obrazu. Ja o tym, rzecz jasna, nie miałem pojęcia. Ale ledwie odłożyłem słuchawkę, ujrzałem mój kolejny ruch: Menchu, obraz, twoje mieszkanie. . . Pół godziny później naciskałem dzwonek, przebrany za kobietę w płaszczu.

Tu na twarzy Cesara pojawił się wyraz rozbawienia — być może antykwariusz chciał namówić Julię, żeby dostrzegła również humorystyczną stronę całej historii.

— Zawsze ci powtarzałem, księżniczko — uniósł brew, jak gdyby opowiedział kiepski dowcip ku mizernej reakcji otoczenia — że powinnaś była zamontować w drzwiach judasza, bo nie wiadomo, kto za nimi stoi. Może Menchu nie otworzyłaby blondynce w ciemnych okularach. Ale usłyszała tylko głos Cesara, który mówił, że przynosi ważną wiadomość od ciebie. Raczej trudno się było spodziewać, że nie otworzy — odwrócił do góry dłonie w geście, którym prosił o pośmiertne wybaczenie pomyłki popełnionej przez Menchu. — Pewnie podejrzewała, że jej operacja z Maxem bierze w łeb, ale gdy na progu ujrzała nieznaną kobietę, te podejrzewania musiały ustąpić ogromnemu zdumieniu. Zdążyłem je dojrzeć w otwartych szeroko oczach, nim wymierzyłem pięścią

mocny cios w tchawicę. Jestem pewien, że umarła nieświadoma, kto ją zabił... Zamknąłem drzwi, ale ledwie zabrałem się do roboty, nastąpiło coś, czego naprawdę się nie spodziewałem: usłyszałem szcęk klucza w zamku.

— To był Max — dodała niepotrzebnie Julia.

— Oczywiście. Ten urodziwy stręczyciel. Wchodził właśnie drugi raz, czego dowiedziałem się później, kiedy powiedział ci w komisariacie, że miał zabrać obraz i podpalić mieszkanie. Był to, podkreślam, istotnie nad wyraz niepoważny plan twojej Menchu i tego głupka.

— A przecież to ja mogłam otwierać drzwi. Nie przyszło ci do głowy?

— Przyznaję, że wówczas nie pomyślałem o Maksie, tylko o tobie.

— I co byś zrobił? Też byś mnie trzasnął w tchawicę?

Znów popatrzył na nią cierpiętniczym wzrokiem, jakby niesłusznie go osądzała.

— To pytanie — rzekł, zastanawiając się nad odpowiedzią — muszę uznać za nie-stosowne i bezlitosne.

— Co ty powiesz?

— To, co słyszysz. Nie mam pojęcia, jaka dokładnie byłaby moja reakcja, ale przysięgam, przez moment byłem w kropce, myślałem tylko o jednym: jak się schować. . . Pobiegiłem do łazienki, wstrzymałem oddech i rozpaczliwie zastanawiałem się nad szansą ucieczki. Ale tobie nic by się nie stało. Partia zakończyłaby się przed terminem, w połowie. Ot, co.

Julia z niedowierzaniem wyduła dolną wargę. Czuła, jak słowa palą ją w ustach.

— Nie potrafię ci uwierzyć, Cesar. Już nie.

— Czy mi wierzysz, czy nie, niewiele zmienia — odparł ze znużeniem, jakby rozmowa zaczynała go męczyć. — Zresztą czy to ważne. . . ? Ważne, że to nie byłaś ty, ale Max. Usłyszałem go przez drzwi łazienki, jak mówi „Menchu, Menchu”. Był przerażony, ale nie miał nikczemnik odwagi krzyżeć. Ja w każdym razie zdołałem odzyskać równowagę. Miałem ze sobą sztylet, który znasz, ten Celliniego. Jeżeli Max zaczęłby węszyć po mieszkaniu i próbował otworzyć drzwi do łazienki, nadziałby się na niego jak dziecko, prosto w serce, ciach, za jednym zamachem, nawet nie zdążyłby wrzasnąć. Na szczęście dla niego i dla mnie stchórzył, nie śmiał buszować, wołał pierzchać schodami w dół. To ci zuch.

Przerwał i westchnął skromnie.

— Oto czemu ten kretyn zawdzięcza życie — dodał i wstał z fotela. Można było przysiąc, że jest mu przykro z powodu dobrego stanu, w jakim znajduje się Max. Wyprostował się, spojrzął na Julię i na Munozę, którzy obserwowali go w milczeniu, i zaczął się przechadzać po salonie. Dywany tłumyły odgłos jego kroków.

— Powiniennem był zrobić to samo, co Max: wziąć nogi za pas, bo skąd mogłem wiedzieć, czy policja zaraz się nie zjawi? Ale górę wziął we mnie, że tak powiem, honor artysty, więc zaciągnąłem Menchu do sypialni i . . . No, wiesz: uzupełniłem trochę scenografię, będąc przekonany, że rachunek za to wystawią Maxowi. Zabrało mi to raptem pięć minut.

— Jakaż to potrzeba skłoniła cię do . . . tej butelki? To nie było konieczne. Za to potworne i przerażające.

Antykwariusz cmoknął językiem. Zatrzymał się przed wiszącym na ścianie Marsem Luki Giordana i przyglądał mu się przez chwilę, jak gdyby oczekiwał, że to opięty anachroniczną chityną średniowiecznej zbroi bóg udzieli odpowiedzi.

— Butelka — mruknął, nie odwracając się do gości — była szczegółem uzupełniającym. . . Natchnieniem ostatniej chwili.

— Które nie miało nic wspólnego z szachami — rzuciła Julia tonem ostrym jak brzytwa. — Postanowiłeś raczej wyrównać w ten sposób rachunki. Z nami, kobietami.

Antykwariusz nic nie odrzekł, dalej wpatrywał się w obraz.

— Nie dosłyszałam odpowiedzi, Cesar. A zawsze miałaś odpowiedź na wszystko.

Powoli odwrócił się do niej. Tym razem w jego spojrzeniu nie było widać błagania o wyrozumiałość ani ironii. Patrzył wzrokiem nieobecnym, nieokreślonym.

— Potem — odezwał się w końcu nieprzytomnie, jakby nie słyszał Julii — wystukałem na twojej maszynie kolejny ruch, zawinięty przez Maxa obraz wsadziłem pod pachę i wyszedłem. To wszystko.

Mówił bezbarwnym głosem, pozbawionym intonacji. Być może rozmowa już go przestała zajmować. Julia jednak nie uznała sprawy za zamkniętą.

— Po co było zabijać Menchu. . . ? Miałaś swobodny wstęp do tego domu. I tysiące sposobów, żeby ukraść obraz.

W oczach antykwariusza znów rozbłysły iskierki ożywienia.

— Widzę, księżniczko, że przypisujesz kradzieży van Huysa niewspółmierne znaczenie... A przecież był to tylko kolejny szczegół tej historii, gdzie pewne elementy uzupełniają się z innymi. Można powiedzieć, że się zapętłają. — Przez chwilę szukał odpowiedniego argumentu. — Menchu musiała umrzeć z paru powodów: o części z nich warto teraz mówić, o pozostałych nie. Niektóre są natury, powiedzmy, czysto estetycznej, i tu nasz przyjaciel Munoz odkrył zdumiewający związek nazwiska Menchu ze zbitą wieżą, inne z kolei mają znacznie głębsze podłoże... Wszystko to zorganizowałem po to, żeby uwolnić cię od zgubnych powiązań i wpływów, żeby odciąć cię raz na zawsze od przeszłości. Na swoje nieszczęście Menchu, beznadziejnie głupia i wyuzdana Menchu, była jednym z takich związków, podobnie jak Alvaro.

— A kto ci przyznał prawo dysponowania życiem i śmiercią wedle uznania?

Na twarzy Cesara pojawił się mefistofeliczny uśmiech.

— Sam je sobie przyznałem, na własną odpowiedzialność. Wybacz, jeśli zabrzmiało to zuchwale... — nagle chyba przypomniał sobie o obecności szachisty. — Miałem mało czasu na końcówkę partii... Munoz deptał mi po piętach niczym zawodowy detektyw. Jeszcze kilka ruchów i wskazałby mnie palcem. Byłem wszakże przekonany, że nasz

przyjaciel nie uczyni kroku, dopóki nie będzie go absolutnie pewien. Ponadto on już wiedział, że tobie nic nie grozi... To też artysta, na swój sposób. Dlatego pozwalał mi działać, a sam tymczasem szukał dowodów, które by potwierdziły wnioski z przeprowadzonej analizy... Dobrze rozumiuję, przyjacielu Munoz?

W odpowiedzi szachista powoli skinął głową. Cesar zbliżył się do stolika z szachami. Przez chwilę przyglądał się bierkom, by w końcu delikatnie, jakby chodziło o kruchy kryształ, wziąć do ręki białego hetmana i obserwować go dłuższy czas.

— Wczoraj wieczorem — ciągnął — kiedy pracowałeś w Prado, przyszedłem do muzeum dziesięć minut przed zamknięciem. Powąłęsałem się nieco po salach na parterze i wsunąłem bilecik za tabliczkę przy obrazie Bruegla. Potem poszedłem na kawę, odczekałem i zadzwoniłem. Nic więcej. Jednego nie mogłem przewidzieć: że Munoz odkurzy to stare czasopismo szachowe w bibliotece klubowej. Sam zapomniałem o jego istnieniu.

— Ale coś mi tu nie pasuje — rzekł nagle Munoz. Julia popatrzyła nań zupełnie zaskoczona. Szachista wpatrywał się bacznie w Cesara z głową przechyloną w bok. W oczach skrzyły mu się badawcze iskierki, jak w chwilach gdy zastanawiał się nad

posunięciem, które nie do końca go przekonuje. — Jest pan błyskotliwym graczem, zgoda. Ścisłej mówiąc, ma pan zadatki. Ale nie jest w stanie rozegrać tej partii w taki sposób. . . Pańskie kombinacje były zbyt doskonałe, zupełnie nie do pomyślenia u kogoś, kto nie siedział nad szachownicą od czterdziestu paru lat. W szachach liczy się doświadczenie, praktyka. Jestem pewien, że nas pan okłamał. Albo przez te lata dużo pan grywał w samotności, albo ktoś panu pomógł. Przykro mi, że ranie pańską próżność, panie Cesarze, ale pan ma współnika.

Cisza, jaka po tych słowach zapadła w salonie, nie miała sobie równej. Julia spoglądała na nich skołowaciała i nie wiedziała, czy ma wierzyć Munozowi. Już, już miała otworzyć usta i krzyknąć, że to jakaś kosmiczna bzdura, kiedy ujrzała, jak Cesar unosi ironicznie brew, choć sama twarz przypominała teraz nieprzeniknioną maskę. Zaraz jednak na jego ustach pojawił się uśmiech pełen uznania i podziwu. Antykwariusz skrzyżował ramiona, westchnął głęboko i kiwnął twierdząco głową.

— Przyjacielu. . . — cedził słowa — zasługuje pan na coś więcej niż weekendowa gra w ciemnym kącie dzielnicowego klubu. — Wyciągnął w bok prawą dłoń, jakby wskazywał kogoś, kto przez cały czas siedział tam z nimi w jakimś zakamarku, niewi-

doczny dla oczu. — W rzeczy samej, mam współnika. Przyznaję, że mam, choć akurat w tym przypadku on może czuć się bezpieczny, nieuchwytny dla wymiaru sprawiedliwości. Chce pan poznać jego imię?

— Spodziewam się, że pan mi je zdradzi.

— Oczywiście, że je zdradzę, bo moje zeznanie nie jest mu w stanie specjalnie zaszkodzić. — Uśmiechnął się znowu, tym razem szerzej. — Mam nadzieję, mój czcigodny przyjacielu, że wybaczy mi pan tę małą satysfakcję, jakiej sobie nie odmówiłem. Proszę mi wierzyć, to naprawdę wielka rozkosz przekonać się, że nie udało się panu odkryć wszystkiego. . . Nie domyśla się pan, o kogo chodzi?

— Muszę przyznać, że nie. Ale jestem pewien, że to nikt, kogo bym znał.

— Trafna uwaga. Nazywa się Alfa PC-1212 i jest komputerem osobistym, wyposażonym w zaawansowany program szachowy o dwudziestu poziomach umiejętności. . . Kupiłem go nazajutrz po zabiciu Alvara.

Pierwszy raz, od kiedy się poznali, Julia zobaczyła na twarzy Munozza zdziwienie. Oczy mu zmatowiały, a usta zastygły wpółotwarte w tępy grymasie.

— I nic pan nie powie? — spytał antykwariusz, przyglądając mu się z rozbawieniem i ciekawością.

Munoz patrzył na niego w milczeniu. W końcu przechylił głowę w stronę Julii.

— Niech mi pani da papierosa — powiedział przybity.

Podala mu paczkę, którą ten obracał parę razy w palcach, nim wyciągnął papierosa i wsunął w usta. Julia podeszła z zapaloną zapalką. Po chwili już zaciągał się powoli i głęboko. Odnosiła wrażenie, że szachista jest myślami tysiące kilometrów stąd.

— Przykre, prawda? — Cesar śmiał się łagodnie. — Przez cały ten czas grał pan przeciwko zwykłemu komputerowi, przeciwko wyzbytej wszelkich uczuć maszynie. . . Zgodzi się pan, że to wyborny paradoks, właściwa alegoria czasów, w jakich przyszło nam żyć. Cudowny Gracz Maelzela u Edgara Allana Poe skrywał wewnątrz człowieka. . . Pamięta pan? Ale zmiany są nieubłagane, przyjacielu. Tym razem to w człowieku kryje się automat. — Uniósł białego hetmana z poźółkłej kości słoniowej i przyjrzał mu się z drwiącym uśmieszkiem. — Cały pański talent, pańska wyobraźnia i niezwykła zdolność do analizy matematycznej, drogi panie Munoz, mają swój odpowiednik, swoje karykaturalne odbicie w krzywym zwierciadle. A tym odpowiednikiem jest ni

mniej, ni więcej, tylko plastikowa dyskietka, mieszcząca się w dłoni. . . Obawiam się, że po tym wszystkim, podobnie jak Julia, nie będzie już pan tym samym człowiekiem. Aczkolwiek wątpię — dodał z zadumą — czy pan akurat na tym zyska.

Munoz nie odpowiedział. Stał nieruchomo, dłonie znowu wsadził w kieszenie płaszczka, z ust zwisał mu papieros, a on tylko patrzył oczami bez wyrazu, spowitymi dymem. Wyglądał jak autoparodia niechlujnego detektywa z czarno-białego filmu.

— Współczuję — powiedział Cesar ze szczerością w głosie. Odstawił hetmana na szachownicę z miną człowieka, któremu udał się wieczór, i popatrzył na Julię.

— Na koniec coś wam pokażę.

Podszedł do mahoniowego kabinetu, otworzył jedną z szuflad i wyjął grubą kopertę oraz trzy porcelanowe figurynki Bustellego.

— Nagrodę odbierasz ty, księżniczko — uśmiechnął się ze złośliwym błyskiem. — Znów udało ci się wykopać skarb. Możesz teraz z nim zrobić, co zechcesz.

Julia patrzyła podejrzliwie na lalki i na kopertę.

— Nie rozumiem.

— Zaraz zrozumiesz. Przez te parę tygodni zdążyłem też zająć się twoimi interesami. . . W tym momencie „Partia szachów” znajduje się w miejscu stosownym: w sejfie pewnego banku szwajcarskiego, wynajętym przez anonimową firmę, z siedzibą w Panamie, która istnieje tylko na papierze. . . Szwajcarscy prawnicy i bankierzy to dość nudne plemię, ale solidne, nie zadają pytań, o ile szanujesz prawo ich kraju i wypłacasz im należne honorarium. — Położył kopertę na stole koło Julii. — Dzięki tej firmie, której dane znajdziesz wewnątrz, będziesz czerpać siedemdziesiąt pięć procent wpływów z akcji. Wszelkimi formalnościami zajął się mój stary przyjaciel, szwajcarski adwokat nazwiskiem Demetrius Ziegler, kiedyś ci o nim wspominałem. I nikt oprócz nas i jeszcze jednej osoby, o której za chwilę, nie wie, że w tamtym sejfie przez jakiś czas będzie sobie leżał zapakowany obraz Pietera van Huysa. . . A tymczasem historia „Partii szachów” stanie się największym od lat wydarzeniem artystycznym. Wszyscy, media i pisma branżowe, będą roztrząsać ten skandal do znudzenia. Według wstępnych szacunków możemy założyć, że na rynku międzynarodowym dzieło osiągnie wielomilionową cenę. . . Oczywiście w dolarach.

Julia popatrzyła z zakłopotaniem i niedowierzaniem na kopertę, a potem na Cesara.

— Wszystko jedno, na ile go wycenią. . . — mamrotała, z trudem wymawiając słowa. — Nie da się sprzedać kradzionego obrazu. Nawet za granicą.

— Zależy jak i komu — odparł antykwariusz. — Kiedy sytuacja dojrzeje, powiedzmy za parę miesięcy, obraz wychynie z ukrycia, ale nie na aukcji publicznej, a na czarnym rynku dzieł sztuki. . . I w końcu potajemnie zawiśnie w luksusowej posiadłości kogoś z arcybogatych kolekcjonerów brazylijskich, greckich czy japońskich, co to jak rekiny rzucają się na wartościowe obrazy, żeby je potem dalej przehandlować albo tylko zaspokoić prywatne potrzeby, związane z dostatkiem, władzą albo pięknem. Na dłuższą metę to także dobra inwestycja, bo w niektórych krajach kradzież dzieł sztuki ulega przedawnieniu po dwudziestu latach. . . A ty jesteś wciąż tak cudownie młoda. Czy to nie wspaniałe? W każdym razie ta sprawa już nie jest na twojej głowie. Liczy się to, że w ciągu najbliższych miesięcy, podczas tajemnej wędrówki van Huysa, na koncie bankowym twojej świeżo upieczonej panamskiej firmy, otwartym przedwczoraj w innym szacownym banku w Zurychu, przybędzie ładnych kilka milionów dolarów. . . Ty się nie musisz niczym martwić, bo ktoś dokona za ciebie wszelkich delikatnych transakcji. Tu nie mam żadnych wątpliwości, księżniczko. Szczególnie co do niezbędnej w tym

wypadku lojalności tej osoby. Nawiasem mówiąc, jest to lojalność najemnika, co wcale jej nie dyskwalifikuje, może nawet przez to jest bardziej godna zaufania. Nie dowierzam ludziom lojalnym bezinteresownie.

— Kto to? Twój szwajcarski przyjaciel?

— Nie. Ziegler to skrupulatny i skuteczny prawnik, ale nie dorasta do spraw tej rangi. Dlatego zwróciłem się do osoby posiadającej odpowiednie kontakty, wybornie pozbawionej skrupułów i doświadczonej na tyle, by mogła swobodnie poruszać się po trudnym terenie podziemnego handlu dziełami sztuki: do Paca Montegrifa.

— Żartujesz.

— W kwestiach finansowych nigdy nie żartuję. Montegrifo to dość szczególny typ, nawiasem mówiąc, podkochuje się w tobie, ale to ze sprawą nie ma nic wspólnego. Ważne, że ten facet, absolutny bezwstydnik i zarazem człowiek nadzwyczaj zręczny, w żadnym razie nie wyrządzi ci krzywdy.

— A to niby dlaczego? Ma obraz, czyli cześć pieśni. Montegrifo własną matkę by sprzedał za małą akwarelkę.

— Owszem. Ale ciebie nie sprzeda. Po pierwsze dlatego, że z Demetriusem Zieglrem podsunęliśmy mu do podpisania stosik dokumentów, które nie mają mocy prawnej, o ile wyjdą na jaw, bo cała ta historia ma mocno kryminalny posmak, ale które wszelako oczyszczają cię z jakichkolwiek podejrzeń o współudział. Poza tym sam się ubabrze, jeśli tylko puści parę z gęby albo spróbuje grać nieczysto, i będzie musiał do końca życia siedzieć jak mysz pod miotłą, z całym międzynarodowym aparatem ścigania na karku. . . Na dodatek jestem w posiadaniu pewnych sekretów, których ujawnienie mogłoby bardzo nadszarpnąć jego reputację i narazić na poważny konflikt z prawem. Żeby nie być gołosłownym: o ile wiem, Montegrifo jest odpowiedzialny za co najmniej dwukrotne wywiezienie i nielegalną sprzedaż za granicą przedmiotów należących do Dziedzictwa Narodowego. Dzieła te trafiły w moje ręce, a ja przekazałem je jemu jako pośrednikowi: piętnastowieczne retabulum przypisywane Pere Ollerowi, skradzione w Santa Maria de Cascalls w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym, oraz sławetny Jan z Flandrii, który zniknął cztery lata temu ze zbiorów Olivares, przypominasz sobie?

— Tak. Ale nigdy bym nie sądziła, że to ty. . .

Cesar skrzywił się beznamiętnie.

— Takie jest życie, księżniczko. W moim fachu, i nie tylko w moim, niepokalana uczciwość to stuprocentowa gwarancja śmierci głodowej. . . Ale mówiliśmy nie o mnie, a o Montegrifie. Rzecz jasna, będzie próbował skubnąć dla siebie, ile się da, tego nie unikniemy. Ale z pewnością nie posunie się tak daleko, żeby uszczuplić minimalny gwarantowany zysk twojej panamskiej firmy. A Ziegler będzie strzegł jej interesów niczym doberman. Kiedy transakcja zostanie ostatecznie przeprowadzona, Ziegler automatycznie przeleje pieniądze z konta panamskiego na inne konto prywatne, którego numer opiewa na twoje nazwisko, zlikwiduje to pierwsze konto, żeby zatrzeć ślady, wreszcie zniszczy wszelką dokumentację oprócz tych kwitów, które trzymają w szachu Montegrifa. W ten sposób zapewni nam lojalność naszego przyjaciela, szefa Claymore'a. Aczkolwiek podejrzewam, że w tym momencie takie środki ostrożności są zbyt czyste. . . A, prawda: Ziegler ma wyraźne wskazówki, żeby jedną trzecią twoich dochodów przeznaczyć na niezawodne i opłacalne inwestycje, które pozwolą wyprać pieniądze i przy okazji zapewnią ci dostatek na resztę życia nawet w przypadku, gdybyś usiłowała wszystko radośnie roztrwonić. Zaufaj mu bezwzględnie, Ziegler to dobry człowiek, znam go od ponad dwudziestu lat. Jest uczciwy, jest kalwinem i jest homoseksualistą.

Natomiast oczywiście odliczy sobie skrupulatnie należną mu prowizję i koszty manipulacyjne.

Julia stała jak rażona gromem. Dreszcz ją przeszedł: wszystko pasowało jak fragmenty jakiejś niewiarygodnej łamigłówki. Cesar nie wypuścił z rąk żadnej nitki. Popatrzyła na niego bacznie, po czym zaczęła przechadzać się po pokoju. Usiłowała ogarnąć to wszystko. Za dużo jak na jedną noc — pomyślała, stając przed Munozem. Szachista spoglądał na nią obojętnie, wciąż trzymając w ustach niemal do cna wypalonego papierosa. Może wręcz za dużo jak na jedno życie.

— Widzę — znowu zwróciła się do Cesara — że wszystko przewidziałeś... Albo prawie wszystko. Pomyślałeś też o don Manuelu Belmonte? Może to dla ciebie szczególnie bez znaczenia, ale on jest właścicielem obrazu.

— Pomyślałem i o tym. Naturalnie mogą cię dopaść chwalebne wyrzuty sumienia i oświadczysz mi, że nie przyjmujesz planu. W takim przypadku zawiadom tylko Zieglera, a obraz wypłynie w odpowiednim miejscu. Postawi to Montegrifa przed małym problemem, ale jakoś będzie się musiał z nim uporać. Przecież wszystko zostanie po staremu: cena wyśrubowana na skutek afery, Claymore zachowa prawa do aukcji...

Natomiast gdybyś jednak skłoniła się ku opcji pragmatycznej, również możesz spać spokojnie: Belmonte zrzeka się obrazu za odszkodowaniem. Traci emocjonalnie, ale zyskuje finansowo, a to dzięki ubezpieczeniu. Poza tym nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś anonimowo przesłała mu dogodną rekompensatę w wysokości, jaką uznasz za stosowną. Będzie cię na to stać. Co zaś do Munoz. . .

— No właśnie — odezwał się szachista. — Prawdę mówiąc, bardzo jestem ciekaw, co stanie się ze mną.

Cesar popatrzył nań z ukosa.

— Pan, drogi przyjacielu, wykupił szczęśliwy los na loterii.

— Co pan powie. . .

— To, co pan słyszy. Przewidując, że drugi biały konik przeżyje partię, pozwoliłem sobie włączyć pana w poczet udziałowców spółki, z prawem do dwudziestu pięciu procent akcji. Pozwoli to panu między innymi na kupno czystych koszul i na grę w szachy, dajmy na to, na Bahamach, o ile przyjdzie panu ochota.

Munoz podniósł dłoń do ust i wyjął wygasły niedopałek. Przyjrzał mu się przez chwilę, a następnie upuścił na dywan.

— To bardzo szlachetne z pana strony — rzekł.

Cesar spojrział najpierw na niedopałek, potem na szachistę.

— To naprawdę niewiele. Jakoś musiałem kupić pańskie milczenie, a zresztą zasłużył pan sobie z nawiązką. . . Powiedzmy, że w ten sposób chcę panu zrekompensować dowcip z komputerem.

— A czy zakładał pan, że mogę odmówić udziału w tym numerze?

— Jak najbardziej, proszę sobie wyobrazić. Gdy się dobrze zastanowić, jest pan dziwnym człowiekiem. Ale to już nie moja sprawa. Pan i Julia jesteście teraz współnikami, więc załatwajcie to między sobą. Ja mam inne sprawy na głowie.

— Pozostajesz ty, Cesar.

— Ja? — antykwariusz uśmiechnął się. Z bólem, jak zauważyła Julia. — Moja kochana księżniczko, mam wiele grzechów do odkupienia, a czasu maleńko — pokazał zalakowaną kopertę leżącą na stole. — Tam znajdziesz także szczegółową spowiedź, zawierającą całą historię od początku do końca, wyjąwszy oczywiście wątek szwajcarski. Ty, Munoz i chwilowo także Montegrifo pozostajecie czyści jak dziewica. Co się tyczy obrazu, opisałem dokładnie sposób jego zniszczenia z powodów osobistych i ści-

śle emocjonalnych. Jestem pewien, że po analizie tej spowiedzi psychiatrzy policyjni stwierdzą u mnie niebezpieczny przypadek schizofrenii.

— Zamierzasz uciec za granicę?

— Mowy nie ma. Jedyne motyw, dla którego warto dokądś pojechać, to sama podróż. Ale ja jestem już za stary. A perspektywa więzienia albo domu wariatów też nie brzmi kusząco. To musi być okropne, ci wszyscy otyli, piękni pielęgniarze, co robią ci zimny prysznic i tak dalej. Obawiam się, że nie, kochanie. Mam już grubo po pięćdziesiątce i takie rzeczy mnie nie podniecają. Poza tym jest jeszcze jeden drobiazg.

Julia spojrzała na niego ponuro.

— Jaki drobiazg?

— Słyszałaś może — Cesar skrzywił się z ironią — o czymś, co się nazywa Syndrom Nabytego Czegoś tam? To się stało ostatnio groteskowo modne. . . Otóż mój przypadek określają jako końcówkę.

— Kłamiesz.

— Absolutnie nie. Przysięgam, że tak to nazwali: końcówka, jak jakaś ponura resztką. Koniec trasy.

Julia zamknęła oczy. Naraz wszystko wokół jakby znikło, pozostał tylko głuchy stłumiony odgłos kamienia wpadającego do stawu. Kiedy znów je otworzyła, były pełne łez.

— Kłamiesz, Cesar. Nie ty. Powiedz, że kłamiesz.

— Chciałbym, księżniczko. Zapewniam cię, z rozkoszą bym ci teraz powiedział, że wszystko było żartem na kiepskim poziomie. Ale życie, jak nic innego, potrafi ludziom płać podobne figle.

— Od kiedy o tym wiesz?

Antykwariusz wzdorliwie leniwym gestem dłoni dał do zrozumienia, że czas przestał go obchodzić.

— Z grubsza od dwóch miesięcy. Zaczęło się od drobnego guza w odbycie. Bardzo nieprzyjemna rzecz.

— Nic mi nie mówiłeś.

— A dlaczego miałem mówić...? Wybacz, że wyrażam się może mało delikatnie, ale mój odbyt to moja sprawa.

— Ile czasu ci zostało?

— Nie za wiele. Chyba z sześć, siedem miesięcy. Podobno potwornie się chudnie.

— No to pošlą cię do szpitala. Nie pójdiesz do więzienia. Ani nawet do domu wariatów, którego tak się boisz.

Cesar pokręcił głową z łagodnym uśmiechem.

— Nie trafię do żadnego z tych trzech miejsc, moja droga. Masz pojęcie, co to za szkaradna śmierć...? O, nie. Nie ma mowy. Odmawiam. Ostatnio wszyscy na to umierają, wobec czego zachowam przynajmniej prawo do potraktowania samego siebie w sposób szczególny... Trzęsę się na myśl, że ostatnim obrazem z tego świata mogłaby być butelka płynu fizjologicznego zawieszona nad głową... Okropni odwiedzający, którzy przydeptują ci aparaturę tlenową i tak dalej... — omiótł wzrokiem meble, gobeliny i obrazy. — Wolę finał florencki, pośród ukochanych przedmiotów. Takie rozwiązanie, dyskretne i łagodne, bardziej pasuje do moich upodobań i mojego charakteru.

— Kiedy?

— Niebawem. Kiedy będziecie tak dobrzy i zostawicie mnie już samego.

Munoz czekał na ulicy, oparty o ścianę, z postawionym wysoko kołnierzem płaszcza, do tego stopnia pogrążony w rozmyślaniach, że kiedy Julia pojawiła się na progu, podniósł na nią oczy dopiero po dłuższej chwili.

— Jak chce to zrobić? — spytał.

— Kwas pruski. Od lat trzyma schowaną ampułkę — uśmiechnęła się z goryczą. — Twierdzi, że strzał z pistoletu jest bardziej heroiczny, ale pozostawiłby mu na twarzy nieprzyjemny wyraz nagłego zaskoczenia. Woli zachować dobry wygląd.

— Ach, tak.

Julia zapaliła papierosa. Powoli, z rozmyślnym ociąganiem.

— Tu za rogiem jest budka telefoniczna... — patrzyła na Munozą nieobecny wzrokiem. — Prosił, żebyśmy dali mu dziesięć minut, zanim zawiadomimy policję.

Ruszyli chodnikiem w żółtawym blasku latarni. U kresu pustej ulicy światła zmieniły się z zielonych na pomarańczowe i wreszcie na czerwone. To ostatnie wydobyło z twarzy Julii nierzeczywiste głębokie cienie.

— Co pani teraz robi? — zainteresował się Munoz. Mówiąc, nie patrzył na nią, wbił spojrzanie w chodnik przed sobą. Wzruszyła ramionami.

— Zależy od pana.

I wtedy pierwszy raz usłyszała, jak Munoz się śmieje. Śmiechem niskim i delikatnym, nieco nosowym, dobiegającym jak gdyby z samego wnętrza. Przez ułamek sekundy Julia miała wrażenie, że to śmieje się któraś z postaci obrazu, a nie idący obok szachista.

— Pani przyjaciel ma rację — powiedział. — Przydałyby mi się czyste koszule.

Julia pogładziła palcami trzy figurki z porcelany — Oktawia, Lucyndę i Scaramuccia — które spoczywały w kieszeni płaszcza obok zalakowanej koperty. Z zimna usta jej zdrętwiały, a łzy na policzkach niemal zamarzły.

— Powiedział coś jeszcze, zanim został sam? — spytał Munoz.

Znowu wzruszyła ramionami. „Nec sum adeo informis. . . I wcale nie jestem brzydki: niedawnom przechylił się z brzegu, gdy wiatr nad morzem ucichnął i wygładziły się fale”. . .³ Kogóż innego mógł cytować Cesar, jeśli nie Wergiliusza? Od progu odwróciła się ostatni raz, żeby ogarnąć spojrzeniem spowity półmrokiem salon, ciemne prostokąty

³P.Vergilius Naso, Ekloga II, przeł. Zygmunt Kubiak

starych obrazów na ścianach, przytłumioną przez pergaminowy abażur wąż poświatę na meblach, poźółką kość słoniową, złocenia na grzbietach książek. Pośrodku pokoju wznosiła się czarna sylwetka antykwariusza, którego rysów nie sposób już było rozróżnić: smukły kontur, wyraźny jak na dawnym medalu czy kamei, i cień, zalewający czerwień i ochrę arabeski na dywanie, sięgający niemal stóp Julii. Zegar wybił kuranty akurat w chwili kiedy zamykała drzwi, mając wrażenie, że zatrzaskuje grób — jakby wszystko było wcześniej zaplanowane, jakby każdy sumiennie odegrał przeznaczoną mu rolę według scenariusza rozpisanego na szachownicy, o wyznaczonej porze, pięćset lat od rozpoczęcia pierwszego aktu. Po ostatnim matematycznie precyzyjnym ruchu czarnego hetmana zapadnie kurtyna.

— Nie — odparła cicho, czując, jak obraz powoli się oddala, tonie w czeluściach pamięci. — Właściwie nic nie powiedział.

Munoz uniósł głowę jak chudy niezgrabny pies, który usiłuje coś wywęszyć na ciemnym niebie, i uśmiechnął się z niezdarną czułością.

— Szkoda. Byłby z niego świetny szachista.

„Echo jej kroków rozlega się po bezludnym krużganku, płynie pod sklepieniami, w których już czają się cienie. Ostatnie promienie zachodzącego słońca padają niemal poziomo, ledwie widoczne poprzez kamienne arkady, rozpalając na czerwono mury klasztorne, puste nisze, żółknące liście jesiennego bluszczu oplatającego kapitele — potwory, rycerzy, świętych, mitologiczne zwierzęta — i gotyckie luki, otaczające zapuszczony ogród. Wiatr wiejący z północy, zwiastun zimy, wyje gdzieś na zewnątrz, spada po zboczu, gnie gałęzie drzew, gra w stuletnich kamiennych gargulcach i okapach, opływa dzwony z brązu w klasztornej dzwonnicy, zwieńczonej skrzypiącym pordzewiałym kurkiem, uparcie pokazującym dalekie i niedostępne południe, zapewne pełne światła.

Kobieta w żałobie zatrzymuje się przy fresku zniszczonym przez czas i wilgoć. Po jego pierwotnych kolorach pozostało zaledwie wspomnienie: błękit tuniki, ochra jakiegoś szczegółu. Ucięta przy nadgarstku, ręka wskazuje nieistniejące niebo i Chrystusa o obliczu z trudem dającym się odróżnić od pokruszonego tynku; promień słońca, a może Światła Bożego, pozbawionego już źródła i punktu przeznaczenia, zawieszony między niebem a ziemią, szczątek żółtej jasności, absurdalnie zastygły w czasie i przestrzeni, gaśnie z wolna tłamszony przez upływające lata i nieprzyjazną pogodę, aż wreszcie

kiedyś zniknie, jakby nigdy nie istniał. I anioł pozbawiony ust, o zmarszczonym czole niczym u sędziego czy kata, z ledwie widocznymi poplamionymi wapnem skrzydłami, kawałkiem tuniki i nieostrym mieczem.

Kobieta w żałobie odchyła czarny welon skrywający górną część twarzy i dłuższą chwilę wpatruje się w oczy anioła. Od osiemnastu lat zatrzymuje się tu codziennie o tej samej porze i obserwuje spustoszenie, jakie czas czyni z malowidłem. Widzi, jak z wolna zacierają się kształty, zżerane nieubłagany trądem, jak kontury anioła rozpływają się w brudnym gipsie ściany, jak plamy wilgoci wchłaniają kolory, smagają i niszczą postacie. Tu, gdzie mieszka, nie ma luster: reguła zakonu, wedle której ślubowała (a może kazano ślubować, w jej pamięci pojawia się coraz więcej białych plam, jak na tym fresku), wyraźnie ich zakazuje. Już od osiemnastu lat nie widziała swojej twarzy, więc ten anioł, niegdyś bez wątpienia pełen urody, jest jedynym zewnętrznym świadectwem tego, że się starzeje: odpryski farby to zmarszczki, wyblakłe rysy to przywiedła skóra. Chwilami, kiedy jasność spływa na umysł niczym fala omywająca piasek plaży, chwilami, których uczepia się kurczowo, próbując rozpaczliwie opleść na nich swoją udręczoną upiorami pamięć — wydaje jej się, że ma pięćdziesiąt cztery lata.

Z kaplicy dobiega wyduszony przez grube mury odgłos chórów wyśpiewujących chwałę Pańską na chwilę przed udaniem się do refektarza. Kobieta w żałobie ma dyspensę od niektórych nabożeństw i o tej porze woli spacerować po pustych krużgankach jak czarny milczący cień. Z kibici zwisa jej różaniec z poczerniałego drewna, którego dawno już nie odmawia. Daleki śpiew modlitewny stapia się w jedno z wyciem wiatru.

Gdy ponownie rusza w drogę i dochodzi do okna, gasnące słońce jest już tylko czerwoną plamą na horyzoncie, co pierzcha przed ołowianymi chmurami nadciągającymi z północy. U stóp wzgórza widać szerokie szare jezioro połyskujące stalowymi falami. Kobieta opiera suche, kościste dłonie na kamiennym parapecie — okno zwieńczone jest ostrym łukiem, wspomnienia powracają bez zmiłowania — i czuje, jak chłód przepływa z muru wzdłuż jej ramion i zbliża się powoli, niebezpiecznie ku umęczonemu sercu. Nagły kaszel wstrząsa jej kruchym ciałem, zniszczonym przez wilgotne zimy, zmaltretowanym wskutek zamknięcia, samotności i kapryśnej pamięci. Już nie słucha śpiewu z kaplicy ani wycia wichru. Oto z odmětów czasu dobiega ją monotonna i smutna muzyka mandoliny, oto wrogi jesienny krajobraz rozwiewa się w powietrzu, a przed jej oczami rysuje się, jak na obrazie, inny pejzaż: lekko pofałdowana równina,

z której w oddali wyrasta smukła jak za pociągnięciem cieniutkiego pędzelka sylwetka dzwonnicy, Wtem wydaje jej się, że słyszy gwar męskich głosów przy stole, echo czyjegoś śmiechu. I przychodzi jej do głowy, że jeśli się obejrzy, zobaczy samą siebie, siedzącą na taborecie z książką na podolku, a gdy podniesie wzrok, dostrzeże błysk stalowego naszyjnika przyłbicy i Złotego Runa. A brodaty siwy starzec z pędzlem w dłoni uśmiechnie się do niej, oszczędnie i sprawnie kreśląc na dębowej desce całą scenę, by utrwalić ją na wieki.

Na chwilę wichur rozdziera zasłonę chmur i spóźniony refleks światła, odbity od fal jeziora, rozjaśnia pomarszczoną twarz kobiety, ożywia jej jasne, zimne, prawie zgaszone oczy. Trwa to moment, po czym wiatr znów wyje jakby jeszcze silniej, czarny welon łopocze na podobieństwo kruczych skrzydeł. A ona jeszcze raz czuje ten dojmujący ból, co zżera jej ciało i podchodzi do serca. Ból paraliżujący, na który nie ma lekarstwa. Który skuwa lodem jej członki i jej oddech.

Jezioro jest już tylko mętną plamą pośród cieni. A kobieta w żałobie, która gdzieś tam w świecie nazywała się Beatrycze Burgundzka, wie, że z północy nadciąga już

ostatnia zima. I zastanawia się, czy w mrocznym miejscu, do którego zmierza, znajdzie na tyle miłosierdzia, by wymazać ostatnie skrawki pamięci.”